



Darker,
sexier and more
dangerous than ever.
*Melinda Salisbury, author of
The Sin Eater's Daughter,*

MAFIOSA

Catherine Doyle

CATHERINE DOYLE

MAFIOSA

Blood for Blood # 3

Tłumaczenie : waydale

Wszystkie tłumaczenia w całości należą do autorów książek jako ich prawa autorskie, tłumaczenie jest tylko i wyłącznie materiałem marketingowym służącym do promocji twórczości danego autora. Ponadto wszystkie tłumaczenia nie służą uzyskiwaniu korzyści materialnych, a co za tym idzie każda osoba, wykorzystująca treść tłumaczenia w celu innym niż marketingowym, łamie prawo.

CZEŚĆ I

„Kołując coraz szerszą spiralą,
Sokół przestaje słyszeć sokolnika;
Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;
Czysta anarchia szaleje nad światem”¹
William Butler Yeats, „Drugie przyjście”



¹ Tłum. Stanisław Barańczuk

ROZDZIAŁ PIERWSZY

KREW I OGIENÍ

- Wyciągnij rękę przed siebie wnętrzem do góry. – Sposób, w jaki obserwował mnie Valentino przyspieszał rytm mojego serca. Podniosłam ramię świadoma swojej powolności.

Felice opierał się w krześle obok Valentino, podpierając jedną patykowatą nogę o drugą. Splatał ciasno ramiona, jak gdyby był z kartonu i ktoś próbował go poskładać.

- Nie odetnie ci jej, Persefono. Postaraj się nie okazywać tchórzostwa.

- Felice – skarcił go Luca. Zaciskał szczękę tak mocno, że mógłby przeżuć szkło. Siedział naprzeciwko mnie do połowy odwrócony. Chciałam, żeby na mnie spojrzął, zapewnił, że wszystko będzie w porządku, ale to nie było jego zadanie. Przynajmniej doprowadził mnie tutaj... Jestem jedną nogą w środku. Głupotą była nadzieja na cokolwiek więcej.

Nico przeniósł spojrzenie na wuja.

- Inicjacja to coś nowego dla Sophie. Niech zrobi to we własnym tempie.

Felice uniósł brew. – Skoro tak twierdzisz...

- Fakt, że jest Marino nie oznacza, że składała już kiedyś przysięgi krwi – wytknął.

Valentino pociągnął mnie do siebie. Czułam jego sygnet – gruby i zimny – napierający na mój puls.

- Miejmy nadzieję, że nie – mruknął, otwierając swój szczyryk.

Wbiłam wzrok w jego wygrawerowaną rączkę. *Valentino. Boss.*

Pójdzie łatwo. Pójdzie szybko. To tylko formalność.

Pokój mieścił się w głębi *Eveliny*, ogromnej rezydencji Felicego. Był mały, ciemny i panowała tu duchota. Wszystko składało się z majaczących cieni i jasnych oczu Falconów.

Valentino przekłuł skórę koniuszka mojego palca wskazującego i przytrzymał go nad ryciną herbu Falconów – szkarłatnego ptaka przygotowującego się do lotu. Patrzyliśmy w milczeniu, jak krew spłynęła z mojej dłoni.

- Przynajmniej wiemy, że jest człowiekiem – wymamrotał Felice.

Posłałam mu krzywe spojrzenie.

- Spróbuj się kontrolować, wampirze. To bardzo ważna inicjacja krwi.
- *Widzicie*, już się z tego naśmiewa. – Felice wycelował we mnie oskarżająco.

Luca zacisnął ręce w pięści na stole.

- *Stai zitto*, Felice – syknął Nico. – Przestań ją prowokować.

Valentino puścił mnie i dalej trzymałam w górze rękę, z której krew spływała na papier.

- Wypowiedz słowa, których cię nauczyliśmy.

Odchrząknęłam.

- Ja, Persefona Gracewell...

- Marino – przerwał mi Felice. – Identyfikuj się prawidłowo.

Sporunowałam go wzrokiem.

Odwzajemnił się tym samym. Nie chciał tego – Marino wśród jego grona, nieważne jak nieświadoma byłam własnego pochodzenia – ale został przegłosowany i teraz było już za późno.

- Ja, Persefona *Marino* – podjęłam na nowo – przysięgam na moją krew i serce, że podtrzymam wartości Falconów tak długo, jak żyję. Będę przez cały czas wykazywać się honorem oraz lojalnością i nie złamię świętej przysięgi *omertà* nawet pod groźbą tortur czy śmierci. Od tej pory ślubuję lojalność rodzinie Falcone i wyrzekam się wszystkich innych do ostatniego mego oddechu.

- Weź rękę – polecił Valentino.

Wycofałam ją i wcisnęłam nakłuty palec w pięść. Podniósł papier i wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek. Rozpalił jedną i tym samym poczułam, jak cały mój świat się kurczy. Oddech ugrzązł mi w zaciskającym się gardle. Czułam dym... wdarł się do moich nozdrzy, zaćmił mój mózg.

Jestem bezpieczna. Jestem wolna. To tylko iluzja.

Valentino przytknął płomień do kartki i zaczęła się palić, czerniejąc i podwijając się na brzegach.

W mojej głowie rozbrzmiały krzyki umierającego. Wróciłam do restauracji. Znowu byłam w tym pożarze. Ujrzałam wśród płomieni białe tenisówki matki, które do mnie mrugały. Czułam w ustach popiół, który wypełniał mi płuca i wysuszył gardło. Moje ramiona paliły się, skwierczały, leczące się rany znowu zostały otwarte.

Nie tutaj. Nie teraz.

Luca odchrząknął.

Próbowałam wyrwać się z tego piekła, które rozerwało cały mój świat. Pożar się skończył. Pozostał jedynie ból. Próbowałam zignorować twarz matki, która unosiła się pod moimi powiekami. Te życzliwe oczy, ten delikatny smutny uśmiech. *Przepraszam. Tak strasznie przepraszam, mamo.*

- I reszta – ponaglił Valentino. – Sophie. Dokończ.

Zamrugałam twardo. Papier już prawie cały się zwęglił. Płomienie go pożarły, zostawiając po sobie unoszące się srebrne plamki.

- Sophie. – Głos Luki, cichy i surowy, przywrócił mnie do rzeczywistości. Skoncentrowałam się. Przypomniałam sobie, dlaczego tutaj byłam. Co musiałam zrobić.

- *La famiglia prima di tutto* – dokończyłam.

Rodzina ponad wszystko.

Rodzina na pierwszym miejscu.

Moja rodzina.

Valentino upuścił ostatni strzep kartki.

- Sophie Marino, ta ceremonia symbolizuje twoje odrodzenie w rodzinie Falcone. Od tej pory będziesz żyć zgodnie z pistoletem i ostrzem. – Skinął, żebym się przysunęła. Posłuchałam się, jak kukielka na sznurku, wstrząśnięta przebłyskami podobieństwa pomiędzy nim i Luca, jak te głębokie niebieskie oczy zrobiły się jeszcze większe.

Valentino przycisnął ręce do mojej twarzy i musnął lodowatymi wargami moje policzki ruchem szybkim i powierzchownym. Znajdował się kilka centymetrów ode mnie, prawie stykaliśmy się nosami i poczułam gęsią skórkę. Patrzyłam prosto w jego wykalkulowane oczy, gdy powiedział:

- *Benvenuta nella famiglia, Sophie.* – Zabrał ręce i odsunął się ode mnie. – Jesteśmy jednym aż do śmierci.

Wypuściłam wzbierający się we mnie oddech.

- A więc to wszystko? – Skończyło się równie szybko, jak zaczęło. W mojej klatce piersiowej rozlało się dziwne ciepło. – Jestem teraz jedną z was?

- Prawie – odparł Valentino, odpychając się od stołu i obracał szyją, dopóki coś mu nie strzeliło.

W tym samym czasie Luca powiedział:

- Tak.

Spojrzeni na siebie przekrzywiając głowy w tym samym okazy konsternacji.

Valentino zakręcił ręką w powietrzu, ale kiedy się odezwał to w odpowiedzi Luce, nie mnie.

- Będzie musiała zabić Marino zanim zaangażuje się w pełni w reżim Falconów.

- Ach! – Felice, który rozplątał kończyny i teraz już stał, rozświetlił się nagle jak choinka. – Święta przyszły wcześniej.

Luca wciąż patrzył na bliźniaka.

- Nie możesz mówić poważnie.

Valentino zmrużył oczy.

- Jak inaczej mielibyśmy ją do nas przywiązać?

W głowie mignęły mi słowa Felicego. *Postaraj się nie okazywać tchórzostwa.*

- Kogo? – zapytałam, słysząc chrypkę we własnym głosie i nienawidziłam tego. – Kogo będę musiała zabić?

- Małego gracza – odpowiedział Valentino. – To będzie sprawdzian. Wkrótce poinformuję cię o twoim celu. – Był taki nonszalancki, że prawie nabrałam się na to poczucie normalności. Na miejscu strachu zaczęło się kiełkować poczucie obowiązku. To było moje zadanie. Oczywiście, że musiałam jakoś się sprawdzić. Oczywiście, że w taki sposób. Jak inaczej mieliby wiedzieć, że nie jestem szpiegiem Marino? Jak inaczej mieliby mi pomóc w pomszczeniu matki?

- To nic takiego – powiedział Nico, cień uśmiechu podniósł twarde krawędzie jego kości policzkowych. – Przecież nie będzie musiała zrobić tego sama, Luco. Pomożemy jej.

- Będzie musiała wykonać śmiertelny cios – ostrzegł Felice. – Niech pociągnie za spust.

- Jasne – odparł bez wahania Nico.

- Jasne – powtórzyłam, czując, że jestem oddalona o milion kilometrów od dziewczyny, którą byłam zaledwie parę miesięcy temu.

- Postanowione. – Słowa Valentino przeleciały nad jego ramieniem, kiedy odjeżdżał ode mnie. – Następna ofiara Marino będzie należeć do Sophie. A wtedy Sophie będzie należeć do nas.

Ledwo dotarłam do korytarza, kiedy w domu poniosły się odległe krzyki. Pobiegłam w ich kierunku, podążając za rosnącym głosem Gino, który nagle zdawał się bardzo złowieszczy.

Przebiegłam obok kuchni, ignorując śmiech trzech córeczek Pauliego, wpadłam do foyer i otworzyłam drzwi wejściowe. Na zewnątrz Dom i Gino dreptali już w stronę końca podjazdu.

Widziałam z oddali kłębiące się płomienie nad bramą do *Eveliny*. Serce podeszło mi do gardła, jak ogarnął mnie gwałtowny strach. Ukłuł mnie w palce, prześlizgnął się w górę ramion, chuchnął żarem na policzki. Wspomnienia stłoczyły się na obrzeżach mojego umysłu, próbując wedrzeć się do środka.

Nie.

Poszłam w ślad za chłopakami, nie odrywając wzroku od ich pleców, jak przeszli w dół podjazdu i zbliżyli się do ognia. Każdy krok wpychał mnie głębiej do moich koszmarów... do parzącego żaru restauracji, do tych ostatnich chwil z moją matką.

Stop.

Ten głos w mojej głowie sprowadzający mnie z powrotem na ziemię. Do tajemniczej palącej się sterty na końcu podjazdu. Do tego jak zahipnotyzowana byłam migocącymi bursztynowymi smugami, jak przytłoczona czułam się chowającymi się w nich wspomnieniami.

Gorący podmuch ognia, zarówno ten prawdziwy jak i wyimaginowany, chłostał mnie po policzkach. Byłam na tyle blisko, by zobaczyć, co płonęło, wszystkie lśniące warstwy metalu – znajomej, bolesnej barwy błękitu – i wiedziałam, o kilka sekund za późno, że popełniali ogromny błąd.

Tuż przed wielką czarną bramą, blokując wjazd do posiadłości Felicego, znajdował się podniszczony niebieski ford. Ford, który wielokrotnie podwoził mnie do miasta, podrzucał pod dom Millie, stał na moim podjeździe, kiedy próbowałam rozpracować skrzynię biegów i przeklinałam za każdym razem, kiedy nie ruszała.

Pod *Eveliną* stał samochód mojej matki.

Pod *Eveliną* palił się samochód mojej matki.

- Dom! – wrzasnęłam, ale on okrążał płomienie, próbując dociec, o co tu chodziło. –
Wracaj!

Gino znajdował się jeszcze dalej ode mnie.

- Gino! Odsuń się od ognia!

Mój głos niknął w nagłym żarze, do moich uszu dochodziło ogłuszające trzaskanie. Gino usłyszał mnie, bo odwrócił głowę i spojrzał zdumiony na mój atak paniki.

Zrobiłam kolejny krok, uniosłam głos.

- Odsuń się od ognia! – Odrzuciłam ręce na boki, wymachiwałam nimi. – Cofnij się!

- Sophie! – Za mną na podjeździe zagrział głos Luki. – Chodź tutaj!

Dalej krzyczałam na Gino i Doma, kiedy dobiegł do mnie Nico, jego buty ślizgały się na żwirze, jak złapał mnie w pasie i okręcił. Nie miałam nawet czasu, żeby zareagować, gdy auto eksplodowało i wszyscy zostaliśmy odrzuceni do tyłu pod deszczem metalu i martwych szczurów.

Wszędzie wokół wszystko huczało, kiedy w powietrze wyleciała ognista kula. Okryło mnie palące, rozgrzane do białości ciepło, jak przeczołgałam się po omacku do Nico, zaciskając palce na trawie. Niebo zamieniło się dym i popiół, i zostaliśmy opryskani rozszarpanymi kawałkami futra oraz krwią.

Dom i Gino odlecieli na przeciwne strony podjazdu, uderzając w zakrwawiony ogród, impet wybuchu przetoczył ich do grządek kwiatów. Wykrzykiwali swoje imiona, odsuwając się od wysokich płomieni, czołgając się w naszym kierunku.

Podźwignęłam się do góry, ledwo utrzymując równowagę na drżących nogach. Gdy podniosłam głowę, teren przed domem był pełen Falconów, każdy z osobna ogarnięty własnym przerażeniem.

Luca podbiegł do mnie, ramiona miał pokryte futrem i krwią. Mówił coś, ale nie słuchałam. Docierała do mnie rzeczywistość tego, co właśnie zaszło. Ziemia była zasłana martwymi szczurami, a moje ciało złane ich posoką. Jeden wylądował niecały metr od mojego buta. Przeszłam nad nim, sunąc do miejsca wybuchu.

Raz jeszcze mienił się przede mną dowód okrucieństwa Marino. Patrzyłam na niebieskiego forda mojej mamy, który był teraz spalony i powyginany pod gasnącymi płomieniami. Walczyłam z pragnieniem, żeby wyorać sobie spod skóry ich zatrutą, barbarzyńską krew.

Ominęli mnie Felice i Paulie trzymający w rękach wiadra wody. Elena również wyszła na dwór, próbowała nie dopuścić dzieci do ognia. Słyszałam za sobą jej krzyki na Sala i Aldo. Jedna z córek Pauliego, Greta, szlochała głośno.

Podeszłam powoli do samochodu. Na samym końcu podjazdu wznosiły się do nieba smugi dymu, zamieniając powietrze w nienaturalny, zjełczały smog.

Prezent dymu i popiołu. Sto krwawiących szczurów. Ostrzeżenie, nie atak. W jakiś sposób to było jeszcze gorsze.

Patrzyłam na to wszystko, kiedy oczy łzawiły mi od płomieni, kiedy martwe szczury wykrwawiały się pod moimi stopami. Patrzyłam jak Nico i CJ zawiązali sobie szmatki na ustach i zwalczali pozostały ogień kocami. Patrzyłam jak Felice polał samochód czterema wiadrami wody, jak Paulie oceniał szkodę. Patrzyłam jak Elena ruszyła pędem do synów, młodsze dzieci zostały zamknięte w domu.

Gino i Dom również byli cali we krwi. Wsiąkła im w ubrania, pokryła smugami szyje. Gino miał wielką szkarłatną plamę na policzku.

Ten smród był tak boleśnie znajomy. Dom miał szare czoło i przypalone końcówki włosów. Kucyk Gino przypominał słomę, łamały mu się końce. Wyglądał, jakby zaraz miał się porzygać. Dom podniósł głowę do matki.

- Wypchali samochód martwymi szczurami zanim go zdetonowali. Prawie wysadziło nas do następnego życia.

Elena rąbnęła go w bok głowy.

- *Non parlare così!*

- *Mamma!* – krzyknął.

- *Imbecilli!* – warknęła, traktując podobnie Gino. – Czy naprawdę wychowałam kretynów? Czy nie rozumiecie jak niebezpieczne są nieznanne prezenty? Nie podchodzi się do tego, czego się nie rozumie! Właźcie do środka i umyćcie się zanim powykręcę wam uszy za niesłuchanie, co się do was mówi!

Stałam nieruchomo w miejscu, kiedy każda cząsteczka mnie zamieniła się w gniew i lód, kiedy w mojej głowie zebrały się myśli o zemście i porwały mnie w swoim wirze. Patrzyłam i patrzyłam, a potem wrzasnęłam tak głośno, że załamał mi się głos i wydawało się, że wykrwawiam sobie gardło. To był krzyk furii, odpowiedź na ich wiadomość, która była teraz głośna i nieunikniona. Wtedy to do mnie dotarło. Stali sobie tutaj i patrzyli na *Evelinę* przez bramę, i śmiali się – mogę się założyć – *śmiali się*, jak niszczyli samochód mojej matki. Bezcelnie przyszli pod nasze drzwi i wymierzili tę groźbę bezpośrednio we mnie. *Pamiętasz, co stało się z twoją matką? Patrz i podziwiaj. Pamiętasz, co jej zrobiliśmy? Oto przypomnienie. Oto, co robimy ze szczurami. Oto, co zrobimy z tobą.*

Jesteś szczurem, Sophie Marino i idziemy po ciebie.

- Sophie. – Luca położył rękę na moim ramieniu, podtrzymując mnie, jakbym miała rzucić się na samochód i roztopić się na tym płonącym metalu. – Odejdź od tego.

Obróciłam się do niego.

- Niby dlaczego?

Ta wiadomość była do mnie. Dlaczego miałabym się przed nią ukrywać? Najbliższy świat zaczął przygasać... jego krawędzie rozmazywały się i cichły. Nigdy nie zaznałam tak wielkiej nienawiści. Nigdy nie czułam tak wielkiej pasji do czegośkolwiek.

Znów spojrzałam na samochód. Czułam gniew huczący w uszach, rozgrzewający koniuszki palców. Kotłował się w mojej piersi. Wzbierał pod językiem. Mrowił mnie w kark.

Uspokój się.

Twój czas nadejdzie.

Sprawisz, że zapłacą za wszystko.

ROZDZIAŁ DRUGI

SOJUSZNIK

Padłam na fotel w bibliotece *Eveliny* i próbowałam wymasować sobie ból głowy ze skroni. Nawet po trzech prysznicach dalej czułam martwe szczury, tłący się dym. Było mi od tego niedobrze.

Próbowałam stłumić przesywającą mnie strzałę żaru, która przyśpieszała rytm mojego serca, wywoływała nierówny oddech. Oparłam się o fotel, odliczyłam siedmiosekundowe wydechy. Pod każdą ze ścian stały regały pnące się do samego sufitu. Trzy witrażowe okna wyglądały na ogrody przed domem.

Nad okazałym kominkiem wisiał obraz olejny *Eveliny Falcone*, zmarłej żony *Felicego*, jej półprzymknięte oczy zwracały się ku oknom, usta wykrzywiały w lekkim uśmiechu. Ciemne włosy zostały spięte wysoko na głowie, pojedyncze kosmyki skręcały się wokół twarzy. Portret przypominał coś z przeszłości – coś jak rekreację *da Vinciego*, kościelne dzieła. Nie miałam wątpliwości, że zorganizował to *Felice*, że to on kupił jej ten brylantowy naszyjnik. Jednak pomimo całego tego bogactwa w jej oczach widniał jedynie smutek.

Biblioteka była jak miejsce kultu z niskim oświetleniem i szeregiem luksusowych skórzanych fotelów, a mimo to wisiała tu w powietrzu pewna stęchłość. W tym pałacu pełnym pokoiów rozrywkowych, płaskich telewizorów, konsoli i wielu akrów ziemi, w której można było się zgubić tylko paru *Falconów* postanawiało szukać pociechy w bibliotece, zatem stała się wehikułem czasu z innej ery. Zapomniana i zakurzona. Cicha.

A ja właśnie potrzebowałam ciszy.

Pukanie do drzwi przebudziło moje myśli nim zdążyłyby wpaść do innego, brutalnego miejsca. *Nico* wsunął się do środka, chowając ręce w tylnych kieszeniach.

- Hej.

- Cześć.

Miał mokre włosy, ciemne pasma kleiły się do czoła. Pachniał szamponem... nie dymem, nie tak jak ja. Zapadł się w fotel naprzeciwko mnie.

- Co tutaj robisz?

- Och, no wiesz, gotuję się w świeżej kadzi własnej mściwości.

- Brzmi produktywnie. – Uśmiechnął się półgębkiem.

Wzruszyłam ramionami.

- A co z tobą?

Przechylił głowę, unosząc kącik ust.

- Szukam kogoś, z kim mógłbym się pomścić.

- Wydaje mi się, że mówisz poważnie – zauważyłam.

- Bo mówię.

Patrzyliśmy na siebie przez długą chwilę. Ta cisza pomiędzy nami była pocieszająca. Miło było mieć sojusznika, kogoś kto widział kryjącą się we mnie brzydotę i nie oczekiwał, że będę się przed nią cofać.

Przerwałam milczenie.

- Więc wiedzą, gdzie jestem.

- Oni przynoszą wstyd naszej kulturze – odparował.

- Zapłacą za wszystko. – Wstrzymałam na chwilę oddech, ale wygładziłam rysy twarzy. Chciałam, żeby mi uwierzył; potrzebowałam, żeby mi uwierzył.

- Oczywiście. – Twarz Nico stężała w masce przekonania; zaciśnięta szczęka, iskrzące się oczy. Nachylił się do przodu, podpierając łokcie na kolanach. – To będzie masakra, Sophie. Donata nie będzie wiedzieć, co ją czeka. Odbierzemy jej wszystko. Gdy będziesz wiedzieć, że nie terroryzuje już niewinnych ludzi, to pozbędziesz się smutku. Staniemy nad nią i pokażemy jej, jaki błąd popełniła, zadzierając z...

- Nicoli.

Nico przełknął resztę wypowiedzi. Jego twarz zamgliała się z irytacji, kiedy się odwrócił. W progu stał Luca, zaplatając ramiona na torsie.

- Co? – zapytał poirytowany.

- Możesz pójść na górę? – odparł Luca w czymś, co było chyba jego próbą życzliwości. Ale nie było w tym nic życzliwego. – Chcę, żebyś sprawdził, co z Domem i Gino.

- Jesteśmy w trakcie rozmowy.

- Widzę – powiedział niewzruszony Luca.

- Więc?

- Więc mówię ci teraz, żebyś poszedł na górę.

Nastąpiło pełne wahania milczenie. Nico spojrzał na mnie, na Lucę i znów na mnie. Nie ruszał się, rozważał, co zrobić. Luca nic nie zrobił; czekał tylko, denerwująco pewny

ustępstwa Nico. Nico westchnął obrażony, podniósł się i przemaszerował obok brata, rzucając przez ramię: „Dobra, nieważne”.

Patrzyliśmy za jego oddalającą się sylwetką.

Luca wszedł do biblioteki i zastanawiałam się czy czuł dym tak samo wyraźnie, jak ja. Wsiąknął w każdą część mojej osoby, zatrzymał się w nosie i mózgu.

- Nie pozwól, żeby tak ci mieszał w głowie – powiedział Luca pełnym wyrzutu głosem. – Jesteś na to zbyt mądra.

- Więc teraz chcesz ze mną rozmawiać? – zapytałam, próbując zachować opanowanie, kiedy czułam się bliska wybuchu.

- Co?

Wywróciłam oczami.

- Prawie się do mnie nie odzywałeś odkąd tutaj przyszedłam – powiedziałam, patrząc na kołnierzyk jego koszulki, unikając jasnoniebieskich oczu. – Opuszczasz pokój, kiedy ja wchodzę. Przez większość czasu nawet na mnie nie *patrzysz*.

- Masz na myśli tak, jak ty teraz patrzysz na mnie? – odparował.

Podniosłam wzrok, wbiłam oczy w jego durną, idealną twarz i zmarszczyłam gniewnie brwi.

- Wiesz, co mam na myśli, Luca. Ignorowałeś mnie.

Przysiadł na podłokietniku fotela naprzeciw mnie.

- Nie przyszedłem tutaj, żeby się kłócić. – Pozwoliłam, żeby cisza trwała, pragnąc, żeby to on ją przerwał, nie ja. Nie, kiedy przez dwa ostatnie tygodnie próbowałam przykuć jego uwagę, próbowałam rozgryźć, co się działo, u licha, w jego głowie. Musiałam dowiedzieć się o dzisiejszej inicjacji od *Gino*.

- Nie pozwól, żeby Nicoli pomalował swoje zamiary fałszywą chwałą. Nie nabieraj się na jego retorykę.

- Mówi facet, który ciągle brzmi jakby cytował poezję.

- Udzielam ci rady.

- Chcesz jakąś w zamian? – zaoferowałam. – Następnym razem, kiedy zechcesz podsłuchiwać moje rozmowy... nie rób tego.

- A kiedy widzę, że mój brat owija cię sobie wokół małego palca? Czy mam pozwolić mu skończyć tobą manipulować, czy zainterweniować?

- Przestań, Luca. – Pozwoliłam, żeby do mojego głosu przelało się znużenie. – Nie jestem w nastroju.

- On nie ma lekarstwa na to, co teraz czujesz. Nikt nie ma.

- To wiadomość dla *mnie*. – Pokazałam za okno. Gdzieś tam tkwił wrak samochodu mojej matki. – I chcę za to zabić Donatę.

Potrząsnął głową, marszcząc czoło.

- Właśnie takiej reakcji pragną. Chcą cię wywabić, chcą, żebyś do nich poszła.

- Kiedy będę mogła zabić mojego Marino? – zapytałam.

Luca spojrział na mnie z rozdziawionymi ustami. Przyjrzałam się jego piersi, która unosiła się w nierównym rytmie. Cisza robiła się coraz dłuższa. Postanowiłam ją przekroić.

- Nie jestem jeszcze doinformowana we właściwej etyce zabójcy, ale sądząc po tej twojej dramatycznej reakcji mam wrażenie, że popełniłam jakieś faux pas?

Przesunął ręką po policzku.

- Posłuchaj, rozumiem, że jesteś teraz rozgniewana. Rozumiem...

- Kiedy? – przerwałam mu. – Valentino powiedział, że wkrótce dostanę mój cel, ale jak wkrótce jest wkrótce, Luco? *Kiedy?*

Przymus zabicia Marino dla samego przetestowania mojej lojalności wpadł do mojego żołądka jak blok ołowiu, ale czując pod skórą żar nieustannie tłących się płomieni zdałam sobie sprawę, że chciałam odegrać się na Donacie. Chciałam jej pokazać, że się nie bałam, że zapłaci za wszystko, co mi odebrała, że to był jedynie początek. Pragnęłam tego celu. Pragnęłam *mojego* celu. Pragnęłam nakierować gdzieś zaogniający się we mnie cały ten gniew.

Luca poderwał się na nogi i zatrzasnął drzwi biblioteki, zamykając nas wewnątrz. Podszedł do mnie i przemówił tak cicho, że ledwo go słyszałam.

- Sophie... chyba nie myślisz na poważnie, że oczekuję, iż kogoś *zabijesz*, prawda?

- Tak powiedział Valentino na inicjacji. - Ja nie zniżałam głosu. – Wszyscy się zgodziliśmy, pamiętasz?

- Ja się nie zgodziłem – odparł znacząco.

- Cóż, on jest wyżej od ciebie rangą.

- Mam to gdzieś – powiedział nieporuszony. – Nie ma absolutnie żadnej mowy, że w tym życiu albo jakimkolwiek innym przystawisz komuś pistolet do głowy i pociągniesz za spust.

Jak niefrasobliwie wydawał się kontrolować moje życie, jak dziwne było dla niego, iż mogłabym oczekiwać bycia traktowaną jak reszta tej rodziny.

- Och, naprawdę? – powiedziałam. – A czego się spodziewasz, kiedy mój wujek i Donata w końcu wyczołgają się z powrotem na powierzchnię? Naprawdę sądzisz, że będę stać z boku i nic nie zrobię?

Luca przeczesał sobie włosy, odgarniając z twarzy niesforne czarne kosmyki, by móc usidlić mnie tym hipnotyzującym lazurowym spojrzeniem. To wydawało się niemal celowe, jakby był doskonale świadom, jaki był paraliżujący.

- Sophie, myślę, że zaszło pomiędzy nami pewne nieporozumienie w tej sprawie.

- Niby jakie? – Staralam się o spokojny głos.

- Nie pozwoliłem ci tutaj zostać dlatego, że obiecałaś zabić swojego wuja, pozwoliłem ci zostać, ponieważ nie miałaś gdzie pójść i martwiłem się o ciebie.

- Ale nawet Nico powiedział, że mi pomoże. Obiecał, że...

- Nie jestem Nicolim – wtrącił.

- Wiem – odparłam. – Ale on...

- Decyzja nie należała do niego, tylko do mnie.

- I do Valentino.

- Do mnie – powiedział zwyczajnie, nie rozwijając tematu.

Przez cały czas myślałam, że wynegocjowałam sobie to lokum w dzień, kiedy pojawiałam się na ich progu, ale oto Luca mówił mi, że siedziałam przed nim teraz z powodu litości. Skręciły mi się wnętrzności... to poczucie bezużyteczności, słabości, myśli, iż moja rozpacz nie uczyniła mnie silną ani zdolną, tylko *godną pożałowania*.

- Oczekujesz, że będę cierpliwie czekać, kiedy oni wysyłają tutaj rzeczy, które mają na celu przesłanie mi groźby, kiedy wywołują mnie w taki sposób jak dzisiaj? Co jeśli *chcę* ich skrzywdzić? Co jeśli naprawdę *chcę* do czegoś się przyczynić w tej rodzinie?

- Powiedziałem, że nie.

- To po co ta przeklęta inicjacja? – warknęłam. – Po co marnować mój czas?

- Żeby zapewnić ci bezpieczeństwo – odpowiedział, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Gapiałam się na niego, wymachując ramieniem w kierunku podjazdu.

- Czy ty czujesz się teraz bezpieczny? Czy *ktokolwiek* tak się czuje?

W jego oczach mignął cień tak szybki, że mogłabym go nie zauważyć, gdybym nie wpatrywała się w nie tak mocno.

- Nie tylko przed Marino – powiedział po chwili.

- Przed resztą was.

Nic nie powiedział, ale oboje o tym myśleliśmy. *Przed Felice.*

- Luca, chcę się spraw...

- Powiedziałem „nie” – uciął.

- Nie wykorzystuj przeciwko mnie swojego stopnia – powiedziałam wściekle.

Zrobił krok w moją stronę i musiałam odchylić głowę, żeby na niego spojrzeć. Obserwowałam twardo napięte mięśnie jego ramion, grube obcasy butów, które dociskał do parkietu.

- Oczywiście, że wykorzystam mój stopień. Jestem zastępcą bossa tej rodziny.

- Nie obchodzi mnie, jaką masz rolę. Nie będę się przed tobą kłaniać, więc nawet tego nie oczekuj.

- *Dio mi aiuti.* – Zacisnął powieki. – Ty, Sophie Marino, zdecydowanie postarzasz mnie przedwcześnie.

Czy naprawdę przygotowywałam się psychicznie na nic? Jak długo jeszcze miałam być jedynie widzem we własnym życiu? Ile jeszcze będę odczuwać skręcającą się, pełną poczucia winy bezużyteczność mojej roli w śmierci matki?

- To nie zależy od ciebie, tylko od Valentino. Udowodnię swoją wartość przed tą rodziną, a potem pomszczę moją matkę. – Podniosłam się z fotela, przecinając w pół różnicę wzrostu, zdeterminowana, żeby zmusić go do zrozumienia. – To także moja sprawa. Moja wendeta.

Luca parsknął twardym i ostrym śmiechem.

- Twoja wendeta – powtórzył. – Wiesz jak to jest zabić drugiego człowieka? To że o tym nie rozmawiamy nie znaczy, że nie czujemy wyrzutów sumienia. Niczego nie ułatwia fakt, że umierają źli ludzie. Nie przyzwyczajasz się do tego. Sophie, poczucie winy nie słabnie. Ono cię pochłania. Staje się tobą. Ostatecznie tylko tym jesteś... kolekcją odebranych żyć i maską, którą nosisz, żeby udawać, że to ci nie przeszkadza.

Pomyślałam o Jacku, o Donacie wrzucającej rozpaloną zapalniczkę do kuchni restauracyjnej i jak zabiła moją matkę. Wciąż płonęła we mnie iskra furii. Już tkwiłam w ciemności i nie potrafiłam sobie wyobrazić uczucia gorszego niż tego, którym obdarzył mnie Jack, gorszego od obrzydliwego, podkradającego się poczucia rozpacz, które budziło mnie każdego poranka i usypiało nocami, gorszego od patrzenia jak wybucha przede mną tamten samochód, jak odrzuca mnie do tyłu i pokrywa mnie krwią i popiołem.

- Zdołam zrobić Donacie to samo, co ona zrobiła mnie.

Luca pokręcił głową.

- Każde życie ma wartość, Sophie. Wszystkie zostawiają skazę.

Stałam teraz tak blisko niego... kiedy to się stało? Jego woda kolońska unosiła się w powietrzu między nami.

- Więc kiedy pozwoliłeś mi tutaj przyjść, to nie żeby przygotować mnie na zmierzenie się z nimi, ale po to żeby mnie przed nimi ukryć?

Nic nie powiedział, jedynie na mnie patrzył.

- Będziesz musiał okłamać Valentino – rzekłam. – Będziesz musiał oszukać całą swoją rodzinę. Jak to ma się udać?

Zrobił krok do tyłu, wycofując się do drzwi i założył ręce za sobą.

- Uda, ponieważ to tylko tymczasowe.

- Tymczasowe? – Chciałam skrócić dystans, który między nami poszerzał, przyciągnąć go do siebie.

Zmierzył mnie ponurym spojrzeniem.

- Zostawisz nas, jak już pozbędziemy się Donaty i Jacka. A wtedy to skończy się na dobre. Na zawsze.

- Co się skończy? – szepnęłam, mając wrażenie, że ziemia usuwa mi się spod stóp.

Przełknął ciężko ślinę – wszystkie słowa, które pozostały mu na języku – i jego twarz znów się zamknęła, przybrał tę nieprzenikalną maskę.

- To. My. Wszystko.

To. My.

ROZDZIAŁ TRZECI

WSPÓLNY JĘZYK

Chciałam coś powiedzieć, cokolwiek, co odwróciłoby moją uwagę od rosnącego bólu w piersi, ale w następnej chwili jego już nie było i znów zostałam sama. Przytłoczona niespodziewaną, wstrząsającą ciszą, dotarło do mnie, że właśnie zostałam porzucona przez jedyną osobę w tym domu, na którą mogłam liczyć. Porzucona przez osobę, która prawdopodobnie nigdy nie czuła do mnie tego samego, co ja do niego. A co to znaczyło dla mojej przyszłości? Jeśli nie będę miała tej rodziny, to nie zostanie mi już nic. Jeśli nie będę miała mojego celu, to nie mam ku czemu przesuwać się dalej.

Wysłałam z biblioteki i wróciłam w głąb domu. W kuchni była Elena, która moczyła ręczniki kuchenne w środku dezynfekującym w misce. Przez całe popołudnie zajmowała się Gino i Domem. Powitała mnie syknięciem.

- Proszę sobie darować - burknęłam. – Nie mam humoru.

Poszła za mną przez kuchnię i stała nade mną, jak wyciągałam sobie butelkę wody z lodówki. Spowolniłam ruchy, usiłowałam pokazać jej, że nie czuję się onieśmielona, chociaż czułam jej wzrok we włoskach na karku.

- Cóż, może *ja* nie mam humoru na Marino żyjącą pod moim dachem, dziewczyno. Może nie mam humoru na prezenty, które przesyła nam twoja *rodzina*.

Zatrzasnęłam drzwi lodówki i zmiażdżyłam ją wzrokiem.

- Cóż, może powinna się pani z tym pogodzić.

- Jesteś zbyt blisko mojej siostry, dziewczyno.

- A jednak to *pani* jest związana z nią krwią – wytknęłam. – Nigdy nie będę tak blisko niej, jak pani.

Jej twarz się zmieniła, zmrużyła oczy, a potem wydarzyło się coś dziwnego. Uniosła kąćki ust i posłała mi półuśmiech.

- Nabrałaś krzepy, mała Marino.

- Proszę mi zaufać – powiedziałam, odwzajemniając jej uśmiech i dopasowałam się do słabego maniackiego podtekstu, który krył się w jej słowach. W tej chwili nie było żadnej radości. – To tylko początek mojej siły. – Poczulałam w sobie wolno palącą się furie i zatrzymałam ją tam, gotowa wykorzystać ją, jako broń, kiedy nadejdzie pora. Z Lucą czy bez Luki... dostanę moją zemstę. Nareszcie wstawię się za siebie. – Zabiję pani siostrę.

Elena uśmiechnęła się szerzej, rozciągając skórę policzków.

- Nie, jeśli dopadnę ją pierwsza, Persefono.

No proszę. Moje imię. Niezbyt idealna wersja, ale jednak. Lepsze to od „robala”.
Lepsze od „Marino”.

- Nienawidzę jej – powiedziałam po prostu. – Nienawidzę jej i chcę, żeby zapłaciła, i nie obchodzi mnie jak ani kiedy to się wydarzy, ale chcę uczestniczyć we wszystkim.

- No cóż – powiedziała Elena podchodząc bliżej, aż powietrze między nami stało się mocną mieszanką jej kwiatowych perfum i słabiotkiego zapachu dymu. – A więc w końcu mamy coś wspólnego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

BIBLIOTEKARZE I GOŁĘBIARZE

- To dosłownie najstraszniejsza rzecz, jaką musiałam zrobić w życiu. – Millie zatrzasnęła swoją szafkę i szcęk metalu rozległ się wewnątrz moich uszu. Zarzuciła torbę na ramię i odetchnęła dramatycznie. – Serio, Soph. Nie wiem, dlaczego się na to zgodziłam. Ledwo znoszę ten niepokój.

- No już, Millicent. – Poklepałam ją po ramieniu. – Na pewno staniesz na wysokości zadania.

Zacisnęła powieki. – Łatwo ci mówić, nie musisz mierzyć się z tą okropną *presją*.

Część mnie chciała wybuchnąć śmiechem... paskudnym, piskliwym, beznamiętnym śmiechem. Gdyby tylko wiedziała jak bliska byłam popełnienia najbardziej zmieniającego-człowieka czynu na całym świecie. Gdyby tylko wiedziała, jaką miałam już poszarganą duszę, ile czasu spędzałam na odtwarzaniu w myślach wszystkich sposobów, na jakie skrzywdzili mnie Marino, jak ja chciałam skrzywdzić ich. Z tego, co wiedziała ukrywałam się po prostu w miejscówce Falconów. Gdyby naprawdę wiedziała, co zamierzałam wymienić za ich akceptację, to urwałaby mi głowę.

- Muszę *zorganizować* całą szkolną potańcówkę – wyjęczała Millie. – Czy potrafisz sobie *wyobrazić* taki rodzaj stresu?

Prychnęłam, próbując chwycić się tego cienia rozbawienia i wypuścić gęsty, klejący strach, który ścisnął moje wnętrza od wczoraj, odkąd widok płonącego samochodu mojej matki u bram świata przestępczego Falconów zaczął nawiedzać wszystkie moje myśli.

- Co ja sobie myślałam? Mam zaledwie miesiąc, żeby tego dokonać i nikt nie wymyślił jeszcze *żadnej* dobrej tematyki. Pracuję ze zgrają *idiotów*.

- Poradzisz sobie. Wierzę w ciebie. – Splotłam z nią ramiona, jak skierowałyśmy się do klasy angielskiego, tłumiąc wszystkie własne zmartwienia. Szkoła była dla starej Sophie. Nie dla tej nowej. Nie dla tej prawdziwej.

Zajęłyśmy siedzenia na końcu klasy. Osunęłam się na moje krzesło i trzymałam głowę w dole, ale nadal czułam świdrujące spojrzenia, słyszałam szepty pełzające po pomieszczeniu jak pająki.

Ona już wcale się nie uśmiecha.

Słyszałam, że to jej wujek podpalił restaurację i teraz nie mogą go znaleźć.

Słyszałam, że to ona podłożyła ogień. Jest psychopatką, tak jak jej tata.

Gdyby to ode mnie zależało rzuciłabym szkołę w dzień, kiedy pojawiłam się na progu Falconów, ale byli stanowczy w tym, żebym kontynuowała naukę, żeby podtrzymać „pewien poziom normalności” w moim życiu, no i Millie... cóż, złożyłam jej obietnicę. Miałyśmy razem przeżyć ostatni rok liceum i tylko niedobra przyjaciółka złamałaby tak wielką obietnicę. Zamierzałam być dobrą przyjaciółką. A to oznaczało wypracowania, rachunki matematyczne, planowanie potańcówek, mecze futbolu i powoli zbliżającą się przyszłość, której nie byłam już pewna.

Millie wydarła kartkę ze swojego zeszytu i zaczęła na niej wściekle bazgrać, kiedy do klasy wszedł pan Simmons, nasz nauczyciel angielskiego. Był cały odziany w tweed, jak gdyby dopiero co wypadł z początku dwudziestego wieku i nie całkiem wiedział, gdzie się znajduje.

- Co robisz? – Próbowałam zignorować Erin Reyes, która siedziała jedną ławkę dalej i zerknęła na mnie. Już wcześniej byłam jej źródłem rozbawienia, ale teraz podskoczyłam do półki „tragiczna”, co znaczyło, że chciała na mnie patrzeć dwa razy więcej. Nie patrząc na nią, podrapałam się po policzku środkowym palcem. Mruknęła coś pod nosem i pozwoliłam, żeby satysfakcja wymalowała uśmiech na mojej twarzy.

- Waszym następnym zadaniem będzie wybranie fragmentu, z którym możecie utożsamić się na głębokim poziomie emocjonalnym i wytłumaczycie dlaczego – zaczął radośnie Simmons. - Mając to na uwadze, dzisiaj zagłębimy się w poezję.

Wolałabym zagłębić się w wulkanie.

Millie podała mi kartkę papieru.

- Nie mam czasu, żeby w cokolwiek się zagłębiać – szepnęła. – Wybierzemy temat przewodni potańcówki.

- Kto? – Rozwinęłam kartkę.

- My – syknęła. – Zrobimy to do końca lekcji.

Przejrzałam listę możliwości. *Sutenerki i Piraci, Bohaterowie i Złoczyńcy, Kreskówki z dzieciństwa, Bibliotekarze i Gołębiarze.*

- To ostatnie to tylko rymowanie przypadkowych słów – poczułam, że muszę to wytknąć. – Nie ma żadnego sensu.

- Ciiiiiiicho.

Na dole kartki napisała, po czym wykreśliła: *Seksowne Owoce?* Zerknęłam na nią kątem oka.

- Czy mam pozwolenie, żeby nie mieć z tym absolutnie nic wspólnego?

- Odmawiam. – Millie przesunęła na moją ławkę brokatowy długopis. – A teraz kombinuj, Gracewell.

Spojrzałam ostrożnie na kartkę. Stara Sophie by pomogła. Stara Sophie była przyjaciółką, na którą zasługiwała Millie. Szkoła była dla niej. Przełknęłam swoje uczucia i zabrałam się do pracy.

Co z balonami? Ludzie uwielbiają balony.

Podsunęłam Millie kartkę i patrzyłam, jak wykrzywia twarz. Odpisała mi.

Uważaj mnie za urażoną tą pierwszą próbą.

Mars? Mars jest na czasie.

Na przekór wszelkim przeciwnościom ta sugestia jest jeszcze gorsza.

Dlatego nie jestem w Komitecie Tańcówki.

Gdybyś była, to musiałabym natychmiast cię zwolnić.

Co powiesz na „Pod wodą”?

Sophie!! Nie idziemy na przyjęcie urodzinowe pięciolatki!

Szkoda. Tam przynajmniej byłby tort.

Nawet nie lubisz dzieci. Pamiętasz, jak próbowałaś uścisnąć rękę niemowlakowi?

Nie doceniasz mojej miłości do tortów. I próbowałam być uprzejma.

Pod koniec lekcji miałam na koncie dwadzieścia dziewięć odrzuconych motywów.

Millie wstała.

- No, to była porażka. Nie mogę uwierzyć, iż myślałam, że będziesz w tym dobra.

- Szczerze mówiąc, ja też. To znaczy, choć bardzo bym chciała, nie mogę przebrać się za kogoś, kto oczekuje...

- Sophie! – Oczy Millie wyglądały, jakby zaraz miały wypaść z oczodołów. – Jesteś *genialna!* Wcześniej o tym nie pomyślałam, ale to jest totalnie logiczne, szczególnie, że potańcówka odbędzie się w okolicach Halloween! – Podniosła rękę, odslaniając gestem obraz, który tylko ona widziała. – Sophie, przedstawiam ci... Bal Maskowy Liceum Cedar Hill. Klasyczny, seksowny, tajemniczy...

- Maski. – Nie umknęła mi ironia. – Chcesz, żebyśmy założyli maski.

Gdzieś w zakątkach mojego umysłu wynurzyło się wspomnienie. Pierwszy raz jak spotkałam Valentino w starej posiadłości Priestlich w Cedar Hill. Noszona wtedy przez niego maska. Maski, które według niego wszyscy nosiliśmy ze strachu przed alternatywą

- byciem sobą, zaryzykowaniem, że zostaniemy odrzuceni za prawdziwą tożsamość, za prawdziwe pragnienia. Nawet teraz udawałam przed moją najlepszą przyjaciółką. Udawałam, że jestem szczęśliwa, udawałam, że jest ze mną lepiej. W środku byłam poskręcana i obolała.

Już nosiłam maskę.

Millie podskakiwała jak podekscytowany szczeniak i wyciągnęła mnie na korytarz, gdzie ludzie omijali mnie szerokimi łukami jak gdybym miała się rozryczeć, gdyby otarli się o mnie ramieniem albo przeklełabym ich, gdyby spojrzeli mi w oczy.

- Jeśli będziemy musieli założyć maski to może przynajmniej nareszcie będę traktowana jak normalna osoba.

- Bah! – Millie zawirowała do swojej szafki i rzuciła mi spojrzenie przez ramię, wbijając kombinację cyfr. – Normalność jest nudna. Teraz rządzi dziwaczność.

Próbowałam się do niej uśmiechnąć, ale tym razem gest był drżący. Byłam świadoma, dokąd teraz zmierzam. Świadoma, że na zewnątrz czeka na mnie któryś z Falconów. Otrząsałam się ze starej Sophie i wychodziłam na zewnątrz, wracałam do nowego życia, w którym morderstwo i zdrada krążyły nade mną niczym chmury burzowe.

- Przynajmniej mamy piątek.

- Co? – Skoncentrowałam na niej wzrok.

- Wyglądasz na bardzo zadumaną i smutną – wytknęła Millie. – Może zapomniałaś, że to piątek. Masz mnóstwo dodatkowego czasu, żeby całować się z Lucą.

- O mój Boże, cicho bądź! – Pacnęłam ją w bok. Obejrzałam się przez ramię, bojąc się, że jakiś Falcone ukrywa się w szafce albo Nico przywarł do sufitu. – To sekret. *Wielki sekret.*

Millie poruszyła wymownie brwiami.

- Nie pocałował mnie odkąd się wprowadziłam. Prawie się do mnie nie odzywa. – *Jest zbyt zajęty trzymaniem mnie tak daleko od siebie, jak to możliwe, tak daleko od wszystkiego, co uczyni ze mną prawdziwą Falcone.* Usiłowałam udawać, że to mnie nie obchodzi, ale wielka część mnie nie potrafiła zapomnieć o nacisku jego ramion, dotyku jego ust na moich, o tym, jaka czułam się przy nim pocieszona. O tym, że wszystko, co złe na świecie nie wydawało się takie złe, kiedy stawialiśmy temu czoła razem. Ale kiedy mieszkałam już w *Evelinie* wszystko się zmieniło: jakby między nami wyrosła szyba.

Według Luki wszystko to było tymczasowe.

Tymczasowe.

Zapłonęło we mnie to słowo.

- Cóż, przekonał swoją rodzinę, żeby zaoferowali ci azyl pomimo faktu, że jesteś... no wiesz...

- Marino – podsunęłam. – Możesz to powiedzieć, to żadne przekleństwo.

- No dobra, chodzi mi o to, że nadstawił dla ciebie karku i z tego, co o nim wiem to nie wygląda mi na typa, który uczyniłby coś takiego lekko. Być może czeka na odpowiedni moment... albo – uniosła palec – może się czegoś boi... albo kogoś. Pewnie jego bliźniaka. Tego szefa. Starego błękitnookiego z mrocznym uśmiechem. Jak on się nazywał?

- Wiesz jak – odparłam. – I możesz, proszę, mówić ciszej? Złożyłam przysięgę tajemnicy i każdy mógłby cię teraz podsłuchiwać.

Millie wywróciła oczami.

- I wątpię, żeby Valentino ucieszył się na wieść, że obściskuję się z jego bratem. Szczególnie po wszystkim, co wydarzyło się z Nico.

- Wiesz co – powiedziała Millie, zwięzając oczy – jak na kogoś z takim romantycznym imieniem on naprawdę potrafi popsuć zabawę innym, co? Niby jest taki: „*Ooo, spójrzcie na mnie, jestem wrażliwy i życzliwy, mam piękne długie imię i śliczne oczy*”, a potem: „*BAM! Psychol! Zaraz cię rozstrzelam*”. Wiesz jak to nazywam, Soph? Nazywam to fałszywą reklamą i jestem przekonana, że to nielegalne.

Czekającym przed szkołą samochodem kierował Dom, więc usiadłam na tylnym siedzeniu SUVa.

- Naprawdę musisz zachowywać się tak dziecinnie, Marino? – zapytał. – Nie ugryzę cię.

- Nie chcę po prostu, żeby rozlał mi się na ciuchy twój żel do włosów. *Nie da się go wyprać.*

- Uwierz, że ja również nie chcę tak spędzać mojego popołudnia.

- Mówiłam, że mogę wrócić sama.

Dom parsknął śmiechem.

- Valentino nie pozwoli, żebyś szwendała się sama po Chicago, dopóki nie udowodnisz swojej lojalności. Z tego, co wiemy wciąż możesz przekazywać informacje Suce Marino i jej ekipie kretynów.

- Po tym jak rozwalila samochód mojej matki i prawie mnie zabiła? – zapytałam. – Nawet ty nie możesz w to wierzyć.

Wzruszył ramionami, patrząc przed siebie.

- Nie wiem już, w co wierzyć. – Więc było nas dwoje. – Co u twojej ślicznej przyjaciółki? Dawno jej nie widziałem.

- Pewnie dlatego, że dalej cię nie cierpi.

Zerknął na mnie kątem oka, wykrzywając usta w uśmiešku.

- Dobrze. Lubię wyzwania.

Wysunęłam się do przodu, żeby przesunąć palcami po jego zagłówek. Stuknęłam w skórzane obicie i przyjrzałam się srebrzystej bliźnie przecinającej jego oko.

- Nie zrozum tego źle, ale gdybyście ty i Millie byli ostatnią dwójką ludzi na ziemi i przyszłość całej ludzkości opierałaby się na waszym spiknięciu, nie dotknęłaby cię nawet małym palcem, ponieważ jest niesamowicie, głęboko obrzydzone twoją egzystencją, nie wspominając o twoim ogólnym samolubnym braku szacunku do kobiet. Wolałaby patrzeć na wymierający świat i sama umrzeć niż zaludnić go maleńkimi wersjami ciebie i twojej ogólnej obrzydłości.

Skupił uwagę na drodze.

- Jak miałbym nie poczuć przez to urazy?

Wzruszyłam ramionami.

- To wcale nie obraża mnie tak, jak sądzisz, Marino. - Przedrzeźnił moją nonszalancję.

Odsunęłam się, kiedy drzewa Cedar Hill przesuwwały się za oknami w jesiennych smugach pomarańczy i brązu. Powędrowałam myślami do mojej starej dzielnicy, do rzeczy mojej matki, które wciąż tkwiły w moim domu. Cała ta sprawa wydawała się niedokończona.

- Dlatego, że jesteś dupkiem.

- A jak będziesz celować dymiącym pistoletem w zwłoki jakiegoś kolesia i wyzbędziesz się wszelkich szczątków lojalności do Marino, to kim wtedy się staniesz?

- Sądzę, że wtedy stanę się Falcone – odpowiedziałam, nie odrywając wzroku od mojego starego miasteczka, które zamieniło się w cmentarzysko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

ZŁOCZYŃCA

Nie miałam ani trochę weny do zadania z poezji. Ostatnie, czego chciałam to śledzić cudze słowa na temat bólu i rozpacz, kiedy moja własna strata – świeża i paląca – siedziała mi ciężko na piersi. Jednakże to było odwrócenie uwagi, nie wspominając już, że niezbędna część ukończenia nauki, więc starałam się jak mogłam. Przeglądałam ogromny tom wierszy przez prawie godzinę aż w końcu jeden przykuł moją uwagę. Praktycznie migotał do mnie ze strony. Wiersz nazywał się „Nosimy maskę” autorstwa Paula Laurence’a Dunbara. Spisałam pierwszą zwrotkę i opisałam moją reakcję nanią.

Nosimy maskę, co szczyrzy się i kłamie,

Skrywa nasze policzki i oczy przestania...

Wobec ludzkiej chytrłości ten dług splącamy;

Uśmiechamy się ze zdartymi i krwawymi sercami,

I ustami z niezliczonymi subtelnościami.

Kiedyś zwykłam nosić maski tak subtelne, że ledwie je zauważałam. Komplement dla mamy po okropnym obiedzie, uśmiech do najlepszej przyjaciółki, kiedy śpiewała fałszem, wymuszony śmiech na kiepskie żarty wujka. Nosłam niewielkie maski, które przychodziły i odchodziły, jak przemijające wyrazy twarzy.

Utknęłam w masce, którą noszę obecnie. Chcę ją zedrzeć. Chcę pokazać światu moje blizny, ujawnić dyszącą we mnie brzydotę. Chcę być bezwstydna. Chcę być nieustraszona. Ale każdego dnia ta maska przylega coraz ciaśniej i duszę się trochę bardziej.

Przestałam pisać. To było zdecydowanie zbyt wiele. Simmons się załamie, jeśli będę pisać tak dalej. Wykreśliłam wszystko i jeszcze raz otworzyłam tom poezji. Inny wiersz. Mniej bolesny. Mniej prawdziwy.

Inna maska.

- Cóż za pracowitość, Persefona. W dodatku w piątkowy wieczór. A ja myślałam, że zajmujesz się jedynie wodzeniem Nicoliego za nos. – Zachichotał ze swojego przytyku. – Jak widać twój mózg jest zdolny do jakiejś dywersji.

Odłożyłam długopis i przycisnęłam plecy do oparcia krzesła.

- To nie jest dokument, Felice. Możesz nie odgrywać narratora?

Czułam, że podchodzi bliżej, okropnie słodki zapach miodu wypełnił cały gabinet. Jego cień padł na biurko, którego krawędzie były zwęglone i przyczernione pod lampą stołową. Zamierzał się nade mną pochylić i odruchowo zakryłam zeszyt łokciem.

- Nie masz nic innego do roboty, tylko mi przeszkadzać, kiedy próbuję napisać to głupie wypracowanie?

Obszedł biurko. Miał na sobie nowy garnitur – ciemnofioletowy ze szkarłatnym krawatem. Podparł się o ścianę, zakładając ramiona. Uśmiechał się pobłaźliwie.

- Miałaś ciężki tydzień, więc nie wezmę tego do serca, mała Persefono.

- Nie byłam świadoma, że posiadasz serce.

- Nie posiadam – odparł, jego jasne brwi opadały nisko nad oczami. Bardzo przypominał kościotrupa, w pewnym świetle widziałam nawet ostrości jego czaszki pod rzadziejącymi włosami.

- Jesteś dosłownym złoczyńcą.

- *Kiedyś* miałem serce. – Nie stracił opanowania po mojej obserwacji. – Gdy byłem młody, głupi i uważałem, że świat to promienne miejsce pełne wybaczenia. Ale dostałem nauczkę, Persefono, tak jak i ty dostaniesz.

W jego głosie czaiło się coś, co kazało mi przełknąć obelgę w ustach. Widziałam to w jego ostrożnym uśmiechu, drganiu prawego oka. Żal. Żal wobec żony, która zostawiła go w ósmym miesiącu ciąży i zabrała ze sobą jego głupie serce. Żal wobec Eveliny, kobiety, dla której wybudował ten pałac.

Tyle, że Evelina nie zostawiła go tak jak sądził. Została mu odebrana. Opłakiwał nieobecność kobiety, która nigdy nie wróci. Kobiety zamordowanej przez mojego ojca. Żółć podeszła mi do gardła na obrazek tego rubinowego pierścionka w sejfie restauracji, na wspomnienie słów Jacka. Rzeczywistość zdeprawowania mojego ojca mocowała się z cierpieniem po śmierci mojej matki i nie byłam gotowa na zajęcie się którymkolwiek z tych dwóch. Na pewno nie zamierzałam powiedzieć Felicemu, co naprawdę przydarzyło się jego żonie. Zabiorę to ze sobą do grobu. Miałam nadzieję, że Luca również.

Zamknęłam zeszyt.

- Przypuszczam, że przyszedłeś tutaj z jakiegoś powodu?

- Nic ci nie umyka, prawda? – zapytał drwiąco. – Jeśli już musisz wiedzieć, to zastanawiają mnie twoje zamiary.

- Moje zamiary?

Jego oczy pociemniały i zęby zdawały się zaostrzyć.

- Czy wciąż pragniesz wziąć odwet? Czy nadal łakniesz go tak samo, jak w dniu, kiedy pojawiłaś się na naszym progu, szukając azylu?

Jego intensywność więcej niż wytręcała mnie z równowagi. Nie pozostał w nim już ani humor ani drwiny.

- Skąd to wszystko się bierze?

- Z tego tygodnia – odparł.

- Z tygodnia, w którym Donata wypchała samochód mojej matki martwymi szczurami i wysadziła go tuż przede mną... i zastanawiasz się, czy nadal nienawidzę jej tak mocno, jak wcześniej? Czy pragnę, żeby zapłaciła za wszystko, co mi odebrała? Myślałam, że podobno jesteś bystry.

Felice uniósł brew.

- Powiedziałbym to samo o tobie, ale zawsze miałem wrażenie, że jesteś trochę tępa.

Wywróciłam oczami.

Podszedł bliżej... jego oddech owiewał moją przestrzeń tym słodkim zapachem.

- Moim zdaniem pokładasz zbyt dużo wiary w Gianlucę w sprawie pomszczenia twojej matki. Jeśli na to pozwolisz, jego słowa cię osłabią i pozostaniesz taka, jak zawsze... - urwał, po czym wydłużył to jedno słowo, jak gdyby rozkoszował się nim w ustach i nie chciał go wypuścić – ...bezsilna.

Bezsilna. Proszę bardzo. Guzik, który doskonale wiedział, żeby nacisnąć.

- Bezsilna. – *Byłam* bezsilna. Czułam się bezsilna. Szczególnie po tym, co Marino uczynili z samochodem mamy. Stałam tam bez ruchu, patrząc jak płomienie wszystko pożerają... tak jak wtedy.

- Pozwól, że wyrażę się jasno, Persefeno. Gianluca zawsze był zepsuty. Serce i głowę ma nie w tym miejscu, co trzeba. Zdecydowanie nie jest dziedzicem mojego ojca, jak twierdzą inni. Zawsze miałem głębokie wrażenie, że pod swoimi obowiązkami i lojalnością do rodziny jest on nieodwracalnie... *nieusatysfakcjonowany*. – Obrócił tym wyrazem w ustach, po czym wypluł dalej. – Gianluca jest po prostu *niezadowolający*.

Poczułam irracjonalną potrzebę stanięcia w obronie Luki, ale wyszłoby to dziwnie, a teraz starałam się zniknąć z radaru. Niech Felice myśli, co chce; to nie zmieniało prawdy.

Nachylił się nad biurkiem, złapał za brzegi blatu tak mocno, że miałam wrażenie, iż połamię sobie te patykowate palce.

- Podejrzewam, że Gianluca dostrzega w tobie inną wersję siebie. Wersję, którą można jeszcze uratować, nad którą może zapanować. W moim odczuciu jego stosunki z tobą są projekcją jego własnych błędów.

Czułam się trochę, jakbym dostała cios w serce. Nigdy nie przyszło mi przez myśl, że Luca mógłby widzieć we mnie siebie. Myślałam, że chciał mi pomóc, może nawet ze mną być w jakimś tam alternatywnym wszechświecie, ale coś takiego... nigdy nie wyobrażałam sobie, że mogłabym być jakimś... projektem. Nowym początkiem. To bolało. *Bolało*.

Staralam się nie pokazać niczego na twarzy.

- Wow, Felice. Powiedz mi, co naprawdę czujesz.

- Mówię to dla twojego dobra.

Wbiłam w niego wzrok.

- Och, na pewno. Jestem przekonana, że przyszedłeś tutaj wyłącznie z myślą o moim dobru. Jestem przekonana, że kiedy kilka tygodni temu wycelowaleś pistoletem w moją głowę i zagroziłeś, że zastrzelisz mnie przed swoją rodziną to wszystko było na żarty. Zależy ci na mnie. Tak. To bardzo prawdopodobne. Totalnie to kupuję. Oj, wierzę ci. Błagam, Felice, przestań się o mnie tak troszczyć, bo padniesz na zawał serca. Proszę cię, uspokój się z tą szczerą troską.

Zmarszczył gniewnie brwi. – Skończyłaś?

- Ta. – Wzruszyłam ramionami. – Więcej nie mam.

- Widzę, jak Luca wyklucza cię z rodzinnych spraw. Jakakolwiek jego próba odsunięcia cię od chwały zemsty to nic więcej jak samolubne zaabsorbowanie jego własnymi mankamentami.

Na pewno nie złożyłabym w jednym zdaniu takich dwóch słów jak „Felice” i „szczerść”, chyba że oczywiście to zdanie wyglądałoby tak: „Wow, Felice nie jest szczerą osobą”. Jednak na jego twarzy widniał niepokojący poziom uczciwości. On naprawdę wierzył w to, co mówił. Nie przeszło mu przez myśl, iż Luca naprawdę mógłby mnie lubić albo się o mnie troszczyć.

- Dlaczego mi to mówisz? – zapytałam. – Jakie to ma w ogóle znaczenie?

- Jesteśmy na wojnie, Persefono. Teraz wszystko ma znaczenie.

- Powinieneś występować w teatrze, Felice. Byłaby z ciebie idealna Lady Makbet.

Pochylił do mnie głowę, podpierając łokcie na blacie.

- Nicoli wskaże ci odpowiednią drogę. On ją doskonale zna i podąża nią niezrażony. Gianluca będzie ci zamykał oczy dopóki nie będzie za późno i gwarantuję ci, że spotka cię to samo przeznaczenie, co twoją matkę.

Wciągnęłam gwałtownie oddech, opuściło mnie wtedy wszelkie rozbawienie.

- Moja mama nie jest żadną przestrożą ani bronią, którą możesz wykorzystywać przeciwko mnie.

Podniósł rękę, wstrzymując jad sączący się z moich ust.

- Fakty są takie, że tylko my ci pozostaliśmy, Persefono. Jeśli chcesz być częścią tej rodziny i nią *pozostać* musisz wybrać, kogo będziesz słuchać. *To* uczyni wielką różnicę. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Rozumiem – powiedziałam, żeby tylko zakończyć tę rozmowę. – Luca nie pomoże mi przetrwać w tym świecie.

Szare oczy Felicego pociemniały i uśmiechnął się powoli.

- Ale Nicoli pomoże.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

TRENING

Gdy szłam przez ogród Felicego przede mną wzrastała stodoła – wysoka i szeroka, wykonana z betonu. Nadeszła jesień, a wraz z nią bardziej rześkie powietrze. Teraz wiaterek był trochę chłodnawy, a drzewa na ziemi Felicego przybierały żywe kolory pomarańczy i żółci. Ten pałac zabójcy był śliczny, prawie jak z obrazka. W innym czasie może mogłabym poczuć tutaj spokój. Być może nauczyłabym się kochać to miejsce.

Stałam za stodołą skryta przed oknami domu i objęłam się ramionami. Mój płaszcz zimowy został w Cedar Hill, wepchnięty gdzieś w szafę. Milion kilometrów stąd.

Patrzyłam, jak mój oddech tworzy mgiełkę w powietrzu i próbowałam sobie wyobrazić jak zimno tutaj będzie w środku grudnia. Warstwę śniegu i lodu... a wewnątrz trzeszczący ogień w każdym palenisku, by odpędzić chłód. Grudzień przywodził myśli o Bożym Narodzeniu. O skarpetach, cukierkach i indykach na kolację. O prezentach, ajerkoniaku i rodzinie. Czy wszyscy przeżyjemy do tego czasu? Jak czarną będę mieć duszę w świąteczny poranek?

Usłyszałam jego dyszenie zanim do mnie doszedł. Zatrzymał się w biegu i posłał mi zadziwiająco ciepły uśmiech, biorąc pod uwagę, że wyciągnęłam go nękaniem z łóżka o tak nieprzyzwoitej porze.

- Dzień dobry! – powiedział, szczerząc się do mnie śnieżnobiałymi zębami.

Oczywiście, że Nico pomyślał, by założyć płaszcz. Miał potargane włosy – nienażelowane i opadały mu na czoło. Odgarnął je do tyłu. Wyglądał mizernie, ale pewnie dlatego, że został wyszarpanięty z łóżka o tak bezbożnej godzinie.

- Spóźniłeś się. – Zastukałam w wyimaginowany zegarek. – Powiedziałam, że spotykamy się równo o siódmej.

- Nie jestem rannym ptaszkiem – powiedział i uśmiechnął się zażenowany.

- Dlatego twój uśmiech zaczyna drgać?

- Właśnie wypłem dwa podwójne espresso – przyznał. – Myślę, że wibruje mi twarz.

- Nic nie widać. – Uśmiechnęłam się do niego. – Dzięki, że przyszedłeś.

Wzruszył ramionami, ale mój uśmiech przywołał jego własny i upomniałam się, żeby bardzo ostrożnie poprowadzić to spotkanie. Chodziło o biznes, nie przyjemność.

Nico wyłamał knykcie i obrócił szyją, rozgrzewając się.

- Więc czemu mamy zachować to w tajemnicy? Valentino się ucieszy. – Zapytał mnie o to samo zeszłej nocy, kiedy napadłam na niego w trakcie mycia zębów.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek się dowiedział dopóki nie będę w pełni świadoma tego, co robię.

Tłumaczenie: *Nie chcę, żeby Luca się dowiedział.*

Nawet, jeśli Luca zamierzał zaryzykować wszystko, żeby złamać obietnicę, którą złożyłam jego bliźniakowi... ja zdecydowanie nie zamierzałam.

- Na pewno chodzi tylko o to? – Nico przysunął się trochę bliżej z wilczym uśmiechem. – A może dzieje się tu coś innego, o czym nie wiem? Bo wiesz, że nie musisz wymyślać wymówek, żeby spędzić ze mną czas. Nie chciałbym być nigdzie indziej...

- Nico... - Przycisnęłam rękę do jego torsu i odepchnęłam lekko. – Rozmawialiśmy o tym.

- No to porozmawiajmy jeszcze raz, skoro się pozmieniało.

- Nic się nie zmieniło – powiedziałam delikatnie. – Nie jesteśmy dla siebie odpowiedni.

Zmarszczył czoło.

- Żeby było jasne, ja się z tym nie zgadzam – powiedział. – Uważam, że jesteśmy dla siebie odpowiedni.

Mój uśmiech zrobił się niezręczny, ale podtrzymałam lekki ton.

- Żeby być z kimś w związku obie osoby muszą się zgadzać, że są dla siebie dobre, Nico... nie możesz myśleć tak tylko ty. To nie wystarczy.

Nico wzruszył ramionami.

- Weź tyle czasu, ile potrzebujesz, Sophie. W końcu zmienię twoje zdanie. – Jego determinacja zdawała się dodać mu kilka centymetrów wzrostu.

- Zawsze jesteś wszystkiego pewien – powiedziałam nieznacznie karcącym głosem.

- Bo zawsze dostaję to, czego chcę – odparł zarozumiale.

Ale nie dostaniesz tego. Nie dostaniesz mnie.

Postanowiłam zmienić temat zanim intensywność tej kwestii odrzuci nas z kursu.

- Masz pistolet? – szepnęłam.

Śmiech Nico roztrzaskał poranną ciszę. Odsunął się i rozejrzał teatralnie wkoło.

- Nie musisz szeptać w tym domu o pistoletach... rozumiesz to, prawda? To nie musi być tajemnicą.

- Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział, że się uczę – rzekłam szybko.

- Jasne, że się uczysz. Jak masz kropnąć Marino, jeśli nie wiesz jak się strzela z pistoletu? – Zlustrował mnie skonsternowanym spojrzeniem. Potem znowu się roześmiał. – Jesteś zabawna, Sophie.

Nico wyciągnął pistolet zza paska spodni i moje serce wykonało małe salto. Musiałam wziąć się w garść.

- Potrzywasz przez chwilę? – Podał mi pistolet i wzięłam go odruchowo, zaskoczona ciężarem. Był gładki i srebrny z czarnym paskiem biegnącym wzdłuż lufy. Byłam bardzo, bardzo ostrożna, żeby nie musnąć spustu, kiedy przyglądałam mu się na odległość ramienia.

Nico zapiął sobie płaszcz pod brodę. Cholera, pewnie było mu bardzo ciepło. Próbowałam się nie trzęść. Usiłowałam także przybrać nonszalancką postawę, trzymając pistolet po boku.

- Jest zabezpieczony, odpręż się. - Pokazał na pistolet.

- Jestem totalnie odprężona. – Wymusiłam śmiech przypominający dźwięk zdychającej hieny. – Nigdy nie byłam bardziej odprężona.

Oddałam mu broń, celując lufą na bok od nas i położyłam mu ją na dłoni, jakby to był starożytny artefakt.

- Jesteś urocza. – Znow się zaśmiał.

- Przestań się ze mnie naśmiewać!

- Dobrze, przepraszam – powiedział, starając się bez skutku o poważną minę. – Zrobię, co w mojej mocy. – Skinął do mnie, żebym obeszła z nim stodołę.

Dorównałam mu kroku.

- Po co tam idziesz?

Otworzył zamek drzwi i pchnął je, zatrzymując się w progu, żeby mi odpowiedzieć.

- Gdzie według ciebie mieliśmy odbyć trening strzelania?

- Um...

- Tutaj? – Wskazał na otwartą przestrzeń... na ule kropkujące ogród za domem, na kępy drzew w oddali, na tyły domu i wszystkie te kruche okna. – Tak na zewnątrz?

- Um, nie... - powiedziała, patrząc na moje buty. – To byłby zły pomysł?

Nico prychnął. – Między innymi.

Stodoła składała się z ogromnej otwartej przestrzeni z betonową podłogą i ciągłym rzędem okien umieszczonych tak wysoko, że nie mogłam przez nie wyjrzeć. Przesiękały przez nie poranne promienie słońca, rozjaśniając pomieszczenie. Na przeciwległym końcu znajdowało się przed ścianą dwanaście obiektów strzelniczych... dwanaście grubych, drewnianych podstawek pokrytych czarnymi, kartonowymi ludźmi, jak na filmach.

- Och – powiedziałam, zdając sobie sprawę, do czego dokładnie była wykorzystywana ta stodoła. – Teraz rozumiem.

Nico opierał się o długi drewniany stół za nami.

- Chyba nie myślałaś, że on tu zbiera plony, co?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. – Okej, może malutka część mnie wyobrażała sobie stodołę wypchaną po brzegi słoikami miodu, wszystkie w czarnych kokardach i czekające na swoich odbiorców. Patrząc wstecz, to była lekka przesada nawet według standardów Felicego.

Nico wysunął szufladę spod stołu i pogrzebał wewnątrz. Podał mi parę okularów ochronnych. Przyjrzałam im się powątpiewająco.

- To konieczne? – Obróciłam nimi w ręce. – Nie sądziłam, że nosicie okulary ochronne, kiedy wykonujecie rodzinne sprawy. – *„Wykonujecie rodzinne sprawy”*. *Jasne, Sophie, dalej zachowuj się jak dziecko*.

- Nie – odparł Nico, podając mi piankowe zatyczki do uszu. – Ale zachowamy ostrożność na twój pierwszy raz. Dopóki nie przywykniesz do hałasu.

Po trochu żałowałam, że nie było w zestawie również kasków i ochraniaczy na kolana. Nie czułam się pewnie w stosunku do moich umiejętności. Założyłam okulary, które były za duże i kołysały się na czubku mojego nosa. Poprawiłam je i znów się osunęły.

- Nieee – powiedziałam zaniepokojonym tonem. – Moja twarz odrzuca okulary.

Nico docisnął do siebie zauszniaki okularów, żeby lepiej zahaczały o moje uszy. Patrzyłam na jego pierś, wdychając jego alpejski zapach.

- Bo masz taki mały nosek. – Stuknął w niego palcem. – Słodki – mruknął, spoglądając na mnie spod tych gęstych rzęs.

W takich chwilach ciężko było nie wspominać naszej pierwszej rozmowy i jak patrzył wtedy na mnie, jakbym była jedyną osobą na świecie. Jak całował mnie, jakby to był jego pierwszy i ostatni pocałunek w życiu. Nico, którego myślałam, że znałam... ten,

którego myślałam, że potrzebowałam. Wciąż tliły się we mnie iskierki tamtego pragnienia, ale zdusiłam je nie bez powodu. Musiałam pamiętać ten powód.

Nico stał rozpraszająco blisko mnie i moja głowa eksplodowała krzykami: *Nie waż się go dotykać! Natychmiast odsuń się od tego zagadkowego zabójcy!*

Cofnęłam się o krok.

- Nico – powiedziałałam karcąco.

Podniósł ręce w geście pojednawczym, unosząc kącik ust w leniwym uśmiešku.

- Tak tylko mówiłem.

- Mamy tutaj pracować, pamiętasz? – Wetknęłam do uszu zatyczki.

- Tak, proszę pani. – Uśmiechnął się szerzej. – Gotowa? – Słyszałam go tylko w połowie. Skinęłam głową. – Dobra. Patrz.

Zrobił dwa kroki do przodu, ustawił szeroko stopy. Podniósł ramię, wycelował pistoletem w przeciwny kraniec stodoły i wystrzelił sześć razy.

Hałas był przeszywający pomimo zatyczek.

W pierwszych sześciu głowach pojawiły się dziury po kuli – dokładnie po środku. Wyciągnął z kieszeni magazynek i przeładował tak szybko, że ledwo wyłapałam jego ruchy. Następnym sześć dziur pojawiło się po lewej stronie torsów pozostałych kartonowych manekinów. Wszystko to trwało niecałe dziesięć sekund.

Dwanaście ofiar w dziesięć sekund. Nawet się nie spocił. Był zrelaksowany, jego twarz spokojna, oddech wolny i naturalny.

Po wszystkim opuścił pistolet, przeładował i obrócił się do mnie.

Patrzyłam na niego z rozdziawionymi ustami. Gdybym nie myślała za dużo o ostatecznym celu jego strzelania i skupiła się jedynie na umiejętności to poczułabym ogromny podziw. To było takie szybkie i łatwe.

- Twoja celność jest taka...

- Niebywała – dokończył, rozciągając usta w zadowolonym uśmiechu. – Mówiłem ci. Twoja kolej.

Spojrzałam znów na cele. Wydawały się teraz niemożliwie daleko; prawie nie widziałam wykonanych przez niego strzałów.

- Mogę przysunąć się bliżej? – zapytałam. – O wiele, wiele, wiele bliżej?

Potrząsnął głową.

- Nie tchórz dopóki nie zaczniesz. Gwarantuję, że będziesz w tym dobra.

Spojrzałam na niego zmrużonymi oczami.

- Nie zagwarantujesz tego.

Znowu się roześmiał. Tym razem ten dźwięk był głośny, swobodny i radosny. Uczucie pistoletu – strzelania – czyniło coś z jego nastawieniem. Uszczęśliwiało go. Naprawdę, szczerze uszczęśliwiało. Pod całym tym gniewem, strachem i determinacją zawładnęło nade mną coś całkiem innego. Wstrząsające, że tak młody chłopak mógłby być tak maniakalnie rozbawiony czymś takim. Jednak to był chłopak, który pomoże mi dostać to, czego potrzebowałam – zemstę – i w tej chwili to miało dla mnie największe znaczenie.

- Dobrze – uległ. – Nie sądzę, że zostaniesz ekspertką po pierwszej próbie. Ale uważam, że jesteś bardzo pojętna.

Pistolet wydawał się parzyć moje ręce. Zaakceptowałam to gorąco i pozwoliłam, żeby ciepło ogarnęło moje ramię.

- Nie bój się – powiedział Nico. – Pistolet jest twoim sprzymierzeńcem. Jest zależny od ciebie.

- Co jeśli się postrzelę?

- Miej trochę wiary, Sophie. Odzyskujesz swoją siłę. Wyprostuj się. – Położył ręce na moich barkach i oparłam się na nich, podnosząc brodę. – Dobrze – szepnął przy moim uchu. – Jesteś na to gotowa.

Pozostał w takiej pozycji o kilka sekund dłużej niż konieczne.

- Okej. – Zacisnęłam szczękę i wbiłam wzrok w mój cel. – Naucz mnie.

Nico zabrał ręce i stanął u mojego boku, skupiając uwagę na mojej postawie.

- Ustaw szeroko stopy. – W jego głosie nie było dłużej rozbawienia. To był Nico, którego potrzebowałam. Nico, który nauczy mnie tego, co pragnęłam wiedzieć. – Zegnij troszeczkę kolana. Dobrze. Teraz wyprostuj ramiona w kierunku celu. Wyciągnij przed siebie silną rękę. Drugą ręką odciągnij kurek. – Zaskoczył w miejscu, wywołując chorobliwie ekscytujący dźwięk.

- Podnieś lewe ramię i obejmij drugą stronę pistoletu. Nie... mocniej. – Okrążył mnie, nakrył moje ramiona swoimi i podparł brodę na moich włosach, przyciskając dłonie do moich. – W ten sposób – powiedział, przesuwając palce mojej lewej ręki, żeby objęły broń. Czułam na szyi jego gorący oddech. Próbowałam go zignorować. Nakrył prawą rękę moją i uniósł wyżej. – Jeden palec na spuście. – Przeniósł mój palec. – Trzy palce na rączce. – Zacisnął resztę ręki, przyćmiewając moją dłoń. – Nie składaj nóg. Musisz być w stanie złagodzić odrzut.

Staralam się skoncentrować. Nie powinnam czuć tej ochoty, żeby go pocałować. Wciąż był moralnie skorumpowany – wciąż niebezpieczny, wciąż dla mnie nieodpowiedni. Wciąż był tym samym chłopakiem, który wycelował pistoletem w moją głowę. Wciąż bratem faceta, który był życzliwy, dobry i mądry... Mój mózg wiedział to wszystko. Nawet serce. Ale w tym momencie, w tym zbliżeniu, moje ciało nie wiedziało.

- Rozumiem – powiedziałam, wysuwając się z jego uścisku. – Dam radę.

Odsunął się ode mnie, pozostawiając moje plecy zimne i mrowiące.

- Okej. – Wskazał cele po drugiej stronie stodoły. – Teraz podnieś pistolet na wysokość wzroku, trzymaj przed sobą wyprostowane ramiona i wyceluj.

Wyprostowałam się, wyciągając ramiona przed siebie. Wycelowałam pistoletem w jednego ze środkowego manekina na końcu pomieszczenia.

- Wyobraź sobie kogoś – powiedział. – Wtedy to stanie się bardziej rzeczywiste.

Wypuściłam oddech.

- Widzę Donatę. – Opuściłam lekko broń, przesuwając wzrokiem po jej wymaginanym projektanckim garniturze i kościstej szyi. – Mierzę w jej serce.

- Dobrze – mruknął. – Odebrała ci serce, teraz ty odbierzesz jej.

Zaschło mi w ustach. Moje ramiona wibrowały, oddech przyśpieszył.

- Pozwól, żeby ustabilizowała cię adrenalina. – Znów stał za mną, położył ręce na moich barkach i obrócił parę centymetrów na lewo. Ścisnął mnie raz – wzmacniając – i zabrał ręce. – Pozwól, żeby dała ci skupienie.

Wyobraziłam sobie zbyt umalowaną twarz Donaty, jej chory uśmiech. Wyobraziłam sobie jej twarz pobladłą ze strachu, kiedy wycelowałam spluwą w jej kościstą sylwetkę.

- Strzelaj – szepnął. – Zabij sukę.

Wystrzeliłam.

Moja ręka odskoczyła do tyłu, pistolet w trakcie odrzutu skierował się na sufit.

- Cholera – syknęłam, puszczając spust. – Nie sądziłam, że odrzut będzie taki mocny.

- Przywykniesz – zapewnił Nico nieprzejęty moją porażką. – Tym razem zapanuj lepiej nad ręką. Nie pozwól, żeby odrzut zmienił twój uchwyt.

Radość z wystrzelenia bronią szybko została zepchnięta na drugi plan przez fakt, że nie trafiłam w ogóle manekina. Zmrużyłam oczy.

- Gdzie ta kula?

Nico pokazał na ziemię na prawo od celu-Donaty.

- Utknęła w ścianie.

- No, to jest upokarzające.

- Twoje ramię zareagowało z opóźnieniem. – Nico ponownie ustawił się za mną. Podniósł moją rękę, dopóki znowu nie miałam przed sobą pistoletu. – Masz w tym magazynku jeszcze pięć pocisków. Jeszcze pięć szans, żeby trafić w cel zanim przeładujemy.

Skupiłam się w pełni na zadaniu, nie na jego oddechu na policzku ani głosie w uchu. Nasze ramiona były na równi i byłam wdzięczna za jego płaszcz i mój sweter. Dotyk skóry nie byłby teraz dobrym pomysłem.

- Namierz cel. Utrzymaj pozycję.

Zobaczyłam przed sobą rysy Donaty. Zobaczyłam ją umysłem, tak wyraźnie, jakby stała tuż przede mną.

- Jeszcze raz – powiedział, odsuwając się. – Zastrzel ją.

Znowu wystrzeliłam.

Tym razem spodziewałam się odrzutu. Nadal wstrząsnął moim ramieniem, ale nie tak jak wcześniej. Nie trafiłam.

- Jeszcze raz – rozkazał Nico.

Poprawiłam pozycję i strzeliłam.

Pudło.

- Jeszcze raz.

Pudło.

- Wyżej.

Podniosłam wyżej ramię. Zaczynało mi ciężać.

- Jeszcze raz.

Pudło.

- Jeszcze raz – zażądał.

Ten pocisk trafił w tors celu obok tego, w którego mierzyłam. Skończyła mi się amunicja. Opuściłam rękę i zorientowałam się, że dyszę. Walczyły we mnie frustracja ze wstydem.

- Cholera jasna – przeklęłam. – Nie dam rady, Nico. – Chciałam rzucić pistoletem przez całą długość stodoły. – Jestem okropna. – *Jestem bezsilna. Jestem słaba.*

Nico wziął ode mnie broń i przeładował.

- Jesteś początkującą.

- Kiepską początkującą.

Nico zmarszczył brwi.

- Nie bądź dla siebie taka surowa.

- Chcę być w tym dobra – powiedziałam. – Od razu.

Nico odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się do sufitu.

- Sophie – powiedział śpiewająco rozbawionym tonem. – Nie możesz zrobić z siebie strzelca wyborowego w ciągu dziesięciu minut. Daj sobie czas, żeby nad tym popracować. Pomogę ci, ale musisz być dla siebie łagodniejsza.

- Nie mogę – prychnęłam, patrząc na pistolet w jego rękach. Ta łatwość, z którą go trzymał, ta leniwa pewność siebie w jego postawie. Poczułam jeszcze coś innego, czego się nie spodziewałam: *zazdrość*. – Stawka jest zbyt wysoka.

Na jego twarz powróciła powaga niczym nadchodząca chmura burzowa.

- Wiem – powiedział. – Ale dojdiesz do tego, obiecuję. Dostaniesz swoją zemstę. – Podał mi naładowany pistolet. Wzięłam go, determinacja wprowadziła mnie z powrotem w pozycję do strzelania. – Najtrudniej zapanować nad pociągnięciem za spust. Wzdrygasz się, kiedy pociągasz i to psuje równowagę twojego ciała. Mózg każe ci zrównoważyć odrzut, ale musisz przewyciężyć ten odruch.

Skupiłam się na celu w postaci Donaty. Na tych szerokich oczach podkreślonych czarną kreską. Na tych wąskich, czerwonych ustach. *Zapłacisz za wszystko.*

- Jestem gotowa – powiedziałam nim zdążyłby mnie zapytać.

- No to na co czekasz?

Pociągnęłam za spust, zwalczając tym razem odrzut. Pistolet pozostał w idealnie prostej pozycji, a kula przebiła prawe ramię manekina.

- Znakomicie! – zawołał Nico. – Masz to we krwi!

Wystrzeliłam jeszcze raz. Pudło, ale byłam blisko. Potem jeszcze dwa chybięcia.

- Skup się – ostrzegł Nico. – Uważaj na odrzut.

Znowu strzeliłam i tym razem pocisk wylądował pośrodku klatki piersiowej Donaty.

- Śmiertelny cios! – krzyknął Nico. – Patrz – pokazał na dwie dziury w obiekcie – trafiłaś ją!

Zagryzłam zęby, czując narastającą radość. Odpychając daleko mroczniejsze emocje, strzeliłam raz jeszcze. Ta kula wylądowała w jej mostku.

- Nie żyje. – Nico wybuchł głośnym śmiechem. – Trafiłaś ją!

- Trafiłam ją! – zawołałam, opuszczając po boku pusty pistolet. – Dam radę! – Zalało mnie uczucie mocy, które było przepyszne, ciepłe i wszechogarniające. Byłam w tym dobra. Byłam dobra, a to był dopiero pierwszy raz. Stanę się jeszcze lepsza. Stanę się niesamowita.

- Spójrz – powiedział Nico, zabierając ode mnie pistolet i wskazał nim na mój cel. Objął mnie drugim ramieniem i przyciągnął do siebie. Otoczyłam ręką jego plecy, zwalczając ochotę, żeby zacząć skakać jak podekscytowane dziecko. Staliśmy obok siebie, oceniając ofiarę i pławiąc się moim małym sukcesem. Dzwoniło mi w uszach, moje ramię wibrowało i szczyrzyłam się jak wariatka. – Zobacz. – Wskazał lufą na trzy oddzielne dziury. – Ty to zrobiłaś. Sama.

Zaśmiewaliśmy się wesoło, nadal patrząc niedowierzająco na cel, kiedy rozbrzmiało sześć strzałów.

Patrzyłam, jak robią wgłębienia w celu – *moim* celu. Sześć dziur tworzących idealnie prostą, pionową linię od obojczyka do pępka, jak guziki zimowego płaszcza. Sześć doskonałych strzałów.

Odwrociłam się w stronę strzelca, serce podeszło mi do gardła.

- Może będzie zdolna to zrobić – odezwał się Luca. Przeładował szybko pistolet i wystrzelił kolejne sześć razy. Każda kula wylądowała pośrodku czoła ofiary. – Albo to – powiedział, opuszczając broń. – Jeśli *rzeczywiście* będzie ćwiczyć. – Obrócił się do nas, wsadzając pistolet za pasek spodni. – Jak myślisz, Sophie? Chciałabyś potrafić coś takiego?

Jego głos był niebezpiecznie opanowany. Kotłowały się we mnie nerwy, wysysając całą radość i ciepło z tej chwili. Przełknęłam ciężko ślinę.

Luca pokazał na mnie i Nico.

- Najpierw musiałabyś odkleić się od Nicoliego. Jeżeli naprawdę chcesz udoskonalić umiejętności.

No proszę. Pod lśnięciem w jego oczach gniewem, twardą linią ust... był przebłysk czegoś innego. Zranienie. Dlaczego miałby być zraniony, do diabła? Coś się we mnie skręciło... nadzieja, że może nadal mu na mnie zależy w ten sposób... a potem w mojej głowie rozbrzmiał alarm. Nico dalej mnie obejmował i to wyglądało... o Boże.

O nie. O nie, nie, nie, nie.

Odsunęłam się od Nico. Jego ramię uderzyło o bok z głuchym odgłosem, a ja złożyłam swoje na piersi. Ale tu było *zimno*. Jakim cudem nie zauważyłam tego do tej chwili? I dlaczego nie potrafiłam nic powiedzieć? Zaszło mi w ustach, a mózg po prostu... zastygł.

- Ona już jest naprawdę dobra, Luca – oświadczył z dumą Nico. On *tak bardzo* nie pojmował podtekstu naszej rozmowy. Ogromna część mnie była z tego faktu zadowolona. – Myślę, że będziesz pod wrażeniem.

- Czyżby? – Luca dalej patrzył na mnie.

- Tak. – Nico odwrócił się do mnie z wyciągniętym pistoletem i skrócił wielki dystans, który pomiędzy nami umieściłam. Miał zachęcający uśmiech i głos pełen sympatii, kiedy zapytał: - Chcesz mu pokazać?

Potrząsnęłam głową.

- Nie, dzięki.

- No dalej. – Nico puścił mi oko. – Zaimponujesz mu.

Nie ośmieliłam się spojrzeć na Lucę.

- Śmiało – powiedział jedwabistym głosem. – Dlaczego mi nie pokażesz, Sophie? Pokaż mi, czym się zajmowałaś cały poranek.

- Jest mi zimno – odparłam. – Nie chcę.

- Daj spokój – powiedział skonsternowany Nico. – Wcześniej byłaś taka podekscytowana.

- Była?

- Jestem zmęczona – powiedziałam. – Teraz nie chcę.

- Chcę, żeby Luca zobaczył, jakim jestem dobrym nauczycielem. Pokażmy mu, jaka z nas zgrana drużyna. – Wiedziałam, że Nico się ze mną droczył, ale to nie były odpowiednie słowa w tej chwili. Nieodpowiednie też było to jak przeciągnął słowo *drużyna*. Praktycznie czułam najeżającego się Lucę.

- Nie – odpowiedziałam stanowczo.

- W porządku – powiedział szybko Luca. Skończył z tym. Na szczęście teatralność nie była w jego stylu. – Może innym razem. – Po czym zwrócił się szorstko do Nico. – Valentino zwołał spotkanie za dziesięć minut. Libero Marino wrócił do Chicago. – Wskazał za siebie w kierunku domu. – Chce z tobą pomówić o przeprowadzeniu zwiadu w mieście.

Nico zdawał się urosnąć o dwa metry. – Cokolwiek potrzebuje.

Był taki... *plastyczny*.

Zmarszczyłam brwi, karcąc się w myślach za myślenie gorzej o chłopaku, który dopiero co mi pomagał. Nico był, jaki był; nie miał, czego się wstydzić. Był żołnierzem. To było jego powołanie, w którym był dobry.

Luca skinął głową.

- Zaraz za tobą pójdziemy.

Nico skierował się do wyjścia, uśmiechając się do mnie przez ramię.

- Spotkamy się znowu popołudniu? – Zostawił to pytanie w powietrzu, a kiedy nie odpowiedziałam przypieczętował własną odpowiedź mrugnięciem. – Fajnie było.

A potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi, a ja zastanawiałam się czy zdołałabym wspiąć się po ścianie stodoły i wymknąć przez okno zanim Luca da mi burę, która wyraźnie się w nim gromadziła. Czy to będzie warte upadku po drugiej stronie okna?

Uniosłam podbródek. Nie będę lękała się jego ani jego słów. Nie był moim właścicielem. Nie miał nade mną kontroli. Mogłam robić, co tylko chciałam.

- Chciałam się nauczyć – powiedziałam spokojnie. – A ty nie chciałeś mnie uczyć.

Nawet nie mrugnął. – Więc znalazłaś sobie kogoś, kto cię nauczy.

Do diabła, dlaczego czułam się taka zawstydzona? Nie zrobiłam nic złego. Nico był ze mnie dumny. Nico mi *pomagał*. Dawał mi pewność siebie, której potrzebowałam, żeby iść tą nową ścieżką, a Luca chciał mi ją odebrać. Chrzańć to.

- Nico pragnie mojego szczęścia.

Coś przemknęło po twarzy Luki.

- Nicoli pragnie, żebyś była taka jak on.

- Czy to byłoby takie złe?

Znowu ten wyraz... jedynie przebłysk. Tym razem go wyłapałam. Zdrada. Myślał, że go zdradziłam.

- Powiedz coś – rzekłam. – Ochrzań mnie, jeśli chcesz, ale nie stój tak beczynnie, piorunując mnie wzrokiem.

Pokaż mi, że nadal ci zależy. Pokaż mi coś prawdziwego.

Cisza trwała dalej.

Chciałam tylko, żeby miała jakiś sens.

W jego szczęce drgnął mięsień.

- Nie mam ci nic do powiedzenia, Sophie.

I wyszedł. Ale poczucie winy pozostało, zakorzeniając się głęboko. Dodałam je do wielkiej, ciężkiej sterty, która już się we mnie chwiała.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

WYMKNIĘCIE

W niedzielny poranek, kiedy wszyscy zgromadzeni w posiadłości Falconów przygotowywali się do kościoła, ja się wymknęłam. Millie zaparkowała na swoim zwykłym miejscu połowicznie skryta za krzakami obok olbrzymiego zakrętu na zniżającej się drodze, jakieś osiemset metrów od domu Felicego. Pochyliła głowę, jej twarz oświetlał ekran komórki.

Poczułam przyływ determinacji jak zbliżałam się do samochodu. Wyobraziłam sobie maskę pokrywającą moją twarz, stare kości mojej osobowości powróciły na miejsce. Robiłam się taka dobra w rozczłonkowaniu, że to niemal przerażające. Uczyłam się być jak oni. Uczyłam się być jak Valentino.

Otworzyłam drzwi od strony pasażera i Millie podskoczyła, wyrzucając telefon w powietrze.

- Jasny gwint, Sophie... poruszasz się niczym wiatr.

- Wybacz. – Wsiadłam do środka. – Gotowa na naszą ucieczkę?

Uniosła brew, odpalając silnik samochodu.

- Co innego miałabym robić w niedzielny poranek oprócz przeszmyglowania mojej najlepszej przyjaciółki z jej nowego domu pełnego morderców zanim zorientują się, że zniknęła i wytropią ją przyzwoitką, którą najprawdopodobniej będzie chłopak, w którym prawie się zakochałam, ale jak się okazało, on wykorzystywał mnie tylko dla informacji?

Wyjechałyśmy na główną drogę i Millie wpadła w swoją ulubioną rozrywkę – bezwstydne przekraczanie prędkości. Zapięłam pas i zacisnęłam ręce na bokach siedzenia.

- Muzyczka? – Włączyła radio i pogłośniła tak bardzo, że całe auto wibrowało. – Nie chcę cię przestraszyć – zawołała ponad muzyką. Zawsze wołała krzyżeć niż ściszyć. – Ale myślę, że w minionym miesiącu przydarzyło mi się coś strasznego.

- Tak? – zawołałam tak samo głośno.

- No. – Przytaknęła poważnie. – Jeszcze nie mam pewności, ale myślę, *myślę*, że mogę być teraz Belieberką.

Chwyciłam się za serce.

- Dobry Boże.

- Po prostu jego muzyka jest teraz taka na czasie, co mam zrobić? *Nie* słuchać? *Nie* śpiewać? Jestem jedynie człowiekiem, Soph. Pięknym, przezabawnym, inteligentnym człowiekiem.

Zwalczyłam ochotę, żeby ją przytulić, aby zapobiec kraksie samochodowej.

- Brakowało mi cię, Mil.

Millie prychnęła.

- Jezu, jak jest w tej potwornej rezydencji wypchanej chłopakami? Dopiero minęły dwa dni.

Pomyślałam o lodowatym traktowaniu Luki, o zapale Nico, żeby trenować mnie dalej, o tym jaka czułam się złapana w pułapkę, jak bardzo czekałam na moment, kiedy Valentino poda mi moją ofiarę, jakie wyrzuty czułam przez to oczekiwanie.

- O dwa za dużo.

- Skoro mowa o nieco dziwnym zamieszkaniu, o które przyrzekłam, że przestanę wypytywać, chociaż ciągle się zastanawiam... Jak się trzyma twój miś? – Posłała mi łobuzerskie spojrzenie.

Spojrzałam na nią z kamienną miną.

- No co? – powiedziała niewinnie. – Czy może teraz mówi się „skarbek”? Czy tak mówią wszystkie fajne dzieciaki? A może „morderczy skarbek”?

Zamknęłam oczy.

- Proszę, nigdy więcej nie mów o Luce Falcone, że jest moim morderczym skarbkim.

- Ale to *strasznie* zabawne – zaoponowała. – Wściekłby się.

Och, nie masz pojęcia.

- Zdecydowanie by to nienawidził. Pewnie tak samo, jak nienawidzi teraz mnie.

Millie ściągnęła rysy twarzy.

- Dlaczego Luca miałby cię nienawidzić? Praktycznie wprowadził cię do swojej rodziny. Źle cię traktuje? Chcesz, żebym coś zrobiła? Bo załatwię go, Sophie, czy jest morderczym skarbkim czy nie, totalnie go załatwię.

Uśmiechnęłam się do przyjaciółki, a studnia miłości zmyła wszystkie moje frustracje.

- Myśli, że wracam do Nico – powiedziałam po chwili. Półprawda. Najlepsze, co mogłam zrobić.

- Super.

- Nie wracam do niego. – Pomyślałam, że dobrze byłoby to dodać.

- No jasne. – Millie wywróciła oczami.

- Nie chcę być z Nico.

- Ale czy Nico o tym wie?

Rozważałam przez chwilę to pytanie.

- Wiesz co, zaczynam się zastanawiać czy istnieje różnica pomiędzy oznajmieniem tego Nicowi, a tym, że Nico faktycznie posłucha.

- Chłopcy są czasami bardzo uparci – westchnęła Millie. Jej komórka zaćwiekała gdzieś na podłodze. Zerknęła na nią – była poza jej zasięgiem – z tak wielką tęsknotą na twarzy, że równie dobrze mogła właśnie urwać się z romansu wojennego.

- Jak ma na imię?

Na jej policzkach wykwitł najbardziej niesubtelny odcień różu.

- Hmm?

- Ten chłopak – powiedziałam, podnosząc jej telefon. Przytrzymałam go między nami, kiedy starała się koncentrować na drodze. – Nie każ mi naruszać twojej prywatności, bo to zrobię.

- Błagam – odparła niezrażona. – Moja prywatność jest twoją prywatnością.

Cóż, to zdecydowanie było jednokierunkowe. Zerknęłam na ekran.

- *Kim jest Crispin?* – I po chwili stwierdziłam, że trafnie byłoby dodać: - *I dlaczego umawiasz się z kimś o imieniu Crispin?*

- Ech, ponieważ jest seksowny, a ja płytka?

- Serio?

- Nie! – Trzepnęła mnie po kolanie. – Nie serio! Bo nie może nic poradzić na to jak nazwali go rodzice. I jest naprawdę miły i słodki, i tak, *jest* seksowny, poza tym idealnie się nadaje na ten etap w moim życiu.

- Którym jest?

- *Którym jest* etap potrzebowania partnera na Halloweenowy Bal Maskowy, żebym nie wyszła na wielką frajerkę przed moimi rówieśnikami.

- Aha – powiedziałam, przypominając sobie nagle ten bal. – Więc zgaduję, że ta frajerka pójdzie sama.

- Cris jest w drużynie futbolowej.

- Och, *ten* Crispin. Cris. – Teraz mnie olśniło. Wysoki, blondwłosy, wysportowany Crispin. – Rzeczywiście ciacho. Ale dalej okropne imię.

Millie zakręciła ręką w powietrzu.

- Siedzi obok mnie na chemii.

- Jak wygodnie...

- Jesteśmy partnerami laboratoryjnymi... czasami pozwalam, żeby ode mnie ściągał.

Sapnęłam drwiąco. – Millicent!

- Słuchaj, nauki ściśle nie są jego mocną stroną – powiedziała. – Jednakże jest znakomitym piekarzem. Robi świetne ciasto jagodowe.

- Czy to... czy to eufemizm?

- Nie żartuję.

- Huh.

- Tak czy owak, do czegoś tutaj dochodzę. Jeśli chcesz mogę go przekonać, żeby umówił cię z jednym ze swoich przyjaciół i pojedziemy razem limuzyną.

- *Limuzyną?*

- Tak – powiedziała Millie. – *Limuzyną*. Więc możesz śmiało pozbyć się tego negatywnego nastawienia, owinać je w kokardę i schować na deszczowy dzień, ponieważ ty i ja pojedziemy na bal limuzyną.

- Nie mogę iść obok niej...?

Millie wbiła we mnie wzrok.

- Wsiądziesz do limuzyny albo przywiążę cię do dachu. Twoja decyzja.

- Dobra. Chyba postawię na luksus.

- Chcesz, żebym ustawiła cię z kolegą Crisa czy nie?

Sama myśl o dodaniu do mojego życia jeszcze jednego napędzanego testosteronem chłopaka była równie kusząca, co odpiłowanie małego palca.

- Och nie, dziękuję, wolałabym umrzeć – powiedziałam uprzejmie.

Millie zareagowała, jakbym szarpnęła ją za kucyka.

- Sophie! No weź. Daj sobie pomoc wciągnąć się z powrotem do prawdziwego świata. To mogłoby być dla ciebie dobre. Zdecydowanie byłoby dobre dla mnie.

- Minutę temu popychałaś mnie do Luki!

- To był żart – odparła Millie. – Naturalnie wolałabym, żebyś była z kimś, kto nie zabija zarobkowo ludzi.

- A może będę sama? – zapytałam. – Jestem dość fajną osobą. Mogłabym być w bardzo szczęśliwym związku ze sobą. Mogłabym również nabyć wyniosłego, ale stylowego kota.

- I to – powiedziała Millie ze staroświecką dramatycznością – jest właśnie problemem, moja droga. Pozwól, że się wtrączę.

Odwrociłam się do niej całym ciałem, żeby wiedziała, iż jestem całkowicie poważna.

- Millie, pod żadnym pozorem nie mieszaj w moim życiu miłosnym.

Zawibrował mi telefon. Odrzuciłam połączenie.

Millie zdmuchnęła z twarzy kosmyki kasztanowych włosów i wydeła wargi.

- Niech ci będzie.

Moja komórka znów zadzwoniła. *Odrzuć.*

- Najwyraźniej dzieje się u ciebie wystarczająco – powiedziała, spoglądając na moje kolana, gdzie na moim ekranie rozświetlał się numer Luki. – Odbierzesz?

Spojrzałam lekceważąco na telefon.

- Nie.

- Mówiłaś, że się do ciebie nie odzywa.

- Tak było zanim wymknęłam się bez przyzwotki.

Millie przyciszyła radio aż słychać było jedynie ciche nucenie. Jej głos się zmienił, teraz wkradał się do niego cień szacunku.

- Czy wie, dokąd dzisiaj jedziesz?

- Oczywiście, że nie.

Na ekranie pojawiła się wiadomość:

Gdzie poszłaś? To NIE jest śmieszne.

Obróciłam telefon i wyciszyłam.

- Dlaczego miałabym zapraszać Lucę?

- Bo był przy tam, jak to się stało – powiedziała łagodnie. – Myślę, że chciałby być dzisiaj przy tobie.

- Po co? Żeby mnie pilnować? Czy nie mogę nawet *optakiwać* matki w prywatności?

Millie wzdrygnęła się.

- Nie, po prostu żeby *być*. Tak jak był... po tamtym.

Zamknęłam oczy, kiedy dopadło mnie wspomnienie ramion Luki. Przypomniałam sobie jak bezpieczna się przy nim czułam, jaki był ze mną delikatny, dotyk jego ust na moich włosach, jego kciuki ścierające łzy z moich policzków. Przypomniałam sobie bicie jego serca przy moim i jaka przekonana byłam – te kilka tygodni temu w półmroku mojego pokoju – że to znaczyło coś prawdziwego. Nigdy wcześniej nie czułam z nikim takiej bliskości. Nigdy nie czułam się taka *widziana*.

Jak mogłam tak bardzo się mylić?

- Nie przejąłby się, Mil. - Pokręciłam głową. – Uwierz, on myśli teraz o czymś innym. Poza tym, ten dzień nie opiera się na nim, tylko mojej mamie.

- Wiem – powiedziała cicho. – Pożegnamy ją tak jak na to zasługuje.

Wyjrzałam przez okno na przebłyски znajomych widoków – na otwartą drogę prowadzącą mnie do domu, do Cedar Hill.

- Jesteś gotowa? – zapytała.

Nie. Nie jestem gotowa. Nigdy nie będę gotowa.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że maska wraca na miejsce. Uśmiech wymalowany na zaciśniętych ustach. Rozradowane oczy ukrywające łzy.

- Tak – skłamałam. – Jestem gotowa.

Podkreśliłam radio i Taylor Swift wypełniła ciszę. Nie było słów na tę chwilę, nic co złagodziłoby cierpienie tego, dokąd się wybieraliśmy, tego co znaczył dzisiejszy dzień. Millie uścisnęła moją rękę.

- Dziękuję ci, Mil.

- Nie ma sprawy – odparła łamiącym się głosem. Nie odwracałam głowy, ponieważ gdybym ujrzała łzy spływające po jej twarzy to straciłabym całe opanowanie, które trzymało mnie w kupie. Potrzebowałam go tylko na dzisiaj. Tylko na pożegnanie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

NIEPROSZENI GOŚCIE

- Gdzie samochód twojej mamy? Zabrałaś go ze sobą do Falconów?

- Może jest w warsztacie czy coś. – Zbyłam pytanie Millie jak podjechałyśmy pod mój dom. Ten znajomy widok nie był mile widziany. Szydził ze mnie pusty podjazd: byli tutaj kolesie Donaty. – To trudne.

- Wiem – powiedziała, opierając głowę na moim ramieniu. – Wejdę z tobą do środka. Nie musimy długo zostać. Weź tylko to, czego potrzebujesz.

Przygotowałam się: głęboki wdech, staranne przestawienie wszystkich wspomnień naciskających na moje serce. Zerknęłam na komórkę. Jeszcze sześć nieodebranych połączeń. Trzy wiadomości od Luki. Dwie od Nico. Jedna od Eleny. (Dziewczyno, sprowadź tutaj swój kościsty tyłek, jeśli nie chcesz, żebym wykopała cię do następnego życia. Klasyczne). Wiadomości Luki przeszły od wściekłych do zaniepokojonych i zaczęłam czuć wyrzuty sumienia. Sądziłam, że wywnioskuje po mojej nieobecności, że potrzebowałam trochę przestrzeni.

Wystukałam odpowiedź do Luki, ignorując kompletnie wiadomość Eleny.

Wrócę później. Rozrzucam dzisiaj prochy mojej matki.

Nie dzwoń więcej, proszę.

Bolało mnie samo pisanie tego. Próbowалам wydrapać ból z piersi, ale to było na nic. Będę musiała oddychać przez ten ucisk.

Otworzyłam drzwi wejściowe i stanęłyśmy razem na progu, wpatrując się w lokum mojego starego życia.

Witaj w domu, Sophie. Naciesz się tym chwilowym dźgnięciem w serce.

Dom był nienaruszony oprócz kilku kropli zaschniętej krwi na podłodze w przedpokoju. Najwyraźniej Jack tutaj wrócił po tym jak dźgnęłam go w oko.

Jakie to dziwne, że nie ruszał mnie już widok krwi.

Jakie to dziwne, że cierpienie drugiej osoby wywołałoby we mnie taki spokój ducha.

Jakie to dziwne, że pragnęłam szybkiej śmierci mojego wujka, jednej z najbliższej mi osób na całym świecie.

I że chciałam być wykonawcą tej śmierci.

- Bądźmy szybkie i ostrożne – ostrzegłam Millie. – Zostań przy otwartych drzwiach na wypadek, gdyby kręcili się tu jacyś Marino. Jeśli coś zobaczysz albo usłyszysz, od razu krzycz.

- Żartujesz, prawda? – parsknęła Millie. – Chyba spędzasz za dużo czasu z Felice Falcone, Soph.

- W tym się nie mylisz. – Chciałabym żartować z tym ostrzeżeniem, ale wiedziałam, że muszę zachować czujność. Jeżeli rodzina Marino zdołała przemycić samochód mojej matki z Cedar Hill, to z pewnością zdołaliby wejść do mojego domu i nie byłam na tyle głupia, żeby przebywać tu dłużej niż to konieczne.

- Chociaż – dodała sceptycznie Millie, opuszczając wzrok na zakrwawione panele – to podejrzenie przypomina krew. A może ktoś bardzo niechlujnie jadł drożdżówkę i napaćkał wszędzie dżemem...

- Jasne. Może Jack postanowił zrobić sobie brytyjski podwieczorek... wiesz, tuż po tym jak dźgnęłam go w oko scyzorykiem.

Millie zacisnęła powieki.

- Och, naprawdę nie potrzebowałam znowu tego obrazka.

Weszłam na górę, przeskakując po dwa schodki naraz. W moim pokoju wsadziłam resztę ciuchów do torby i wzięłam zdjęcie mojej rodziny – bożonarodzeniowe ujęcie sprzed trzech lat. Mieliśmy identyczne czapki świętego Mikołaja i paskudne, workowate swetry z reniferami, uśmiechaliśmy się radośnie do aparatu. Ojciec wyglądał na co najmniej dwadzieścia lat młodszego, jego twarz była pozbawiona zmartwionych zmarszczek. Matka była piękna jak zawsze, włosy okalały jej twarz w złotej aureoli, kiedy przyciskała policzek do mojego. Spojrzałam na siebie na zdjęciu i zobaczyłam nieznajomą. Włosy miałam jasne i lśniące, opaloną skórę. Uśmiechałam się tak szeroko, że pewnie bolały mnie policzki.

Jack robił to zdjęcie. Wypił co najmniej osiem szklanek ajerkoniaku i kołysał się na boki, i ojciec karmił go za to, a mama nic się nie odzywała. Przeżykała irytację, ponieważ były święta i nie mogła wykopać Jacka w Boże Narodzenie. Żałowałam, że tego nie zrobiła. Żałowałam, że nie wykopała go na drugi koniec świata. Przynajmniej nie było go na zdjęciu. Wciąż pozostawała kwestia mojego ojca i jego kłamliwych oczu, ale to była moja najlepsza fotografia i jedyna, jaką zamierzałam zabrać ze sobą. Zostawiłam resztę... płyty DVD, ozdóbki, notatniki, wszystkie więzienne listy od ojca – wszystkie te fałszywe słowa.

W pokoju matki zaczął zanikać zapach lawendy. Musiałam wykorzystać całą siłę, żeby nie położyć się w jej łóżku, zakopać się w kołdrze i już nigdy nie wstać. Spakowałam część jej biżuterii, szafirowy naszyjnik i dopasowane kolczyki... nie pozwoliłabym, żeby Donata dotknęła ich swoimi kościstymi paluchami. Wzięłam również ulubiony sweter mamy i wtuliłam w niego twarz, po czym złożyłam.

Po zawołaniu do Millie, by upewnić się, że dalej tam była – była i najwyraźniej pisała do Crispina, bo chichotała jak nawiedzona laleczka z horroru – założyłam luźną czarną sukienkę i buty do kostek tego samego koloru. Rozczesałam włosy, odgarnęłam z twarzy i spojrzałam na siebie w lustrze. Wydzielałam dość mocny klimat Wednesday Addams, ale przynajmniej wyglądałam skromnie. Elegancko. Mamie by się spodobało.

Popatrzyłam na komórkę. Dostałam odpowiedź od Luki:

Gdzie teraz jesteś? Jesteś sama?

Nie przejmowałam się odpisaniem. Jeżeli chciał mnie opieprzyć to może zrobić to później. Nie byłam teraz w nastroju. Na dole wypchałam ręce Millie wszystkimi przedmiotami, które zabierałam z domu i próbowałam zignorować wszystkie przedmioty, które zostawiałam za sobą. Potem nie będzie już oglądania się za siebie. Nie będzie już nic niedokończonego ani niedopowiedzianego. Dzisiaj chodziło o zamknięcie etapu. Dzisiaj chodziło o ruszenie do przodu.

- Ładnie wyglądasz – powiedziała. – Podoba mi się sukienka.

Wzruszyłam ramionami.

- Mama zawsze lubiła widzieć mnie w sukienkach, chociaż wyglądam w nich jak pięciolatka.

- Ach, Soph, nie bądź taka dramatyczna. Wyglądasz w niej na co najmniej siedmiolatkę.

Pokazałam jej język, wchodząc do salonu, po czym zorientowałam się, że stoję przed urną na gzymsie kominka. Grałam na zwłokę.

Wpatrywałam się w nią chwilę – ta rzecz chowała w sobie istotę mojej matki. Urna była ciemnofioletowego koloru, jej ulubionego... musiałam im to powiedzieć. Nie pamiętałam. Na górze była cienka złota obrączka, którą okalała kwiecista dekoracja. Przypuszczałam, że była śliczna, ale trochę mnie od niej mdlilo.

Gdy wróciliśmy do samochodu dochodziła pierwsza po południu. Millie poprawiła lusterko, marszcząc brwi.

- To jakieś żarty.

- Co jest? – zapytałam.

- Czarny SUV na końcu ulicy – westchnęła. – Nie widzę, który to Falcone.

- Nieważne – powiedziałam, nie zamierzając się odwracać. Byłam skoncentrowana na jednym. Dzisiaj chodziło o moją matkę. Dzisiaj chodziło o pożegnanie. – Jedźmy już. Nie chcę się spóźnić.

Za ostatnimi rzędami kartonowych domków i rozpadającym się boiskiem miasteczko wznosiło się w górę, zwięzając pnącą się drogę, aż ziemia niespodziewanie się wyrównała i dała początek hojnej kępie cedrów. Był to kawałek terenu pełen spokoju, gdzie wszystko było świeże, zielone i ładne, a gdyby przeszło się między drzewami do ponownie opadającego wzgórza zobaczyłoby się zakręcającą rzekę do miasta na dole.

To było ulubione miejsce mojej matki. Chodziłyśmy tutaj na spacer, kiedy byłam młodsza. W czasach jak łatwo się nudziłam i narzekałam, że jest mi za zimno albo jestem zbyt zmęczona, żeby wchodzić na wzgórze. W czasach, kiedy nie wiedziałam jak miałam dobrze.

Millie zaparkowała na szczycie wzgórza przed granicą lasu. Wsiadłyśmy, zaciskałam mocno ręce na urnie. Omiótł mnie zapach sosny, lekki wiatr chłostał mnie po twarzy włosami. Pachniało tu przeszłością.

Ruszyła ku mnie Ursula, dawna zastępczyni kierownika w restauracji, jej zwykle jaskrawe ubrania zastąpiła długa czarna suknia i dopasowany płaszcz. Szary szalik opatulał ją aż po nos, odsłaniając jedynie cień atramentowych oczu i krótko ściętych siwych włosów.

Objęła mnie niezgrabnie, jak trzymałam między nami urnę. Wzięła moją twarz w ręce, jak gdyby próbowała zajrzeć mi do duszy.

- Jak się masz? *Gdzie mieszkasz?* – Cofnęła się o krok, mierząc mnie wzrokiem. – Martwiłam się o ciebie. Tak dawno cię nie widziałam.

Zbyłam jej pytania, tak jak się przygotowywałam. Powiedziałam, że pomieszkuję u znajomych za miastem, próbując dojść ze wszystkim do ładu. Nie naciskała, ale w tych ciemnych oczach płonęła ciekawość.

- Dziękuję za przyjsście – powiedziałam nim zdołałaby zagłębić się w moje bezczelne kłamstwo. Cieszyłam się z poczucia znajomości jej osoby, nawet jeśli była pokropkowana podejrziwością. – To wiele dla mnie znaczy.

Ścisnęła moje ramię, marszcząc czoło.

- Za nic w życiu bym tego nie przegapiła, Sophie.

Ludzie, którzy znajdują czas na smutek w twoim życiu, nie tylko radość, są warci zatrzymania. Smuciła mnie myśl o moim nowym życiu i że nie było w nim miejsca dla Ursuli.

Byli tutaj prawie wszyscy, których zaprosiłam: pani Bailey, która miała czarny welon i wielkie futro, które zdawało się mówić: „*Jestem tutaj głównym żałobnikiem i mam też mnóstwo kasy*”. Przyszli rodzice Millie i jej brat Alex. Przytulił mnie niezręcznie i usiłowałam przypomnieć sobie okres, kiedy byłaby to najlepsza rzecz, która przytrafiła mi się w życiu.

Przyszli także starzy współpracownicy z restauracji i oddane klientki mamy z miasta. Dotarło parę jej najbliższych koleżanek, które nie zostawiły jej po tym jak ojciec trafił do więzienia.

Rozpoznawałam większość twarzy i zgadywałam te, które nie od razu zarejestrowałam. Właśnie tak mało zostało jej znajomych po uwięzieniu ojca. Właśnie tak łatwo było zagonić wszystkich, na którym jej zależało do tego samego miejsca. Rozdzielali się w morzu ściągniętych twarzy, każda oferowała nowe wyrazy współczucia, kiedy je mijałam. Millie zaplotła ze mną ramię i wsparłam się o nią, odnajdując pocieszenie w twarzach, które znały moją matkę tak jak ja – jako osobę szczęśliwą, lśniącą i piękną. Tak zostanie zapamiętana. To tych ludzi kochała najmocniej na świecie.

Staralam się nie myśleć o tacie. Ostatnim razem jak z nim rozmawiałam roztrzaskałam nasz domowy telefon na ścianie. Michael Gracewell był oszustwem – prawdą był Vince Marino Junior i nie miał odwagi, żeby mi ją wyznać. Ponad wszystkimi dokonanymi przez niego ohydnyimi rzeczami – morderstwami i kłamstwami – ta była wisienką na torcie. Nigdy mu tego nie wybaczę. Nie wybaczę mu odebrania mi tożsamości zanim dostałam szansę, żeby samej ją odkryć.

- Cóż za cudowny pomysł, Persefono. – Pojawiła się przede mną pani Bailey. Odsunęła z twarzy welon i zarzuciła na włosy. Jej oczy były podkreślone czarną kredką. – Podarować twojej matce to piękne pożegnanie. Tego by właśnie pragnęła po tak tragicznym... cóż... - Urwała i rzuciłam jej bezgłośnie wyzwanie żeby wspomniała mojego wuja. Uciekiniera. Wszyscy podejrzewali jego udział, ale nie mieli bladego pojęcia.

- Ładny płaszcz – powiedziałam, przenosząc rozmowę na bezpieczniejszy temat. – Skąd go pani ma? – *Z ocalałych rzeczy ofiar Titanica?*

- Och, to? – Przejechała rękami po jego wierzchu. – Trzymałam go z tyłu szafy.

- Pasuje do welonu. – *Mówiąc o welonie, czy ona tak na cholernie poważnie?*

- Pamiętam jak byłaś młodsza... - Spojrzała ponad moim ramieniem na drzewa, jak gdyby do niej szeptały. – Często widywałam cię tutaj z matką. Wydaje się, że minęły całe wieki.

Mój umysł powiódł mnie przez te wspomnienia. Do kanapek z szynką i koktajli pod drzewami, do oglądania nurtu rzeki spływającej do miasteczka, do zdmuchiwanie latawców na wzgórzu i wsłuchiwanie się w śmiech mojej matki.

- To było nasze szczęśliwe miejsce. Jej szczęśliwe miejsce.

- Na pewno zawsze takie będzie. – Dotknęła mojego ramienia, wbijając długie paznokcie w skórę. – I jest też coś innego. – Pani Bailey odchrząknęła. – My, jako społeczność... to znaczy w tak krótkim terminie nie wszyscy zdołali dotrzeć, ale chcieliśmy uczynić coś miłego dla twojej matki, pokazać jak bardzo nam na niej zależało i jaka była wspaniała. Dostaliśmy kilka datków...

Pani Bailey odsunęła się do tyłu i wtedy ujrzałam ją dobrze po raz pierwszy. W nowej granitowej płycie na krawędzi trawiastego wzgórza umieszczono drewnianą ławkę. Dokładnie tam, gdzie siadywałyśmy jak byłam mała, gdzie szukałyśmy pod drzewami szyszek sosny do bożonarodzeniowych wieńców. Wysunęłam się do przodu, krótkie obcasy moich botek wbijały się w ziemię. Przejechałam palcami wzdłuż drewna. Wciąż czułam zapach lakieru. Pośrodku ławki była złota plakietka:

Ku pamięci Celine Gracewell. Niech spoczywa w pokoju.

- Och. – Mój głos przypominał pisknięcie z głębi piersi. – To kochane. – Szczerze mówiąc najbardziej kochana rzecz, jaką mogłabym sobie wyobrazić.

Ktoś nawet obwiązał podłokietniki fioletowymi wstążkami – oda do miłości mojej matki do kreatywności. Zostanie na wieki tutaj, na łonie przyrody, zapamiętana w jednym z jej ulubionych miejsc. W miejscu, gdzie inne matki zasiądą ze swoimi córkami i będą śmiać się, zdmuchując latawce na wzgórzu.

- Dziękuję – powiedziałam, wpatrując się w małą grupkę żałobników, zastanawiając się jak bardzo musieli ukrócić swoje fundusze świąteczne albo oszczędności, żeby tego dokonać. – Byłaby zachwycona.

Stałam przed wszystkimi zebranymi, mając za plecami rzekę i odchrząknęłam. Nie byłam pewna, jak mam się do tego zabrać i częściowo żałowałam nieobecności osoby prowadzącej pogrzeby, ale mama nigdy nie była fanką zorganizowanej religii. A właściwie to niczego zorganizowanego.

- Dziękuję wszystkim za przybycie – powiedziałam, nie wiedząc gdzie spocząć wzrokiem. To najbardziej niezręczne w przemawianiu publicznie... nie patrzenie na nikogo w szczególności, ale również nie patrzenie w sufit, żeby ludzie nie wzięli cię za idiotkę. *Skup się*. Wbiłam oczy w welon pani Bailey. *Zbyt śmieszny*. Paciorkowate oczy Ursuli. *Zbyt podejrzliwe*. Nareszcie odnalazłam w małym tłumie pocieszający uśmiech Millie. – To nie będzie uroczysta ceremonia, ponieważ moja mama nie była zbyt uroczystą osobą. Uwielbiała chaos i spontaniczność, uwielbiała naturę i przebywanie na dworze, ale przede wszystkim uwielbiała towarzystwo rodziny i przyjaciół... ludzi, którzy rozświetlali jej życie. Myślę, że mogę powiedzieć, iż ona rozświetliła nasze życie.

W grupce przemknęły aprobujące szmery, zobaczyłam potakujące głowy i porozumiewawcze uśmiechy. Wtem tłum zaczął się nieznacznie poruszać i ktoś wsunął się pomiędzy panią Bailey i Millie. Zatrzymał się między nimi i pozwoliły mu tam zostać, ramię w ramię, wywyższał się nad nimi, stojąc dokładnie naprzeciwko mnie. I nagle doskonale wiedziałam, gdzie wbić zaskoczony wzrok. Przede mną stanął Luca.

Uśmiechnął się do mnie – lekko i krótko, ale zrozumiałam. W tej chwili nie byliśmy ze sobą skłócen. Przyszedł, żeby uczcić pamięć mojej matki. Przyszedł, żeby pokazać swoją solidarność ze mną.

Otworzyłam ceremonię i wystąpiła do przodu Ursula, żeby opowiedzieć historię o mojej matce. Następnie pani Bailey dodała własną i jeden po drugim, każdy uczestnik zabierał głos, żeby powiedzieć coś krótkiego... słowo, zdanie albo anegdotę i wszystkie zebrały się w powietrzu nad nami – esencja mojej matki i światło, które rzuciła na nasze życie.

W pewnej chwili Millie zrobiła krok do przodu, składając niewinnie ręce za plecami.

- Mam jedną historię – oznajmiła, uśmiechając się kącikiem ust. Mała część mnie chciała złapać ją za ramiona i szepnąć: „*Poznaj swą publiczność*”. – Gdy Soph i ja byłyśmy młodsze, na samym końcu Main Street był taki sklep pod nazwą Klejnot, w którym spotykały się wszystkie fajne dzieciaki po szkole. Naturalnie to była *najlepsza* miejscówka.

Luca wygiął brew, przekrzywiając głowę w zaintrygowaniu.

- Wieczorami przesiadywała tam taka grupka chłopców i miałam oko na jednego z nich. Nie pamiętam jego imienia, ale stawiał sobie włosy na jeża w tym uroczym stylu chłopca z boybandu i nosił wysokie buty, które były wtedy ostatnim krzykiem mody. – Alex wywrócił oczami do siostry. – Celine powiedziała, że nie możemy iść tam same, bo jesteśmy za młode i wkrótce się ściemni. Marudziłyśmy kilka godzin aż w końcu, widząc ile znaczyła dla nas ta wyprawa i jaka ważna była dla naszej pewności siebie jako młode, zdolne kobiety, Celine nareszcie uległa. Na zewnątrz mocno padało, ale miałyśmy to w nosie. Zapięłyśmy płaszcze przeciwdeszczowe i poszłyśmy.

Poczułam w piersi przypływ ciepła. Wszyscy byli oczarowani Millie – tym śpiewnym brytyjskim akcentem, gestami rąk, pewnym głosem. Nawet Luca uważnie słuchał.

- Była zima i zrobiło się dość ciemno, nie wspominając, że ulice były opuszczone przez ulewę. Po jakichś pięciu minutach Soph zauważyła, że ktoś nas śledził. Szedł za nami mężczyzna w długim płaszczu! Pojawił się znikąd i miał zarzucony kaptur, więc nie widziałyśmy jego twarzy. Przyspieszyłyśmy i jak obejrzałyśmy się za siebie zobaczyłyśmy, że on też przyspieszył. Zatem pobiegłyśmy tak szybko jak mogłyśmy, rozchlapując kałuże aż dobiegłyśmy do sklepu. Szczerze myślałam, że padnę na zawał. Po całym tym zamieszaniu i ryzykowaniu życiem... tych ładnych chłopców nawet tam nie było! Sklep był pusty.

- Naturalnie wpadłam w furję. Soph uważała, że to śmieszne, ale zawsze miała spalone poczucie humoru. Ostatecznie kupiłyśmy sobie koktajle, wypiliśmy o wiele za szybko i pobiegłyśmy do domu, a Złoczyńca w Płaszczu wciąż deptał nam po piętach!

Parsknęłam śmiechem, kiedy wyklarowała się moja pamięć i po raz pierwszy Luca przeniósł wzrok z Millie na mnie.

- Jak wróciłyśmy zatrzasnęłyśmy za sobą drzwi wejściowe i wpadłyśmy do kuchni Soph. Dyszałyśmy tak ciężko, że nie dało rady cokolwiek powiedzieć, a wtem drzwi stanęły otworem i wchodzi nie kto inny jak Prześladowca w Płaszczu!

Pani Bailey sapnęła głośno, chwytając ramię Luki w chwili szoku, po czym natychmiast je wypuściła z jeszcze głośniejszym i bardziej dramatycznym sapnięciem, że dotknęła Falcone'a. Luca raczej się tym nie przejął.

- A potem prześladowca zrzucił kaptur i kto to był? – Millie błysnęła zębami w uśmiechu. – Celine! – Przez tłum przeszedł gromki śmiech. – Chciała, żebyśmy przeżyły naszą przygodę, ale nie chciała, byśmy były w jakimkolwiek niebezpieczeństwie, więc próbowała pójść za nami do sklepu na swój własny podstępny sposób, żeby zapewnić, że nic nam się nie stanie.

- Tyle, że to się nie udało – wtrąciłam. – Ponieważ jej płaszcz był przerażający i kaptur zakrywał całą twarz, sprawiając, że wyglądała jak postać z horroru.

- Wystraszyła nas prawie na śmierć – powiedziała Millie, potrząsając głową z lekkim uśmiechem na ustach. – Ale to było zabawne.

Pamiętałam, jak zaśmiewałyśmy się wtedy do łez. Jak śmieszne było dla mamy, że goniła za nami, by dotrzymać nam kroku nie zdając sobie sprawy, że przez ten cały czas uciekałyśmy przed nią.

- Ale taka była Celine – ciągnęła Millie. – Życzliwa, opiekuńcza i zadziorna, kiedy trzeba było. Zrobiłaby wszystko dla swojej rodziny. A chociaż odeszła z tego świata, to wciąż jest tutaj. – Wskazała ręką wkoło na powietrze, drzewa i delikatne kołysanie liści. – Jest tutaj. – Przycisnęła rękę do serca i gdy znów zabrała głos mówiła ławym tonem. –

I co ważniejsze, jest tam. – Pokazała na mnie, próbując się uśmiechnąć jak spojrzaliśmy sobie w oczy. – Jest w tobie, Sophie. Cała jej dobroć jest teraz w tobie. Dawałaś jej powody do dumy i wiem, że dalej będziesz to robić. Jesteś jej sercem. Jej pamięć będzie żyć w tobie.

Wśród zebranych żałobników przeszła fala zgody. Przełknęłam gulę w gardle. Niech to szlag. Jeżeli Millie nie była królową przemówień to nie wiem, kto nią był. Powinna pisać przemowy prezydentowi. Powinna *zostać* prezydentem. Albo premier. Nieważne.

Robiłam, co w mojej mocy, żeby stać prosto i się nie rozlecieć, bo gdybym pozwoliła sobie rozważyć ostatnie słowa Millie – o tym, że mama była ze mnie dumna, o jej miejscu w moim życiu i przyszłości – to wyrwałabym sobie włosy. Dzisiaj chodziło o pożegnanie. Jutro przyjdzie czas na zemstę. Nic tego nie zmieniło. Nic już tego nie zmieni.

- Dziękuję wszystkim za wspaniałe wyrazy uznania – powiedziałam, podnosząc urnę i przeszłam obok druzgocąco szczerzej przemowy najlepszej przyjaciółki nim zdołałaby mnie zniszczyć. – Teraz rozrzucę jej prochy i pożegnam się. – Odwróciłam się od nich, czując w rękach ciężar urny i podeszłam na krawędź wzgórza. Na polanie zapadła cisza, jedynymi odgłosami był odległy warkot silnika i szelest liści u góry. Spojrzałam na rzekę w dole i odkręciłam urnę, kiedy wiatr muskał moje policzki.

Kocham cię. Zawsze będę cię kochać.

Wiatr wznosił prochy w powietrze i zabrał je z prądem w dół do swobodnie płynącej rzeki, i w tej chwili czułam tylko ją – wokół mnie, we mnie – i to była cicha, przelotna sekunda szczęścia, która nie wróci do mnie przez bardzo długi czas.

Usłyszałam za sobą przepychanie – ciche dudnienie zakłócające moment szacunku. Postawiłam przy stopach pustą już urnę i odwróciłam się gotowa zmrozić wzrokiem tego, kto miał czelność gadać podczas tak ważnej chwili. Napuszyłam się poirytowana i rozgrzana, miałam już słowa na końcu języka... ale zamiast nich wymknęło się tylko jedno.

- Tata?

Zastygłam z opadniętą szczęką na wzgórzu nad rzeką, kiedy mój ojciec przedzierał się przez żałobników. Przyjrzałam mu się, myśląc po trochu, że on nie był prawdziwy, że rozpacz nareszcie doprowadziła mnie do szaleństwa.

To naprawdę był on.

Niechlujny i wychudły, ubrany w jeden ze starych garniturów, którego rękawy były porozpinane, kołnierzyk niewyprasowany. Bransoletka namierzająca na kostce, strażnik więzienny niecałe cztery metry na lewo od niego, ramiona skrzyżowane na torsie, jak czekał pod drzewem. I to słowo – jedno z ostatnich, które do mnie powiedział nim roztrzaskałam telefon – błysnęło mi w głowie. *Przepustka. Złożyłem podanie o przepustkę.*

Jasny gwint. Wypuścili go. Ktoś najwyraźniej powiedział mu o pogrzebie mojej matki i więzienie postanowiło pozwolić mu przyjść.

Co za kretyni.

Zamarłam, kiedy ojciec pochylił głowę z szacunkiem, wymieniając ściszone słowa z paroma znajomymi mamy, którzy tak samo jak ja wytrzeszczali oczy. Zamarłam, kiedy uśmiechnął się i przytulił Ursulę, kiedy ucisnął rękę pani Bailey, kiedy stał tam przyjmując kondolencje, jakby były nagrodami.

Stałam nieruchomo, patrząc w otępieniu do chwili, kiedy Millie wyskoczyła z boku gromadki i wepchnęła się przed mojego ojca żeby nie mógł podejść bliżej, żeby nie zobaczył tego, co ja widziałam kątem oka. Potem w moim mózgu powstała szczelina i zrozumienie uderzyło we mnie niczym piorun.

O cholera.

Michael Gracewell, aka Vince Marino Junior, spadkobierca rodziny przestępczej Marino stał sobie nieświadomie trzy metry dalej od Luki Falcone, czynnego zastępcy bossa dynastii Falconów.

Mój żołądek skręcił się z przerażenia, obróciłam głowę w kierunku Luki.

Nie. Nie. Nie. Nie.

Luca wpatrywał się w mojego ojca.

Jego ciało napierało do przodu, wychylało się nad nieskończoną przestrzenią między nimi i przysięgłabym, że czułam wtedy siłę jego gniewu. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, mój ojciec – kompletnie nieświadomy ojciec – padłby już dawno trupem.

Luca nie ruszał się. Wykorzystywał całą energię, żeby stać nieruchomo, zaciskając pięści po bokach. Jego nozdrza drgały, oddychał płytko. Poruszał ustami, ale nic się z nich nie wydobywało.

Widziałam rozgniewanego Lucę i widziałam spokojnego Lucę, ale nigdy nie widziałam, żeby tak mocno starał się o opanowanie. Nigdy nie widziałam go tak przerażająco wytrąconego z równowagi. Próbował trzymać wszystko w sobie, ale potrzeba było tylko jednej, małej rzeczy, żeby to wyzwolić.

Patrzyłam na niego tak twardo, że zaczęły mnie boleć oczy.

Spójrz na mnie. Nie patrz na niego. Spójrz na mnie.

Ale patrzył wściekle na mojego ojca, obserwując go ze śmiertelną ciszą lwa polującego na swą ofiarę. I dlaczego miałby tego nie robić?

Oto stał przed nim człowiek, który zabił jego ojca. Luca znał prawdę – widział rubinowy pierścionek Eveliny. Wiedział, że domniemana niewinność mojego ojca była

farsą. Oto stał przed nim niechroniony morderca z jednym niezainteresowanym strażnikiem dającym się pod odległym drzewem. Nie byłby wystarczająco szybki, żeby cokolwiek zatrzymać, nie, gdyby Luca wyciągnął broń.

Nie, gdyby Luca rzucił się na mojego ojca. Wszystko skończyłoby się w ciągu paru sekund. Mógł odebrać swą zemstę.

Proszę, nie – błagałam w myślach. *Nie rób nic, proszę.*

Millie obejmowała mojego ojca, wycofując go do kręgu żałobników z dala od spojrzenia Luki.

Zrób coś, Sophie. Cokolwiek.

Wszyscy patrzyli na ojca – tajemniczego Michaela Gracewella, który po raz kolejny przechadzał się swobodnie poza więziennymi murami. Już nikt na mnie nie patrzył. Nikt nie myślał o mojej matce. Ten dzień został wywrócony do góry nogami.

Powiedz coś. Cokolwiek.

Musiałam sprawić, żeby ojciec zniknął. Musiałam odwrócić od niego uwagę. Musiałam przekierować myśli Luki. Musiałam go jakoś niezauważalnie uspokoić.

Przyleciały do mnie pewne słowa z jedyne go znanego mi wiersza i jedyne go, który teraz mógłby zadziałać. *Dziękuję ci, Mary Elizabeth Frye.*

- *Nie szlochaj, stojąc nad moją mogiłą wytrwale* – odezwałam się głosem ochrypłym ze strachu. Odchrząknęłam, kiedy ludzie powoli zaczęli się do mnie odwracać. – *Bo tam mnie nie ma, ja nie śpię wcale.*

No dalej, Luca. No dalej.

- *Jestem wiatrem, który wieje* – ojciec przestał szeptać do Millie i podniósł na mnie wzrok - *w szczerym polu poprzez knieje.*

Zostań ze mną. Nie patrz na drugą stronę. Nie patrz na Lucę.

- *Jestem słońca odbłaskiem na zbożu.* – Millie skinęła mi głową, jakby mówiąc: *trzymaj tak dalej.* – *Małym deszczykiem w jesiennym przestworzu.*

Luca odciągał powolutku wzrok od ojca, jakby to było niesamowicie ciężkie zadanie.

- *Gdy się przebudzasz ze snu o świecie* – kontynuowałam łamiącym się głosem – *ja cię pobudzam i wskrzeszam życie.*

Proszę, nie rób mu krzywdy.

- *Poprzez okrężne ptaszków latanie.* – *Proszę, nie odbieraj jej tego dnia.* – *I gwiazd o zmroku migotanie.*

Luca znów na mnie patrzył. Jego twarz się zamgliała.

- *Nie szlochaj, stojąc nad moją mogiłą wytrwale.* – W moich oczach wezbrały się łzy. – *Bo tam mnie nie ma, ja nie śpię wcale.* – Ojciec wyłamywał się z szeregu, przecinając trawiasty wzgórek, idąc do mnie z otwartymi ramionami. – *Nie płacz, stojąc nad moją mogiłą wytrwale.* – Każdy nam się przyglądał. Ponowne spotkanie ojca z córką i zdałam sobie sprawę, że nie mogłam go odepchnąć, nieważne jak bardzo chciałam. – *Bo tam mnie nie ma.* – Zamrugałam i łzy spłynęły po mojej twarzy. – *Nie zmarłam wcale*².

- Och, Sophie, kochanie. – Ojciec zarzucił na mnie ramiona. Przyciągnął mnie do piersi i podparłam się o niego, plamiąc mu koszulę łzami. Nienawidziłam go z tak wielką namiętnością, że wypalała we mnie dziurę, ale potrzebowałam tego uścisku i wszystkich związanych z nim kłamstwami, ponieważ pod całym tym gniewem, pod każdym ułamkiem zdrady ja wciąż go kochałam. Wciąż chciałam, żeby nie stała mu się żadna krzywda. Potrzebowałam tego uścisku, ponieważ trzymał go z daleka od Luki. Zapewniał tacie bezpieczeństwo.

Staliśmy tak przez dłuższy czas, ja zwrócona plecami do reszty, moje ciało tworzyło tarczę pomiędzy mordercą, który okłamywał mnie całe życie, a zabójcą, który czuwał nade mną podczas jego nieobecności.

Gdy ojciec się ode mnie odsunął i wślizgnęło się między nas zimne powietrze, wysuszając lodowate łzy na naszych policzkach, wszyscy inni również płakali, a Luca Falcone zniknął.

To był najwspanialszy prezent, jaki mógł mi podarować. Wolę odejścia. I wiedziałam, że gdybym miała przed sobą taką samą rozterkę, to poniosłabym porażkę.

²Tłum. Haliny Arendt

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

OSTRZEŻENIE

- Kto ci powiedział? – Bardzo się starałam panować nad głosem świadoma kręcącego się w pobliżu strażnika więziennego.

Ojciec poklepał puste miejsce koło siebie.

- Może usiądziesz i porozmawiamy o tym jak należy?

Splatałam ramiona na piersi, nie odrywając stóp od ziemi przed granitową płytą.

- Kto ci powiedział? – powtórzyłam.

Odchylił głowę, żeby przyjrzeć się mojej twarzy, całemu mojemu obrzydzeniu. Pod tym kątem miał niemożliwie wielkie oczy.

- Ursula do mnie napisała – przyznał. – Bała się, że zapomniałaś mi powiedzieć.

- Powiedziałyby ci, gdybym cię tu chciała.

- Wiem. – Złożył ręce na kolanach i wbił paznokcie w knykcie.

- A jednak przyszedłeś. Przyszedłeś i zrobiłeś z tego scenę.

- Ona była moją *zoną* – powiedział, jakbym potrzebowała przypomnienia. – Kocham ją i opłakuję. A ty jesteś moją córką i mam wszelkie prawo, żeby być tutaj z tobą.

- Nie – rzekłam, nachylając się i ściszyłam głos do ledwo słyszalnego szeptu. – Jestem córką Michaela Gracewella i Michael Gracewell nie żyje. Nie jestem twoją córką, *Vince*.

Ojciec odskoczył do tyłu.

- Nie zachowuj się tak, Sophie. To nie jest do ciebie podobne.

- Nie znasz mnie – burknęłam. – I najwyraźniej ja nie znam ciebie. Mam tylko zbiór twoich kłamstw i wszystkich twoich paskudnych czynów. Wszystkich żyć, które odebrałeś!

- Mów ciszej! – Zarumienił się; jego oczy, dokładnie takie jak moje, pociemniały ostrzegawczo. – Chcesz wpakować mnie do więzienia na resztę życia?

Mogłabym dać mu w twarz. Mogłabym to zrobić w tamtej chwili, ale tego nie zrobiłam, ponieważ jakaś głupia, bezbronna, dziecinna część mnie nadal widziała przed

sobą mojego tatę. Tego, który czytał mi do snu dr. Seussa, który brał mnie na barana i okręcał w powietrzu, kiedy potrzebowałam pocieszenia.

- Czy masz świadomość jak mocno mnie skrzywdziłeś? Jak bardzo mnie zdradziłeś?

Zgarbił się i czarny garnitur zdawał się pochłaniać go w całości.

- Tak – odparł. – Rozumiem, co zrobiłem. Co straciłem.

Nie. Tylko nie ta rozmowa. Już chwiałam się na krawędzi łez, kotłowały się we mnie wszystkie dzisiejsze emocje, napierając maleńkimi rączkami na moje serce. Cofnęłam się o krok, poszerzając przepaść między nami.

- Gdzie jest Jack?

Spojrzał na mnie i coś błysnęło w jego oczach. On wiedział. *Wiedział.*

- Nie waż się znowu mnie okłamać.

Uniósł brodę, jego twarz okazywała taki sam opór, co moja.

- Sophie...

- On zabił mamę.

- Wiem, co się wydarzyło, Sophie.

- To przez niego nie żyje!

Rzucił nerwowe spojrzenie w kierunku strażnika.

- Wiem, co się stało, Sophie. Twój wujek...

Zgięłam się w pół, przybliżając do niego twarz.

- Nie było cię tam! – syknęłam. – *Nic* nie wiesz. Nie masz pojęcia. Teraz powiedz mi gdzie on jest, żeby mógł zapłacić za to, co zrobił!

Wtedy to zobaczyłam. Wyglądające się czoło, zmatowiałe oczy, usta układające się w wąską linię. Tryb dowódcy. Oto Vince Marino, wyszkolony zabójca. Nareszcie. Odślaniał się przede mną. Pokazywał mi swoją nieugiętość, ponieważ nie miał zamiaru wydawać swojego brata.

- Sophie – powiedział beznamiętnie. Spokojnie, kiedy powinien być pochłonięty furją, jak ja. – Gdzie się zatrzymałaś? Wiem, że nie byłaś w domu.

- Skąd to wiesz? – zapytałam wyzywająco. – Bo twoja szujowata rodzina zabiła mamę, a potem wróciła po jej samochód, żeby spalić go przed bramą Felicego?

Coś przemknęło po jego twarzy... uszczerbek w zbroi.

- A więc jesteś u Falconów – powiedział, wykrzywiając usta z obrzydzeniem.

- Nie jestem u Falconów – odparłam spokojnie. – *Jestem Falcone.*

Schował twarz w rękach. Patrzyłam jak kurczy się w sobie i próbowałam zdusić maleńki płomień niepokoju na widok jego cierpienia.

- Och, Sophie. – Podniósł głowę i przejechał dłońmi po policzkach. – Coś ty zrobiła?

- Oto pytanie roku. Podam ci odpowiedź, jeśli ty podasz mi swoją.

- Oni cię skrzywdzą – powiedział, nachylając się do mnie. – Nie rozumiesz, Soph? Oni cię *skrzywdzą*.

- Nie mogą mnie skrzywdzić tak bardzo, jak zrobili to już Marino.

- Dlaczego? – zapytał zawiedziony. Jego głos był słaby, fasada dowódcy spływała jak woda. To był mój ojciec, człowiek, którego znałam. – Dlaczego do nich poszłaś?

Opuściłam ramiona, gniew osłabł do rezygnacji.

- Gdzie indziej miałam pójść?

Jego milczenie było wystarczającą odpowiedzią.

Nigdzie. Nie było gdzieindziej pójść.

Ukradkowe spojrzenie przez ramię pokazało mi, że strażnik więzienny był bardziej zainteresowany swoim telefonem niż nami. Millie czekała przy samochodzie. Wszyscy inni wrócili do domu.

Ojciec znów schował twarz w rękach. Przemówiłam do czubka jego głowy gdzie siwe włosy mieszały się z mysimi brązowymi.

- Jeśli nie powiesz mi gdzie jest i co robi Jack, odwrócę się i odejdę, i ta rozmowa skończy się na dobre. Wiem, że wiesz. Nie wiem, dlaczego to ukrywasz po jego udziale w śmierci mamy, ale jeśli mi nie powiesz wezmę to za zdradę jej i mnie. – Słyszałam okrucieństwo w moim głosie, ale parłam dalej, wiedząc, że to był jedyny sposób. On także był okrutny, tyle że za bardzo się bał to okazać. Ja przynajmniej będę transparentna.

- Kochałem twoją mamę, Soph. – Mówił do ziemi, kiedy piorunowałam wzrokiem jego głowę. – Była najlepszym, co przydarzyło mi się w całym życiu. Ona i ty.

- Okłamywałaś ją. Nie miała pojęcia o tych wszystkich ludziach, których zabiłeś... o twoim poszukiwaniu odwetu. Nie widziała, co było w sejfie. Scyzoryki Falconów. Pierścionek. Imiona. Ale ja widziałam.

Podniósł gwałtownie głowę.

- Falconowie odebrali nam wszystko. Sophie, zamordowali naszych rodziców. Postrzelili moją matkę. Moją *matkę*. Nie potrafisz zrozumieć mojego gniewu? Nie potrafisz zrozumieć, dlaczego chciałbym ją pomścić?

Zawahałam się na ułamek sekundy. To było niebezpieczne. To był rezonans i nie mogłam sobie pozwolić na współczucie ojcu. Nie mogłam pozwolić, żeby połączył swój uczynek z tym, co ja zamierzałam zrobić... chyba że wykorzystam to na swoją korzyść.

Przykucnęłam, żebyśmy znaleźli się na wysokości wzroku.

- Czy *ty* nie potrafisz zrozumieć, dlaczego *ja* chciałabym zrobić to samo ludziom, którzy zabili mamę? Nie potrafisz zrozumieć, dlaczego szukam Jacka i Donaty?

Zamknął oczy.

- To nie jest dla ciebie właściwa ścieżka, Sophie.

- A dla ciebie była?

Przeniósł wzrok za moje ramię w kierunku swojej więziennej przyzwoitki.

- Popatrz, dokąd mnie to doprowadziło, Sophie.

- Gdzie on jest? – naciskałam.

- Zostaw ich – powiedział w tym samym czasie. – Odejdź od Falconów zanim cię skrzywdzą, Sophie. Bo to *zrobią*. Felice Falcone jest niezrównoważony. Nie przetrwasz, żyjąc pod tym samym dachem, co on. A synowie Angelo... oni chcą mnie dopaść, Sophie. Ciebie też zechcą.

- I gdzie mam niby pójść? Do Marino? Może mam zjeść kolację dziękczynną w domu Donaty? Siedzieć ramię w ramię z Jackiem? Z Jackiem, który nie zrobił nic, kiedy mama leżała nieprzytomna u jego stóp w restauracji?

Ojciec nabrał gwałtownie tchu.

- Oczywiście, że nie. Nie chcę, żebyś była w pobliżu tego świata, kropka. On zabija dobrych ludzi i daje życie najgorszym. Nie ma tam żadnej sprawiedliwości, Soph. Jeśli nie możesz zaufać niczemu, co ci kiedykolwiek wiedziałam, to zaufaj temu. Ten świat cię zrukuje.

- Za późno, tato. – Potrząsnęłam głową.

- *Nie* jest za późno, Soph. – Sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożoną kartkę. – To nie twój świat. Nie twoja ścieżka. Cholera, tak długo starałem się trzymać cię z dala od niego, więc nie poddam się teraz.

- On ją zabił. – Zaczynałam brzmieć jak papuga, ale mój ojciec musiał mnie usłyszeć, ale odmawiał. – Przyczynił się do jej śmierci, nieważne, co ci powiedział.

- To nie twoja walka. – Wyciągnął kartkę przed siebie. Zawisła między nami jak biała flaga. – Weź.

Przyjrzałam jej się podejrzliwie.

- Co to?

- Adres – powiedział. – Adres kogoś, kto ci pomoże. Jedź tam i cię ukryje. Zabierz stąd życie. Jeśli nie dla mnie, to dla twojej matki. Nie chciałyby zobaczyć, że kierujesz się ku ciemności. To złamałoby jej serce.

Wzięłam od niego kartkę i rozłożyłam, czytając początek adresu.

- Kim, u licha, jest M. Flores?

- Kimś, kto ci pomoże – odparł zwyczajnie.

Odczytałam adres do końca.

- *Kolorado?* – Podniosłam na niego wzrok. – Mówisz poważnie? Chcesz, żebym pojechała do Kolorado i zamieszkała z facetem, którego nigdy nie widziałam na oczy?

- Dokładnie tak.

- To jakiś absurd. – Machnęłam kartką między nami. – Naprawdę straciłeś rozum.

Podniósł rękę. – Schowaj to. Nie pokazuj nikomu innemu. Kiedy wyjedziesz, musisz zniknąć. Nie możesz podać nikomu tego adresu.

Spojrzałam spod przymrużonych powiek na nabazgrany szybko adres.

- Kto to jest? I dlaczego jest ci coś winien?

Zacisnął usta. Kolejny sekret, którego nie wyda. Był głupcem, że mi to dał. Jak gdybym miała go posłuchać. Jak gdyby nadal mi zależało na jego głupiej, lekkomyślnej poradzie. Moja walka była tutaj, w Chicago. Moja walka trwała w świecie kryminalnym, tak jak i jego.

- Nie jestem potworem, Sophie.

Westchnęłam. Doszłam do progu tej rozmowy. Wszyscy zabójcy byli tacy sami – nieuczciwi – i skończyłam z byciem ich adwokatem. Skończyłam z drugimi szansami, *trzecimi* szansami. Sama mogłam teraz zdecydować, komu zaufać; to było oczywiste.

- Na jak długo wyszedłeś? – zapytałam, patrząc na strażnika.

- Dali mi przepustkę na pogrzeb.

- Już się skończył. Możesz znowu odejść.

Wciąż się odsuwałam, usiłowałam zdystansować się od miłości, którą żywiłam kiedyś do tego człowieka, od całego podziwu i szacunku, które teraz się we mnie tliły... pustkowie dziecięcej sympatii.

- Soph, czy zrobisz, co powiedziałem?

Spojrzałam na kartkę, potem na jego twarz.

- Jeśli udowodnisz swoją lojalność. – Miałam to samo stalowe spojrzenie, co on. – Pokaż mi, że po tym wszystkim jesteś po naszej stronie. Mojej i mamy. Powiedz, gdzie ukrywa się Jack.

Wziął głęboki wdech, wypychając pierś do przodu.

- Nie zrobię tego.

Zgniotłam kartkę i rzuciłam do jego stóp.

- Więc nie mogę ci zaufać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

OFIARA

- Sophie. – Głos Valentino przerwał moją mentalną ocenę jego gabinetu. Aksamitne zasłony, biurko z mahoniem, drogie skórzane fotele, szafki z ciemnego drewna. – Jesteś już gotowa skupić się na mnie?

Obróciłam się do niego, odrywając wzrok od szczególnie wystawnej lampy w kącie pokoju.

- Ja tylko... przyswajałam to wszystko. – Próbowałam znaleźć wygodną pozycję w fotelu, ale nie umiałam. Skrzypiało pode mną skórzane obicie, zagłuszając Bacha, Vivaldiego, Beethovena albo jakiegoś innego kompozytora, który niepotrzebnie powiększał dramatyczność sytuacji.

Znieruchomiałam pod jego spojrzeniem i żałowałam, że nie poprosił o któregoś z chłopaków, żeby przyszedł tutaj ze mną. Indywidualne spotkanie z bossem Falconów nie znajdowało się wysoko na mojej liście rzeczy do zrobienia przed śmiercią.

Zastukał palcami o biurko w starannym, idealnym rytmie z muzyką.

- Jak było w szkole? – zapytał beztrąsko.

- Naprawdę cię to obchodzi? – zapytałam. Valentino nie rozmawia o drobiazgach.

Opierał się w swoim wózku. Podniósł ołówek i okręcił nim w palcach.

- Niespecjalnie.

Ruch ołówka był całkiem urzekający.

- Twoja zręczność jest godna uznania.

- Jak się aklimatyzujesz? – zapytał, wciąż obracając ołówkiem, jakby próbował odwrócić moją uwagę. Sprawdzian. Wbiłam wzrok przed siebie.

- Dobrze – odpowiedziałam. – Niezależnie od Felicego.

- Niestety nic nie można poradzić na obecność Felicego. – Zatem Valentino również nie myślał zbyt dobrze o Felice. *Interesujące. A także: do przewidzenia.* – Nico mówi, że jesteś naturalnym strzelcem.

- Jakoś mi idzie – odparłam skromnie. Luca nie wrócił na noc do domu, więc Nico i ja zdołaliśmy wcisnąć w harmonogram kolejną lekcję w stodole. – Szybko się uczę.

- Najwyraźniej masz to we krwi – powiedział Valentino.

- Najwyraźniej. – *Dołączki i umiejętności strzeleckie. Dzięki, tato.*

Valentino zmienił temat.

- Wczoraj zapadłaś się pod ziemię.

- Organizowałam pogrzeb matki.

Ścisnął ołówek w pięści.

- Nie rób tego więcej.

- Z doświadczenia wiem, że można rozsypać prochy tylko raz. Potem bardzo trudno je zebrać.

- Myślisz, że jesteś zabawna?

- Przy odpowiedniej publiczności. – Serce waliło głośno w mojej piersi.

- Nie lubię sarkazmu – powiedział znacząco. – Żeby było jasne.

No cóż, to nie polubisz za bardzo mojego towarzystwa.

- Oczywiście – powiedziałam, znów poruszając się na krześle, którego obicie było zimne pod moimi rękami. Wsunęłam je pod nogi, żeby się rozgrzać. – Dlatego tutaj jestem? Przez wczoraj? – Studiowałam jego reakcję... tę kamienną obojętność. Czy wiedział, że pojawił się tam mój tata? Że rozmawialiśmy? Ile powiedział mu Luca?

Valentino pokręcił głową.

- Pomyślałem, że najlepiej będzie załatwić najpierw tę drobną, domową kwestię. Nie opuszczaj domu bez zapowiedzi. To drastyczne marnotrawstwo czasu oraz siły roboczej i biorąc pod uwagę, że jesteśmy w trakcie wojny krwi jestem przekonany, że rozumiesz, jakie to niesamowicie idiotyczne. – Przyszpilił mnie tymi szafirowymi oczami, po czym podwinął lekko wargi, bym zobaczyła zarys jego kłów. – Prawda?

Ulga zatrzepotała we mnie jak ptak. A więc Luca nic nie powiedział. Rany, ten facet był jak krypta. Krypta, której będę musiała podziękować, jak już się pojawi.

- To już się nie powtórzy.

Valentino otworzył szufladę w biurku i wyciągnął pojedynczą kartkę papieru.

- Teraz możemy przejść do ważniejszych spraw. – Położył kartkę pomiędzy nami i przysunął w moją stronę. Wyciągnęłam spod siebie ręce i przysunęłam się do przodu.

Och.

To nie była zwykła kartka, tylko fotografia.

Upiornie znajoma fotografia.

Och.

- To – powiedział, przyciskając do niej palec wskazujący – jest Libero Marino, syn Donaty Marino.

Spojrzałam na zdjęcie Libero Marino. Miał szerokie, ciemne oczy. Na fotografii był łyсы, ale miał gęstą czarną kocią bródkę i szpetną bliznę na grzbiecie nosa. Nie wyglądał na kogoś, kto wiedział jak się uśmiechać. Wyobrażałam sobie, że gdyby odsłonił zęby to wszystkie byłyby złote.

Ścisnęło mnie w gardle.

- Brat Sary – powiedziałam, nie odrywając wzroku od zdjęcia. Pod spodem zapisano parę szczegółów. Wzrost: *172 cm*, wiek: *22 lata*. Umiejętności: *walka wręcz i nożem* oraz hierarchia: *Capo Marino, syn Donaty Marino*.

Valentino przytaknął.

- Wrócił do miasta i handluje z klientami Donaty.

Podniosłam wzrok i próbowałam zdusić drżenie głosu, które miało ujawnić niespodziewany atak nerwów.

- Czy on... czy on jest moim celem?

Valentino złożył przed sobą ręce, dotykając palcami ust.

- Tak – powiedział. – Libero Marino jest twoim celem.

Usiłowałam zignorować nagły ryk w uszach. Libero Marino był bratem Sary. Prawą ręką Jacka. Dlaczego sądziłam, że to będzie jakiś nieznamy? Dlaczego sądziłam, że to będzie łatwiejsze? Marino byli moją krwią – cóż, większość – więc oczywiście było prawdopodobne, że będę znać moją ofiarę.

- Kiedy? – zapytałam, trzepocząc szybko powiekami.

- W sobotni wieczór.

Pięć dni. Miałam pięć dni na przygotowanie.

Czy Luca o tym wiedział? Czy spróbuje to zatrzymać? Czy może nareszcie pogodził się z myślą, że wezmę kontrolę nad moim przeznaczeniem?

Zmusiłam się do odpowiedzi, ignorując suchość w gardle.

- W porządku.

- Nico dostanie wszystkie niezbędne szczegóły, jak nadejdzie pora.

Uśmiechnęłam się słabo.

- Dobrze.

- Pali się do tego, żeby być wtedy z tobą – dodał, coś innego wkradło się do jego głosu... dyskomfort, dezaprobata? – Chce dostać okazję, żeby... wyleczyć stare rany.

Zbladłam. Nico chciał mnie odzyskać i myślał, że to jest doskonały sposób. Przełknęłam ciężko ślinę, nie zamierzając zajmować się tą częścią równania – nie, kiedy musiałam odebrać życie, udowodnić swój charakter. Skończyłam ze stawianiem chłopaków na pierwszym miejscu.

Valentino błędnie odczytał moje wahanie. Opuścił ręce.

- Sophie, nie musisz powalić Libero, tylko zadać śmiertelny cios. Jeśli wolisz, możesz użyć do tego noża.

- Nie – powiedziałam, wykrzywiając usta w czymś, co nie przypominało paskudnego grymasu. – Użyję pistoletu. Lubię... lubię pistolety.

Lubię pistolety? Serio, Sophie?

Zrobił rozbawioną minę.

- Czyli jest nas dwoje. – Odchylił się, mrugając do mnie tymi kłami. – Jeśli to zrobisz, następnym razem jak będziesz celować w kogoś pistoletem, to w swojego wuja.

- Świetnie – powiedziałam, obnażając własne zęby. Tego nie musiałam udawać.

Otworzył następną szufladę i wyciągnął drewniane pudełko. Pokrywa była wykonana z drzewa wiśniowego i miała wyrytą sylwetkę sokoła. Falconowie naprawdę lubili mieć wszystko oznakowane. Otworzył pokrywę, która uderzyła głucho o blat biurka.

- To dla ciebie, Sophie. To jest na sobotę.

Wyciągnął z pudełka pistolet i przesunął go wzdłuż biurka. Był czarno-srebrny, jak ten Nico, ale mniejszy i miał zakrzywioną rączkę. Podniosłam go, obracając nim przed twarzą. W bardzo krótkim czasie przyszło mi posługiwać się łatwo bronią, nie powstrzymywał mnie już strach, że przypadkiem postrzelę samą siebie.

Przyjrzałam się lśniącom liniom, zbadłam uchwyt rączki.

- Ładny.

- Tak.

- Lekki.

- Bo pusty.

Zerknęłam na pudełko.

- Gdzie są kule?

Valentino uśmiechnął się do mnie półgębkiem.

- Przeceniasz moje zaufanie do ciebie.

Zmarszczyłam brwi.

- Myślisz, że bym cię postrzeliła? I to jeszcze w tym domu?

Może nie trzeba było dodawać tego ostatniego.

Kolejne błysnięcie tych kłów. Im więcej czasu spędzałam w jego towarzystwie, tym mniej był podobny do Luki. Kompletnie inaczej wykorzystywali swoje rysy twarzy. Valentino nie okazywał współczucia, sympatii czy zrozumienia, tylko przebiegłość i ironiczne rozbawienie.

- Nie lubię ryzykować – odpowiedział. – Nawet w *ty*m domu. – Stuknął w zdjęcie Libero Marino. – Być może zmienię zdanie po sobocie.

- Zmienisz – oświadczyłam, koncentrując się na ciemnych oczach Libero. – Po sobocie wszystko się zmieni.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

KREW MARINO

Strach to pojęcie względne.

- Cokolwiek robisz, nie rozłączaj się. Nie waż się ze mną rozłączać, jak jestem w potrzebie, Sophie.

Była 21:15 w poniedziałkowy wieczór i przebywałam w moim pokoju na drugim piętrze rezydencji Falconów. Siedziałam po turecku na łożku, trzymając na kolanach niedokończone zadanie z poezji i przyciskałam komórkę do ucha. Dopiero skończyłam dwugodzinny trening z Nico i chociaż cholernie bolał mnie palec wskazujący i ramię, to było warto.

- Jestem tu – zapewniłam Millie. – Za nic w świecie bym tego nie przegapiła.

- Przestań się ze mnie śmiać! – jęknęła.

- Przecież się nie śmieję.

- Słyszę w twoim głosie rozbawienie! – powiedziała, po czym znów zaczęła pisać. Tak jakby jechała kolejką górską. – O mój Boże, on idzie prosto na mnie! O mój Boże, O MÓJ BOŻE. POMÓŻ MI, SOPHIE!

Przez ostatnich czternaście minut Millie usiłowała zabić wielkiego komara.

- Uciekaj! – powiedziałam fałszywie spanikowanym głosem. – Uciekaj zanim przemieni cię w jednego ze swoich!

- Jezu Chryste, ich jest dwoje, Soph! – Zapadła śmiertelna cisza, a potem głębokie sapnięcie. – Oni chyba uprawiają seks w powietrzu! Obrzydliwe.

- Ty podglądaczko owadów, daj im trochę prywatności!

Usłyszałam w słuchawce bardzo głośny huk. Wyobraziłam sobie, jak rzuciła o ścianę podręcznikiem z chemii.

- Cholera – przeklęła. – Nie trafiłam ich.

Opadłam na poduszki i zamknęłam oczy. Zabrałam się z *Eveliny*, oddalając od zadania domowego, pistoletów, gróźb oraz chłopaków i wyobraziłam sobie, że siedzę z Millie na jej kołdrze w kwiatki, patrząc jak niemal skręca sobie kostkę próbując zgłodzić parę niegroźnych owadów.

- Uspokój się – powiedziałam łagodnie. – One bardziej boją się ciebie niż ty ich.

- Jakoś w to wątpię, Soph. Gdyby były choć troszeczkę przerażone to przestałyby się bzykać, ale latają sobie beztrąsko, *kopulując pod moim nosem*.

Następny huk. Następne przekleństwo.

- Co za bezczelność. – Zaczekałam z dezaprobatą.

- Chyba nigdy w życiu nie miałam tak wysokiego tętna – wydyszała Millie. – Czuję serce w gardle. Czy to logiczne? Czuję jak dusi mnie własny puls.

- Dlaczego nie nauczysz się żyć z nimi w pokoju?

- Oj, zamknij się, nie ma cię tutaj – syknęła. – Nie wiesz, jaką przeżywam teraz traumę.

Otworzyłam oczy – surowe białe ściany zdawały się zapadać do środka, przytłaczając mnie. Słyszałam odległe odgłosy Eleny kłócącej się z kimś na dole. Dwa pokoje dalej CJ puszczał okropnie głośną rockową muzykę. Mały Sal budził się z krzykiem przez cały tydzień. Przeniosłam spojrzenie na stolik nocny, gdzie czekała na mnie fotografia Libero Marino, ośmielając, żebym na niego spojrzała.

- Ta – powiedziałam beznamiętnie. – Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Wiesz, myślę, że nigdy wcześniej nie byłam taka przerażona – wydusiła Millie.

- Naprawdę?

- Nie licząc Edenu – dodała po namyśle. – Ale jest blisko.

Millie była królową szufladkowania. Kiedy coś się skończyło, to skończyło i wylądowało w schludnym pudełeczku w głębiach jej umysłu, nigdy więcej nie wychodziło na wierzch. Zazdrościłam jej tego. Wkrótce przyda mi się ta umiejętność.

- Może powinnam zacząć odkurzać powietrze i czekać aż zostaną wessani?

- Jasne. – Spoglądałam w ciemne oczy Libero Marino i zastanawiałam się, co powiedziała by mi teraz Sara. Wojna krwi zabijała dobrych ludzi.

Czy Libero był dobrym człowiekiem?

Czy to ważne?

Nastąpiło kolejne uderzenie, któremu tym razem towarzyszył odgłos triumfu.

- Tak! – zawołała. – Tak! Dorwałam jego i kochankę! O mój Boże! To koniec. W końcu to zrobiłam! – Millie była teraz całkiem inną wersją siebie, powróciła jej radość. – Czuję się spełniona.

Jak się poczuję, kiedy będzie po wszystkim? Czy to zmieni mnie na zawsze czy pobudzi, tak jak pobudzało Nico?

- Soph?

Dalej patrzyłam na Libero, śledząc wzrokiem srebrzystą bliznę, przyglądając się zakrzywionym ustom pod zarostem.

- Huh?

- Chcę ci podziękować za twoje wsparcie. Pewnie niełatwo ci było słuchać, jak miotam się w niebezpieczeństwie.

- Nie – powiedziałam, odrywając uwagę od zdjęcia. – Nie było łatwo.

- Cóż, już wszystko dobrze, więc rozłączę się i obejrzę *Chirurgów*.

- Pewnie, Mil, najpierw mnie wykorzystaj, a potem porzuć.

Cmoknęła do telefonu. – Kocham cię, Soph. Do zobaczenia jutro w szkole!

Kiedy się rozłączyła, próbowałam wrócić do zadania, ale miałam pustkę w głowie. Nie miałam do tego nastroju. Ziewnęłam i rozważałam zmuszenie się do zaśnięcia. Przecież nie miałam nic innego do roboty, chyba że chciałabym siedzieć do późna i kontynuować humanizowanie Libero Marino. Może lubił czekoladę. Może posiadał psa. Może co roku kupował swojej siostrze prezenty na święta. Może płakał najmocniej na jej pogrzebie.

Może mordował niewinnych ludzi, jak jego matka. Może handlował narkotykami, które wyniszczały ludzi. Może on też na mnie polował.

Im mniej o tym myślałam, tym lepiej. Doprowadzę się do szaleństwa tymi wszystkimi „co by było gdyby”.

Ktoś zapukał do drzwi. Podniosłam gwałtownie głowę i sprawdziłam komórkę. Zero wiadomości. Zero nieodebranych połączeń. Zwykle po mnie dzwonili, jeśli coś ode mnie chcieli.

- Kto tam?

- Nico.

Byłam ubrana w spodnie pidżamy w misie i workowatą bluzę. Część mnie żałowała, że nie wyglądałam lepiej. Druga część kazała mi się zamknąć i przestać być taką powierzchowną. Odgarnęłam włosy z twarzy i zrzuciłam kaptur bluzy.

- Wejdz – powiedziałam, odsuwając zadanie na bok i spadło na podłogę.

Nico zamknął za sobą drzwi. Przesunął wzrokiem po podłodze, wyginając brew na widok małej sterty kartek i przygniatający ją wielki tom wierszy.

- Nie zazdrozczę ci, Soph. – Przeszedł nad nimi, jakby wydzielały toksyczną wydzielinę i usadowił się na końcu mojego łóżka. – Nigdy nie kręciła mnie poezja.

Pokazałam na zrzuty wiersz.

- Więc zgaduję, że nie pomożesz mi wybrać głęboko emocjonalnego wiersza, z którym będę mogła się utożsamić na to głupie zadanie domowe?

Zrobił niemal kreskówkową minę udawanego terroru.

- Absolutnie nie.

- No cóż. Przynajmniej spróbowałam.

- Zapytam dla ciebie Lucę, kiedy wróci do domu. On jest prawdziwym kujonem w tych sprawach.

Starałam się nie zareagować na imię Luki. Szczerze mówiąc nie widziałam go odkąd prawie rzucił się na mojego ojca na pogrzebie mojej mamy. Po prostu zniknął i nie było go cały dzień. Przypuszczałam, że potrzebował czasu na ochłonięcie, ale ten fakt nie pomógł załagodzić skręcającego poczucia winy w moim żołądku.

Nico ułożył się na materacu w stylu modela, jakbym miała go zacząć rysować, jak Jack narysował Rose w *Titanicu*. Był ubrany w zwykłą czarną koszulkę i ciemnoniebieskie dżinsy, jego twarz okalały bujne nażelowane fale włosów, na szyi wisiał złoty krzyżyk. Ściśle mówiąc Nico prawdopodobnie nie powinien tutaj być, ale miałam teraz większe zmartwienia na głowie.

- O co chodzi? – zapytałam. – Szukasz bajki na dobranoc?

- Zwykle proszę o kołysankę, ale któregoś dnia słyszałem jak śpiewasz w kuchni i zobaczyłem zsiadające mleko.

Walnęłam go w twarz poduszką.

- Ty świnię. Jak śmiesz.

Uniósł ręce w geście poddania. Wsunęłam poduszkę z powrotem za siebie i podparłam się o nią plecami.

- Co się naprawdę dzieje?

Nico wyszczerzył się do mnie.

- Na pewno podwyższyło się moje podekscytowanie. – Na widok mojej skonfundowanej miny pokazał na stolik nocny, gdzie twarz Libero Marino wpatrywała się w sufit. – Valentino przekazał mi właśnie dobre wieści. Otrzymałaś swój cel. Nareszcie!

- Ach, tak. – Próbowałam się uśmiechnąć, ale drżały mi policzki. – Racja.

- Libero Marino. – Nico wyśmiał jego imię. – Jak byliśmy młodszy był prawdziwym gnojkiem, ale teraz jest śmiechu wart. Zawsze naćpany. Załatwiłabyś go małym palcem.

Przełknęłam ciężko ślinę, usiłowałam zignorować dziesięć tysięcy motylków w brzuchu.

- Świetnie.

Nico przysunął się do mnie, marszcząc przy tym kołdrę. Ściągnął twarz w wyrazie troski.

- Wszystko dobrze, Soph?

- Tak, nic mi nie jest – odparłam w najmniej przekonującym kłamstwie na świecie.

- Myślałam, że tego chciałaś?

Spojrzałam na ręce, splatające palce.

- Chcę. Po prostu się z tym oswajam. Nie sądziłam... nie spodziewałam się, że to będzie brat Sary.

- Och – powiedział cicho. – Sądziłaś, że to będzie obca ci osoba.

Przytaknęłam do kołdry.

- Tak. Chyba tak. To wydaje się trochę bardziej osobiste niż oczekiwałam...

- Marino to twoja rodzina – powiedział.

- No kiedy tak to ujmujesz, to brzmi na dość tępą.

- Wiem, o co ci chodzi – dodał. – Naprawdę. Wątpliwości to rzecz naturalna, Soph.

Wpatrywałam się w miodowe ciepło rozlewające się w jego ciemnych oczach i poczułam, jak rozluźnia się węzeł w mojej piersi. Milczał przez chwilę. Napawałam się tą ciszą, czekałam aż zrówna się mój oddech. Przysunął ręce trochę bliżej. Odsunęłam się odruchowo, nie chcąc podsycać żaru pragnienia, który we mnie pozostał, nie chcąc komplikować już skomplikowanej sytuacji.

- Nico...

- Słyszałem o wczorajszym pogrzebie twojej mamy – przerwał mi. Może wyobraziłam sobie jego bliskość, to jak jego ciało zdawało się nachylać w moją stronę. – Przykro mi, że mnie tam nie było. Przyszedłbym, gdybym wiedział.

Szukałam w jego twarzy wskazówek tego, co powiedział mu Luca. Czy wiedział o moim ojcu? Jego spokojna mina temu przeczyła. Kolejny sekret utrzymany przez Lucę i... kolejny powód, żeby być mu wdzięczną i czuć wyrzuty sumienia jednocześnie.

- Jak było? – zapytał Nico, dalej trzymając palce blisko moich, jego prawe knykcie były pokryte świeżymi siniakami. Robota w mieście.

- Przygnębiająco – odpowiedziałam.

Skinął wyrozumiale głową i w ten sposób mój nastrój zmienił się ze zrezygnowanego do rozgniewanego, zaczęłam myśleć o wszystkim, co odebrała mi Donata. Zredukowała moją matkę do urny prochów i wspomnień, które wkrótce wylecą z pamięci większości osób. Taka była prawda. Zimna, ostra prawda.

Zacisnęłam ręce w pięści, uwalniając płonący we mnie ogień.

- Tak strasznie chcę jej zadać ból. Nie potrafię nawet tego opisać, Nico. Chcę żeby cierpiała tak jak ja cierpiałam przez nią.

- Dobrze – mruknął, siadając i przysunął się do mnie. – Tak trzymaj, Sophie. – Położył ręce na moich barkach, przygniatając je tak mocno, że zaczęły mnie boleć. Zignorowałam to, wykorzystując ból jako paliwo, kiedy wlewał we mnie swoją siłę. – Musisz się do tego napędzić, Sophie. Musisz czuć determinację, gniew i, przede wszystkim, ekscytację. To jest twoja pora na walkę. Nie chcesz walczyć? – Znowu ten uśmiech – szeroki, bielutki i olśniewający. – Nie chcesz odebrać jej tego, co ona odebrała tobie?

- Tak. Oczywiście, że chcę. – Przytaknęłam, podbierając mu trochę tego bezgranicznego optymizmu, zatrzymując dla siebie. – Chcę, żeby zapłaciła, Nico. Sprawię, że zapłaci.

- A ja ci w tym pomogę. – Kiwał głową razem ze mną wbijając palce mocniej w moje barki, ale miałam to gdzieś. Byliśmy w tym razem. Nie musiałam robić tego sama. – Będę trwał u twojego boku, dopóki nie zostanie nikt żywy. Dopóki Donata nie będzie cię błagać na kolanach o litość. Będę przy tobie do samego końca.

Napęczniał we mnie balon wdzięczności. Tego właśnie potrzebowałam: siły, wiary, wsparcia.

- Dziękuję – powiedziałam szczerze. – Dziękuję za pomoc. Naprawdę tego potrzebowałam.

- Chcesz mi podziękować? – Przechylił głowę, wykrzywiając powoli usta w uśmiechu. Przez sekundę myślałam, że mnie pocałuje, ale zamiast tego zabrał ręce, ułożył palce w pistolet i przycisnął do mojego czoła. – Podziękuj wpakowując kulkę w głowę Libero Marino w ten weekend. – Puścił mi oko. – Podziękuj mi krwią Marino.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

MOJA DUSZA

Gdy następnego popołudnia wróciłam ze szkoły i skierowałam się do biblioteki, na ławie czekała na mnie kartka papieru podpisana moim imieniem. Leżała na tomiku wierszy, który widziałam po raz pierwszy. Rozpoznałam na kartce charakter pisma Luki.

Zatem Nico naprawdę powiedział mi o moim zadaniu i Luca postanowił mi pomóc. Próbowałam nie zastanawiać się dlaczego, próbowałam nie wyobrazić go sobie ślęczącego nad tą księgą i myślącego o mnie. To tylko doprowadzi mnie do szaleństwa.

Rozłożyłam kartkę niesamowicie ciekawa, jaki wiersz znalazł dla mnie Luca i czy wezmę go za obelgę, czy komplement.

„Niezwycięzony” Williama Ernesta Henley’a. Nie znałam tego wiersza, ale z drugiej strony mało znałam. Luca napisał słowa małym czarnym pismem. To było... osobiste. Otrząsnęłam się z tej myśli i przeczytałam na głos pierwszą zwrotkę.

*Z nocy, co wokół mnie zapada,
Czarnej jak samo piekła łono,
Bogu czy bogom – dzięki składam
Za duszę swą niezwycięzoną.*

Do czasu, jak dotarłam do ostatniej zwrotki moje ramiona pokrywała gęsia skóra.

*Nieważne, jak jest wąska brama
I spis kar jak się ciągnie zwojem,
Bo swego losu jestem panem
I kapitanem duszy swojej.³*

Przeczytałam wiersz trzy razy pod obrazem olejnym Evelyni Falcone, czując jej wzrok na karku. Kolejna ofiara mojego ojca, kolejna skaza na jego duszy.

Wiersz zdawał się coraz bardziej powiększać w moich rękach.

Zrozumiałam.

Zrozumiałam, dlaczego Luca wybrał ten wiersz dzień po tym, jak Valentino podał mi moją pierwszą ofiarę.

³ Tłumaczenie znalezione w internecie autorstwa Macieja Frońskiego, bo sama z poezji dobra nie jestem.

Subtelne, Luca. Naprawdę subtelne.

Jak zasypiałam tej nocy to pod naciskiem tych słów czających się obok ciemnych oczu i złotych zębów.

Bo swego losu jestem panem.

I kapitanem duszy swojej.

Pięć dni.

Pięć dni i wszystko się zmieni.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

MIEJSCE POBYTU

Usiłowałam wydusić z siebie duszę artystyczną w szkicu skromnego mitochondrium, kiedy rozbrzmiało znajome bipnięcie szkolnego interkomu. Podniecone skrobanie ustało, jak dwadzieścia ołówków oderwało się od diagramów.

- Sophie Gracewell proszona do gabinetu dyrektora.

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy i ciężar spojrzeń uczniów. Z tyłu klasy dobiegł mnie mały chór „ooo”.

Moja nauczycielka biologii, panna Henderson, spojrzała na mnie piorunująco ponad okularami.

- Lepiej idź, Sophie.

Wyprostowałam ramiona i odsunęłam krzesło od ławki, starając się nie wyglądać na zaniepokojoną. Wyszłam z klasy wolniej niż powinnam i przeszłam korytarzem w kierunku gabinetu dyrektora, modląc się, żeby oczekująca mnie sprawa była drobnostką.

Sekretarka zapędziła mnie do gabinetu, mamrocząc zarumieniona „No już, już, pośpiesz się” i wymachiwała wokół mnie rękami, jakby lekki wiaterek miał przyśpieszyć mój krok.

- Panno Gracewell, znowu się spotykamy.

O Boże, zabij mnie.

- Komisarzu Medina. Komisarzu Comisky. – Skinęłam im szorstko głową, uśmiechając się wymuszenie, czując ciasny uchwyt hysterii. – A to niespodzianka.

- Czyżby? – zapytał Comisky, zwięzając oczy. Podpierał się o biurko, miał na sobie garnitur koloru rzygów. Pokazał mi, żebym usiadła. Okrążyłam Medinę, który garbił się przy nieużywanej biblioteczce i zrobiłam, co mi kazano, doskonale świadoma, że dawałam policjantom przewagę wzrostu.

Wiedziałam również, że na zewnątrz stała dyrektor Campbell, przyciskając ucho do szklanych drzwi. Najwyraźniej wciąż nikt jej nie poinformował, że oszronione szkło nadal było nieco przejrzyste.

- Tak – odparłam, mierząc ich wzrokiem. – Oczywiście. – Uniosłam podbródek i stawiałam czoła ich penetrującym spojrzeniom. Nie miałam nic do ukrycia.

Mniej więcej.

- Przykro nam było usłyszeć o twojej matce – powiedział Medina, rzucając spojrzenie swojemu koledze. On miał łagodniejsze oczy i bardziej rozluźnioną postawę.

- Dlatego tu jesteście? – zapytałam. – Ponieważ powiedziałam policjantom pracującym przy sprawie restauracji, że nie wiem nic więcej od nich i zanim zapytacie, nie, nie widziałam ani nie kontaktowałam się z wujkiem od tamtego zdarzenia.

Och, i następnym razem jak go zobaczę to go zabiję. Okej?

Comisky potrząsnął głową, wprawiając w ruch pulchne policzki.

- Nie, panno Gracewell, nie dlatego tu przyszliśmy.

Przyjęłam do siebie ducha Valentino i podtrzymałam gładką fasadę.

- Gdzie mieszkasz, Sophie? – zapytał Comisky, dając sobie spokój z formalnością. Jego wielkie szare wąsy dygotały w oczekiwaniu. Szczerze, po co w ogóle ludzie hodują wąsy? Czy chcą wyglądać jak ludzkie teriery, czy może ten wygląd podkrada się do nich z nienacka?

- Z przyjaciółką – odpowiedziałam. – Do chwili rozwiązania roboty papierkowej związanej z opieką. Skoro mojego wujka dalej nie ma... – Wzruszyłam ramionami, po czym postanowiłam spróbować starą sztuczkę ze szczenięcym spojrzeniem, by osłabić aurę sarkazmu.

Medina przykucnął, żebyśmy znaleźli się na tym samym poziomie wzrokowym. Miałam nagłą ochotę wyskoczyć przez okno i uciec do *Eveliny*.

- Panno Gracewell – powiedział ostrożnie – zadam ci teraz pytanie i chcę, żebyś była świadoma, że jeśli nie odpowiesz całkowicie szczerze, to będziesz utrudniać funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości i czekają cię konsekwencje.

Zaczęły mi się pocić ręce. Ścisnęłam je razem i starałam się znieruchomić. W moim mózgu eksplodowały różne teorie. Próbowalam tego nie okazywać. Czy wiedzieli o Libero? Czy wiedzieli, co zamierzałam zrobić w sobotę? Czy Falconowie zostali aresztowani?

- Słuchasz, Sophie? – zapytał Comisky nad ramieniem Mediny. Odepchnął się od biurka i podszedł do mnie ciężkim krokiem. – Słuchasz uważnie tego, co mówimy? – Wyglądał jak bardzo rozgniewany, bardzo tęgi dziadek. Ale nie taki słodki. Bardziej piję-za-dużo-na-spotkaniach-rodzinnych-i-grozę-dzieciom-moją-laską.

- Słucham. – Odchyliłam głowę i zatrzepotałam rzęsami, przygotowując kłamstwo nim jeszcze wiedziałam, co będę musiała powiedzieć. – Proszę pytać.

Medina wysunął się do przodu, podpierając łokcie na kolanach.

- Sophie, czy wiesz gdzie jest twój ojciec?

- Co? – Zmarszczyłam nos. – O czym pan mówi?

- Odpowiedz na pytanie – powiedział.

- To moja odpowiedź.

Medina osiadł na piętach. Podniósł wzrok na Comisky'ego i wymienili się kolejnym niespokojnym spojrzeniem.

- Co się dzieje? Gdzie jest mój ojciec?

Medina wstał.

- Sophie, twojemu ojcu przyznano przepustkę z więzienia Stateville w niedzielny poranek na uroczystość upamiętniającą twoją matkę.

- Tak. – Wiedziałam, że potakuję, ale wszystkie myśli skupiły się na tym, co usiłowali mi teraz powiedzieć i modliłam się, żeby to nie była prawda. Ale czułam, jak ziemia osuwa mi się spod stóp, jak nadciąga na mnie fala tsunami.

- I byłaś z nim widziana na pogrzebie twojej zmarłej matki – dodał Comisky.

- Tak – powtórzyłam.

- Wiemy, że ze sobą rozmawialiście.

- Wie o tym całe miasteczko, to żaden sekret.

- Czy wiesz dokąd poszedł po tej uroczystości? – zapytał Medina.

- Wrócił do więzienia? – podsunęłam. – Tam gdzie miał pójść?

Proszę, powiedz, że wrócił do więzienia.

Proszę, powiedz, że to nie dzieje się naprawdę.

Medina zacisnął usta w cienką, ledwo widoczną linię.

- Nie, Sophie. Twój ojciec nie wrócił do więzienia.

- Miał ze sobą strażnika – powiedziałam, potrząsając głową. – Widziałam go. Był tam przez cały czas. Mój ojciec był pilnowany. Miał strażnika – powtórzyłam, jakby to miało ich przekonać.

- *Miał* to właściwe słowo – odparł Medina. – Ten strażnik leży teraz w szpitalu i dochodzi do siebie po poważnym wstrząśnieniu mózgu... - urwał, wzdychając głośno i dodał: - Bransoleta namierzająca twojego ojca została dezaktywowana i nigdzie nie można go znaleźć.

Spojrzałam na nich otumaniona.

To był żart. To musiał być żart.

- Szukamy go od kilku dni – dodał Comisky.

- I mówicie mi o tym dopiero *teraz*? – zapytałam głośniej niż zamierzałam.

Kolejne ukradkowe spojrzenie.

- Sytuacja jest delikatna – powiedział Medina. – Nie chcieliśmy cię niepokoić dopóki... - zamilkł.

Spojrzałam na niego zmrużonymi oczami.

- Dopóki zdecydowanie nie mogliście go znaleźć i zaczęliście podejrzewać mój udział, prawda?

Przytaknął. – Coś w tym stylu.

- Sophie – odezwał się Comisky, podejmując wątek i był przy tym o wiele bardziej szorstki od Mediny – mówmy prosto z mostu. Chcemy wiedzieć czy go ukrywasz.

Gdzie były potrzebne słowa? Dlaczego nic nie mówiłam? Utknęły w drzwiach obrotowych, napierając, szturchając, próbując wydostać się na zewnątrz. Otworzyłam usta, cały strach zebrał się na moim języku aż w końcu wydobył się ze mnie dźwięk.

I był nim śmiech.

Maniakalny, przerażony śmiech.

- Panowie komisarze – wydusiłam. Poklepałam się po kieszeniach dzinsów dla efektu, udając, że go tam szukam. – Gdzie niby miałabym go ukrywać, do cholery?

- Ty nam powiedz – rzekł Comisky. – Dlatego tu przyszliśmy.

Opadłam na krzesło, odchylając głowę do tyłu, aż widziałam jedynie szare kropki na suficie.

- O Boże – wymamrotałam. – *O mój Boże.*

Zatem wojna krwi szalała dalej i teraz uczestniczył w niej również ojciec, tkwiąc po drugiej stronie okopu krwawej historii i bezwzględnych wendet... dokładnie naprzeciwno mnie.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

CZARNY PIĄTEK

Wieści o ucieczce mojego ojca powitały mnie ponownie, kiedy wróciłam tamtego popołudnia do domu. Wypłynęły ze szczelin komisariatu Chicago i dopełzły do samej *Eveliny*. Teraz rozchodziły się po rezydencji Falconów jak brzydki zapach.

Vince Marino chodził wolno.

A co wiedziała o tym Sophie Marino?

- Nic – protestowałam w kółko. – Nic o tym nie wiem.

Ten obrót zdarzeń przechylił szalę moich warunków życia od „wolnej woli” do „uwięzienia”. Sobota była teraz ważniejsza niż kiedykolwiek, kiedy moja lojalność balansowała niepewnie pomiędzy dwiema mafijnymi rodzinami, a mój ojciec chodził gdzieś tam sobie na wolności. Albo zginie Libero Marino, albo ja.

Nie wychylałam się. Unikałam Luki i spędzałam wieczory w stodole z Nico, strzelając do wszystkiego, co się dało.

Byłam dobra. Byłam gotowa.

W środku byłam przerażona.

Gdy nadszedł piątek miałam wrażenie, że w moim żołądku zamieszkała rodzina piratów i dźgała mnie szablami od środka.

- Czym się tak lękasz? Mamy weekend. – Millie przyglądała mi się oceniająco. To nigdy nie wróżyło nic dobrego i sprawiało, że trzymanie przed nią sekretów stawało się niewiarygodnie trudniejsze.

- Nie wiem – powiedziałam, pocierając się po tępych bólu w brzuchu. – Źle się czuję.

Mruknęła pod nosem.

- Nie, to na pewno coś innego. Czuję, że coś kombinujesz.

Zatrzasnęłam moją szafkę. Moja torba wydawała się cięższa niż normalnie jakby próbowała pociągnąć mnie na ziemię. W jeden weekend miałam zrobić tonę zadania domowego i zabić człowieka.

- Co to było? – Naciskała Millie. – Co za myśl wymalowała się właśnie na twojej twarzy?

- Myślę o moim tacie, to wszystko. – Nie całkiem fałsz, ale zdecydowanie bardziej kłamstwo niż prawda.

- Znaleźli go? – zapytała.

Potrząsnęłam głową.

- Staram się nie myśleć o tym, gdzie mógłby przebywać.

- A tamten adres, który dał ci na pogrzebie? – zapytała Millie. Odkąd jej o nim powiedziałam nie potrafiła przestać o nim myśleć. Nie mogła uwierzyć, że go wyrzuciłam... że zniszczyłam potencjalne koło ratunkowe. Nawet po tym wszystkim była taka ufna wobec człowieka, którego żadna z nas nie знаła.

- Nie – powiedziałam stanowczo. – Mój tata nie uciekłby z więzienia tylko po to, żeby pojechać do innego stanu. Jest z rodziną Marino, czuję to.

- Ugh – jęknęła Millie. – *Dlaczego?*

Przez wojnę krwi – krzyknęłam w myślach. *Bo chce walczyć u boku swojej rodziny.*

- Kto wie? – zapytałam.

Pokręciła głową, wzdychając.

- Co za bałagan.

- Próbuję o tym nie myśleć. Inaczej wpadnę w obłąd.

- Trzymaj się mnie. – Przytknęła głowę do mojej. – Rozweselę cię w ten weekend. Chcesz pójść jutro do kina? Mogę porzucić Crisa. Jestem alfą w tym związku, więc pogodzi się z tym.

- Czarujące. – Na dworze było rześko i zimno. Owinęłam się ciasniej płaszczem i zignorowałam dreszcze. – Ale jutro nie mogę. Mam plany.

- Jakie plany?

- Um... - Gdybym zwlekała choć pół sekundy dłużej zostałamby przejrzana, więc powiedziałam jedyne, co przyszło mi na myśl. – Organizujemy wieczór filmowy.

- Wieczór filmowy. – Millie przystanęła. – Kto dokładnie go organizuje?

- Wszyscy Falconowie. – Naprawdę starałam się brzmieć nonszalancko, ale ten pomysł był *absurdalny*.

- Jasne... - powiedziała, okazując niedowierzanie w zmarszczonych brwiach. – Co to będzie za film?

Wymyśl film. Wymyśl jakiś film. Wyciągnij to kłamstwo z brzegu idiotyzmu.

- *Chłopcy z ferajny* – odparłam. – Będziemy oglądać *Chłopców z ferajny*.

A teraz się ukłoń.

Próbowałam się nie wzdrygnąć.

Millie uniosła brew.

- Chcesz mi powiedzieć, że rodzina wybuchowych gangsterów zbierze się razem w sobotnią noc, żeby obejrzeć film o rodzinie wybuchowych gangsterów...? Poważnie mi to mówisz?

Cóż, teraz nie można było już zaprzeczyć.

Odwróciłam się do niej, podtrzymując kontakt wzrokowy.

- Tak, Millie. Mówię całkowicie poważnie.

Wytrzymaj jej wzrok. Nie odwracaj oczu. Sprzedaj to kłamstwo. Sprzedaj... Trzy, dwa, jeden...

- Huh. – Millie zmarszczyła nos. – Cóż. To jest... szczerze? Po prostu dziwne.

Wyczarowałam cię uśmiechu.

- Nie musisz mi mówić.

- To niedziela?

- Jasne. Niedziela.

Usiłowałam nie myśleć o tym, jak będę czuć się w niedzielę. W ogóle starałam się za dużo nie myśleć, żeby mój żołądek nie pożarł samego siebie z nerwów.

Millie zbiegła po schodach i zostawiła mnie patrzącą za jej długim ciemnym kucykiem, który kołysał się na boki.

Skierowałam się do czarnej terenówki, wrzuciłam torbę do bagażnika i wsiałam do tyłu, gdzie zaskoczył mnie widok dwóch głów Falconów zamiast jednej.

- Cześć? – Bardziej zapytałam niż się przywitałam. – Dlaczego jest was dwóch?

Nico i Dom obrócili się w tym samym czasie, uśmiechając się identycznie.

- Cześć – powiedzieli chórem, a ten dźwięk podniósł włoski na moich ramionach.

- Nastąpiła niewielka zmiana planu podróży – oznajmił Nico.

Dom odpalił silnik.

- Mam nadzieję, że nie miałaś planów na ten wieczór – rzucił przez ramię. – Bo wybieramy się na mały morderczy szal.

Odskokczyłam do tyłu, uderzając głową w zagłówek siedzenia.

- Dzisiaj? Myślałam, że to będzie jutro?

Nico pokręcił głową z nieustannie radosną miną.

- Paulie robił zwiad lokalizacji. Libero przyjeżdża już dziś wieczorem.

- Więc jedziemy już *teraz*?

- Jesteś gotowa? – Wyszczrzył się do mnie w wilczym uśmiechu.

Nie. Nie! Nie!

- Gdzie jest Luca? – zapytałam, czując się nagle bardzo mała w wielkim, do połowy pustym samochodzie. – Myślałam, że on też ma przy tym być?

- Pracuje dzisiaj po drugiej stronie miasta. – Machnął ręką na wymyślonego Lucę daleko stąd. – Poza tym nie będzie potrzeba nas aż tyłu. Libero ledwo równa się z Gino.

Zamrugałam do niego tępo, próbując przyswoić wiadomości.

Przejechaliśmy obok liceum Cedar Hill, moi koledzy z klasy zamienili się w niewyraźne plamy odziane w szaliki. Wracali do domu, by przygotować się na weekendowe imprezy, randki, kolacje z rodzicami, treningi piłki nożnej, filmy albo bezcelowe spacerunki wzdłuż Main Street... a ja wyjeżdżałam gdzieś daleko. Wysunęłam się do przodu świadoma, jaka samotna byłam na tym tylnym siedzeniu.

- Soph – odezwał się Nico. Nim się zorientowałam, obrócił się w miejscu i trzymał moją dłoń na podłokietniku, rysując kółeczka na mojej skórze. – Zbladłaś. Dobrze się czujesz?

Próbowałam rozdzielić myśli, poruszyć ustami, spakować wszystkie uczucia i wepchać do głębokiego dołu.

- Nic mi nie jest – odparłam, oblizując spierzchnięte wargi. – Zróbmy to.

Ścisnął moją dłoń i odwzajemniłam się tym samym, po czym położyłam ją na kolanie z dala od oczywistych zamiarów wypisanych na jego twarzy.

- Tak! – zawołał Dom. – Zróbmy to!

Zwiększył głośność radia, aż zaczęło wibrować całe auto, po czym wdepnął gaz do dechy i wyjechaliśmy z Cedar Hill. Chłopaki śpiewali i zaśmiewali się wniebogłosy, kiedy ja kuliłam się na tylnym siedzeniu, zwalczając ochotę wymiotowania przez okno.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

SYCYLIJSKI POCAŁUNEK

Jak dotarliśmy do miasta było już po zachodzie słońca. Wjechaliśmy na podupadły parking trzy budynki dalej od Sycylijskiego Pocałunku, speluny, w której częstymi bywalcami byli członkowie rodziny Marino. Wyglądała na opuszczoną, kiedy przejechaliśmy obok – okna zabite deskami, odchodząca z drzwi czarna farba i znak: *Wstęp prywatny*.

Gdy zaparkowaliśmy Dom zgasił silnik, odsunął siedzenie i podparł stopy na desce rozdzielczej. Pochyliłam się do przodu i wsunęłam głowę pomiędzy braci.

- Co teraz?

Nico obrócił się tak niespodziewanie, że nie miałam czasu, by się odsunąć. Znajdowaliśmy się parę centymetrów od siebie, kiedy odparł:

- Czekamy na sygnał Pauliego. Ma kogoś w środku. Wchodzimy, jak przyjdzie Libero, żeby dobić targu.

- Rozbroimy go i postrzelimy mu nogi – dodał bez troski Dom. – Wtedy go wykończysz.

Pomasowałam skronie, próbując nie wyobrazić sobie tej sceny. Wszystko to zdawało się zbyt proste. Brutalne, ale łatwe. Za łatwe.

- I naprawdę ujdzie nam to na sucho?

- Z łatwością – odparł z przekonaniem Nico.

Dom zerknął na mnie przez ramię.

- Rozluźnij się – powiedział. – Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

- Ona *uczyni* dziś z kogoś ducha. - Nico uśmiechnął się lekko do Doma.

Patrzyłam na nich, ściągając rysy twarzy.

- Nie wiem jak możecie być tacy... żartobliwi w tej kwestii!

- Rozchmurz się, Sophie – powiedział Dom. – Masz zabić Libero, a nie nastrój.

Nico parsknął śmiechem, po czym zauważył moją gniewną minę i spojrzał na mnie przepaszająco.

- To zwykła trema nowicjusza – powiedział delikatnie. – Nie próbuj się przekonywać, żeby tego nie zrobić. Nie trać opanowania. Libero Marino to gnida. Mówiłem ci, pamiętasz? Nadzoruje handlem ludzi we wschodniej części miasta, bije swoje dziewczyny... dwa lata temu spowodował śpiączkę jednej z nich. Próbował zabić Lucę, kiedy byli nastolatkami. Nie jest dobrym facetem, okej? Zasługuje na to.

Wszystkie te fakty zawirowały w mojej głowie. Nie było tak, że uważałam go za dobrego człowieka, ale nie spodziewałam się, że tak łatwo będzie go znienawidzić. To było niemal zbyt proste, że byłby doskonałym złoczyńcą. Próbowałam wykorzystać to uczucie nienawiści. Będzie mi potrzebne. Będę potrzebować jedynie tej płonącej nienawiści. Ułamek współczucia i wszystko pójdzie do diabła.

- To dla twojej matki, pamiętasz? – dodał Nico, wwiercając we mnie oczy. – To za to, co ci odebrali.

Tak. Miał rację. Dlatego tutaj byłam. Przypomniałam sobie restaurację, pożar, gorąco... dym. To było dla niej.

Nico włączył muzykę w swoim telefonie i zamknął oczy, nucąc pod nosem. Spojrzałam przez przednią szybę na niechlujne graffiti i przelewające się kontenery śmieci. W pobliżu Sycylijski Pocałunek czekał na nasze przybycie, a Libero Marino kroczył ku swojej śmierci. Próbowałam skupić się na muzyce, pozwalając, żeby melodia przeniosła mnie do innego miejsca.

Czas się włóknął.

A potem...

Dom przesunął palcem po ekranie komórki, przeczytał wiadomość, uśmiechnął się do Nico i, tak zwyczajnie jakby włączał swój ulubiony film, oświadczył:

- Czas na przedstawienie.

Siedem minut później wspięłam się po trzech kondygnacjach schodów pożarowych i stanęłam na dachu Sycylijskiego Pocałunku, ściskając pistolet w kieszeni płaszcza, i zęby szczykały mi tak bardzo, iż ledwo słyszałam własne myśli. Według Pauliego w pubie znajdowało się tylko pięć osób: Libero Marino, Eric Cain, właściciel (kapuś Falconów, który ukrył się na parterze) i dwóch kupców Libero, którzy właśnie pokazali się, by dokonać handlu narkotykami.

Weszliśmy na dach przez schody pożarowe, gdy tymczasem Paulie wszedł od frontu. Nico i Dom utworzyli przede mną barierę, stali ramię w ramię w czarnych płaszcach zapiętych pod brodę. Zbiegliśmy prędko po schodach, zostawiając za sobą zimno. Miałam rozgrzaną twarz i oddychałam nierówno. Miałam wrażenie, że mrowi mnie całe ciało. Czułam adrenalinę jak zastrzyk gorącego metalu w krwiobiegu.

Zatrzymaliśmy się w wąskim korytarzu u dołu schodów. Było tu wilgotno i śmierdziało stęchlizną. Mieliśmy przed sobą drzwi z okrągłym okienkiem po środku. Słyszeliśmy głosy z przyciemnionego pomieszczenia z czarnymi ścianami i chwiejącymi się starymi stołami. Ktoś zaśmiał się za drzwiami – odgłos był głośny oraz ostry i skrzywiłam się na jego znajomość. To był Eric Cain, kumpel Jacka. Czy Jack też gdzieś tu jest? A mój ojciec?

Nie. Paulie by nas ostrzegł. Takie miał zadanie i Nico powiedział, że nie bez powodu nazywali go „Duchem”. Zawsze był w pobliżu, zawsze obserwował. Poruszał się niezauważalnie wśród cieni. Nawet jeśli pora zmieniała się w ostatniej chwili, to nie jego źródła. Wmawiałam to sobie w kółko, przypominając ostrzeżenie Nico. *Nie trać opanowania.*

Nico podszedł cicho do okna i zajrzał do środka. Podniósł cztery palce. Dom odciągnął suwak broni. Poszłam w jego ślady, przesuwając po zimnym metalu palcami ciepłymi od adrenaliny.

Nico spojrzał przez ramię, przyciskając jedną rękę do drzwi. Dom patrzył w telefon, odliczając pod nosem. Najwyraźniej Paulie wchodził po przeciwległych schodach.

- Stój w ukryciu dopóki cię nie zawołamy. - Nico pokazał na ciemność za schodami.

Coś się we mnie przebudziło... potrzeba, gniew, podekscytowanie?

- Dajcie mi pójść – szepnęłam. – Nie zostawiajcie mnie tutaj.

Nico pokręcił głową, odrywając już ode mnie uwagę.

- Nie jesteś jeszcze gotowa na tę część.

Nim zdążyłabym zaprotestować czy choćby rozgryźć, czy rzeczywiście *chciałam* zaprotestować chłopaki unieśli pistolety, otworzyli drzwi i zaczęli strzelać. A potem moje stopy również się ruszyły, prowadząc mnie szparą w drzwiach, które zatrzasnęły się za nimi i popychając w kierunku strzelaniny z podniesioną bronią.

Nico strzelił pierwszy i padł Eric Cain, wywracając się na stół i zmiatając z niego szklanki. Wszyscy zaczęli wrzeszczeć i w długim, wąskim pokoju eksplodował chaos. Skupiłam się na Libero jak wycofał się sprzed pistoletu Doma, przewracając między nimi stół. Nagle znikąd pojawił się Paulie i pozbył się pierwszego kupca dwoma szybkimi strzałami w plecy. Drugi kupiec wystrzelił w Nico, ale chybił... o mały włos. Zatoczyłam się do tyłu, kucnęłam za barem i próbowałam w kogoś wycelować – w miotającą się sylwetkę Erica, w stół wykorzystywany przez Libero, jako tarczę. Ale wszyscy ciągle się *ruszali.*

Nie byłam przyzwyczajona do poruszających się celów.

Drugi kupiec został zestrzelony, jego ciało wpadło w konwulsje, jak krew tryskała ze świeżej rany w szyi. Jego noga zadrżała i zaraz znieruchomiała. Pierwszy kupiec również nie żył. Nico wykończył Erica Caina, jego plecy znajdowały się między nami, kiedy wypalił ostatni pocisk, a potem... potem został tylko Libero Marino, kucający jak przerażony szczur po drugiej stronie przewróconego stołu.

Wszystko to zdarzyło się tak szybko. W mgnieniu oka. I teraz nie żyły trzy osoby. W uszach ryczał mój puls. Podniosłam się zza baru, gdzie leżały kawałki szkła w kałużach whisky. Zignorowałam ciała, zwalczyłam ochotę, żeby się im przyjrzeć. Żeby spojrzeć śmierci w twarz i poczuć jak pokrywa mnie lodem. Adrenalina stawiała moje stopy jedna przed drugą, niosąc w kierunku Nico i Doma. Libero miał pusty pistolet. Rzucił nim w nas, kiedy się do niego zbliżyliśmy... trzy anioły śmierci. Wylądował z pustym kliknięciem u moich stóp. Odrzuciłam go kopniakiem.

Paulie znów zniknął na dole, już pracując nad posprzątaniem tego bałaganu.

Stół zasłaniał Libero po szyję, ale nie miał wyjścia i dobrze o tym wiedział. Nie wyglądał nawet na przestraszonego. Jednakże przypominał Sarę. Te szerokie oczy. I dołeczki, jak zauważyłam z bliska, ale tylko dlatego, że tak mocno marszczył brwi i miał rzadszy zarost niż na zdjęciu.

- Wstawaj, Libero – rozkazał Nico. Mierzył pistoletem w czoło Libero. To była jedynie groźba, bo śmiertelny strzał należał do mnie.

- Pieprz się, Falcone! – Libero wbił wzrok we mnie, wykrzywiając nienawistnie usta.
- Zdradziecka suka. Zabijasz z zimną krwią własną rodzinę.

- Uważaj na słowa, Marino. – Dom wystrzelił ostrzegawczo i kula wylądowała w rozdzielającym nas drewnianym stole. Libero nawet nie drgnął, dalej patrzył na mnie.

- Jesteś z siebie dumna? – zapytał śmiertelnie cichym głosem. – Córka Vince'a Marino, tchórz i zdrajca. Będziesz cierpieć, kiedy dobierze się do ciebie moja rodzina. Gdy pokaże się moja matka, wypatroszy cię, a potem Zola potnie cię na małe kawałeczki i będzie słuchać twoich krzyków, dopóki nie stracisz przytomności.

Gdy pokaże się moja matka. Co to miało znaczyć, do diabła? Otrząsnęłam się z paranoi. Próbował wytrącić mnie z równowagi, namieszać mi w głowie. Nico i Dom na to nie reagowali, więc wzięłam ich wskazówkę. Spojrzałam na Libero, próbując przygotować się do tego, co miałam zrobić. Jego nienawiść zdecydowanie pomagała.

Dom odrzucił stół na bar. Libero opadł do przodu na ręce, krztusząc się. Z jego lewego boku ciekła krew i plamiła mu bluzkę. Już wcześniej został postrzelony. Z jego twarzy odpływał kolor i czarna kozia bródka odznaczała się surowo na jego bladości.

Dom i Nico stanęli po moich bokach, i nagle byłam bardzo świadoma, czego musiałam dokonać, na co oni czekali. To było to. Nadszedł czas.

Uniosłam w górę pistolet.

Libero wybuchł śmiechem i wylała mu się stróżka krwi, plamiąc mu wargi na czerwono. Splunął nią pod moje nogi.

- Dali swojej zabawce broń. – Znowu splunął i tym razem trafił w mój but. Patrzyłam przed siebie, koncentrując się na drwiącym uśmieszku, wykorzystując tę nienawiść, żeby napędziła moją.

- Tak – powiedziałam, ledwo rozpoznając własny głos, kiedy podwinęłam wargę. – Dali mi pistolet.

Libero odwzajemnił mój pokręcony uśmiech.

- Z którym z nich sypiasz, zdrajczynie? Przed którym ściągnęłaś majtki? Masz we krwi tyle honoru i godności, a ponizaszesz się w ten sposób. Brzydzę się tobą.

Moja kontrola osłabła, jego słowa przedarły się przez moje mury obronne.

- Zamknij się! – warknęłam. – Nie wiesz, o czym mówisz!

- Sophie – powiedział ponaglająco Nico gdzieś ponad moim ramieniem. – Zrób to. Wykończ go.

- Wykończ mnie! – krzyknął Libero. – Wykończ mnie tak, jak wykończyłaś własną matkę! Nic dziwnego, że nie chciała dłużej żyć na tym świecie. Nic dziwnego, że wbiegła w ten ogień. Z dala od ciebie!

Trzymałam palec na spuście. Świat znieruchomiał. Byliśmy tylko ja, Libero Marino i złośliwa nienawiść płynąca z jego ust, owijająca się wokół mnie, podjudzająca.

- Zamknij gębę – powiedziałam.

- Trzęsie ci się ręka. – Libero odsłonił zakrwawione zęby. – Widzę.

- Sophie – ostrzegł Nico. – On zaraz się wykrwawi.

Rzeczywiście trzęsa mi się ręka. Ale dalej mierzyłam w spocone czoło Libero. Obnażyłam zęby, czując wściekłość wykrzywającą moją twarz.

- Teraz cię zastrzelę – oznajmiłam mu. – I zasługujesz na to.

Jego uśmiech zbladł. Oczy miał wielkie, bardzo wielkie. Dokładnie takie jak Sara. Patrzyłam na jego drżące jabłko Adama, jak przełknął ślinę i prawie go posmakowałam... uczucia strachu. Mroźnego krew w żyłach strachu. Wiedział, że naprawdę zamierzałam to zrobić. A to sprawiało, że czułam się... potężna. Nie byłam sobą i gdzieś głęboko w podświadomości ten fakt mnie przerażał.

- Zabij mnie, tak jak zabiłaś moją siostrę – wybełkotał, szybko opuszczała go energia.
- Czym jest dla ciebie jeszcze jedna zdrada?

Ścisnęło mnie w sercu. Mój palec zadrżał na spuście. *No dalej, Sophie. No dalej.*

- Już, Sophie. – Czułam niecierpliwie się Nico. – Skończ jego gadkę.

Głowa Libero opadła do przodu, jego słabe ciało chyliło się ku podłodze. Wokół było mnóstwo jego krwi. Czułam jej zapach. Podniósł ciężko głowę, patrząc na mnie przekrwionymi i zaszklonymi oczami.

- Zastrzel mnie – powiedział. – Ty pieprzony tchórze.

- Zastrzel go! – zawołał Dom. – Na co czekasz, do diabła?

- Zrób to – nakłaniał Nico.

Więc strzelaj! Zastrzel go!

Zastygłam. Wpatrywałam się tak twardo w jego twarz, że moje oczy zaczynały łzawić. Ta twarz była tak podobna do twarzy Sary Marino. Dołączki mojego ojca. Mój własny strach odzwierciedlający się w jego oczach, który szybko został zamalowany fałszywą brawurą. Czas spowolnił do udręczającego tempa. Wpadła mi do oka kropelka potu.

Zastrzel go. Musisz go zastrzelić.

Drżała mi ręka.

Twoja matka byłaby z ciebie taka dumna.

Zrobiłam następny krok w jego stronę, próbując pchnąć się do czynu.

Zrób to, tchórze. Pokaż mu, że jest w błędzie.

I tak umrze.

Próbowałam nacisnąć spust.

Nie mogę. Nie mogę tego zrobić.

Otworzyły się drzwi za mną i cisza eksplodowała. Usłyszałam ostre, wściekłe wrzaski. Moja uwaga została podzielona. Osłabło mi ramię. Oddychałam krótko i szybko. Opuszczała mnie adrenalina i na jej miejscu pojawiała się panika. Libero wykrawiał się przede mną, a ja nadal miałam wszystkie kule w pistolecie.

Wtem moją rękę nakryła inna, usiłując wyrwać mi broń i usłyszałam w uchu głos Luki, spokojny i natarczywy.

- Oddaj mi pistolet, Sophie. – Drugą dłoń przyciskał do moich pleców. Nie odrywałam spojrzenia od Libero, który siedział zgięty w pół. – Daj mi.

Poczułam w oczach ukłucie ulgi. Rozluźniłam uchwyt i chłodny gładki metal opuścił moją skórę.

- Zabij go! – wrzeszczał do mnie Nico. – Zabij go, Sophie! Musisz to zrobić. Ona musi to zrobić, Luca!

Luca pociągnął mnie do tyłu. Obok mojej głowy przeleciał pocisk, kiedy Dom i Nico krzyknęli razem.

- Donata!

Poczułam wibracje odrzutu Luki, jak pocisk pofrunął w kierunku Libero. A wtedy poprzez mgłę, panikę i huk uderzenia ciała Libero o podłogę nadszedł odgłos krzyków Donaty, kiedy jej kula przeleciała obok mojego lewego ucha.

Odskoczyłam od Luki, zataczając się do tyłu, jak Donata przemaszerowała przez próg z bronią w górze. Jej płaszcz był zapięty po samą spiczastą brodę, włosy miała spięte w ciasnego koka. Jej twarz była pokryta grubym podkładem, oczy podkreślone czarną kredką. Wyglądała jak cień swojej siostry – ostre rysy twarzy i okrutne usta były równie zatrważające, co dzierzona przez nią broń. Jej wargi lśniły czerwienią w półmroku. Luca rzucił się w bok, kiedy strzeliła w przestrzeń pomiędzy nami. Nico złapał mnie za tył płaszcza i pociągnął w kierunku tylnych drzwi, zabierając ze sobą Doma, podczas gdy Luca otworzył ogień na Donatę, ledwo unikając jej następnej kuli. Wycofał się za nami, wykorzystując chwilę, gdy Donata dostrzegła martwe ciało Libero leżące przy barze. Pobiegliśmy sprintem schodami pożarowymi, jak jej wycie wypełniło przestrzeń za nami niczym aria.

- *Il mio bambino! Mio figlio!*

- *Szybko, szybko!* – pośpieszał gniewnie Nico, kiedy weszliśmy w szyk i uciekaliśmy z Sycylijskiego Pocałunku, jakby zależało od tego nasze życie.

Wpadliśmy do parkingu, Luca był na przodzie, a Dom tuż za nim. Nico biegł za mną dla dodatkowej ochrony, jak biegliliśmy do samochodów, mierząc pistoletami we wszystkich kierunkach.

- Będzie miała wsparcie! – zawołał Luca przez ramię. – Miejcie oczy szeroko otwarte!

Wokół nas padały strzały i nie musiałam oglądać się za siebie, żeby wiedzieć, iż Donata wyszła na dach Sycylijskiego Pocałunku, wykorzystując na nas wszystkie kule. Słyszeliśmy, jak wyje do nocnego nieba.

- *Ti scuoiere!* – Strzał. - *E ti ucciderò!* – Strzał. - *Molto Lentamente!* – Strzał.

- Biegnijcie zygzakiem! – ryknął Luca. Zasłoniliśmy głowy i dysząc umykaliśmy przed falą pocisków. Dotarliśmy do SUVa, otworzyliśmy drzwi i rzuciliśmy się do środka, dygocząc. Kula odbiła się od przedniej szyby – kuloodpornej – kiedy Luca wdepnął pedał gazu i wyjechał z parkingu.

Być może na zewnątrz grzmiały wrzaski Donaty, ale słyszałam jedynie drwiny Libero: *Nie podołałaś! Nie podołałaś! Nie podołałaś! Tchórz!*

Wiedziałam, że zginął. Ale już na zawsze pozostanie żywy w mojej głowie, szydząc ze mnie, zatrzymując mnie w momencie, kiedy się zawahałam.

Nie podołałam.

Byłam tchórzem.

A teraz musiałam stanąć przed moją karą.

CZEŚĆ II

„Wszyscy płyniemy tą samą łodzią na wzburzonym morzu.

Jesteśmy sobie winni straszną i tragiczną lojalność.”

G. K. Chesterton, *All Things Considered*



ROZDZIAŁ SZESNASTY

RÓŻNICA ZDAŃ

Nico i Luca siedzieli z przodu w kamiennej ciszy, samochód jechał tak szybko, iż miałam wrażenie, że przekraczamy barierę dźwięku. Dom zajmował miejsce obok mnie, rozmawiając przez telefon z Pauliem, który uciekał do pobliskiej restauracji, żeby przeczekać zasadzkę Marino. Wszyscy dalej próbowali rozgryźć, co poszło nie tak z ich inteligencją, jak mogli nie wiedzieć, że boss Marino zamierzała się pojawić tam gdzie my.

Dom w kółko pytał Pauliego o to samo, jego głos był mieszanką konsternacji i podziwu.

- Co ona tam w ogóle robiła, *do cholery?* – Z tego, co słyszałam Paulie nie miał żadnej dobrej odpowiedzi, ponieważ Dom ciągle powtarzał: - Musiała wiedzieć, że nadchodzimy. *Musiała.*

W końcu wyciągnęli ten sam wniosek.

- Mamy szczura.

Szczura, który zdechnie powolną i bolesną śmiercią, kiedy go wyśledzą.

Próbowałam znaleźć pociechę w fakcie, że Donata nie przybyła z Jackiem. To zdecydowanie ukróciłoby nasze szanse na ucieczkę. Celowo unikałam myślenia o miejscu pobytu mojego ojca, o tym, że równie dobrze mógł wejść do tamtej speluny razem z Donatą.

Jak byliśmy już prawie w *Evelinie* Luca zwrócił się do Nico.

- Powiedziałem, żebyś nie robił tego beze mnie – rzekł śmiertelnie cicho.

Obserwowałam ich profile, kiedy patrzyli na siebie. Nico wyczuwał zaogniającą się furie pod ostrożną postawą Luki, jak my wszyscy. Nico odchylił się od niego, przyciskając głowę do okna. Gdy się odezwał, brzmiał na małego chłopca.

- Ale Valentino mówił...

- Kazałem ci *zaczekać* – przerwał mu Luca.

Nico zamrugał do brata raz, dwa razy, a potem:

- Ale dlaczego?

- Dlaczego? – powtórzył Luca. – *Dlaczego?*

- Donata była niespodzianką. Przecież nie mogłem tego przewidzieć.

- Tak sądzisz? Mówiłem, żebyście nie robili tego beze mnie.

- Miałem wszystko pod kontrolą – odparował Nico. – Ona nie potrzebuje niańki.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Nie potrzebowaliśmy cię, Luca. – W słowach Nico kryła się ostrość. Uderzyły Lucę prosto między oczy, ściągnęły mu brwi. Ale wiedziałam, że to była nieprawda. Ponieważ ja go potrzebowałam. Wszyscy potrzebowaliśmy. Potrzebowałam go nawet teraz. Gdyby go tam nie było, kto wie jaką szkodę wyrządziłaby Donata? Kto wie czy zdołalibyśmy w ogóle uciec?

- Od samego początku to miała być *nasza* misja – dodał z rozdrażnieniem Nico.

- Jasne. – Głos Luki był niebezpiecznie opanowany. – Zatem kto zawałił, Nicoli?

- Co?

- Jeżeli mieliście zrobić to razem, to przypuszczam, że oboje ponieśliście porażkę – powiedział Luca. – Chcesz, żebym tak powiedział Valentino?

Nicowi zrzędała mina.

- N-nie. Oczywiście, że nie.

- Więc co mam powiedzieć, Nicoli? – naciskał Luca. – Co mam powiedzieć Valentino?

Nico rzucił mi przelotne spojrzenie z rozdartym wyrazem twarzy.

- O-ona miała to zrobić, ale nie potrafiła. Zrobiłem wszystko, co musiałem. – Spojrzał na mnie, wykrzywiając szybko usta w przeprasającym geście, kiedy radośnie wrzucił mnie do rzeki kary. – Valentino zrozumie. Da jej drugą szansę. Po komplikacji z Donatą i tym wszystkim... - urwał Nico.

- Zawiedlibyście nawet bez Donaty.

Nico westchnął. Nie zaprzeczył, ale prawda była taka, że Luca miał rację. Tak czy inaczej bym zawiodła. Nie byłam w stanie tego zrobić.

- Valentino zrozumie.

- Czyżby? – zapytał Luca.

Nico otworzył usta, by odpowiedzieć, ale szybko je zamknął. Nie wiedział. Nikt z nas tego nie wiedział.

Luca pozwolił, żeby cisza i panika zawisły w samochodzie, który zdawał się coraz bardziej kurczyć. Potem odezwał się w końcu ledwo słyszalnym szeptem.

- Nie była gotowa. Nie jest gotowa.

- Strzela niewiarygodnie – zaprotestował Nico. – Jej celność jest praktycznie doskonała.

Luca spiorunował wzrokiem brata, marszcząc czoło.

- Nicoli, czy naprawdę sądzisz, że mówię o celności Sophie?

Nico po raz pierwszy popatrzył na mnie, jakbym miała mieć odpowiedź, ale wciąż byłam osłupiała, słuchałam chóru *tchórz, tchórz, tchórz* odgrywającego się w kółko w mojej głowie, czując jak moja własna śmiertelność dudni mocno w piersi. Wrócił spojrzeniem do brata, po czym wzruszył ciężko ramionami.

Luca pokręcił głową, skupiając uwagę z powrotem na drodze.

- Czasami jesteś niesamowitym idiotą.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

CZEKANIE

Ledwo weszliśmy do domu, kiedy Luca, Nico i Dom zostali wezwani do gabinetu Valentino.

Na zdanie relacji z postępów.

O Donacie.

O mnie.

Kazano mi zaczekać na zewnątrz, więc usiadłam na schodach, obgryzając paznokcie do skórek. Nie potrafiłam zadecydować, co byłoby gorsze – siedzenie z nimi w gabinecie, jak opowiadaliby Valentino o wszystkim, co wydarzyło się w Sycylijskim Pocałunku czy siedzenie tutaj samej dopóki boss nie wymyśli dla mnie kary za porażkę.

Usiłowałam nie wyobrazić sobie furii w jego oczach, gdy usłyszał, co się stało.

Zawiodłam. Jestem tchórzem. Jestem bezużyteczna.

Jestem słaba. Jestem nikim.

Czemu sądziłam, że będę do tego zdolna?

Dam radę.

Po nieskończeniu długim czasie zadzwonił mój telefon i zamrugał do mnie numer Valentino. Przycisnęłam rękę do serca i podniosłam komórkę do ucha.

- Przyjdź do mojego gabinetu.

Czy to ta chwila? Czy tak to się wszystko skończy? Dokąd teraz pójde? Jaka była kara za oblanie inicjacji? Nikt mi nie powiedział. Schowałam telefon do kieszeni i wstałam, obracając szyją, by spróbować rozluźnić napięte mięśnie.

Ruszyłam powoli, wsłuchując się w moje ciche kroki na marmurowej posadzce i wyobrażałam sobie siebie, jako kryminalistkę kroczącą na stryczek.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

PIERWSZE KŁAMSTWO

Valentino siedział za biurkiem, przekrzywiając głowę i obserwując mnie kobaltowymi oczami. Wyglądał na dziwnie wypoczętego jak na taką porę, lecz z drugiej strony *on* nie podniósł nawet palca na żadnego Marino, więc czemu miałby być zmęczony?

Luca stał nieruchomo po prawej stronie bliźniaka, jego czarne rękawy były podwiniete do łokci, włosy odgarnięte z twarzy. Felice stał po jego lewej, krzyżując ramiona na klatce piersiowej. Dalej był nienagannie ubrany, a ja tak jakby oczekiwałam, że zobaczę go w dziwnym jedwabnym szlafroku w stylu Hugh Hefnera. Nico i Dom przysiedli razem na parapecie okna. Żaden na mnie nie spojrzał, jak weszłam.

Podeszłam niepewnie do półkręgu zabójców. Nie widziałam żadnej broni. Żadnych ostrożnych postaw. Atmosfera wydawała się... rozluźniona. Uważałam, żeby nie dać jej się omamić. Falconowie doskonale potrafili posługiwać się maskami.

Valentino pokazał na jedyny wolny fotel w gabinecie. Byłam tutaj dokładnie cztery dni temu, wpatrując się w fotografię Libero Marino.

Usiadłam. Spojrzałam na Lucę – usta miał ułożone w twardą linię, zaciskał mocno szczękę. Uniósł rękę i przesunął palcami po wargach, po czym zacisnął je mocniej i całkowicie pozbawił ich koloru.

Nic nie mów.

Zamknęłam usta. Valentino poruszył ręką do Felicego, który obrócił się i otworzył szafkę. Odruchowo zwinęłam ręce w pięści, ale zaraz je rozluźniłam. Dlaczego nikt nic nie mówił?

Felice postawił na stoliku dwie do połowy puste butelki. W jednej był Southern Comfort, w drugiej amaretto. Pochylił się, otwierając szafkę w biurku i wyprostował się, trzymając sześć kieliszków ułożonych w wieżyczkę. Rozłożył je w ciszy i wszyscy mu się przyglądaliśmy, kiedy rozlewał alkohol – najpierw Southern Comfort, potem amaretto.

Valentino pierwszy wyciągnął rękę. Reszta poszła w jego ślady i kiedy pozostał tylko jeden kieliszek, i wszystkie oczy były utkwione we mnie, przysunęłam go do siebie, dziękując wszechświatu za stabilną rękę.

Czy zamierzaliśmy wypić za moją eksmisję?

Valentino uniósł kieliszek do góry, następnie zrobił coś niespotykanego. Uśmiechnął się do mnie. Po raz pierwszy czułam, że to szczerzy gest. I był niezaprzeczalnie oszałamiający.

- Pomyślałem, że trafnie byłoby uczcić to kieliszkiem Sycylijskiego Pocałunku – powiedział, pokazując na trunek w mojej dłoni. – Biorąc pod uwagę dzisiejsze wydarzenia.

Świętowaliśmy?

Spojrzałam na mój kieliszek, wyczuwając słaby aromat wirujących w nim migdałów.

- Nigdy nie piłam – powiedziałam, jakby to było ważne.

Valentino znów się uśmiechnął.

- Dokonałaś dzisiaj odważnego czynu, Sophie. Pozbyłaś się Libero Marino i sementowałaś lojalność wobec rodziny Falcone.

Chwila, co?

Luca zgromił mnie wzrokiem, więc nie przerywałam Valentino.

- Teraz Donata wróci do miasta z twoim wujkiem u boku. Wojna krwi rozpoczęła się na dobre i to my ją wygramy. – Starłam się nie okazywać szoku. Siedziałam tam z kamienną twarzą, kiedy Valentino mnie wychwalał. – Dzisiejszego wieczoru stałaś się prawdziwym *soldato* Falcone, Sophie. Zatem wśród świadków chciałbym wznieść toast i powiedzieć oficjalnie *benvenuta nella famiglia, Sophie*. Witaj w rodzinie.

Raz jeszcze uniósł kieliszek i reszta powtórzyła za nim chórem, wznosząc kieliszki do sufitu, na cześć mnie i kłamstwa. Kłamstwa, które Luca, Nico i Dom wcisnęli swojemu bossowi.

- *Benvenuta nella famiglia, Sophie*.

Wypiliśmy jednocześnie. Wlałam kieliszek alkoholu do ust i pozwoliłam, żeby spłynął ciepły i pachnący po moim gardle. W moim żołądku zapłonął ogień, słaby posmak migdałów wciąż pozostał na moim języku i nie odwracałam wzroku od Luki, tak jak on nie odwracał wzroku ode mnie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

SPADAJĄCE GWIAZDY

Było niewiele po drugiej w nocy i w domu panowała kompletna cisza, kiedy skradałam się ciemnym korytarzem na drugim piętrze. Nim zdążyłabym się od tego odwlec zapukałam do drzwi Luki.

Zero odpowiedzi.

- Luca? – zawołałam cicho.

Dalej nic.

Po minucie czekania postanowiłam zagrać nieczysto. Byłam zbyt zniecierpliwiona, żeby wrócić do swojego pokoju. Byłam zbyt zdenerwowana, żeby przespać kolejną noc bez rozmowy z nim, bez próby pokonania tej dziwnej odległości pomiędzy nami... szczególnie po dzisiejszym wieczorze.

Otworzyłam drzwi, nadal pukając, żeby ostrzec go o mojej obecności. W pokoju było ciemno, jedyne światło dawał księżyc wynurzający się zza okna. Nie potrafiłam nie myśleć o ostatnim razie, kiedy tutaj byłam, o tym jak mocno Luca przyciskał mnie do siebie, jak namiętnie mnie całował. Teraz wydawało się, że minęły setki lat od tamtego zdarzenia.

Pokój był o wiele większy niż zapamiętałam. Wcześniej nie przyjrzałam mu się dobrze. Był jakieś trzy razy większy od mojego z rzędem regałów, biurkiem, dwiema szafami i wielkim łóżkiem. Kremowe ściany zdobiły dzieła sztuki – nieznane mi współczesne obrazy. Na jednym widniał roztapiający się zegar, drugi miał statek składający się z dziwnych motyli. Pomieszczenie było zaskakująco schludne i nawet łóżko wciąż było pościelone.

Jego komórka leżała na stoliku nocnym, na której ekranie pokazywała się godzina. Była 2:13 i nigdzie nie było śladu po Luce Falcone. Okno było szeroko otwarte. Wyjrzałam na zewnątrz gdzie dach podnosił się do góry, po czym zniżał ku dwupiętrowemu dystansowi do ziemi. I tak go znalazłam na skraju dachu, jak siedział z wyciągniętymi nogami i podpierał się na łokciach, patrząc w niebo.

Luca obserwował gwiazdy.

Serio. Co za facet.

Wyszłam przez okno na drżących kolanach aż znalazłam podporę na dachu. Poślizgnęłam się i złapałam się parapetu, przeklinając pod nosem.

Luca uniósł głowę w moją stronę.

- Sophie? – powiedział zdumiony. – Co ty tutaj robisz?

Pomachałam do niego niezręcznie, kucając przed oknem, by odzyskać równowagę.

- Um, oglądam gwiazdy? – odparłam. – Masz coś przeciwko, żebym się dołączyła?

W ciemności nie widziałam jego oczu, ale przekrzywił głowę na bok.

- Jak chcesz.

Przysunęłam się do niego na czworakach.

- To naprawdę nietrudne – zauważył. – Możesz iść normalnie.

- Co jeśli spadnę? – zapytałam przerażona.

- Nie pozwolę ci spaść.

Nareszcie do niego dotarłam. Podciągnął nogi, podpierając przedramiona na kolanach i przyglądał mi się w mroku.

Usiadłam podobnie jak on.

- Cześć – powiedziałam nieznacznie zdyszana.

- Witaj. – Luca odchylił głowę do tyłu i ja również spojrzałam w górę. Niebo było czyste i pokryte tysiącami gwiazd. Tutaj na wsi było pięknie, gdzie żadne latarnie nie skradały naturalnego światła, nic nie przesłaniało blasku gwiazd. Było jasno, magicznie, a ja nigdy wcześniej tego nie zauważyłam. Ponieważ nigdy nie patrzyłam w górę.

- Dziś jest deszcz meteorów – powiedział. – Widziałaś kiedyś?

- Nigdy nie widziałam spadającej gwiazdy – odparłam, wciąż patrząc w niebo z nadzieją, że coś zobaczę. Gdy znów na niego spojrzałam odkryłam, że on także na mnie patrzył. Siedzieliśmy tuż obok siebie, jego palce były tak blisko moich, że gdybym przesunęła się parę centymetrów, dotknęlibyśmy się. Dawno nie byliśmy sobie tak blisko.

- Jesteś na mnie zły? – zapytałam.

- Tak – odpowiedział bez wahania. – Jestem na ciebie zły.

Część mnie chciała zapytać dlaczego, ale już znałam odpowiedź. Teraz byłam inną osobą. Pragnęłam rzeczy, których on dla mnie nie chciał. Pragnęłam zemsty, a on nie potrafił tego znieść. Nie potrafił znieść tego, kim się stawałam.

- Przykro mi – powiedziałam cicho. Nie odważyłam się na niego spojrzeć. Czułam na policzkach żar jego spojrzenia.

- Przykro ci, że byłaś przygotowana na dzisiejszy wieczór, czy że ostatecznie nie zdołałaś tego dokonać?

Popatrzyłam na nasze niemal splecione palce.

- Przykro mi, że nie jestem wystarczająco dobra dla tej rodziny. Przykro mi, że musiałeś tak mocno o mnie walczyć i tylko tyle dostałeś. – Zawahałam się, czekając aż mój głos przestanie drżeć. – Przykro mi, że jestem tchórzem.

Luca pochylił głowę, powodując, że podniosłam na niego wzrok.

Patrzył na mnie spod zmarszczonych brwi.

- Uważasz, że postrzelenie kogoś uczyni cię odważną?

- Nie wiem – powiedziałam. – Wiem tylko, że kiedy nadeszła odpowiednia chwila, nie potrafiłam tego zrobić. Wiem tylko, że oblałam sprawdzian.

- Cieszę się, że oblałaś – stwierdził.

- Musiałeś dla mnie kłamać. Kazałeś im wszystkim skłamać. Kazałeś im okłamać ich bossa.

- Mam to gdzieś.

- Ale nigdy nie okłamujesz Valentino.

- To co innego.

- Czemu?

Patrzył na mnie niewzruszony.

- Po prostu.

- Nie rozumiem – powiedziałam szeptem. – Nie rozumiem, dlaczego zrobiłbyś dla mnie coś takiego.

Luca wykrzywił usta w półuśmiechu.

- Nie – powiedział. – Nie rozumiesz, prawda?

- Żałuję, że tego nie zrobiłam.

- Cieszę się, że nie pociągnęłaś za spust.

- Zadowala cię moje tchórzostwo? – zapytałam.

- Nie jesteś tchórzem.

- Nie jestem Falcone – wytknęłam. – Nie tak naprawdę.

- *Dobrze* – powiedział z zawziętym wyrazem twarzy.

- Jeżeli nie jestem ani Marino, ani Gracewell, ani Falcone, to kim jestem?

Luca nachylił się do mnie, jego oczy płonęły intensywnością.

- Jesteś wolna.

Odsunęłam się od niego, od jego uderzającego zapachu i twardego głosu, podparłam łokcie na kolanach.

- To dlaczego jestem taka nieszczęśliwa?

Luca nie ruszył się z miejsca, jego wzrok mrowił mnie w kark.

- Dopiero straciłaś matkę, Sophie. Musisz dać sobie trochę czasu.

- Nie *mam* czasu. – Rosła we mnie znajoma fala frustracji. – Chcę, żeby zapłacili za to co zrobili, Luca. Wiem, że to słuszne działanie, ale kiedy trzymałam dzisiaj pistolet przy głowie Libero Marino i słuchałam, jak mnie przeklina i podjudza, wyzywa od zdrajczyni... *zamarłam*.

Milczał i nie wiem dlaczego, ale wszystko co czułam zaczęło się ze mnie wylewać.

- Nienawidzę tego, że *zamarłam*. Nienawidzę tego, że nie podołałam. Jest mi tak strasznie wstyd, że nie umiałam tego zrobić, ale kiedy naprawdę zaczynam o tym myśleć orientuję się, że czuję przerażenie, iż część mnie sądziła, że dam radę. Iż część mnie była gotowa pozbawić życia człowieka. Iż część mnie czuła potęgę, kiedy cały przede mną dygotał. Nie wiem, czego chcę. Nie wiem do czego jestem zdolna, ale wiem, że dzisiejszy wieczór był dla mnie porażką.

Luca odwrócił się do mnie twarzą, więc nie mogłam odwrócić wzroku nawet gdybym chciała.

- Pozwól, że ci to odkomplikuję, Sophie. Nie chcesz tego. Przyrzekam ci, że ta ścieżka nie jest ci przeznaczona.

Powróciły do mnie słowa Felicego z tamtego dnia w gabinecie. Czy Luca naprawdę tak myślał czy to była projekcja jego własnych pragnień?

- Skąd wiesz, co jest dla mnie dobre? Nie jestem tobą, Luca. Jestem własną osobą. Chcę, żeby moja matka wiedziała, iż nie umarła na próżno. Chcę zaakceptować to życie, krew płynącą w moich żyłach. Nie chcę być skazana na samą siebie.

Luca przycisnął ręce do oczu, wsuwając palce we włosy.

- Mylisz się, Sophie. Jesteś w tak głębokim, nieznośnym błędzie, a ja nie wiem jak ci to pokazać. I to mnie tak wkurza, że mam ochotę krzyknąć.

- Dlatego ciągle mnie unikasz – powiedziałam. – Rozumiem. Nie wierzysz, że nadaję się do tego życia. Uważasz, że nie jestem do niego zdolna.

Odsłonił twarz.

- Co?

- To prawda – powiedziałam, a frustracja zamieniała się w gniew. – Myślisz, że przez przypadek postrzelę samą siebie albo dźgnę się nożem, albo że nie jestem dość silna albo dość mądra, żeby robić to samo, co twoi bracia. Wiem, że uważasz, iż nie nadaję się do tego i nie podoba ci się, że w ogóle się staram, ale muszę. Nie obchodzi mnie czy jesteś przez to na mnie zły – skłamałam. – Nie obchodzi mnie, jeśli we mnie nie wierzysz.

Potańił się bardzo powoli po skroniach i patrzyłam, jak zapanowuje nad swym gniewem. Potem oświadczył, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie:

- Oczywiście, że w ciebie wierzę.

- Co?

- Wierzę, że jesteś mądra, zabawna, odważna i zdeterminowana. Wierzę, że jesteś lojalna i zycliwa. Wierzę, że jesteś dobrą osobą, w sercu i duszy. Ale co do jednego masz rację. Nie wierzę, że jesteś zabójczynią. Nie sądzę, że zdołasz kogoś zabić i pogodzisz się z tym. To nie jest obelga, Sophie. Nie jest obelgą fakt, iż wierzę, że jesteś zbyt dobra i zbyt miła, żeby kogoś skrzywdzić nieważne jak ta druga osoba skrzywdziła ciebie. Że masz o wiele za duże serce. Że masz głęboko zakorzenioną empatię. *Dlatego* właśnie w ciebie wierzę. Wierzę w ciebie mocniej niż potrafię to opisać, a ty oczekujesz, że będę stał z boku i patrzył, jak niszczysz się przede mną? Oczekujesz, że pozwolę ci wymierzyć pistoletem w Libero Marino i będę krzyczeć, żebyś go postrzeliła?

Naprawdę zadawał mi pytanie, czekał na odpowiedź.

- Chcę, żebyś pragnał tego samego, co ja – powiedziałam powoli. – Chcę, żebyś mnie wspierał...

- Nie – powiedział. – Nie będę cię podzegał i nie dam ci pistoletu do ręki. Nie wezmę cię na strzelnicę i nie będę chwalił cię za twoją wspaniałą celność. Nie będę ci opowiadać, jaka możesz być cudowna ani ilu zdołasz zamordować Marino, jeśli naprawdę się do tego przyłożysz. Nie będę narażał cię na niebezpieczeństwo ani klaskał, jak będziesz strzelać. Odbiorę ci pistolet i powiem, że jesteś tysiąc razy lepsza bez niego. Zawsze będę ci zabierał broń, Sophie. Zawsze będę ci mówił, że jej nie potrzebujesz. Zawsze będę cię wspierał, ale nigdy nie wesprę tego. *Nigdy*. – Przesunął ręką po czole, odgarniając włosy z twarzy. – Zawsze udaje ci się mnie podburzyć – powiedział gorzko.

Przez cały ten czas myślałam, że stawiał się na piedestale, ale to mnie na nim postawił. Uważał mnie za lepszą od niego – od jego życia, od jego rodziny – ale nie byłam.

- Jesteśmy tacy sami – powiedziałam. – Mamy w żyłach taki sam rodzaj krwi. Jak możesz mówić mi to wszystko, a nie mówić tego sobie? Jak możesz oczekiwać, że wezmę to sobie do serca, kiedy jest to powiedziane z taką hipokryzją? Gdybyś naprawdę wierzył, że twoja rodzina jest tak okropna, to byś odszedł. Wiem, że jesteś wystarczająco silny.

Luca pokręcił głową.

- To nie to samo.

- Czemu nie?

- Dla mnie jest za późno. Dokonałem już zbyt wielu ohydnych rzeczy. Od tego nie ma ucieczki.

Położyłam się na dachu, ogarnęła mnie fala wyczerpania. Czy on nie widział, że moja sytuacja była podobna? Czy nie widział, że czułam to samo? Sprzeczenie się z nim o to było bez sensu. Nigdy nie dojdziemy do porozumienia i prawda była taka, że okłamałam Valentino, żeby mnie tu zatrzymać – co znaczyło, że zostawałam.

- Jestem zmęczona, Luca. Mam dość tej rozmowy.

Luca ułożył się obok mnie.

- Wiem – powiedział. – Ja też jestem zmęczony.

Przywitaliśmy ciszę i wytchnienie, które przyniosła ze sobą. Nie był moim wrogiem ani ja nie byłam jego wrogiem. Problem tkwił w naszym świecie, w którym utknęliśmy oboje. Leżeliśmy obok siebie, w impasie, ale nie chcąc się rozdzielać. Moja broda ocierała się o jego bark. Nasze ramiona rozciągały się koło siebie, mój mały palec muskał jego palec. Brakowało mi ulotnej bliskości, której kiedyś zaznaliśmy, nie potrafiłam powstrzymać się od zastanawiania czy jeszcze kiedykolwiek znowu ją poczujemy.

- Opowiedz mi o życiu, jakie byś miał – powiedziałam do wielkiej przestrzeni nad nami. – Opowiedz mi, kim byś był, gdybyś nie był Falcone.

Nigdy wcześniej nie zagłębiałam się tak głęboko i nie wiedziałam czy Luca mi to przyzwoli. Ale znowu panowała cisza, a ja chciałam po prostu porozmawiać, spędzić z nim czas, nawet jeśli konwersacja była hipotetyczna, nawet jeśli nie miała większego znaczenia.

- Poszedłbym na studia. – Jego oddech tworzył mgiełkę nad nami. – Studiowałbym astrofizykę. Zostałbym największym *kujonem*. – Przedrzeźnił mój głos przy ostatnim wyrazie. – W dzieciństwie niczego bardziej nie pragnęłam jak zostać astronautą.

- Czy miałeś na suficie te samoprzylepne gwiazdki świecące w ciemności?

- Oczywiście – odparł. – Jak każdy początkujący astronauta.

- Więc co się stało? Nie uważałeś się za wystarczająco mądrego? – zapytałam przekornie.

- Och, jestem zdecydowanie wystarczająco mądry, Sophie. – Zaśmiał się razem ze mną. – Po prostu nie spodobała mi się myśl, że musiałbym jeść przez kilka miesięcy tekturowe jedzenie. Jak miałem siedem lat mój tata kupił mi na urodziny gwiazdę. Przyszła ze wszystkimi określonymi współrzędnymi i certyfikatem z moim imieniem, i czekaliśmy aż się ściemni, żeby znaleźć ją przez teleskop.

- Oczywiście miałeś teleskop – wtrąciłam.

Dostrzegłam u niego uśmieszek.

- Znaleźliśmy gwiazdę – Gwiazdę Gianluki Falcone – i tata pomógł mi uzyskać współrzędne i nareszcie rozjaśniła tuż przede mną. Kiedy odsunąłem się od okularu, poklepał mnie po plecach i zapytał, co o niej myślę.

Mimowolnie przeturlałam się na bok i podparłam głowę na ręce, żeby lepiej go widzieć. Lubiłam na niego patrzeć jak coś opowiadał. Po pierwsze, ponieważ był niemożliwie przystojny i po drugie, ponieważ cała jego twarz lśniła, gdy mówił.

- I? – naciskałam.

Spojrzał na mnie z ukosa, a na jego ustach pojawił się uśmiech.

- Odwróciłem się do ojca, który wydał tyle pieniędzy na ten wspaniałomyślny, unikalny prezent i powiedziałem... - Odchrząknął i próbował dobrze naśladować swój dziecięcy głos. – „Tato, czy masz świadomość, że światło tej gwiazdy potrzebuje wielu lat, żeby dotrzeć do ziemi, więc w rzeczywistości najprawdopodobniej już zredukowała się do kłębków kurzu i popiołu, zatem teoretycznie mówiąc ten prezent jest martwy, stąd też bezużyteczny?”

- O rany – mruknęłam, przewracając się na plecy i zaśmiałam się ciepło. – Przypomnij mi, żebym *nigdy* nie kupowała ci prezentu.

- Tylko upewnij się, że to będzie *prawdziwa* gwiazda, a nie jej wspomnienie – odparł. – Na swoją obronę powiem tylko, że miałem siedem lat. Nie znałem konwencjonalnych reguł przyjmowania prezentów. Myślałem, że wiem wszystko.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

- Cóż, jedyna różnica polega na tym, że teraz rzeczywiście wiem wszystko.

- Co jeszcze? Co jeszcze byś robił?

Jego uwaga znów była skupiona na gwiazdach.

- Zwiedziłbym Machu Picchu i przewędrowałbym szlakiem Inków, przejechałbym Drogą 66 starym camaro na skromnym budżecie. Studiowałbym renesans we Florencji,

spałym pod zorzą polarną na Islandii... - zamilkł i poczułam to tak samo, jak on – podkradający się do nas smutek. *Naprawdę* to przemyślał. Kim by był, czego by dokonał. Szepty nieprzeżytego życia, niespełnionych marzeń. Bolało mnie w głębi serca, że nigdy nie będzie miał tych rzeczy – rzeczy, które rozpały iskierki w jego oczach i sprawiały, że znowu uśmiechał się jak mały chłopiec.

Leżeliśmy razem pod gwiazdami i melancholią, i starałam się wymyślić coś, co polepszy mu nastrój, webrnąć w tę ciemną, pustą przestrzeń wewnątrz mnie, żeby wyciągnąć dla niego iskierkę światła, ale nic tam nie odnalazłam, jedynie nicość, strach i gniew.

Przewrócił się na bok, ocierając się o mnie całym ciałem i spojrzał na mnie z góry.

- A ty, Sophie? Co ty byś zrobiła?

Pragnęłam zrobić milion rzeczy... kiedyś odgrywałam je w kółko zanim ustąpiły miejsca koszmarom.

- Jak byłam mała, mój wujek zabierał mnie do miasta do Oriental Theatre ilekroć pokazywali tam nowy musical. – Pośpieszyłam dalej, myśląc o moim starym wujku Jacku jak o osobnej jednostce do tego kim naprawdę był – Antonym Marino. – W ciągu roku obejrzałam cztery razy *Wicked*. I *Billy Elliota*, i *Aladyna*, wszystkie te cudowne historie powołane do życia i pamiętam jak sobie myślałam w wieku ośmiu lat, że jeśli miałam robić coś przez resztę życia, to właśnie to. Historie. Pracowałabym przy filmach albo musicalach, za kulisami, łącząc to wszystko ze sobą. Byłabym producentką albo reżyserką, albo mogłabym przez cały dzień radośnie trzymać mikrofon. Chciałam po prostu w tym uczestniczyć. W czymś większym ode mnie. – Mój oddech przyśpieszył i podniecenie tej przemowy zarumieniło mi policzki. Nie zdawałam sobie sprawy, że się uśmiecham i Luca znajdował się tak blisko mnie, że widziałam rozciągającą się bliznę nad jego wargą, gdy odwzajemnił mój uśmiech.

- Co jeszcze? – zapytał, nachylając się bliżej. – Co jeszcze byś robiła?

- Poleciałabym do Anglii, żeby zobaczyć gdzie dorastała Millie. Poszłabym do Pałacu Buckingham i na West End. Millie twierdzi, że tam odgrywają *Wicked* z brytyjskimi akcentami. Czy to nie dziwne? – Nie czekałam na odpowiedź. – Albo obejrzałabym *Upiora w operze*. Nigdy go nie widziałam, a to było ulubione przedstawienie mojej mamy. Miałyśmy na to pójść, ale... - urwałam.

- Coś jeszcze? – zapytał łagodnie.

- Wiesz, iż sądzą, że w Dolinie Królów w Egipcie pozostało jeszcze wiele nieodkrytych grobowców? Wyobraź sobie, gdybym jeden odkryła? Byłabym sławna.

Luca wybuchnął śmiechem, owiewając nas ciepłym powietrzem.

- To się robi dość wyszukane... nawet jak na twoje standardy.

- Nie udawaj, że nie chciałbyś zobaczyć piramid.

- Jasne, że bym chciał – powiedział, pochylając się rozpraszająco blisko. – Może w tej wersji mógłbym pojechać razem z tobą...

Próbowałam zignorować zapach jego wody kolońskiej oraz żar jego napierającego na mnie ciała.

- Pewnie po drodze dostałbyś choroby lokomocyjnej.

- Ty dostałabyś pewnie oparzenia słonecznego.

- A ty spędziłbyś cały czas na czytaniu głupiej poezji. Albo przeczytałbyś po raz piętnasty *Iliadę*.

- No popatrz, znasz tytuł prawdziwej książki. Jestem pod wrażeniem.

Uderzyłam go w ramię.

- Wyrzucam cię z mojego marzenia.

Ponownie się roześmiał, ale tym razem czaiło się w tym coś innego, cień empatii, zrozumienia.

- No cóż – powiedział, odchylając się ode mnie. – Prawdopodobnie i tak nic by z tego nie wyszło.

Ułożyłam głowę obok jego głowy. Ekscytacja znowu rozplynęła się w powietrzu i okrył nas koc rzeczywistości. Westchnęliśmy razem.

- Zabiłem dziś człowieka, Sophie – powiedział Luca.

W tym oświadczeniu kryło się znaczenie. Nie istniało żadne inne życie oprócz tego. I jego kość została już rzucona.

- Czuję się ociężale – powiedział cicho. – Czuję się ociężale w środku.

- Wiem – powiedziałam delikatnie. – Przykro mi. – *Było* mi przykro. Żałowałam, że nie zdołałam tego zrobić; że musiał wziąć ode mnie ten ciężar i że był przez to smutny w głębi duszy.

Wyczułam w ciemności jego rękę. Rozłożył palce i splótł z moimi.

W górze gwiazda przecięła niebo jasnym białym paskiem.

- Spójrz – powiedziałam. – Spadająca gwiazda.

- Mmm – mruknął nisko Luca. Kolejny błysk, tym razem po lewej stronie. – Następna – powiedział, ściskając mocniej moją dłoń i pokazując na gwiazdę drugą.

- Wypowiadasz życzenia jak spadają? – zapytałam.

- Dawno tego nie robiłem – odparł. – Gdy byłem mały, leżałem tutaj ciągle z Eveliną i patrzyliśmy na gwiazdy. Ona nauczyła mnie konstelacji. Opowiedziała mi ich historie. Kiedyś wypowiadaliśmy życzenia.

- Brzmi na fantastyczną osobę.

- Była fantastyczna. – Jego głos się zmienił, słowa nabrały szacunku. – Cały czas o tym mówiła... o możliwościach. Nie widzisz ich, nie możesz dotknąć, ale musisz je ścigać. Kazała mi je ścigać bez względu na wszystko... - urwał i poczułam opływający nas smutek niczym wzbierająca woda. Postanowiłam utrzymać nas na powierzchni.

- Pomyślmy teraz życzenie – powiedziałam łagodnie. – Ku jej pamięci.

- Dobrze – powiedział po krótkiej chwili. – Pomyślmy życzenie.

- Dobrze – powtórzyłam, również się uśmiechając, kiedy zaczęło spadać więcej gwiazd.

Zostaliśmy w tym miejscu przez długi czas, obserwując niebo rozbłyskające srebrnymi pasami.

Wypowiadałam bezgłośnie życzenia przy każdej spadającej gwiazdzie i wszystkie życzenia były dla niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

KLIKNIĘCIE

Niedzielnego poranka we wszystkich gazetach pisano już o „gangsterskim” morderstwie Libero Marino. Jego brat Marco wydał mroźące krew w żyłach oświadczenie w imieniu rodziny. Szukali zemsty i chcieli, żeby wiedział o tym cały świat. Chcieli, żebyśmy *my* o tym wiedzieli. Millie zadzwoniła, żeby powiedzieć mi, że piszą o tym na Twitterze. Udałam zaskoczenie i powstrzymywałam się od prawdy dopóki się nie rozłączyła.

Wieści rozeszły się po wszystkich, ale *Evelina* pozostała na szczęście wolna od policji. Wiedziałam, że zatarliśmy po sobie ślady, ale nadal nie potrafiłam zrozumieć jak chłopaki unikali przesłuchań. Wszyscy znali krwawą historię pomiędzy Falconami i Marino. Na początku sądziłam, że może policja jest fatalna w swojej pracy, ale stało się jasne, że kiedy dwa klany mafijne są w stanie wojny, lepiej jest przymknąć oko i pozwolić, żeby kryminaliści powybijali się nawzajem. Tak powiedział mi Paulie. Dopóki nie zabijano niewinnych, wykonywaliśmy za nich miastową robotę.

Przez całą noc wpatrywałam się w myślach w twarz Libero i postanowiłam, że zjedzenie płatków o siódmej rano w niedzielny poranek będzie lepsze niż starania zignorowania mentalnej mantry „*Zdrajczyni! Zdrajczyni! Zdrajczyni! Porażka! Porażka! Porażka!*”.

I tego okropnego pytania, które pulsowało niepokojąco w mojej głowie: *Jak zastrzelisz Jacka? Jak pomścisz swoją matkę?*

Wmawiałam sobie, że to coś innego. Nie znałam Libero. Nigdy nie skrzywdził mnie bezpośrednio. Jego jedynym przestępstwem było podobieństwo do Sary i jego twarz przypominała mi, jak bardzo ją zawiodłam. Nie mogłam go zastrzelić, ponieważ to byłaby kolejna zdrada. Byłam dłużna Sarze... przekonywałam się, że to dlatego się zawahałam.

Z drugiej, bardziej krwawej strony, zdecydowanie chciałam zastrzelić Jacka. Rozciąłam mu oko bez najmniejszego zastygnięcia, więc kiedy się pojawi nie będzie żadnego problemu. Powtarzałam to sobie bez końca, mając nadzieję, że jeśli powiem to wystarczająco wiele razy to w końcu stanie się prawdą.

Zjadłam dwie miski Lucky Charms i zmyłam naczynia, ciesząc się poranną ciszą. Rozważałam nawet przeczytanie książki w bibliotece, żeby oderwać się od wszystkiego. Chciałam gdzieś się zaszyć – przynajmniej przed Valentino – gdy kłamstwo wsiąknie mi do kości i zacznę wierzyć, że zasługiwałam na bycie tutaj. Ruszyłam korytarzem, doceniając ciszę póki trwała. Za jakieś dwie godziny Dom i Gino będą robić

wystarczająco dużo hałasu na małą salę koncertową i pewnie Nico zacznie mnie szukać na więcej treningów strzelania.

Przeszłam korytarzem, podążając za słabymi odgłosami przemykającymi przez budynek. Zatrzymałam się z ręką na uchylonych drzwiach do salonu i leciutko je pchnęłam. Łatwo uległy pod naciskiem i zajrzałam do środka.

Felice siedział zgięty w pół, skrywając usta palcami.

Paulie przysiadł obok niego na podłokietniku kanapy, trzymając jedną rękę na plecach brata.

- ...raz po raz. Musisz pozwolić mu przewodzić tak, jak mu się podoba.

Felice obrócił głowę, jego głos ociekał jadem.

- To dziecko, Paulie. On wykolei tę rodzinę.

Paulie westchnął. – Zabicie Libero to była słuszna strategicznie decyzja. A jak zrobiła to jeszcze Marino... no cóż.

- Nonsens – wypluł Felice. – Wszystko jest skończone. Jego *soldati* są owinięci w watę... wszyscy jesteśmy zabarykadowani w tym samym miejscu.

- Myślę – powiedział Paulie, klękając teraz, żeby spojrzeć prosto na Felicego – że może pozwalasz sobie teraz na trochę za wiele.

- *Stai zitto* – syknął Felice niczym grzechotnik. – Wiesz, dlaczego piję. – Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. – Nienawidzę. Tej. Pory. Roku.

- Wiem, że to dla ciebie trudne, ale alkohol w niczym nie pomoże – powiedział Paulie. – Nie jesteś zły na Valentino.

Felice zbył słowa Pauliego machnięciem ręki, niemal uderzając brata w policzek.

- Wściekasz się, bo cię zostawiła – dodał łagodnym tonem Paulie.

- Powiedz to – powiedział Felice, patrząc na kominek gdzie stała fotografia jego i Eveliny, na której śmiali się i opijali się szampanem w dzień ślubu. Cofnęłam się przyciskając się do ściany, żeby pozostać w ukryciu za drzwiami. – Powiedz resztę.

- Bracie...

- Ona nie wróci. – Przeklął. – Nigdy nie wróci.

- Minęło sporo czasu.

Jak dawno temu została mu odebrana? Jak długo trwało złamane serce? Pomyślałam o własnej żałobie, o jej ciągłej obecności na krawędziach świadomości. Nie zmniejszyła się; po prostu do niej przywykłam. Była teraz częścią mnie – plamą smutku. Może za pięć

lat będę taka sama, jak Felice. Dalej rozgniewana, dalej powątpiewająca... dalej szukająca zemsty. Jego maska była prawie idealna. Może moja również taka będzie.

- Chcę zobaczyć moje dziecko – powiedział Felice.

- Patrz w przyszłość.

- Wybudowałem jej pałac – mówił dalej Felice. Jego głos wibrował emocjami – dziwnie było widzieć go takim bezbronnym, zajrzeć pod tę starannie wypolerowaną fasadę. – Podarowałem jej cały świat, a ona odeszła z niego bez żadnego pożegnania.

- Patrz w przyszłość – powtórzył Paulie, ściskając ramię brata, ale Felice nawet na niego nie patrzył, wbijał wzrok w swoje kosztowne buty.

- To wina Angelo – rzekł cicho.

Stłumiłam ręką gwałtowne sapnięcie. Czy wiedział, że Evelina nie żyła? Czy naprawdę sądził, że zabił ją jego własny brat? Gdyby tylko znał prawdę. Gdyby wiedział o moim tacie, seffie albo pierścionku...

Nakazałam sobie wyjść, zabrać się w pieruny z tego pokoju zanim przyłapie mnie na szpiegowaniu, ale nigdy nie widziałam Felicego w takim... bezbronnym stanie i byłam tym zahipnotyzowana.

- Wiem, że pomógł jej odejść. Wiem, że ją przekonał.

- Nie. – Paulie kręcił głową. – Nie zrobiłby ci czegoś takiego.

- Nigdy się nie dowiemy – powiedział gorzko Felice. – Nigdy się nie dowiemy, co z nią zrobił.

- Gadasz bez sensu.

- Swoje wiem. Angelo był wężem.

Coś zimnego rozlało się po moim karku. Felice nie mówił o Angelo jak o swoim bracie... ale jak o wrogu. Zaczynałam się zastanawiać jak głęboko sięgała jego uraza i czy czuł się tak samo w noc, kiedy patrzył jak został postrzelony. Czy to dlatego nie zainterweniował?

- Był twoim bratem, lojalnym tobie.

- Gdyby był lojalny, to ja byłbym jego zastępcą, nie jego bezużyteczny... - Felice powstrzymał się, przetykając obelgę. – Angelo zniszczył perspektywy tej rodziny na długo przed tym, jak dał się zabić.

- Ostrożnie – powiedział ostrzegawczo Paulie. – Doprowadź się do porządku. Spróbuj się przespać. Nie pozwól innym usłyszeć, jak mówisz w ten sposób.

- Dlaczego? – Felice wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć. – Bo jego małe gnojki dowodzą tą rodziną? Przyjmują przybłędy i narażają nas na niebezpieczeństwo, a ja mam się martwić wyrażaniem oczywistej opinii...

- Dosyć! – warknął Paulie, tracąc resztki opanowania. Chwycił brata za ramiona i potrząsnął nim. Nie mogłam sobie wyobrazić, że zrobiłabym coś takiego Felicemu; odrąbałby mi głowę. – Weź się w garść.

Felice odepchnął brata. Jego garnitur był zmięty, spodnie podwinięte na dole.

Paulie przeszedł przez pokój, zatrzymując się w drzwiach prowadzących bezpośrednio do gabinetu.

- Zamierzam się zdrzemnąć, a popołudniu przyjadą dziewczynki. Zbierz się do kupy zanim inni się obudzą. Nie będę cię dłużej niańczył. – Zniknął, zamykając za sobą drzwi z cichym łomotem.

Felice uniósł głowę tak niespodziewanie, że nie miałam czasu, żeby odskoczyć do tyłu. Spojrzeliśmy sobie w oczy i zerwał się na nogi tak szybko, że stał się jedną wielką plamą srebrzystych włosów i pajęczynowych kończyn. Zatoczyłam się do korytarza, kierując się do pierwszego dostępnego pokoju, który uda mi się znaleźć.

Byłam w połowie drogi do biblioteki, kiedy zostałam szarpnięta do tyłu, moje stopy ciągnęły się po podłodze, jak starałam się zachować równowagę. Felice odwrócił mnie i wepchnął do alkowy w korytarzu, jego lewa ręka miażdżyła mi tchawicę.

Złapałam jego palce.

- Zostaw mnie!

- Podśluchujemy, Marino? – Zacisnął mocniej rękę i wepchnął mnie dalej do wnęki, dopóki nie padły na nas cienie.

- Nie wiem, o czym mówisz! – wydusiłam. – Próbuję tylko odrobić pracę domową!

W jego oddechu był silny powiew whisky. Podwinął wargi, obnażając lśniące zęby niczym kły.

- Nie ufam ci za grosz, Persefono.

Zamrugałam głupio, próbując okazać niewinność.

- Pałetasz się po tym domu, jakbyś tutaj pasowała, jakby te podłogi były twoje do przemierzania, ale one do ciebie nie należą, tak jak ta rodzina. Zawsze będziesz dla nas *outsiderem*.

Gdybym nie koncentrowała się tak mocno na wciąganiu maleńkich cząsteczek powietrza do obolałej tchawicy, powiedziałałabym coś o jego spaczonych lojalności, ale nie mogłam wymusić tych słów.

- Nie wiem, co się działo w gabinecie Valentino w piątkowy wieczór, ale jeśli myślisz, że wierzę w wymyśloną gadkę Luki na temat Libero Marino to bardzo się mylisz. – Rozluźnił ociupinkę uchwyt i nabrałam świeżego powietrza. Myślałam, że mnie wypuści, ale zamiast tego wyjął pistolet z marynarki, podniósł i przycisnął lufę w miejsce pod moją szczęką. Mój język przylgnął do podniebienia.

- Jeśli chodzi o mnie, Persefono Marino, nadal jesteś dla mnie aktywnym zagrożeniem. – Pistolet odcinał mi zapas tlenu. Felice miał oszalały wzrok, jego wargi drgały gwałtownie. Nawet ręce mu się trzęsły. – Jeśli choćby *rozważasz* piśnięcie komuś słówkiem o *czymkolwiek*, co *wydaje* ci się, że właśnie usłyszałaś, czeka cię śmierć z moich rąk. Zapamiętaj moje słowa, pokażę ci głębię mojego gniewu, jeśli tylko wysuniesz się paluszkami z szeregu.

Zastygłam w miejscu, moje tętno dudniło przy zimnym metalu, starałam się nie poruszyć żadnym mięśniem. Mogło go sprowokować każde niewłaściwe posunięcie, niewłaściwe słowo. Prawda była taka, że był szaleńcem – pijanym i rozkojarzonym. Gdyby zechciał zabiłby mnie z miejsca i zdołałabym wydusić z siebie jedynie pół zduszonego krzyku.

- Nigdy nie przestanę cię obserwować, Persefono. – W kącikach jego ust pieniała się ślina, oddychał ciężko. – Jeśli zamierzasz podkopać mnie w jakikolwiek sposób albo uczynić coś, co zagrozi tej rodzinie wpakuję ci kulkę w łeb. – Przycisnął mocniej lufę i zakrztusiłam się, usiłując wessać powietrze. Czułam, że zaraz stracę przytomność.

- Właśnie tak – wyszeptał Felice.

Kliknięcie było głośne niczym wybuch bomby. Poniosło się echem we wnęce i stawało się coraz głośniejsze w mojej głowie.

Nic się nie stało. Nie miał kul. To było ostrzeżenie.

Obnażył wszystkie zęby – ten uśmiech rekina, pełen złowrogiego rozbawienia – a choć był szkaradny, prawie zemdlałam z ulgi.

Wtem rozległ się kolejny dźwięk. Felice zastygł, nie odrywając pustego pistoletu od mojej szyi, jak ciasną przestrzeń wypełnił odgłos odciąganej kurki. Obok głowy Felicego pojawił się czarny pistolet, nacisk lufy pomarszczył skórę na jego skroni.

Jego twarz przybrała barwę widmowej bieli.

Luca wszedł do alkowy i przyłożył usta do ucha swojego wuja.

- Twój pistolet może być pusty, *scarafaggio*, ale ten jest załadowany – warknął. – Jeśli jeszcze kiedykolwiek będziesz jej groził, rozwalę ci mózg.

Uśmiech rekina wyparował i twarz Felicego pochłonął prawdziwy, mrozący krew w żyłach strach. Wybałuszył oczy. Luca przyciskał pistolet do głowy wujka i Felice powoli

odsunął swoją broń od mojej szyi. Moja szczęka wskoczyła z powrotem na miejsce, a po gardle spłynęło chłodne powietrze. Połknęłam je łąpczywie. Felice zwrócił się do Luki, nie odrywając ode mnie szarych oczu.

- A więc, Gianluco – powiedział, podwijając wargę. – Istnieją pewne rzeczy, które uważasz na tyle godne, że mógłbyś dla nich zabić.

Odpowiedź Luki przyszła w jednym spokojnym wydechu.

- Tylko jedna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

ZADANIA DOMOWE I KARABINY

Następne tygodnie opierały się na niekończących się zajęciach, stercie prac domowych, wieczornych rozmowach telefonicznych o zbliżającym się Balu Maskowym i spotkaniach w *Evelinie*, gdzie poznawałam imiona każdego istniejącego Marino i patrzyłam jak Falconowie znikali w różnych porach dnia, wracając w środku nocy. Przeszukiwali w mieście ulubione miejscówki Donaty, zbierając informacje, zamieniając sprzymierzeńców Marino w kapusiów, pozbywając się tych, których nie dało się przekonać. Dom był ruchliwszy niż port lotniczy w okres bożonarodzeniowy. Donata i jej pozostałe dzieci, Marco i Zola (dowiedziałam się, że Franco wciąż tkwił w więzieniu) wrócili na pogrzeb Libero – najbardziej strzeżoną procesję w całej historii Chicago.

Mój ojciec dalej był na wolności, ale nie usłyszałam od niego żadnego słowa. Policjanci patrolowali Cedar Hill, podążając za bezowocnymi wskazówkami i urządzając z siebie widowisko. Prawie było mi ich żal. Nietrudno było zgadnąć, gdzie znajdował się ojciec – przynajmniej jeśli wiedziało się to, co ja. Nietrudno było zgadnąć, co zamierzał, ale nie potrafiłam stwierdzić, co ja zrobię, kiedy znów stanę z nim twarzą w twarz. Nie byłam przekonana czy rzeczywiście chciał mnie chronić odsyłając do Kolorado, ale wiedziałam, że nie zrobiłby mi celowej krzywdy. Ale jeśli będzie z Jackiem, kiedy wyśledzimy tego drugiego to będziemy mieli poważny problem.

Minęła rocznica zniknięcia Eveliny i Felice wrócił do swojej zwykłej postaci kreskówkowego złoczyńcy. Coraz ciężiej było mi z nim przebywać, wiedząc do czego był zdolny i widząc jak był tego bliski. Pozostawił na mojej szyi pierścień siniaków i wiedziałam, że jeśli kiedykolwiek zostanę z nim sam na sam poza *Eveliną*, to będzie ostatnia rzecz w moim życiu. Nie może się dowiedzieć, co mój ojciec zrobił z jego żoną, bo na pewno spotka mnie śmierć.

Luca spędzał cały czas z Valentino, starannie planując i wysyłając Falconów do odległych miejsc w stanie. Na razie miałam tylko jeden obowiązek: chodzić do szkoły, siedzieć w szkole. Popołudniami siadywałam w bibliotece pod obrazem olejnym Eveliny Falcone i zmuszałam się do odrabiania zadań, które mnie nie obchodziły. W miarę upływu czasu oczy Eveliny zdawały się robić głębsze, a czający się w nich smutek narastał, żeby zalać mnie potężną falą. Jej twarz nawiedzała mnie we snach, jej usta wykrzywiały się jak szeptała do mnie nocą: „*Widzę cię, Sophie Marino. Widzę twoje przeznaczenie*”.

Wiedziałam, że Luca sprzeciwiał się mojej roli w przemocy tej rodziny, ale on również wiedział, że kiedy nadejdzie czas zmierzenia się z Marino, nie będzie mógł mnie powstrzymać. Nadal musiałam się sprawdzić. Tylko na tym mi zależało, tylko o tym

myślałam całymi nocami. Nie będę się bać. Nie zawaham się. Nie popełnię drugi raz tego samego błędu.

Spędzałam tygodnie na przygotowywaniu się psychicznie, szlifując celność, szykując się do ponownego spotkania z moim wujkiem i Donatą, i mając nadzieję, że do tego czasu mój ojciec zostanie schwytany i wsadzony z powrotem do więzienia. W szkole byłam inną Sophie – optymistyczną, zaangażowaną, niewinną. Tak łatwo zakładałam tę maskę, czasem trudno było znów ją ściągnąć.

Parę dni przed Halloween wałęsałam się po holu Falconów, czekając niechętnie aż zostanę odwieziona do szkoły, gdy w drzwiach wejściowych pojawił się Nico, trzymając w ręce na wpół zjedzone burrito śniadaniowe.

- Cześć – powiedział, rozweselając się. – Jak się masz?

- Dobrze – odparłam, potrząsając głową, jak wyciągnął do mnie burrito.

- Na pewno? – naciskał. – Jest pyszne.

- Potrzebujesz więcej energii ode mnie. – *Ty zabijasz ludzi; ja uczę się wierszy i robię rachunki.*

- Nie mam nic przeciwko dzieleniu się z moją dziewczyną.

Ostatnio często to robił – odnosił się do mnie, jako „jego” pomimo moich wielokrotnych protestów. Czasem zastanawiałam się czy robił tak, żeby mi dokuczyć.

- Nie jestem twoją dziewczyną – upomniałam go. – Przerabialiśmy to już kilka tysięcy razy.

Nico przewrócił oczami.

- Jasne. Wciąż jestem w strefie przyjaźni, ale to nie znaczy, że nie mogę przeskoczyć płotu.

- Właściwie to dokładnie to oznacza.

- Żeby było jasne, ja się z tym nie zgadzam – powiedział, odgryzając kawałek burrito i zaśmiał się na widok swojego grymasu.

- W ogóle czemu jesteś wesoły o tak wczesnej porze, *platoniczny przyjacielu*? Gdzie byłeś zeszłej nocy?

Tak naprawdę pytałam: *kogo zabiłeś*? Ale szybko się nauczyłam, że w posiadłości Falconów poruszanie tematu tabu było okropnie nieokrzesane. Nie rozmawiali otwarcie o swych morderstwach. To były ukryte sprawy dziejące się pod tkanką ich rodziny.

- Masz przeklętą rację, że jestem wesoły – odparł, wpychając do buzi resztę burrito i połknął wszystko naraz. – Nie uwierzysz, co ze sobą przywiozłem. – Wybiegł z powrotem na dwór. – Zaczekaj tam!

Dom zszedł na dół i odsunęłam się na bok zanim zdążyłby mnie odepchnąć.

- Wrócili? – zapytał. – Mają rzeczy?

- Rzeczy?

Otworzył podwójne drzwi, żeby Gino i Nico mogli wciągnąć trzy czarne torby do foyer i ułożyli je na marmurowym herbie. Gino był tak samo nadpobudliwy jak Nico, a Dom zacierał ręce, wpatrując się w torby.

- Kto chce czynić honory? – zapytał Nico, przenosząc wzrok na mnie. – Poczekaj aż je zobaczysz, Sophie. Spodobają ci się.

- Nie powinniśmy poczekać na Valentino? – zapytał Gino.

- Idzie już – odparł Dom, schylając się i rozpinając torby. – Wysłałem mu wiadomość. No chodźcie. Chcę pierwszy sobie wybrać.

Niczym mali chłopcy w poranek bożonarodzeniowy, padli we troje na kolana i zaczęli przetrząsać torby, wyciągając spluwy większe od moich nóg i ramion. Broń taką, jaką widuje się w filmach wojennych. Broń taką, która zwiastuje natychmiastową śmierć.

- Wow – powiedziałam, przysuwając się do skarbca pistoletów. Uklękłam koło Nico. – *Ogromne.*

- No – mruknął, uśmiechając się do mnie. – Osiemnaście automatów i amunicja. Zobaczmy, jak twój wujek przetrwa atak jednego z nich.

Kiedyś taki komentarz by mną wstrząsnął – a nawet przestraszył – ale teraz ledwo do mnie docierał. Ta myśl była tak samo powszechna, jak te pistolety.

Podniósł broń i wcisnął w zgięcie ramienia, próbując odnaleźć wygodną pozycję. Dom i Gino robili to samo.

- Naładowany będzie cięższy – powiedział Dom, celując we mnie karabinem. – Dasz sobie radę, Sophie?

Nico wyciągnął z torby kolejny pistolet i podał mi, kiwając głową, żebym wzięła. Podniosłam go... był ciężki nawet bez amunicji.

- Rozluźnij ramiona i złap go – powiedział Nico, obserwując mnie uważnie. – W ten sposób. Spójrz.

Trzymał karabin niżej, na wysokości klatki piersiowej, jedna ręka na przednim uchwycie, który był prawie równoległy tylnemu uchwytowi, który przycisnął do żeber i odciągnął łokieć. Wymierzył nim w Gino.

- Przywitaj się z moim małym przyjacielem! – zawołał, po czym zaczął naśladować odgłos strzelania. Gino udał, że chwyta się za serce i przewraca. Już wcześniej widziałam Gino w takiej pozycji – tyle że na jego bluzce widniała prawdziwa krew, jego twarz była śnieżnobiała. Teraz chichotał tym swoim wysokim głosem i wił się na podłodze, a ja nie mogłam zrozumieć jak potrafił się zdystansować od chwili, kiedy prawie umarł. A jednak ja również tu byłam, trzymałam przy piersi pistolet maszynowy i ćwiczyłam celność w grupce zabójców na stuletnim marmurowym herbie, który reprezentował krew oraz honor. I nie wiem dlaczego, ale też się śmiałam.

Nico przestał się wygłupiać i odwrócił się do mnie, uśmiechając się szeroko. W jego ekscytacji było coś zaraźliwego. Chciałam poczuć to samo. Chciałam tak się uśmiechać.

- Widzisz? – Dalej śmiał się lekko. – Bułka z masłem.

Ułożyłam broń w ten sam sposób, co Nico, próbując odepchnąć nikłe uczucie niepokoju.

- Tak? – zapytałam, obracając się, żeby sprawdzić czy wygodnie trzymało się pistolet. Ten ruch był trochę kłopotliwy.

- Dokładnie. – Nico puścił mi oko. – Jesteś w tym naturalna. Wiedziałem, że tak będzie. – Choć wiedziałam, że to złe, jego aprobata wywołała u mnie uśmiech.

Dom nachylił się do mnie, jego ostra woda kolońska mieszała się z delikatnym zapachem żelu do włosów, który zawsze od niego emanował.

- Może za pomocą tego karabinu następnym razem, gdy będziesz strzelać, żeby zabić, to faktycznie pociągniesz za spust.

Gino zerwał się do siadu.

- Co? – zapytał, mrugając najpierw do mnie, a potem do Doma. – Co to ma znaczyć?

Nico trzepnął Doma po głowie.

- *Io non ci scherzerei tanto, fratello!*

- *Calmati* – powiedział Dom, oddając Nicowi w prawe ramie. – To żart.

- Nie kumam – powiedział Gino, wciąż na nas spoglądając.

Sporunowałam wzrokiem Doma.

- Kiepski żart.

- Niebezpieczny – ostrzegł Nico.

Dom wzruszył ramionami.

- Powinna była o tym pomyśleć zanim...

- Dom! – krzyknęłam, rzucając ostrożne spojrzenie Gino. Nie wiedział o moim pokazie tchórzostwa w Sycylijskim Pocałunku, ale zaraz się dowie przez to jak Dom wymachiwał przed nim tą informacją. A to byłaby jeszcze jedna skaza w sekrecie i jeden krok bliżej ku mojej eksmisji. Albo gorzej. – Serio, zamknij się!

Dom podniósł niewinnie rękę.

- Coś ty taka nerwowa, żartuję tylko.

- Co się tutaj dzieje? – Felice zszedł po schodach, jego mokasyny stukały miękko o posadzkę i uśmiechał się uprzejmie. Nawet teraz, jak wrócił do swojego nienagannego zachowania, nigdy nie zapomnę wersji Felicego, który osaczył mnie w tamtej alkwie, tego maniakałnego wyrazu w oczach, pragnienia w głosie, kiedy mówił Pauliemu o Angelo. Nigdy nie zapomnę, jak głęboko pogardzał swoją rolą w tej rodzinie ani jak mało szacunku żywił do Valentino. Teraz był dla mnie niebezpieczniejszy niż kiedykolwiek i nie zmieni tego żadna wymuszona uprzejmość ani beztraska obojętność z jego strony. – Specjalna dostawa i nikt nie pomyślał, żeby mnie zawołać?

- Wybieraliśmy nasze faworyty – odpowiedział Gino, obracając przed sobą własnym wyborem. – Nie chcieliśmy utknąć z niewypałami.

Felice uniósł brew.

- Mało prawdopodobne, żeby taka cenna dostawa z Nowego Jorku miała jakieś niewypały, *Giorgino*, i gdyby Di Salvo usłyszeli jak gadasz takie bzdury, obcieliby ci język przed lunchem.

- Uspokój się, Felice. – Nico przyglądał się teraz dłuższemu, węższemu karabinowi z małym trójnogiem.

Felice nachylił się i wziął sobie pistolet. Nie umknęło mi pogardliwe spojrzenie, które posłał temu leżącemu na moich kolanach. Pewnie ten właśnie chciał. Ścisnęłam go mocniej, pokazując jak przekonana byłam, co do swojego wyboru.

Chwilę później w korytarzu przemknęła Elena, spoglądając wyniośle na nasze zgromadzenie.

- Czemu siedzicie tutaj jak jakieś włóczędzy? – zapytała i zmierzyła wzrokiem broń trzymaną przez Doma. – Czy nie możemy zachowywać się jak dorośli i położyć to gdzie indziej? – Spojrzała na mnie wilkiem. – A ty nie powinnaś być w szkole, dziewczyno?

- Valentino chce, żeby była odwożona do i ze szkoły – odparł Dom, nie patrząc na matkę. – Zawiozę ją, jak już wybiorę mój ulubiony karabin.

- Chłopcy i ich głupie zabawki. – Elena przewróciła oczami i oddaliła się do kuchni, stukając obcasami i usłyszałam jej cichnący głos. – A Pan dał mi ich pięciu. *La vita sa essere terribilmente ingiusta...*

- A więc ona nie chce pistoletu – stwierdziłam.

- Mama nie brudzi sobie rąk, jeśli może temu zaradzić – powiedział Nico. Wciąż przyglądał się pistoletowi. Zaciskał usta w koncentracji, marszcząc brwi.

- Wiele dziewczyn nie brudzi sobie rąk – odezwał się Gino. – Dlatego jesteś taka fajna, Soph.

Coś zatrzepotało w mojej piersi. O Boże. Czy naprawdę tak bardzo brakowało mi uwielbienia i akceptacji, że to wywoływało u mnie uśmiech? Odpowiedź brzmi: tak.

- Dzięki, Gino.

- Tak, to właśnie czyni cię *inną* – zaszydził Dom. – Twoja ekstremalna gotowość strzelania do ludzi.

Zacisnęłam pięści. Po prostu nie mogłam się powstrzymać.

Felice patrzył na mnie. Zanim zdążyłby wypytać Doma o ten idiotyczny komentarz, pojawił się Valentino. Koła jego wózka prawie nie wydawały dźwięku na gładkiej podłodze i był z nim Luca, a poprzedziła ich niska rozmowa po włosku.

- Świetnie – powiedział Valentino, ogarniając wzrokiem dostawę. – Więc nie było problemów z wymianą? – zapytał Nico.

Nico oderwał uwagę od broni i wydał pierś do przodu.

- I mamy także wsparcie Di Salvo w Nowym Jorku.

- Dobra robota.

Nico skinął głową, prostując się dumnie.

- Nie ma sprawy.

Spojrzałam ukradkiem na Lucę. Wpatrywał się w karabin maszynowy na moich kolanach. Powiedzieć, że był niepokieszony byłoby wielkim niedopowiedzeniem.

- Nie powinnaś być w szkole? – zapytał mnie.

- Czekam na Doma – odparłam.

Dom obracał w dłoniach dwoma pistoletami i nucił pod nosem. Dla mnie wyglądały dokładnie tak samo.

- Jestem prawie gotowy – powiedział, nie podnosząc wzroku. – Muszę tylko podjąć ostateczną decyzję... czy mogę wziąć oba? – Spojrzał z nadzieją na Valentino.

- Oczywiście, że nie – odpowiedział mu brat.

Luca mruknął coś do Valentino, po czym wyciągnął z kieszeni swoje kluczyki samochodowe.

- Ja cię zawiozę, Sophie – oznajmił. – Chodź.

- Nie chcesz wybrać sobie spluwy, Luca? – zapytał Nico. – Zanim rozejdą się wszystkie dobre.

Luca był w połowie drogi do drzwi.

- Pistolet to pistolet, Nicoli – odpowiedział, nie odwracając się – a nie trofeum. Zabierzcie je stąd zanim inni zejdą na dół. Nie chcę, żeby zobaczyli je Sal i Aldo.

Dom zaczął się śmiać.

- Jezu, nie mogę się doczekać świąt, z których też wyssiesz całą radość.

Luca uniósł dwa palce nad głową i wyszedł na dwór. Odstawiłam karabin i zarzuciłam torbę na ramię, żeby iść za nim.

- Życzę ci szczęścia w drodze do szkoły pod tą czarną chmurą – powiedział sarkastycznie Dom. – Przynajmniej my od niego odpoczniemy.

- Dorośnij. – Valentino trzepnął Doma po głowie. – Tylko dlatego, że nie chce bawić się bronią, jakby to była zabawka.

- Jawne faworyzowanie – mruknął Dom.

Nico złapał mnie za rękę, przykuwając moją uwagę.

- Zatrzymam ci ten karabin. Jack nie będzie wiedział, co go uderzyło, Soph. – Uśmiechnął się do mnie i odwzajemniłam gest.

- Dzięki.

Ścisnął moje palce, posyłając fale ciepła w górę ramienia.

- Jak wysoki jest teraz ten płot strefy przyjaciela?

Frustracja przerosła moją wdzięczność.

- Trzydziestometrowy i pokryty drutem kolczastym, Nico.

Dom, który wyraźnie podsłuchiwał, parsknął drwiąco.

- Wspinaj się dalej, brachu, i zgiń, próbując go pokonać.

Nico uderzył go pistoletem i zostawiłam ich, jak się sprzeczali.

Na podjeździe wsunęłam się na przednie siedzenie w samochodzie i położyłam przed sobą torbę, żeby zapiąć pas.

- Dzięki, że mnie niańczysz – powiedziałam. – Myślę, że Dom ma już dosyć bycia moim kierowcą.

Luca odpalił silnik i wycofał szerokim łukiem, kładąc rękę na moim siedzeniu i patrząc przez ramię.

- Przykro mi tylko, że przerwałem taką wspaniałą chwilę.

- Ze mną i Nico, czy ze mną i pistoletem? – zapytałam jego profil.

Jego śmiech był krótki i pozbawiony wesołości.

- A czy to nie jedno i to samo?

Przewróciłam oczami.

- Nie róbmy tego, Luca. Nigdy nie dojdziemy w tym do porozumienia, więc po co krążyć w kółko?

Nie patrzył na mnie, a ja nie patrzyłam na niego.

- Czasem zastanawiam się czy podejmujesz pewne decyzje tylko po to, żeby mnie wkurzyć.

- Czasem zastanawiam się czy nie przeceniasz swojego udziału w moim podejmowaniu decyzji. - Patrzyłam wściekle na drogę.

- Czy masz życzenie śmierci?

- Mam życzenie zemsty.

- Mam z tym problem.

- To mnie wyrzuć.

- Nie.

- Więc pogódź się z tym.

Zacisnął palce na kierownicy.

- Nie możesz zastanowić się nad odsunięciem od broni – zapytał – żeby pozwolić mi się tym zająć?

- Co masz na myśli przez „zajęcie się”?

- Pozwól, żebym zajął się dla ciebie twoim wujkiem i Donatą.

- I co, mam siedzieć w domu, wypatrując tęsknie przez okno, kiedy pójdziesz wymordować moją rodzinę?

- Wolałbym to od alternatywy.

- Cóż, to nie jest twoja decyzja – powiedziałam ostrożnie. – Teraz tkwimy w tym wszyscy razem i nie zamierzam znowu zawieść, gdy nadejdzie mój czas.

Zacisnęła szczękę, a poniżej jego kości policzkowej zadrżał mięsień. Powitałam z ulgą ciszę, ponieważ wolałam ją od ciągłej potrzeby przekonywania go, by uniknąć bycia przekonywaną przez niego.

Odezwał się dopiero, kiedy podjechaliśmy pod liceum Cedar Hill. Zgasił silnik i odwrócił się do mnie. Moje serce natychmiast przyspieszyło, ale wiedziałam, że mnie nie pocałuje. Ta relacja pomiędzy nami już dawno zniknęła. Byliśmy teraz bardziej jak przeciwnicy z mglistym posmakiem przyjaźni w chwilach, kiedy się nie kłóciliśmy.

Uniosłam brwi.

- Tak?

- Sophie. – Jego oczy miały barwę najczystszej błękitu w porannym słońcu, rozchyłał lekko wargi, rozgrzewając oddechem słowa. – Czy to ci nie wystarczy?

- C-co? – wydukałam.

- Szkoła – powiedział. – Twój przyjaciele. Normalność. Czy to nie wystarczy?

Zrzędała mi mina.

- Och. – Spróbowałam wziąć się w garść. – Szkoła. Normalność. – Złapałam za szkolną torbę i otworzyłam drzwi nim pochłonęłoby mnie zażenowanie. Wysiadłam, ale wsadziłam jeszcze głowę do środka, starając się nie patrzeć na jego usta.

- Posłuchaj – powiedziałam. – Jeżeli to ci poprawi samopoczucie, nie odłączyłam się całkiem od starego życia. Jutro wieczorem będę robić najnormalniejszą rzecz w szkole średniej. Idę na bal maskowy.

- Na co?

- Bal – powtórzyłam. – No wiesz, potańcówka Millie? – A potem zdałam sobie sprawę, że nie wspominałam mu o potańcówce, bo po co? Nie rozmawialiśmy o lekkich

rzeczach, o moim fałszywym drugim życiu. – Jutro – wyjaśniłam. – Idę. Mniej więcej wbrew mojej woli, ale Millie upierała się od samego początku i tak jakby jestem jej dłużna, wiesz?

Wpatrywał się we mnie i to nie w seksowny sposób.

- Będzie strasznie – dodałam, czując, że muszę umniejszyć to wydarzenie, jakby to było niesprawiedliwe, że ja pójdę na zabawę, a on będzie pomagał Valentino w jakichś zabójczych sprawach. – Ale idę. Więc proszę bardzo. To coś normalnego. Czy to cię zadowala?

- Najwyraźniej to żart – powiedział. – To *jest* żart, prawda?

- Co? Nie.

Rozchylił wargi z zaskoczenia. *Nie patrz na jego usta.*

- Nie wierzę ci.

- Dlaczego? – zapytałam i poczułam znajomy przebłysk irytacji. – Czy myśl o mnie w sukience na balu jest dla ciebie naprawdę taka szokująca?

Przechylił głowę.

- Ty mówisz poważnie.

- No raczej – burknęłam.

- Nie – powiedział stanowczo. – Nie ma opcji.

- Nie prosiłam cię o pozwolenie – wytknęłam.

- Ale mnie posłuchasz.

Złapałam się drzwi.

- Że co proszę?

Przysunął się bliżej niezrażony.

- Powiedziałem, że nie ma opcji, żebyś poszła bez opieki na bal, kiedy jesteśmy w trakcie wojny krwi.

Zacisnęłam palce na framudze drzwi.

- Chcesz, żebym robiła normalne rzeczy czy chcesz, żebym strzelała z broni? Do cholery, zdecyduj się, ty wielkie jo-jo.

Spojrzał na mnie gniewnie.

- Nie pójdziesz na ten bal, kiedy Donata kazała swoim *soldati* cię szukać. Wyznaczyła nagrodę za wszystkie nasze głowy i gwarantuję ci, że twoja nagroda jest najwyższa, jako że jesteś byłą Marino.

Jeśli próbował mnie przestraszyć to działało, ale zdecydowanie nie zamierzałam mu tego pokazać.

- Chodzę do szkoły, prawda? Ciągłe na to nalegasz.

- To co innego. Jest środek dnia, pełno tu świadków i przywozimy cię, i odbieramy.

- Na balu będą świadkowie – zauważyłam. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że będę walczyła tak mocno o pójście na durny bal, ale teraz naprawdę chciałam na niego pójść, żeby tylko mu udowodnić, że nie mógł mnie kontrolować. – Poza tym idę z Millie i Crispinem, więc nie będę przecież sama.

- A czym dokładnie jest Crispin? – Luca brzmiał, jakby mógł posmakować tego słowa w ustach i wcale mu nie smakowało.

Przewróciłam oczami.

- Crispin jest *osobą*, Luca. To chłopak Millie. I bal będzie nadzorowany na sali gimnastycznej. Będzie bezpiecznie, tak jak chodzenie do szkoły.

- Wcale nie.

- No cóż. – Zarzuciłam torbę na ramię. – Wszystko jedno.

- Nie pójdziesz, Sophie. Mówię poważnie.

- Zobaczymy. – Zamknęłam drzwi i wbiegłam po schodach, czując na karku jego przeszywające spojrzenie.

Zawibrował mój telefon.

Nie ma mowy.

Przewróciłam oczami. Nie powstrzyma mnie. W przeciwnym razie Donata Marino musiałyby ustawić się w kolejce za Millie, jeśli chciała dostać moją głowę. Luca był irracjonalny, jeśli zabraniał mi pójścia na szkolną potańcówkę, ale codziennie zmuszał mnie do chodzenia do szkoły. Te dwie rzeczy były zasadniczo tym samym i przecież Donata nie posiadała kalendarza spotkań towarzyskich w liceum Cedar Hill. Ale z drugiej strony... lepiej nie wywoływać wojny domowej z Luca. Dobrze wybrana emotikonka powinna załagodzić sprawę. Chichocząca małpka? Nie. Zbyt frywolna. Tańcząca

Señorita? Dobra kandydatka, ale może zbyt drwiąca. Coś mówiącego: „W tym przypadku cię nie posłucham, ale zapomnijmy o tym i nie wściekajmy się, dobrze?”

Nie respektuję twojego autorytetu, pamiętasz? ☺

Ruszyłam pustym korytarzem. Byłam zdecydowanie spóźniona. Dostałam wiadomość.

Ale z ciebie bachor.

Przygadał kocioł garnkowi. Zatrzymałam się przed klasą biologiczną i wysłałam ostatnią wiadomość.

Spróbuj mnie powstrzymać.

Weszłam do środka, przeprosiłam prędko i zajęłam miejsce, zerkając ukradkiem na komórkę.

Jeszcze się przekonasz.

W porze lunchu Millie i ja zabrałyśmy kanapki oraz koktajle na trybuny na dworze. Zepchnęłam kłótnię z Lucą na sam dół świadomości – do szuflady razem z innymi kłótniami.

- Dlaczego musimy to robić tutaj? – zapytałam Millie, rozcierając sobie ramiona przez płaszcz. – Zamarznę.

- Tylko nie zamarzaj z tą skrzywioną miną, marudo. Nie chcę, żeby ktokolwiek zobaczył te sukienki. To byłby wielki spoiler. – Wzięła łyk swojego koktajlu i prawie wypłuła. – Nienawidzę kale. Dlaczego ja to sobie robię?

Mój koktajl był jagodowy i przepyszny. Wypiłam go duszkiem.

- Bo starasz się prowadzić zdrowy tryb życia?

- To nie jest warte picia trawy. W kanapce mam tylko fetę i sałatę – lamentowała.

- Przynajmniej nie utknie ci w kłamrach – zauważyłam. Millie dopiero ściągnęła aparat i wykorzystywałyśmy każdą okazję, by wytknąć jakie błyszczące miała teraz zęby, kiedy nie były ukryte. Millie i bez tego była piękna, ale jej nowy uśmiech był olśniewający. Pasował jej. Perłowe, proste zęby, długie ciemne włosy, piegi na porcelanowej skórze i te błyszczące niebieskie oczy.

Zazgrzytała zębami, marszcząc nos jednocześnie.

- Przynajmniej mogę teraz jeść bez zmartwień.

- I wyglądać przy tym wspaniale – powiedziałam – nie żebyś już wcześniej nie była piękną.

Pacnęła mnie lekko po ramieniu.

- Ty pochlebco.

Usiadłyśmy i wyciągnęła ze swojej torby dwie długie suknie i ułożyła przed nami.

Wytrzeszczyłam oczy i coś ścisnęło mnie w piersi.

Obudziło się we mnie coś małego i dotąd drzemiącego. Nowe uczucie – lub przynajmniej tak dawno zapomniane, że wydawało się nowe. Było to uczucie oczekiwania... pragnienia. Przywykłam do częstego szczypania, przebłysków strachu, lęku... ale to było nieoczekiwane. Sądziłam, że ta nadpobudliwa, dziewczęca, nastoletnia część mnie została pochowana, ale pojawiła się jej iskierka, przygotowywała się do Balu Maskowego. Nagle *bardzo* chciałam iść na ten bal.

- Królewski błękit czy szmaragd? – zapytała Millie. Wciąż nimi poruszała, pokazując ich rzeczywisty kształt.

- Cudowne. – Dotknęłam delikatnego zielonego materiału, unosząc w górę i pozwalając, żeby spłynął pomiędzy moimi palcami. – Jesteś pewna? Twoja mama nie będzie miała nic przeciwko?

- Nie ma mowy. – Uśmiechnęła się. – Gdyby mogła, to podarowałaby ci teraz księżyc. Wybierz, którą chcesz. Założę czarną z falbanką, więc możesz wybrać obojętnie jaką. Są dość ciasne, ale jesteś niesamowicie seksowna, więc nie ma sprawy.

Uderzyłam ją lekko w ramię.

- I kto jest teraz pochlebcą? – Uśmiechnęłam się szeroko. Pogładziłam materiał, uwielbiając jego gładkość pod palcami. I pomyśleć, że jeszcze dziś rano byłam równie podekscytowana z powodu pistoletu. Co było ze mną nie tak?

Którą Sophie byłam?

- Hmm. – Podniosłam obie, by zobaczyć jak się układają.

- Myślę, że niebieska wydobyłaby kolor twoich oczu – stwierdziła Millie. Zakołysałam nią, podziwiając opad materiału, jakby to był wodospad. Sukienka była w stylu greckim z delikatnymi paskami krzyżującymi się blisko gorsetu. Była obcisła w talii i spływała do ziemi falami.

- Materiał rozcina się po boku, więc będzie szeleścić przy twoich krokach. – Millie wydała odgłosy szeleszczenia i poruszyła przede mną dłońmi w krętych liniach, żeby zademonstrować.

- Lubię szeleścić – stwierdziłam.

- A kto nie lubi? – odparła tęsknie Millie. – Chłopaki Falcone będą się ślinić na twój widok.

Wirujące we mnie motyle gwałtownie opadły.

- Przypomniałam sobie – powiedziałam, odkładając sukienkę i wygładziłam gorset, jakbym pieściła pieska. – Luca mówi, że nie mogę iść na bal.

- Huh – mruknęła Millie, marszcząc nos. – Nie wiedziałam, że Luca Falcone jest twoją złą macochą.

- Co? – Udałam zdziwienie. – Jesteś *pewna*?

- Raczej – powiedziała, gładząc się po podbródku. – W czym rzecz? Muszę przynieść ci dynię? Jakąś pomocną mysz kuchenną? Może wróżkę chrzestną?

Zastanawiałam się jak wykombinować kłamstwo, które zręcznie ukryje fakt, iż trwałam pośrodku wielkiej wojny krwi z inną mafijną rodziną, zapoczątkowaną na nowo przez fakt, iż wszyscy sądzili, że zamordowałam *soldato* Marino, z którym również byłam spokrewniona.

- Luca jest po prostu opiekuńczy.

- Kup mu kociaka i niech nim się opiekuje. Nie jest twoim stróżem.

- Wiem – powiedziałam powoli. – Po prostu nie sądzę, że będzie zadowolony z mojej decyzji. Nie mówię, że nie pójdę, tylko że pewnie spróbuje mnie zatrzymać, to wszystko.

- Sophie. – Millie wbiła we mnie mroczne spojrzenie. – Luca Falcone nie chce wejść w drogę mnie i mojego balu. Pożaluje tego.

Parsknęłam śmiechem.

- Naprawdę?

Przytaknęła, otwierając szeroko oczy.

- Nikt nie psuje moich planów. Mam gdzieś jak bardzo jest morderczy. Lepiej, żeby się wycofał. Już.

- To groźny przeciwnik – powiedziałam. – Uwierz mi.

- Chwileczkę – powiedziała i jej oczy zalśniły. – Dlaczego go nie *zaprośisz*?

Odrzuciłam głowę do tyłu i zaśmiałam się. Ten pomysł był absurdalny, nieprawdopodobny... żalotny. Żalotne, że jedyny chłopak, którym byłam zainteresowana wolałby wyłupać sobie oczy niż towarzyszyć mi, jako partner na licealnym balu. Przestałam się śmiać. To naprawdę nie było śmieszne.

- Nie – powiedziałam, biorąc się w garść. – To żadne rozwiązanie, zaufaj mi. Ostatnio się nie dogadujemy.

- Dlaczego? Flirtujesz z Nico?

- Nie flirtuję z Nico! Dlaczego dobra relacja pomiędzy dziewczyną i chłopakiem zawsze musi być brana za flirt? Potrafię myśleć o więcej niż jednej rzeczy jednocześnie.

- Dobrze, już dobrze, tylko zapytałam...

- I Luca nie widzi mnie już w taki sposób – dodałam.

- Okej, spoko, koniec z Luca. Rozumiem – poddała się Millie. – To chyba dobrze. Naprawdę nie chcę odstraszyć Crisa. – Uśmiechnęła się mimowolnie na wzmiankę o Crisie, który w ciągu kilku tygodni przeszedł od przypadkowych spotkań do prawdziwego chłopaka. Był miły: normalny, uprzejmy i, co najważniejsze, bezpieczny. Lubiłam Crispina, pomimo jego ohydnych imienia. Nie mógł nic z nim zrobić.

- Nie przejmuj się, dla dobra twojego rozkwitającego związku będę trzymać moich zabójców tak daleko od twojego chłopaka jak to tylko możliwe. Ale nie wyobrażam sobie, żeby cokolwiek oderwało Crispina od ciebie – dodałam. – Przecież jesteś doskonała.

- Możesz mówić do niego Cris, wiesz.

Uśmiechnęłam się do niej słodko.

- Podoba mi się pełna wersja, więc będziesz musiała się z tym pogodzić.

Kibicowałam Crispinowi. Kibicowałam każdemu, kto nie żył w moim świecie. Chyba w głębi duszy wiedziałam, że pewnego dnia będę musiała opuścić Millie, w ten czy inny sposób, a kiedy do tego dojdzie nie chciałam, żeby została sama.

- Jak w ogóle wygląda sytuacja ze starym Crispinem? – Przez tyle czasu martwiłam się o siebie, że nie dałam jej wystarczająco okazji, żeby mówiła o sobie – ani żeby pozachwycała się swoim życiem miłosnym.

Millie uśmiechnęła się promiennie.

- Jestem przekonana, że się we mnie zakochał.

- Nie gadaj. – Stłumiłam pisk, czując jak ożywa we mnie romantyczka. – Skąd wiesz? Co ci powiedział? Kiedy to powiedział? Zaczynij od początku. Niczego nie opuszczaj.

Odwróciła wzrok, jakby szukała potencjalnych podsłuchiwczy. Wokół nas znajdowała się przestrzeń pusta na trzydzieści metrów dzięki mojej niesławie.

- No dobra, więc pewnego wieczoru oglądaliśmy u mnie w domu *Uwierz w ducha*, znasz ten film z Patrickiem Swayze i Demi Moore, kiedy oboje byli u szczytu seksowności?

- Oczywiście.

- Siedzieliśmy na kanapie i Cris obejmował mnie ramieniem, a ja opierałam się o jego pierś, i oglądaliśmy tę parną scenę z gliną z „Unchained Melody” w tle i powiedziałam, że *Uwierz w ducha* dokonał dla garncarstwa to, co Benedict Cumberbatch dokonał dla Sherlocka Holmesa. Uczynili te rzeczy seksownymi, wiesz? Tak czy siak, on zaczął gładzić mnie po włosach, no nie... a potem... pocałował mnie głowę! Nachylił się i po prostu pocałował mnie w czubek głowy.

Praktycznie podskakiwała w miejscu.

- Um... co? – powiedziałam.

Pokazała na swój czubek głowy, gdzie miała przedziałek.

- Pocałował mnie tutaj. W głowę.

- Pocałował cię tak, jak rodzice całują noworodki? Pocałował cię... po rodzicielsku?

- Jezu, Sophie.

- No co? Nie rozumiem! Twoje przemowy zawsze są niejasne. Mam wrażenie, że potrzebuję ściąg.

Położyła ręce na kolanach i wzięła głęboki wdech.

- Czy nigdy nie opowiedziałam ci tej mojej teorii?

- Och, kocham twoje teorie – powiedziałam, opierając się o oparcie i rozsiadłam wygodnie. – Kontynuuj, proszę.

Uśmiechnęła się do mnie lekko.

- Od dawna jestem przekonana, że kiedy chłopak całuje cię w głowę – nie w sposób seksualny albo taka-mała-aluzja-chcę-się-z-tobą-przespać – po prostu czule, jakby przyszło mu to naturalnie, niemal jak refleks to znaczy, że przekroczył próg „lubienia”

albo „pożądania” i zakochał się w tobie. Czasami nawet nie są tego *świadomi*. To jest tak, jakby najpierw rozumiały to ich ciała i reakcje, a dopiero jakiś czas później mózg. Ale zapamiętaj moje słowa, to *znak*.

Staralam się nie uśmiechnąć drwiąco.

- Pocałunek dla samego pocałunku – powiedziała. – Mówię ci, że to znak.

- Skąd się wzięła ta teoria?

- Od mojej mamy – przyznała Millie. – Po dwóch miesiącach umawiania się z moim tatą stali pewnego dnia przed kinem i było przeraźliwie zimno. Obejmował ją, ona przytulała się do niego, próbując ukraść mu trochę ciepła i śmiali się z czegoś, co zobaczyli na filmie, potem on pochylił się i pocałował ją w głowę, a mama powiedziała, że właśnie wtedy wiedziała.

- Wiedziała, że się w nim zakochała?

- Nie! – prychnęła. – Że *on* zakochał się w *niej*. Czy ty *widziałaś* moją mamę? Jest o wiele seksowniejsza od taty. On musiał zdobyć ją osobowością. To był dłuższy proces.

- Aha... - powiedziałam, godząc się powoli z tym pomysłem. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam, więc nie mogłam powiedzieć czy to bzdura, czy nie. Chociaż brzmiało dość podejrzanie. Jednak potrafiłam uwierzyć, że chłopak był w niej szalenie zakochany. Ta część sama w sobie była łatwa. – A więc Crispin cię kocha?

Skinęła głową, włosy opadły falami wokół jej twarzy.

- Po prostu to poczułam.

- No to fajnie – powiedziałam, szczerząc się do niej. – I nie jestem wcale zaskoczona.

- Zapewne wyzna mi to na balu. Nie wiem jeszcze, co odpowiem.

- Czy ty go kochasz? – zapytałam.

Millie pokręciła głową.

- Jeszcze nie.

- Mogłabyś zachować się w stylu Hana Solo i powiedzieć „wiem”.

- Niezależnie od twojej frajerskiej znajomości sci-fi, Soph, to wcale nie jest taki straszny pomysł.

- Jest! – powiedziałam zaniepokojona. – Nie mów „wiem”. To takie wredne! Żartowałam!

- Wymyślę coś – zapewniła. – *W każdym razie*, wracając do wcześniejszego tematu. Nie musisz martwić się jakąś nędzną godziną policyjną Falconów, która zabarykaduje cię

w twojej wieży księżniczki. Cris i ja przyjedziemy jutro po ciebie, i wybierzemy się tam razem. Będziesz miała swoją chwilę Kopciuszka. Upewnię się w tym.

- Dzięki – powiedziałam szczerze. – Chyba będzie ze mnie olśniewające piąte koło.

- Będiesz najseksowniejszym piątym kołem w historii liceum Cedar Hill. A jeśli będziesz czuć się skrępowana, powiedz słowo i zostawimy gdzieś Crisa, bo jak zawsze mówiłam, Soph, jesteś moją prawdziwą miłością. – Złapała mnie za rękę i ścisnęła. – Nie ma miłości prawdziwszej od tej pomiędzy przyjaciółkami.

- Dokładnie – przytaknęłam. – Kocham cię, Mil.

- Wiem. – Puściła mi oko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

NORMALNOŚĆ

Gdy stanęłam przed lustrem i zobaczyłam siebie w sukni koloru królewskiego błękitu – moją twarz otoczoną blond włosami, lekko zbladłe policzki, oczy większe i błękitniejsze dzięki cieniom do powiek i tuszowi do rzęs – rozplakałam się. Ledwo rozpoznałam tę dziewczynę. Moja matka rozpląwałaby się nad tą dziewczyną. Ta dziewczyna wyglądała elegancko i szczęśliwie.

Ta dziewczyna nosiła tak przekonywującą maskę, że niemal oszukała samą siebie.

Moje odbicie wydawało się bardzo odległe od tego, kim się stałam. Ten nowy obraz nie był mną. Wewnątrz byłam rozbita i ponura. Rozpalona do białości ze wściekłości. Osłabiona rozpaczą. Wewnątrz byłam czarną dziurą czekającą na pochłonięcie wszelkich pozorów szczęścia.

To nie byłam ja, ale rozpaczliwie tego chciałam na tę noc. I ta świadomość była jak kopniak w brzuch. Więc popłakałam trochę, a potem jeszcze mocniej. Opadłam na podłogę, przycisnęłam kolana do piersi, schowałam twarz w swetrze mamy i szlochałam.

Boże, jak mi jej brakowało. Tęskniłam za tym, kim była i za osobą, którą we mnie widziała. Tęskniłam za uczuciami, jakie we mnie wywoływała. Tęskniłam za światem, który kiedyś znałam i za wszystkimi jego cudownymi mieszkańcami. Tęskniłam za możliwością innego życia.

Bądź silna. Bądź odważna.

Kiedy się podniosłam, nałożyłam jeszcze raz makijaż i poprawiłam sukienkę, a potem po raz pierwszy od bardzo długiego czasu zdałam sobie sprawę, że wyglądałam jak ona. Nie byłam podobna do ojca. Nie wyglądałam jak Marino. Wyglądałam jak Celine Durant, moja matka. Nie Marino. Nie Falcone.

Na dzisiejszym Balu Maskowym będę nosić dwie maski. Tę wyhaftowaną złotem od Millie i ten wymalowany uśmiech mówiący o innym życiu.

Millie wysłała mi wiadomość tuż po zachodzie słońca żeby dać znać, że ona i Cris już prawie dojechali do *Eveliny*. Nie wiedziałam, kto był na dole, więc postanowiłam, że najbezpieczniej będzie spotkać się z nimi na końcu podjazdu Felicego, z dala od wścibskich oczu.

Spojrzałam na siebie ostatni raz w lustrze. Sukienka pasowała jak ulał, otulając mnie w talii i rozdzielając się w delikatnych zmarszczeniach ku podłodze. Poprawiłam

makijaż – tym razem wodoodpornym tuszem – ale minęła mi chęć płaczu i czułam się teraz silna. Podeksycytowana. Wygrzebałam ulubiony szafirowy naszyjnik oraz kolczyki mamy i założyłam.

Wzięłam torebkę oraz maskę i zesłam na dół, stąpając najciszej jak mogłam, żeby nie zdradziły mnie szpilki stukające o marmurową podłogę. Wstrzymywałam oddech, kiedy przechodziły mnie złąknione dreszcze.

W foyer wpadłam na Gino. Czołgał się na czworakach, wpatrując się zmrużonymi oczami w podłogę. Pewnie mogłabym nad nim przejść, ale stwierdziłam, że nie będę ryzykować.

Pochyliłam się nad nim.

- Co robisz?

Podniósł gwałtownie głowę i wyszczerzył się w uśmiechu.

- Sophie! – zawołał. – Wow. Ładna sukienka. Wyglądasz jak młoda Brigitte Bardot.

- Ja... co?

Usiadł na piętach, porzucając poszukiwania.

- Francuska aktorka z dawnych czasów. Lubię jej filmy.

- Um, okej. Super. Dzięki?

- Nie ma za co – odparł, nie przestając się uśmiechać.

Ach, Gino.

- Wszystko w porządku? – Pokazałam na podłogę.

- Zgubiłem kolczyka – powiedział, szarpiąc się za ucho i zmarszczył brwi.

- Och. – Nie dodałam, że tak chyba było lepiej. – Pomóc ci go poszukać?

- Nie trzeba. – Zamilkł na chwilę i znów mi się przyjrzał. – Pomóc ci się wymknąć?

Uśmiechnęłam się zażenowana.

- Nie trzeba. Dalej już sobie poradzę.

- Gdzie tak w ogóle idziesz?

- Na bal. – Pomachałam maską w ręce. – Na bal maskowy.

Gino westchnął i jego oczy trochę się zaszklily.

- Uwielbiam tańczyć – powiedział. – Ale nikt nigdy nie ma na to czasu. Odkąd odeszła Evelina.

Prawie zabrałabym go ze sobą, gdyby nie jego stanowisko niestabilnego, szalonego na umyśle chłopaka.

- Lepiej już pójde – powiedziałam.

On wrócił już do poszukiwań.

Otworzyłam drzwi i wyszłam na zewnątrz. Niebo składało się z miriady różowych i pomarańczowych pociągnięć pędzlem, ciemniejąc na krawędziach. To będzie bezchmurna noc i gładka ucieczka. Miękki wiatr niósł ze sobą poczucie możliwości, *dawnych czasów* i przyjęłam go do siebie.

Latarnie na podjeździe były już rozpalone. Szłam powoli, koncentrując się na zdeterminowanym chrzęście żwiru pod stopami. Minęłam jedyne SUVa na podjeździe i doszłam do skraju kolistego parkingu, a potem – nie całkiem wiem dlaczego – zatrzymałam się. Stałam w miejscu i wiedziałam, nie wiedząc skąd, że za mną ktoś jest, obserwuje mnie. *Czułam* ten wzrok we włoskach na karku.

Nie śmiałam się odwrócić. Szłam dalej, zdecydowana przeżyć ostatnią noc normalności zanim wszystko pójdzie w cholerę. Ostatnia noc starej Sophie zanim świat przestępczy pochłonie mnie na dobre.

Ona będzie wystarczyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

MASKARADA

Jak na miejsce, które zwykle śmierdziało starymi tenisówkami i wyglądało jak żywcem wyrwane z lat 40-tych, szkolna sala gimnastyczna naprawdę dawała dzisiaj radę. Wszystkie ściany zostały pokryte grubymi czarnymi zasłonami wyłożonymi krystalicznymi gwiazdami. Nawet się świeciły i migotały. Wokół gigantycznej kuli disco zwisającej z sufitu, która rzucała wibrujące srebrzyste smugi na salę, wisały papierowe śnieżynki. Parkiet taneczny pokrywał sztuczny śnieg, a stoliki zdobiły lśniące srebrne obrusy.

Większość dziewcząt miała na sobie długie suknie koloru czerni, srebra i złota. Ich maski były misterne oraz wyszukane – niektóre podparte na ozdobnych uchwytych, inne przypięte opaskami do głów. Faceci byli dobrze ubrani w smokingi, chociaż niektórzy zdecydowali się na conversy zamiast eleganckich butów. Jedna dziewczyna miała na sobie dopasowany smoking z połami. Buty miała czarno-białe i błyszczące, i miała ze sobą prawdziwą laskę jakby w każdej chwili była gotowa zacząć stepować. Jej czarne włosy były krótko ścięte i wystawały zza krawędzi jej białej maski. Nie widziałam nic poza zadartym nosem i ciemnofioletowymi ustami, żeby ją rozpoznać, ale byłam zdecydowanie pod wrażeniem tej ekscentryczności.

Miło było nie patrzeć nikomu w oczy i nie widzieć cudzego osądu albo strachu przede mną. Ta anonimowość była wyzwalająca i z maską związaną ciasno wokół mojej głowy wstążką i zakrywającą górną połowę mojej twarzy, zanurzyłam się w muzykę i poczułam wolność, której nie doświadczyłam od dłuższego czasu...

- Jest idealnie! – zawołałam do Millie, która popijała z ukrytej piersiówki Crispina przy stole z ponczem. On stał za nią, obejmując ją opiekuńczo w talii, a ona opierała się o niego i kołysała się do muzyki. Jak się okazało, bycie piątym kołem u wozu nie było wcale takie straszne. Cieszyłam się, że wydostałam się z *Eveliny*. Cieszyłam się, że w ogóle jestem jakimś kołem.

- No wiem! – Uśmiechnęła się do mnie. – Każdy jest w świetnym nastroju.

- Oczywiście, że jest idealnie – wtrącił Crispin. Mówił do mnie, ale wpatrywał się w Millie. Często tak robił. Urocze, choć trochę odrażające, ale hej, kimże ja byłam, żeby osądzać? – Idealnie, bo Millie jest idealna.

Millie zachichotała.

- Dzięki, skarbie! – Posłała mi spojrzenie mówiące: *Mówiłam ci, że się zakochałam*. Wzięłam łuk z piersiówki i mrugnęłam do niej.

Przyglądając im się razem zrozumiałam doskonale, co miała na myśli wczoraj na trybunach. Cris był w niej zakochany po uszy. Nie było, co do tego wątpliwości. A ona była zakochana w miłości i poczułam ogromne szczęście z jej powodu, ponieważ ze wszystkich ludzi w moim życiu, to ona zasługiwała najbardziej na tę radość. Ja nie mogłam jej dać więcej – nie na dłużej niż jedną noc – ale Cris mógł. On był w pełni zaangażowany. Millie zasługiwała na kogoś, kto będzie dla niej całym sobą.

- Pójdę szybko do łazienki – powiedziałam im. – Zaraz wrócę.

- Chcesz, żebym poszła z tobą? – Millie zaczęła się odrywać od Crisa.

- Nie, nie, nic mi nie będzie. Jest tam już mnóstwo ludzi. – Popchnęłam ją z powrotem w ramiona partnera i przeszłam przez parkiet, aż tłumy ludzi zaczęły się przередzać i zdołałam się trochę odprężyć. Tak naprawdę nie chciałam iść do łazienki, ale dać Millie trochę czasu sam na sam z chłopakiem. Nie musiałam być świadkiem ich pocałunków i widziałam, że nie mogła się doczekać, żeby się do niego przysnąć. Rzeczywiście było z niego niezłe ciacho, taki blondyn i amerykańska gwiazda sportu. Był jak z reklamy Abercrombie. Przypuszczałam, że w tych czasach dla mnie atrakcyjni byli tylko zabójcy.

Piosenka się zmieniła i niemal pisnęłam z radości. „Africa” Toto, stara, ale epicka. Pomyślałam, żeby zatańczyć samej, a potem pomyślałam o własnej godności i czy warto było ocalić jej resztki. Zastanawiałam się przez chwilę czy nie poprosić kogoś do tańca – dostawałam wiele aprobujących spojrzeń, a ponieważ maska skrywała moją tożsamość (mniej więcej), jaką szkodę wyrządzi krótki moment eskapizmu? Czy nie o to chodziło w dzisiejszym wieczorze?

Zawahałam się, patrząc w tłum. Kogo miałam poprosić? Zaczęłam się denerwować. Nie mogłam. A może? Ale uwielbiałam tę piosenkę. A tamta dziewczyna z laską tańczyła dość blisko... Może mogłabym zatańczyć z nią, chociaż wyobrażałam sobie, że to zaniżyłoby jej aurę fajności. A może przynajmniej bym się przysunęła i zapytała gdzie kupiła tę szminkę, ponieważ teraz stałam wystarczająco blisko, żeby zobaczyć brokat na ciemnofioletowym połysku.

Ktoś poklepał mnie po ramieniu i obróciłam się tak szybko, że moja suknia zaszeleściła niczym u przecenionej, wybranej losowo aktorki w reklamie perfum Dior.

Sapnęłam tak intensywnie, że złapał mnie kaszel i wyparowała cała gracia emanująca z mojego obrotu.

- Luca? – Musiałam wykorzystać całą energię żeby nie przycisnąć ręki do jego twarzy, by sprawdzić czy jest realny.

Luca Falcone stał przede mną w najelegantszym czarnym garniturze, jaki kiedykolwiek widziałam. Miał na sobie czarną jedwabną koszulę zapiętą pod szyję i krawat. Włosy miał zaczesane do tyłu i lekko nażelowane, a maska, którą nosił cienka –

jedynie pasek czerni, żeby zakryć oczy, ale nic nie mogło ukryć tego hipnotyzującego szafirowego spojrzenia.

Uśmiechał się do mnie lekko.

- Cześć.

Naprawdę chciałam spróbować skromnego, może nawet zmysłowego „Witaj”, ale wydobyło się ze mnie ciężkie:

- Co ty tutaj robisz, do diabła?

Nie przestawał się uśmiechać.

- Pomijając twoją niezależność i samowystarczalność, pomyślałem, że zgodziłabyś się mieć dzisiaj opiekuna...

- Masz na myśli romantycznie czy dla bezpieczeństwa? – zapytałam.

- Które byś wolała?

- Które proponujesz?

Uniósł wyżej kącik ust.

- Które cię bardziej uszczęśliwi.

- Czy ja mam halucynacje?

- To ja przyszedłem na bal licealny – zauważył. – Może ja mam halucynacje.

Podkradło się do mnie wspomnienie.

- Wtedy to ty stałeś na podjeździe, prawda? Zobaczyłeś mnie i puściłeś.

Przytaknął.

- Myślałam, że mnie zatrzymasz.

- Ja też – przyznał. – Ale wtedy zobaczyłem, jak wymykasz się w tej sukni. – Zmierzył mnie powolnym i niewiarygodnie niesubtelnym spojrzeniem. – I nie potrafiłem tego zrobić.

- Dziękuję – powiedziałam ledwo słyszalnym szeptem. Nie musiałam mówić reszty: *Potrzebowałam tego. Potrzebowałam tego dla własnego zdrowia psychicznego.* On już wiedział.

- Pięknie wyglądasz – powiedział.

- Ja... co?

Uśmiechnął się szerzej. Ten uśmiech był niesprawiedliwie zachwycający, biorąc pod uwagę, że to ja byłam w sukni balowej.

- Zająknąłem się?

- To rzeczywiście piękna suknia – powiedziałam zdecydowanie. – Wcześniej, kiedy patrzyłam w lustro, sama się sobą zachwyciałam.

Luca przestał się uśmiechać.

- Nie chodzi o suknię. – Zniżył głos i zbliżył się kilka centymetrów. – Uważam, że jesteś piękna, kiedynosisz duże bluzy i pizamę z polaru w pluszowe misie. Albo kiedy zakładasz grube skarpetki i ślizgasz się w nich po marmurowej podłodze, jak myślisz, że nikt cię nie widzi.

- Ja... och. Wiesz o tym.

- I uważam cię za szczególnie piękną, kiedy mi się sprzeciwiasz.

- W tym wypadku pewnie cały czas nie możesz mi się oprzeć.

Zaśmiał się ochryple.

- Chodź, Kopciuszku. – Wziął mnie za rękę i poprowadził na parkiet, i nim zdążyłabym przetworzyć dziwaczność tego wszystkiego, przyciągnął mnie do siebie i zaczęliśmy tańczyć. I był dobry. Cholera. Był *naprawdę* dobry. Znał również wszystkie słowa i śpiewał do melodii mocnym głosem a potem ja również śpiewałam fałszem, ale byłam zbyt podekscytowana, żeby się przejmować. Wybuchliśmy śmiechem, jego rozbawienie dzwoniło mi w uszach, uśmiechałam się tak szeroko, że miałam wrażenie, iż zaraz rozerwie mi się twarz, ponieważ oboje oszukiwaliśmy przez jedną noc – oboje nosiliśmy maski należące do innych ludzi i to było ekscytujące.

Piosenka zamieniła się w coś wolniejszego i zamiast odejść, on przyciągnął mnie bliżej i objął w talii. Zarzuciłam mu ręce na szyję i przyłożyłam głowę do jego torsu, wsłuchując się w jego bicie serca.

Pochylił głowę, przysuwając wargi do mojego ucha.

- Ucieknijmy na dzisiejszy wieczór.

Skinęłam głowę i zamknęłam oczy. Wdychałam jego zapach i czułam, jak otula się wokół mojego serca. Boże, miałam słabość na punkcie tego faceta. Ale nie zamierzałam myśleć o jutrze albo co się wydarzy, kiedy skończy się gra w udawanie.

- Tylko na dzisiejszy wieczór – mruknęłam, opierając głowę na jego klatce piersiowej, odprężając się w jego objęciach.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

ZWROT

- Cóż, jeśli to nie jest najbardziej pożądanym zwrot akcji...

Luca i ja odwróciliśmy się do Millie i Crisa, który uśmiechali się do nas promiennie. Luca zostawił rękę na moich plecach, sunąc palcami po mojej talii.

- Witaj, Millie – przywitał się uprzejmie Luca. Wcale się nie przejął, że przyłapała nas na wspólnym tańcu czy choćby tym, że przyłapała go na licealnej potańcówce.

- Heeej – powiedziałam. – Przepraszam, zamierzałam do was wrócić, ale zostałam nieoczekiwanie zatrzymana...

Millie skinęła głową, nadal unosząc brwi.

- No, widzę. Luca, czemu zawdzięczamy ten wielki gest?

Zaśmiał się i uderzyło we mnie, jak różni byliśmy w tym środowisku, jaka lekka czułam się w środku.

- Ja chyba...

- Żartuję – przerwała mu Millie, sama się zaśmiewając. – Wiem, że to dlatego, iż jesteś potajemnie zakochany w mojej najlepszej przyjaciółce, ale jesteś zbyt dumny, żeby to przyznać, więc wolisz jej zrzędzić, ponieważ to jedyny sposób, by pokazać jej, że ci zależy bez przestraszenia jej albo wkroczenia na teren twojego brata, który wpadłby w szal, gdyby się dowiedział i pewnie spróbowałby cię zadźgać, bo z jakiegoś niedorzecznego powodu nadal sądzi, że wrócą do siebie, i nie przejmuj się, nie będę cię zmuszać do przyznania mi racji, więc po prostu przemknijmy obok tej kwestii... tak czy siak, to jest Cris... - Wepchnęła przed siebie Crisa. – Cris, to jest Luca. Bądź dla niego *bardzo* miły.

Usiłowałam nie czuć żaru zjadającego mnie upokorzenia, gdy starałam się przekazać jej moje mordercze myśli. *Zabiję cię, jak tylko zostaniemy same.*

Luca nawet nie mrugnął. Ucisnął rękę Crisa, przedstawiając się i nigdy nie widziałam go takiego życzliwego. Cris odwzajemnił uścisk, krzywiąc się leciutko i zauważyłam z ponurym rozbawieniem, że Luca troszeczkę zmiażdżył mu palce. Grzeczne ostrzeżenie, ale wiedziałam, iż widział po Crisie, że jest nieszkodliwy.

- Miła niespodzianka – stwierdziła Millie, ponownie biorąc lejce. – Dziwna... - mruknęła, spoglądając na mnie - ...ale miła.

Luca objął mnie trochę mocniej w talii. Przesunął się, ciągnąc mnie za sobą.

- Co? – zapytałam, podnosząc na niego wzrok.

- Nie ruszaj się – powiedział nisko przez zaciśnięte usta.

- Dlaczego nagle się od nas odsuwacie? – zapytała Millie. – Co się dzieje? – Powąchała powietrze przy Crisie, marszcząc twarz w konsternacji. – Nie rozumiem.

Luca, który kompletnie zeszywniał u mojego boku, był w stanie wysokiej gotowości. Próbowałam podążyć za jego wzrokiem, ale nie widziałam nic ponad szerokimi ramionami Crisa.

- Nic – odpowiedziałam o wiele za późno Millie. – Co ty wyprawiasz? – syknęłam do Luki.

- Są tutaj – powiedział, prostując się do pełnego wzrostu. Jego druga ręka pofrunęła do paska spodni, szukając pistoletu.

Millie wciąż do nas mówiła, ale wyciszałam się na jej głos, zwracając ciało w stronę, w którą wpatrywał się Luca. W tłum ludzi, którzy wszyscy wyglądali tak samo, wszyscy nosili te same durne maski i te same durne conversy.

Głupie maski.

- Soph? – Millie pstrykała palcami przed moją twarzą. – Na co się gapisz, do diabła? Zaczynasz mnie przerażać.

- Myślę, że to Zola – mruknął Luca pod nosem. – A jeśli tak, to nie będzie sama.

Zola. Zola.

Cholera jasna.

Zola była siostrą Sary i Libero Marino, niedawno wyszła z więzienia i jeśli Zola Marino znajdowała się gdzieś na tej sali gimnastycznej, ktoś miał umrzeć.

I tym kimś byłam prawdopodobnie ja.

- Niemożliwe – powiedziałam, nie przejmując się ściszeniem głosu i byłam w pełni świadoma, że Millie wyczytywała każde słowo z moich ust, żeby spróbować odgadnąć, dlaczego Luca i ja tak niespodziewanie zamarliśmy. – Nie ma tutaj Zoli. Nie mogłaby tu przyjść. Nie mogłaby przyjść do *liceum*.

Luca oderwał się ode mnie i złapałam go za tył marynarki nim zniknął w tłumie.

- Oszalałeś? – warknęłam. – Gdzie ty, do cholery, idziesz?

Obrócił się. – Nie ruszaj się stąd, okej? – Następnie zwrócił się do Millie i Crisa. – Niech nikt się stąd nie rusza dopóki nie wrócę.

- Huh? – mruknął Cris. – Co ty gadasz, chłopie?

Luca odwrócił się do Millie.

- Zostańcie na parkiecie – nakazał jej. – Mówię poważnie, Millie. Trzymaj ją blisko siebie.

- Co się dzieje? Czy... czy to Donata? Jesteśmy w niebezpieczeństwie? – Millie wpadała w panikę... zaczynała rozumieć sytuację.

Cris nadal był kompletnie zdezorientowany.

Luca prześlizgnął się pomiędzy Crisem i Millie. Rzuciłam się za nim, ale Millie odepchnęła mnie do tyłu.

- Przestań – powiedziałam, usiłując zobaczyć, dokąd szedł. Prosto na dziewczynę z laską i krótko obstrzyżonymi włosami! Prosto na dziewczynę, która kręciła się całą noc przy parkiecie... szukając mnie. Zola Marino – wysoka i żylasta z jasnioletowymi ustami i szerokimi, ciemnymi oczami. Luca maszerował w jej kierunku.

Millie złapała mnie za ramię.

- Kazał tu zaczekać.

Strząsnęłam jej rękę.

- Mil, nie rozumiesz.

- Rozumiem – powiedziała, ściskając mnie mocniej. – Rozumiem doskonale.

Dźwięk wystrzału uciął moją odpowiedź.

- Jasna cholera. – Cris chwycił Millie i pociągnął przez parkiet, z dala od tego odgłosu. Uwolniłam się od niej i wpadłam w pandemonium. Wszyscy wrzeszczeli i rzucali się ku wyjściu. Millie pchnęła Crisa, wyciągając rękę w moją stronę. Odepchnęłam ją do niego, oddalając się od tłumów krzyczących ludzi.

- Sophie! – krzyknęła. – Sophie, wracaj tu! Chodź!

Próbowałam wysledzić skąd dobiegł strzał, który nadal odbijał się echem w moich uszach. Każdy kierował się do wyjścia i na sali gimnastycznej nie było żadnych ofiar – nikt nie był ranny, nikt nie krzyczał, nikt nie leżał na podłodze, żadnej krwi... a potem... kolejny strzał!

Wrzaski Millie podążały za mną przez parkiet, ale Cris ciągnął ją za sobą. Napędzała mnie adrenalina, kiedy każda myśl w mojej głowie wybijała imię Luki. Chociaż wiedziałam, że nie wystrzeliłby z broni w tak zaludnionym miejscu, nie chciałam pogodzić się z możliwością, że te strzały zrobiły mu krzywdę.

Dotarłam prawie na drugą stronę parkietu tanecznego, kiedy na mojej drodze pojawiła się Donata Marino i uderzyła mnie pięścią w twarz. Dziewczyna obok mnie

krzyknęła, przepychając się do wyjścia, jak Donata złapała moją sukienkę i przyciągnęła mnie do siebie. Poczułam w nozdrzach jej perfumy, kiedy próbowałam odmrużyć czarne plamki sprzed oczu i z trudem trzymałam głowę w górze. Donata przysunęła zamaskowaną twarz do mojej, wbijając we mnie błyszczące oczy podkreślone czarną kredką i wbiła lufę pistoletu w moje żebra. Poprowadziła mnie tyłem do tłumu, wykrzywiając krwistoczerwone usta w obrzydzeniu, a za nią sunęła jej długa czarna suknia.

- Wydaje ci się, że możesz zabić mojego syna i ujdzie ci to na sucho? – syknęła, obnażając pożółkłe zęby. – Wydaje ci się, że nie wypatroszę cię powoli i boleśnie za to, co mi odebrałaś?

Wstrzymałam oddech, próbowałam wciągnąć brzuch, ale przycisnęła pistolet mocniej, przejechała długimi, zaostrzonymi paznokciami po mojej szyi, rozcinając skórę.

- Pokażę ci, co robi rodzina Marino ze zdrajcami – warknęła. – Wyrwę ci kończyny, sprawię, że będziesz wrzeszczeć całą noc.

Wypuściłam gwałtownie powietrze zamieniając się w kamień na nacisk jej broni, wiedziałam jak bardzo realna jest możliwość, że mnie postrzeli, jeśli ruszę się choćby o jeden centymetr.

Wtedy pojawił się Jack, torując sobie drogę w tym chaosie, popychając jakąś dziewczynę tak mocno, że się przewróciła.

On również był ubrany w garnitur i pełną maskę z błyszczącego złota, ale wszędzie rozpoznałabym te oczy, jedno było nieodwracalnie uszkodzone, naznaczone blizną. Gdy do nas dotarł, odciągnął mnie od Donaty.

- Nie tutaj – rzucił do niej gniewnie nad moją głową. – Za dużo świadków.

Nawet na mnie nie spojrział.

- Jack – wysapałam.

- Zamknij gębę. – Złapał mnie za gardło i wyrwał z uścisku Donaty, biorąc w swoje łapy.

- A więc zabierz ją na zewnątrz! – Donata wyszła przed nami, żeby oczyścić drogę, wyciągając ręce po bokach. – Idziemy!

Jack odwrócił mnie i wykręcił mi ręce za plecami. Skierował mnie do wyjścia, kiedy za nami rozbrzmiał kolejny wystrzał i serce podeszło mi do gardła.

Donata zerknęła przez ramię, ściągając gęste czarne brwi.

- Zola.

- Będzie musiała pójść za nami – odparował Jack. – Nie mamy czasu.

Próbowałam się wyrwać, próbowałam wrzasnąć, ale wszyscy wkoło krzyczeli i uciekali. Setki uczniów panikowało w tym samym czasie. Doskonałe odwrócenie uwagi. Jack wykręcił mi jeszcze mocniej ramię i przebłysk agonii sprawił, że ugięły się przede mną kolana. Przeklełam go, a Donata odwróciła się i mnie spoliczkowała. Splunęłam jej w twarz.

Wzdrygnęła się i jeszcze raz dała się ponieść temperamentowi, ale tym razem się schyliłam i trafiła pięścią podbródek Jacka. Rozluźnił uchwyt na ułamek sekundy i wbiłam obcas w jego stopę, następnie rzuciłam się na podłogę. Tłum zagęścił się wokół nas i potknął się, zahaczając o moją kostkę, kiedy odsunęłam się od niego. Wszyscy wciąż rzucali się ku wyjściu i znajdowaliśmy się teraz wśród ludzi. Przeczłołam się między nimi, umieszczając pomiędzy nami tyle ciał ile się dało, jak rozbrzmiały wrzaski „Policja! Policja!”.

Obejrzałam się tylko raz i dostrzegłam spanikowaną twarz Donaty, kosmyki ciemnych włosów opadały wokół jej twarzy, gdy Jack ją chwycił i pociągnął w stronę drzwi. Była prawie na zewnątrz, znikająca w pandemonium, kiedy wyciągnęła broń i wystrzeliła w moim kierunku. Przycisnęłam ciało do ziemi i patrzyłam, jak kula przemyka niecały metr od mojej twarzy, prawie trafiając w kostkę dziewczyny. Wrzasnęła, kiedy przeczołgałam się koło niej.

Mój ciąg myśli przerwał kolejny daleki strzał. Podniosłam się na nogi i poszłam za nim, zostawiając za sobą Jacka i Donatę, złapana w wirze rozhisteryzowanych nastolatków ściągających ich w stronę policji. Wiedziałam, że nie mogli ryzykować zostania złapanymi. Cóż, Jack nie mógł ryzykować. Donata była tak oszalała z rozpacz, że pewnie wróciłaby i zastrzeliłaby mnie w środku sali gimnastycznej, gdyby jej stąd nie zabrał.

Następny wystrzał i jedna myśl pokonała wszystkie inne, kiedy prześlizgnęłam się przez podwójne drzwi na dalekim końcu sali, które prowadziły do wnętrza szkoły: *Luca*.

Tutaj była tylko ciemność. Ciemność, krzyki i pospieszne kroki odbijające się w nieskończenie długich korytarzach wypełnionych szafkami.

- Odpuść sobie, Falcone! – Głos Zoli Marino był wyższy niż się spodziewałam, jej słowa podkreślone dziwną intonacją przypominającą mi jej siostrę Sarę. – Poddaj się, a pozwolę ci szybko umrzeć!

Zdjęłam buty i trzymałam się boku korytarza, stąpając cicho pod szafkami i podążając za szyderstwami Zoli. Jeśli była przestraszona, to tego nie okazywała.

- Dlaczego nie oszczędzisz mi kłopotu i się nie zastrzelisz, Zolo? – Odpowiedź Luki była śmiertelnie spokojna. Nie był ranny pomimo całej tej strzelaniny. Zalała mnie ulga, ale krótko trwała.

- Wychodź, wychodź, gdziekolwiek jesteś! – zagruchała Zola. Kula roztrzaskała kamerę bezpieczeństwa tuż za rogiem. Rozbiła się na drobne kawałki zaledwie parę metrów od moich stóp. Było blisko. – Wyglądasz tak olśniewająco w tym smokingu, Gianluco. Moja matka z przyjemnością oznaczyłaby go czarną ręką. Oczywiście zaraz po tym, jak skończy z twoją zabaweczką. Teraz pewnie odcina jej palce.

- Jesteś kiepską kłamczuchą, Zolo! Zawsze nią byłaś! – W korytarzu poniósł się śmiech Luki, ale był napięty i wymuszony.

Zola była coraz bardziej wściekła i traciła opanowanie.

- Nie będziesz się tak śmiać, kiedy wpakuję ci kulkę w łeb! Wiem, że nie masz stamtąd wyjścia.

Zola miała rację. Wyczuwałam, że była bliżej mnie. Luca znajdował się na drugim końcu korytarza – ślepy zaułek i osłaniały go tylko rzędy szafek. Nie mógł się wydostać. Nie, dopóki nie zbliży się do niego policja albo Zola. Jedynymi opcjami było kucanie i ukrywanie się albo wystrzelenie sobie drogi wyjścia.

- Nie masz nic więcej do powiedzenia? – prowokowała Zola. – Martwisz się o swój klejnot? Matka nie będzie się z nią spieszyć. Chce zabrać ją do domu, wykorzystać cały dostępny jej czas. – Kolejny strzał. Zola przekłęta. – Moja *pieprzona* stopa.

Podeszłam bliżej ze szpilkami w ręku i wyjrzałam zza rogu. Zola kulą korytarzem, pochylając się ku podłodze, a jej żakiet zwiślał z jednego ramienia. Oddalała się ode mnie, zostawiając za sobą ślady krwi. Strzelała w kierunku kryjówki Luki.

Luca wynurzył się z przestrzeni między ostatnią szafką i ścianą, i strzelili do siebie jednocześnie. Luca przeklął, próbował znów wystrzelić, ale kliknięcie odbiło się echem w korytarzu. Skończyły mu się kule. Zola rzuciła się w bok, przeładowała w ciągu kilku sekund i kiedy wycelowała pistoletem w Lucę wiedziałam, że to będzie ostatnia rzecz, którą Luca zobaczy w życiu. Zaczęłam biec, odciągając ramię do tyłu i rzuciłam butem prosto w czołkę Zoli Marino. Wzdrygnęła się i kula przeznaczona dla Luki wbiła się w ścianę.

Uderzyłam drugim obcasem w bok głowy Zoli, kopiąc ją jednocześnie w kolana. Obróciła się do mnie, blokując mi widok na Lucę. Padłyśmy razem na podłogę, pistolet Zoli pulsował czernią w moim kąciku oka i zacisnęła palce na moim gardle.

Gdy opuszczony korytarz przecięły odległe odgłosy syren, chwyciła mnie za szyję i przetoczyła się na mnie. Obnażyła zęby i wysunęła spomiędzy nich język. Wsadziłam jej palce do oczu, łapiąc drugą ręką za buta. Brokat na jej ustach pomógł mi skoncentrować się na celu.

- Oto twój klejnot! – krzyknęłam, uderzając butem w jej twarz i usłyszałam trzask miażdżonych kości nosa.

Odchyliła się w bok, trzymając wysoko pistolet, a wtedy usłyszałam ostry dźwięk wystrzału i przez ułamek sekundy czułam pieczenie w całym ciele.

Przekręciłam się, próbując znaleźć źródło bólu przeszywającego moje ciało, próbując skupić myśli.

Moje ramię płonęło.

Luca szarpnął Zolę do tyłu i uderzył ją pistoletem w bok głowy. Jej następna kula utknęła w suficie. Luca wyrwał jej broń i rzucił na drugi koniec korytarza. Odbiła się od szafki i zniknęła mi z widoku.

Zola jęknęła i Luca zadał jej jeszcze jeden cios, rozległ się wokół nas miażdżący dźwięk metalu uderzającego o kość. Osunęła się, tracąc przytomność.

Z mojego lewego ramienia lała się krew, pozostawiając za sobą ciepłą rzekę.

- Luca – powiedziałam, słysząc jak strach barwi mój głos. – Postrzeliła mnie. Zostałam postrzelona.

- *Cazzo!* – Kucnął i przesunął palcem po ranie, przysuwając do siebie moje ramię. Krzyknęłam i skrzywił się. – Przepraszam – mruknął, oglądając uraz w ciemności. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Mogłam niemal idealnie określić moment, w którym wrócił do trybu dowódcy i choć raz cieszyłam się z tego powodu. Jeśli mieliśmy wyostać się stąd bez szwanku, jedno z nas musiało myśleć logicznie.

- W skórze nie ma pocisku.

- Boli. – Sapnęłam płytko. – Dlaczego to tak bardzo boli?

- To draśnięcie – powiedział, śledząc wzrokiem strużki krwi na moim ramieniu. – Paskudne draśnięcie. Zawiozę cię do szpitala.

- Nie! – syknęłam, próbując się wyprostować. – Nie zbliżę się do żadnego szpitala.

Podciągnął mnie do góry, trzymając za zdrowe ramię i podtrzymując w pasie.

- Możesz chodzić? – zapytał z nagłością. Syreny były teraz przeszywająco głośne. – Dasz radę wyjść o własnych siłach?

Bardzo mnie bolało, co pogarszała świadomość, że zostałam *postrzelona*.

- Tak – wydusiłam. – Dam radę.

Zignoruj ból. Wykorzystaj go, jako paliwo.

Ukrył pistolety na szafkach, podniósł moje buty i zostawił Zolę Marino w zakrwawionej, nieprzytomnej kupce za nami.

Pospieszaliśmy korytarzami, wracając do sali gimnastycznej. Byłam w tyle, ale ciągnął mnie stanowczo za sobą.

- Krew – powiedziałam, patrząc na czerwone ślady na sukni. Rany, które zostawiła Donata na mojej szyi dodawały do szkarłatnych strumieni na mojej skórze. – Zobaczą. Będą wiedzieć.

Luca ściągał już marynarkę. Zarzucił ją na mnie i przyciągnął do siebie.

- Teraz zatamuję krwotok. – Ręka, która mnie obejmowała przycisnęła się do rany postrzałowej na moim ramieniu, napierając tak mocno, że osunęłam się na niego.

- Urrgh – wybełkotałam.

- Przepraszam – powiedział z napięciem. – Spróbuj wytrzymać, Soph.

Obejrzałam się czy nie mam na sobie żadnych widocznych plam krwi, starając się nie skupiać na agonii przepływającej przez moje ciało. Marynarka Luki była taka duża, że przyćmiewała moją sylwetkę. Przyćmiewała wszystkie dowody naszej bójki.

Przeszliśmy przez pusty teraz parkiet taneczny. Upuścił moje buty wśród innych szpilek, które zostały porzucone podczas chaosu. Nie było sposobu, żebym poruszała się w nich teraz przekonywująco.

Jęknęłam.

- Kupię ci nową parę – powiedział.

- Nie chodzi o to – wysyczałam. – Boli. Twój uścisk. Jest taki mocny.

- Zatrzyma krwawienie – odparł. – Zaraz wejdziemy w ogromny tłum gliniarzy. Rób to, co ja, dobrze?

- Jack... Donata... - próbowałam wyjaśnić. – Są tutaj.

- Są już daleko – powiedział, ale w jego głosie nie było przekonania, tak jak w tym jak rozglądał się po sali gimnastycznej.

Objęłam go dobrą ręką, przycisnęłam głowę do jego ramienia i próbowałam nie wzdrygać się pod naciskiem jego drugiej dłoni. Wytoczyliśmy się przez drzwi wejściowe dołączając do resztek płaczących i krzyczących uczniów, a wtedy zebrałam w sobie każdy ułamek hysterii i również zaczęłam wrzeszczeć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

CZERWIEN I BŁĘKIT

Wszystko było czerwone i niebieskie. Wyjście otaczało kilkunastu uzbrojonych policjantów. Wyszliśmy chwiejnie i wstąpiłam w rolę przerażonej-niewinnej-nastolatki łatwiej niż się spodziewałam. Krzyczałam tak głośno, że mój głos dorównywał syrenom policyjnym. Luca przytulał do siebie moją głowę i szeptał mi sztuczne słowa pociechy we włosy. Jego palce naciskały coraz mocniej na ranę i zaczynało robić mi się niedobrze.

Słyszałam, jak rozmawiał nad moją głową z policjantami.

- Jest w szoku. Była w łazience, kiedy to się zaczęło. Musiałem wyciągać ją z kabiny.

Przycisnęłam twarz do jego torsu i zawyłam głośniej.

Policjanci wypytywali Lucę o strzelca. Zbywał ich pytania po mistrzowsku.

- Nie wiem. Przez cały czas byłem z moją dziewczyną. Dostała ataku paniki. Mogę zabrać ją do domu?

Znowu pociągnęłam nosem. Moja twarz nabrała kredowobiałej barwy.

Usatysfakcjonowani i nieco rozkojarzeni naszym pokazem policjanci poprowadzili nas na ubocze i dołączyliśmy do grupki uczniów, którzy byli odciągani od wejścia.

Odwrociłam twarz do Luki, mrugając, żeby skupić na nim wzrok.

Przyglądał mi się i zmarszczone czoło psuło jego gładkie opanowanie.

- Jak jest teraz? – zapytał. – Przestanę tak mocno uciskać.

- Muszę się położyć.

Przyciągnął mnie mocniej do siebie, więc w połowie stałam, w połowie się na nim opierałam.

- Zabieram cię do szpitala. Tam obejrzy cię Vita.

- Nie – jęknęłam, podpierając głowę o jego tors. – Proszę, żadnych szpitali.

- Nie będę ryzykował, Soph.

- Żadnych ludzi z zewnątrz.

- Vita to żona Pauliego. Jest lekarzem.

- Żadnych szpitali. Nie możesz przyprowadzić Vity do nas? Jeśli Marino przyszedł do szkoły, wątpię, żeby mieli jakiegokolwiek moralne zawahania dotyczące wparowania do szpitala. Nie widziałeś Donaty. Ona szuka krwi. Jest teraz kompletnie nieobliczalna. – Prawie zemdlałam po wysiłku wyduszenia tych paru zdań.

Wydawało się, że Luca to rozważa, bo zamilkł zamiast się sprzeczać. Wiedział, że miałam rację. To było zbyt niebezpieczne, a mój stan nie był na tyle poważny, by ryzykować.

- Coś wymyślę – powiedział w końcu, wzdychając.

Oddaliliśmy się od tłumu, ale nie na tyle daleko, żeby powstrzymać Millie przed zauważeniem nas i podbiegnięciem. Cris starał się dotrzymać jej kroku; tylko Millie potrafiła biec tak szybko w szpilkach.

- Sophie! – Próbowwała złapać mnie za ramię.

- Nie! – Luca pociągnął mnie do tyłu. – Nie dotykaj jej.

Millie opuściła rękę, jakbym ją oparzyła. Zmrużyła oczy na Lucę, potem na mnie. Rozszerzyły się lekko, widząc mój wygląd.

- Co. Się. Tutaj. Dzieje. Do. Jasnej. Cholery?

- Nie wiem – powiedziałam szybko. Moje oczy mówiły całkiem, co innego. *Nie mów o tym przy Crisie.* – Wszystko wydarzyło się tak szybko. Myślę, że strzelec dalej jest w środku.

Millie ciężko było wszystko połączyć. Byłam śmiertelnie blada i ledwo trzymałam się na nogach. Z każdą minutą coraz bardziej opierałam się o Lucę, a coraz mniej stałam o własnych siłach. Musiałam opatrzyć ranę. Musiałam się położyć. Odwróciłam się do niego i powiedziałam tak cicho, jak tylko mogłam:

- Chyba zaraz zemdleję.

- Musimy jechać – oznajmił krótko Millie. – Natychmiast.

Millie pojęła, co się działo – no może nie całą sytuację, ale widziała, jak opuszczają mnie siły i usłyszała nagłą pilność w głosie Luki.

- Do *Eveliny*? – zapytała go.

- Co to *Evelina*? – odezwał się Cris.

- Tak – odpowiedział jej Luca.

- Wszystko w porządku, Sophie? – zapytał Cris, teraz również mi się przyglądając. – Nie wyglądasz za dobrze.

- Przestraszyłam się – odpowiedziałam, próbując zmusić się do wyprostowania głowy. – Miałam atak paniki w łazience.

Cris nie całkiem to kupował, ale znajdował się milion kilometrów od prawdy i widziałam, że bardziej zamartwiał się o Millie niż o mnie. Luca zaczął kierować nas do jego samochodu.

- Spotkamy się później, Millie – powiedział z nutą ostrzeżenia w głosie. – Ty i Cris powinniście wrócić do domu.

Millie przyglądała się nam uważnie, przełknęła wszystkie słowa, które chciała wtedy powiedzieć. To nie była odpowiednia pora.

- Pojadę z wami. Cris, skarbie... - Odwróciła się do swojego chłopaka, zatrzepotała rzęsami i złagodziła głos. – Wrócę z Sophie i upewnię się, że wszystko z nią dobrze. Niedługo do ciebie zadzwonię.

- Millie, nie sądzę... - zaczął mówić Luca.

- Niech idzie – syknęłam. – Ona wie.

- Jest tylko ciężarem – mruknął Luca.

Uszczypnęłam go w ramię.

- Jest moją najlepszą przyjaciółką i uwierz mi, że nie odpuści.

Cris objął Millie. – Pojadę z tobą – powiedział, wciąż lekko zakłopotany.

- Później do ciebie zadzwonię – powtórzyła bardziej stanowczo Millie. Wysunęła się spod jego ramienia. – Soph przechodzi ciężkie chwile i muszę przy niej być.

Wydużyłam twarz i zrobiłam najbardziej nieatrakcyjny grymas, na jaki było mnie stać.

- Tak bardzo się boję, Cris – powiedziałam. – Czuję, że mogę załamać się w każdej chwili.

- Co z nim? – Cris pokazał na Lucę, ale nie odrywał wzroku od Millie. – Jest z nią.

- Mam to gdzieś – odparła szorstko Millie. – W takich chwilach dziewczyna potrzebuje swojej najlepszej przyjaciółki. Zadzwonię, obiecuję. – Pocałowała go szybko w usta i obróciła się na pięcie. Wzięła mnie za drugie ramię i Luca poprowadził nas do swojej terenówki.

Millie ściszyła głos.

- Czy ona została postrzelona?

- Tak – powiedział Luca. – Tylko trochę.

- Tylko *trochę*?! – Millie wyrzuciła imponujący sznurek przekleństw. – Masz wiele do wyjaśnienia, Falcone.

- Mówiłem jej, żeby za mną nie szła.

- Zamknij się! – warknęłam. – Oczywiście, że zamierzałam za tobą pójść.

Luca potrząsnął głową.

- Jesteś taka frustrująca.

- Jedziemy do szpitala? – zapytała Millie.

- Nie – powiedziałam. – Kula nie weszła do ramienia.

- Sprowadzę jej pomoc – dopowiedział Luca.

- Lepiej, żebyś to zrobił – mruknęła wściekle Millie.

Wsiedliśmy do SUVa. Luca wskoczył na przód i odpalił silnik.

- Jak się czujesz? – spytała mnie Millie.

- Trochę jak śmierć – odpowiedziałam słabo.

- Nawet sobie tak nie żartuj, Soph. I powiedz mi, proszę, że nie widziałam Donaty i twojego wujka odjeżdżających z piskiem opon spod szkoły kilka minut temu?

- Co do tego...

- O Jezu.

- Wybacz – mruknęłam. Ból zaczynał maleć, ale moje ramię wciąż pulsowało ogniem.

Millie zmarszczyła brwi.

- Kiedy dotrzemy do *Eveliny*, wszystko mi opowiesz.

- Mil, ja...

- Nie – burknęła, przerywając mi. – Nie wiem, co dzisiaj zaszło, ale wiem, że jesteś w znacznie większym niebezpieczeństwie niż mówiłaś, więc jeśli chcesz, żebym była twoją przyjaciółką, musisz mnie wpuścić. Żadnego „ale”.

Luca obserwował nas w tylnym lusterku.

- Sophie złożyła przysięgę – przypomniał jej. – Nie może ci nic powiedzieć.

- Słucham? – Millie przysunęła się do przodu, wsadzając głowę pomiędzy przednie siedzenia. – Luco Falcone, możesz sobie wepchnąć te przysięgi do...

- Millie! – Szarpnęłam ją do tyłu. – W porządku. Powiem ci.

Millie skrzyżowała ramiona, wbijając zmrużone oczy w potylicę Luki.

- Przychodzisz na *mój* bal i narażasz na niebezpieczeństwo *moją* przyjaciółkę, strzelając z pistoletu do przypadkowych ludzi, a potem oczekujesz, że nie będę chciała się dowiedzieć, co się wydarzyło. Tymczasem moja przyjaciółka cierpi z powodu *rany postrzałowej*... i powiem ci tylko, przystojniaku, że jeśli dowiem się, że to ty ją postrzeliłeś, powyrywam ci z głowy każdy idealny włos, a potem zdziękuję cię pięścią po twarzy. Przysięgam na Boga, lepiej, żeby wyjaśnienie tej burzy było cholernie przekonujące, ponieważ czeka cię pogrzeb, jeżeli...

- *Ja* jej nie postrzeliłem – przerwał jej Luca. – Nie obrażaj mnie.

- Chcesz za to medal? – odparowała. – Bo ja to widzę tak, że to ty byłeś z nią ostatni, a teraz jest ranna.

- Powiedziałem wam, żebyście zostały w miejscu.

- Odpowiadam za własne działania – wtrąciłam. – Więc może przestaniecie obwiniać się nawzajem?

- Okej – odparł Luca. – A więc mam obwiniać ciebie?

- Za to, że nie zostałam w tyle, kiedy rzuciłeś się na pewną śmierć?

- Przestańcie nienawistnie flirtować – powiedziała Millie. – Kto to był? Kto ją postrzelił, do diabła? Donata? *Jack*? Kogo mam teraz okaleczyć?

Prawie się zaśmiałam. Nie miała żadnych umiejętności w walce, żadnego treningu ani broni, ale Millie była wiecznie nieustraszona wśród tych zabójców.

- Zola Marino – odpowiedział Luca. – Córka Donaty. Nie powinienem być jej ścigać. To wariatka. Bałem się tego, co robi, żeby zwrócić twoją uwagę, Sophie, żeby wyciągnąć cię z tłumu. Obawiałem się, kogo jeszcze może skrzywdzić, żeby cię złapać. Próbowałem ją zneutralizować. – Przeklął głośno. – Trzeba było najpierw poszukać Donaty. Twojego wujka. Podjąłem złą decyzję.

- Zaczekaj, poszedłeś za siostrą Sary? – zapytała Millie. – A co *ona* robiła na naszym przeklętym balu? Czy ona też chodzi do liceum Cedar Hill? – Urwała, po czym sapnęła głośno. – Chwila, czy ona jest martwa? Zabiłeś ją?

Luca i ja wymieniliśmy się spojrzeniami w lusterku. Boże. Od czego zacząć? Millie nie wiedziała nawet o naszym udziale w śmierci Libero. Nie wiedziała o wojnie krwi. Nie wiedziała, co planowałam. O niczym nie wiedziała.

Luca miał takie same myśli. Przeciągnął dłonią po czole, ciężkie westchnienie wypełniło pełną napięcia ciszę.

Millie oparła się o siedzenie, podnosząc twarz do sufitu samochodu.

- Okej – powiedziała spokojnie. – Ja to widzę tak, że oboje macie dwie opcje. Możecie tu siedzieć pod warstwą swoich kłamstw i ciszy, i dalej wymieniać się przede mną ukradkowymi spojrzeniami, myśląc, że nic nie widzę albo jedno z was może otworzyć usta i zacząć gadać.

- Jestem skłonny wybrać opcję pierwszą– stwierdził Luca.

Millie zaśmiała się w jego stronę.

- To była fałszywa opcja, Luca. Jeśli będę musiała wytropić każdego Marino w Chicago, żeby dowiedzieć się, co się dzisiaj wydarzyło, do cholery, to tak zrobię. Myślisz, że Sophie jest uparta? Pozwól, że przedstawię ci Sophie 2.0.

Parsknęłam śmiechem.

- To bardzo długa historia, Mil.

- Cóż – powiedziała z przekonaniem – na twoje szczęście mamy przed sobą *długą* przejażdżkę.

CZEŚĆ III

„Cokolwiek jest zrobione w miłości,
zawsze przekracza ramy dobra i zła.”

Friedrich Nietzsche



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

GENOVESE

Jak wróciliśmy do *Eveliny*, to nie Vita się mną zajęła, ale Elena. Wpadła do mojego pokoju ubrana w sięgający do podłogi szlafrok, ciemne włosy opadały swobodnie na ramiona. Wyglądała na młodszą bez makijażu.

- Wróciłaś – powiedziała o wiele bardziej nonszalancko niż się spodziewałam. Przyniosła ze sobą małe pudełko; położyła je na łóżku między nami i wskazała na marynarkę Luki, gestykulując machnięciem nadgarstka, że powinnam ją zdjąć. – Mogę obejrzeć ranę? – W jej głosie słychać było cień delikatności zamiast normalnej nieufności.

Zrzuciłam marynarkę, patrząc jak otwiera szeroko oczy. Wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Jest trochę gorzej niż oczekiwałam. – Wzięła mnie za rękę i pociągnęła delikatnie, żeby przyjrzeć się lepiej ramieniu. Ranę otaczała zaschnięta krew, skóra była obdarta do żywca w miejscu, gdzie otarła się o mnie kula. Musiałam odwrócić wzrok, żeby nie wymiotować.

- W porządku – powiedziała spokojnie, otwierając pudełko. – Będę musiała ją zszyć.

- Co? – Spojrzałam na nią drętwą. – Nie powinniśmy wezwać do tego lekarza?

Nie wiem, dlaczego oczekiwałam, że wyciągnie jakąś przeciętną nitkę i zardzewiałą igłę, ale zamiast tego wysunęła nic chirurgiczną oraz wysterylizowaną igłę i spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

- Jestem matką pięciorga aktywnych zabójców, żoną zmarłego bossa mafii i córką innego. Jestem również wyszkoloną pielęgniarką. Nie musisz wyglądać na taką przerażoną, *Sophie*.

Sophie. Moje imię. I wersja, którą wolałam. Coś we mnie drgnęło. To coś było podobne do ulgi.

Zamknęłam rozwarte usta.

- Przepraszam – powiedziałam. – Pomyślałam tylko...

- Że zamierzam cię skrzywdzić? – dopowiedziała. – Oczywiście, że nie. – Nałożyła trochę maści wokół rany. Staralam się nie wzdrygnąć, ale bez skutku. – Zwykle nie znieczulałam, ale skoro to twoja pierwsza rana postrzałowa...

- Jezu – mruknęłam.

Elena zaskoczyła mnie śmiechem.

- Pierwsze ukłucie będzie najgorsze, ale potem pójdzie szybko, obiecuję. – Stuknęła palcem w moją skórę, żeby sprawdzić czy maść znieczulająca zaczęła działać. – Czujesz?

Skinęłam głową i odsunęła się, czekając.

- Nie wiedziałam, że była pani pielęgniarzką – powiedziałam.

- Tak. Szkoliłam się dawno temu... zanim miałam tych wszystkich chłopców biegnących za mną, szarpiących mnie za spódnice, żądających pięciu posiłków dziennie. Jak się urodzili okazało się, że bycie ich matką to pełnoetatowa praca.

- Wyobrażam sobie.

- Lubię to robić, wiesz. – Rzuciła mi spojrzenie, czekając na moją reakcję. – Opiekować się ludźmi. To może cię zdziwić.

Może kiedyś, ale już nie. Nie po tym, jak widziałam ją w obecności jej synów, okazywaną przez nią miłość, nawet kiedy warczała na Doma za zostawianie brudnych naczyń w zlewie albo ochrzaniała Gino za nieuczesane włosy. Wyczuwało się jej matczyną miłość.

- Właściwie to mnie nie dziwi. – To wywołało przelotny uśmiech na twarzy Eleny. – Dlaczego chciała być pani pielęgniarzką? – Nie wiem dlaczego zapytałam, ale moje ramię zaczęło drętwieć i wiedziałam, że zaraz przyjdzie igła, i nie chciałam o tym myśleć. Poza tym, pragnęłam lepiej ją poznać.

- Moja matka była pielęgniarzką. – Pokazała na ścianę i odwróciłam wzrok, próbując zignorować igłę, kiedy przewlekała ją w kąciku mojego oka. – Zmarła, jak byłam bardzo młoda, ale nigdy nie opuściła mnie troska, którą okazywała mnie i mojej siostrze w dzieciństwie. Pochodziła z Teksasu. Bardzo to dalekie mafii. Nauczyła nas jeździć konno i przyrządzać ciasto orzechowe, kiedy ledwo chodziliśmy. Przyrządzała najwspanialsze kolacje z indyka w Boże Narodzenie i najśłodszy ajerkoniak. A potem pewnego dnia to wszystko zniknęło. Zginęła w nieudanym zamachu na mojego ojca i cała jej dobroć odeszła razem z nią. – Jej uśmiech był smutny, a głos brzmiał pusto, gdy kontynuowała: - Kiedy dorastasz wśród tortur i przemocy, nie wychodzisz z tego bez szwanku, Sophie. Chciałam zakończyć cierpienie, nie je powodować. Chciałam być rozwiązaniem, w każdy możliwy sposób. Moja matka była dobra. Chciałam być taka jak ona.

Ledwo poczułam pierwsze ukłucie. Maść zaczęła działać i ruchy Eleny były teraz szybkie oraz stabilne. Jednak i tak zamknęłam oczy.

- Czy pani tata to pochwałał?

Prychnęła. – Ojciec rzadko pochwalał moje czyny. Gdzie matka była życzliwa, on był okrutny. Rządził żelazną pięścią rodziną Genovese, a także mną i Donatą. Zwykłam uważać go za najbardziej imponującego człowieka na świecie, ale zmieniło się to wraz z moim wiekiem. Zaczęłam lękać się tego, jak łatwo przychodziło mu oddzielanie swoich uczuć od obowiązków. Czasami zastanawiałam się czy w ogóle miał jakieś uczucia.

Zapadła cisza i byłam świadoma tego, ile mi ofiarowywała, jaka bezbronna była w tym momencie, dlatego powiedziałam:

- Mogę to zrozumieć. Myślisz, że kogoś znasz i dowiadujesz się, że to całkowicie inna osoba. To jest do bani. Szczególnie, kiedy to twój tata.

Elena przytaknęła.

- Patrzymy na naszych rodziców przez różowe okulary. Częścią dorastania jest ich ściągnięcie. Zaczynamy ich rozumieć na poziomie ludzkim. To nie zawsze przyjemne doświadczenie.

- Nie – przytaknęłam. – Nie jest.

- Mój ojciec nie wierzył w takie głupiutkie rzeczy, jak czułość albo miłość. Lubił porządek i szacunek. Chciał, żebym poślubiła mojego dalekiego kuzyna, żeby podtrzymać klan Genovese.

- Faj – mruknęłam nim zdążyłabym się powstrzymać.

Śmiech Eleny był przelotnym dzwoneczkiem.

- Tak. Dokładnie. Możesz sobie wyobrazić, jak rozwścieczony był wielki Don Genovese, kiedy uciekłam wtedy z Angelo Falcone.

Przypomniałam sobie, co opowiedziała mi Donata o tamtej sytuacji. *Wiesz, co podarował mojej siostrze w ich noc poślubną? Śmierć mojego ojca.*

- Angelo zabił pani ojca. – Słowa wypadły z moich ust nim je przełknęłam. Skrzywiłam się, odczuwając teraz bardziej ukłucie igły.

- Tak, Angelo zabił mojego ojca, ale nie przed tym jak ten próbował odebrać *nam* życie. – Westchnęła i prawie poczułam to w kościach. Ten smutek i znużenie. – Nie miał wyboru. Dla nas to było: zabić albo zostać zabitym.

Wzięłam głęboki wdech.

- Naprawdę próbował panią zamordować własny ojciec? Bo zakochała się pani?

- Bo zakochałam się w niewłaściwym mężczyźnie i związałam z niewłaściwą rodziną – wytłumaczyła Elena. – Wolałby martwą córkę niż córkę Falcone. Chyba dlatego właśnie próbował to zrobić w moją noc poślubną. To miała być lekcja dla innych Genovese. Ostrzeżenie. Chciał, żebym zginęła w sukni ślubnej.

Zastanawiałam się czy mój ojciec czuł to samo wobec mnie. Miałam nadzieję, że nie... choć z Jackiem sentyment był oczywisty. Dziś był gotów odciągnąć mnie razem z Donatą – pozwolić jej zadać mi tortury za to, że odwróciłam się od rodziny Marino.

- Kiedy ojciec wysłał za mną swojego *soldato*, byłam pod prysznicem, przygotowywałam się do pójścia do łóżka z moim nowym mężem. – Poczułam, jak zadygotała na wspomnienie, ale ciągnęła dalej silnym głosem. – To był mój kuzyn Johnny. Wrzasnęłam, gdy zobaczyłam jak wpada do łazienki i gdyby jego pistolet się nie zaciął, to byłabym już martwa w kabinie prysznicowej. Ale Angelo był w garderobie i dopadł go pierwszy. Sądzę, że Johnny myślał, że byłam sama.

- To brzmi strasznie – powiedziałam, wyobrażając sobie ten rodzaj przerażenia.

- Było – powiedziała cicho. – Zaraz potem Angelo zadzwonił do Pauliego i razem złożyli mojemu ojcu ostatnią wizytę. – Przełknęła ciężko ślinę, odchrząknęła i dodała: - Jego koniec był szybki.

- Boże – mruknęłam. Cóż za bałagan czyniły sobie nawzajem te mafijne rodziny. – I siostra nigdy tego pani nie wybaczyła. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Donata była w domu w noc, kiedy Angelo zabił mojego ojca. Ją też mógł zabić, ale poprosiłam, żeby ją oszczędził. Pomimo tego, że nigdy się nie dogadywałyśmy, pomimo jej nienawiści do mnie i tego, co zrobiłam, nie chciałam jej skrzywdzić. – Poklepała mnie po ramieniu, żeby przekazać, iż skończyła szycie. Otworzyłam oczy i zobaczyłam jej lodowato błękitne oczy lśniące od łez. – Każdego dnia mojego życia żałuję tej decyzji. W każdej chwili zastanawiam się czy odbierze mi jednego z moich synów, jak omal nie zabrała Gino podczas tamtego pożaru. – Zamrugnęła i łzy zniknęły. – Myślę, że to była najgorsza decyzja w całym moim życiu.

Elena przesunęła palcami po zadrapaniu na mojej szyi.

- Prezent od mojej siostry? – zapytała.

Przytaknęłam.

Odgarnęła włosy ze swojej szyi, odsuwając się ode mnie, żebym zobaczyła pod światłem trzy wyblakłe linie rozciągające się od obojczyka do ucha.

- Pęknięcie – oznajmiła, wykręcając usta w makabrycznym uśmiechu. – Zrobiła mi to, gdy chłopak, w którym się durzyła, zaprosił mnie na bal maturalny. Oczywiście z nim nie poszłam, ale poczuła się tak bardzo urażona, że musiała zadać mi blizny.

- To wariatka – szepnęłam.

- Tak – odparła zwyczajnie Elena. – Cieszę się, że jesteś od niej daleko.

Ten sentyment ukłuł mnie w serce i przez jedną przerażającą chwilę myślałam, że się rozpłaczę. To była długa noc.

- Dziękuję – powiedziałam cicho. – Za dzisiejszą pomoc... za to, że jest pani dla mnie miła.

Elena skinęła głową.

- Zostawienie jednej mafijnej rodziny dla drugiej nie jest wcale niespotykane, jeśli czujesz, że coś lub ktoś cię wzywa. – Unikałam jej wzroku, starałam się zignorować wszystkie ukryte znaczenia, które mogły, ale nie musiały być w tym stwierdzeniu. – Jeżeli jesteś gotowa narazić się na niebezpieczeństwo dla moich chłopców, to jestem gotowa uczynić to samo dla ciebie. Teraz opiekujemy się sobą nawzajem. Wszyscy. Jeżeli moi synowie potrafią ci zaufać, to ja również.

Wróciła do pracy, nakładając kwadratowy bandaż na szwach w moim ramieniu. Odsunęła się, wyjęła z pudełka dwie pigułki i zamknęła go, wsadzając mi tabletki do ręki.

- Będziesz potrzebowała środków przeciwbólowych. Przyniosę ci receptę na więcej i wyślę do apteki któregoś z chłopaków. W ciągu najbliższych kilku dni postaraj się za dużo nie ruszać i dobrze się wysypiaj. – Ucisnęła moje zdrowe ramię i wstała. – Dobrze się dzisiaj sprawiłaś, Sophie. Byłaś odważna. Byłaś Falcone. – Odwróciła się ode mnie, jej jedwabny szlafrok ciągnął się za nią, kiedy wychodziła.

Połknęłam tabletki bez popicia. Kilka minut później w drzwiach mojego pokoju stanął Nico.

- No i?

- Dwanaście szwów, żadnej kuli – powiedziałam. – Szczęściara ze mnie.

- Gratulacje! – Uśmiechnął się szeroko. – Twoja pierwsza oficjalna, mafijna rana. I jeszcze dwanaście szwów. Imponujące.

- Naprawdę? – Naciągnęłam koc na ramiona, zakrywając skórę pokrytą krwią.

- Zaczekaj – powiedział, wchodząc do pokoju. – Daj mi zobaczyć.

Opuściłam niechętnie nakrycie, odsłaniając mocno zakrwawione ramię. Ranę zakrywała gruba gaza przyklejona plastrem.

- Wow. – Zagwizdał. – Mocne.

Uśmiechnęłam się słabo.

- To tylko draśnięcie.

- Jesteś hardcorowa, Soph.

Moja głowa zaczęła się bujać. Nie wiedziałam, co podała mi Elena, ale robiło mi się bardzo lekko.

- Czuję się bardzo miękka i gąbczasta – oznajmiłam. – A także zakrwawiona. Bardzo, bardzo zakrwawiona.

- Poczekaj. – Nico wyszedł z pokoju, wracając chwilę później z ręcznikiem. Usiadł obok mnie i ujął mnie za rękę, kładąc sobie na kolanie. Siedziałam otumaniona, kiedy środek przeciwbólowy wślizgnął się do mojego organizmu i moje powieki stały się ciężkie. Patrzyłam, jak przyciskał mokry ręcznik do mojego ramienia.

- Dzięki, Nico – powiedziałam, przyglądając się jak zmywa krew, kawałek po kawałku. Pochylał głowę, ściągając razem ciemne brwi. Jego dotyk był taki delikatny, że ledwo czułam.

- To nawet seksowne – rzekł, ściskając moje palce i wyszorował je ostrożnie ręcznikiem, pozbywając się zaschniętej krwi na paznokciach. – Cała ta krew.

Uśmiechnęłam się błogo do czubka jego głowy.

- Ale wygadujesz głupoty.

Jego śmiech rozbrzmiał nisko w klatce piersiowej.

- Czy Luca rozmawiał już z Valentino?

- Zdał mu informacje – odpowiedział Nico, nie podnosząc wzroku.

- Czy Valentino się wściekł?

Nico wzruszył ramionami.

- Valentino zawsze jest wściekły. Luca chce, żeby naciskał na rozejm. Valentino się nad tym zastanawia.

- Serio?

- No. – Nico podniósł gwałtownie głowę. – Idiotyizm, co nie?

- Co powiedział Luca?

- Chyba po prostu nie może uwierzyć, że pojawili się wszyscy w liceum. To popieprzone.

- Tak – mruknęłam.

- Luca mówi, że nie ma już żadnych reguł, że pomiędzy naszymi rodzinami nie pozostał już ani ułamek honoru i jeśli nie zgodzimy się teraz na rozejm, to wszyscy na tym ucierpimy.

To było zbyt wiele do przetworzenia. Mogłam złapać się tylko jednej myśli naraz.

- Co się stało z Zolą Marino? – zapytałam. – Zostawiliśmy ją nieprzytomną w korytarzu.

- Aresztowano ją – odparł. – W wiadomościach nazywają ją samotnym strzelcem.

- Powie coś?

Niewesoły uśmiech. – Nie ma szans.

- A zostanie zwolniona za kaucją?

- Jeśli Donata się do tego zabierze. Trzyma w kieszeni połowę gliniarzy z Chicago. – Odsunął ręcznik i podniósł moją rękę, żeby jej się przyjrzeć. – Dzisiejszy wieczór był katastrofą.

- Następnym razem będzie inaczej.

- Może nie być następnego razu, jeśli dostaną swój rozejm.

- Nie – powiedziałam. – Nie możemy stchórzyć, nie teraz.

- Powiedz to Valentino i Luce – powiedział szorstko Nico.

- Nie chcę rozejmu, Nico.

- A myślisz, że ja chcę? – zapytał niedowierzająco. – Zaslugujemy na zemstę. Ty zasługujesz na zemstę. Dzisiaj było ciężko, ale uciekliście. To Donata przegrała, nie my. – Przewrócił oczami, a w kącikach jego ust wezbrała się frustracja. – Nie wiem, dlaczego Luca nie widzi tego w ten sposób.

- Następnym razem będę miała pistolet. Będziemy lepiej przygotowani. – Nie wiem, dlaczego tak mocno walczyłam. Przypuszczam, że pod strachem, bólem i nagłą świadomością własnej śmiertelności tkwiło poczucie siły, determinacji. Byłam silna. Przeżyłam dzisiejszy wieczór. Pomogłam Luce. I znowu przetrwam. Wszyscy przetrwamy. – Nie boję się, Nico. Nie boję się tego, co zrobią, nie boję się tego, co *ja* mogę zrobić.

Uśmiechnął się do mnie powoli.

- Widzisz, naprawdę jesteś hardcorowa.

Przesunął ręcznik w górę mojego ramienia, muskając wewnątrz łokcia i objął palcami mój nadgarstek.

Zsunął rękę z powrotem w dół. Mimowolnie trzymał mnie za dłoń i ścisnął moje palce. Byliśmy znacznie bliżej niż zdawałam sobie sprawę. Wolną ręką rysował małe kółka wokół mojej rany, oczyszczając delikatnie resztki środka dezynfekującego i krwi.

- Co robisz? – Nagle czułam się strasznie zmęczona.

Zabrał rękę, składając ręcznik na kolanach.

- Jestem z ciebie dumny, Soph – powiedział szczerze. – Byłaś dzisiaj wspaniała. Zachowałaś się jak prawdziwa Falcone.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Dziękuję. – Słowa spłynęły z mojego języka, ochryple i o wiele bardziej intymne niż zamierzałam. – Pachniesz lasem.

Uniósł kącik ust.

- Wygląda na to, że leki przeciwbólowe zaczynają działać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

STO GROBÓW

- Co to za wyjątkowa marka brutalnego romantyzmu? – Podniosłam gwałtownie głowę i ujrzałam Millie stojącą w progu mojego pokoju. – Bo wcale mi się nie podoba.

- To się nazywa przyjaźń – odpowiedziałam, odsuwając się od Nico, uświadamiając sobie w ulotnej chwili klarowności, że być może to wyglądało na coś innego, coś czego nie chciałam.

Weszła stanowczym krokiem do pokoju, jej szpilki i sukienka wciąż były cudownym sposobem nietknięte, a czarna poła sunęła za nią.

- Zostałam dokładnie przesłuchana i odpowiednio zastraszona przez Valentino na pańską prośbę, panie Falcone.

- Nie kazałem mu tobie grozić – powiedział Nico. – Powiedziałem, żeby cię uspokoił. Wpadałaś w histerię.

- Huh – mruknęła Millie. – A więc wrzucił tę część za darmo. Tak czy inaczej, trzymam buzię na kłódkę. Wiesz, pragnę jeszcze zobaczyć, jak moi rodzice dożyją podeszłego wieku.

Nico burknął niezrozumiałe przekleństwo.

- Czy on naprawdę zagroził twojej rodzinie?

Millie uśmiechnęła się do niego sardonicznie.

- Troszeczkę. Mogę teraz zamienić słówko z przyjaciółką, proszę?

Nico wstał, mrużąc coś do Millie, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Millie obróciła się na pięcie i odgarnęła włosy z twarzy.

- Wojna krwi – oznajmiła.

Miałam wrażenie, że moja głowa unosi się kilka centymetrów nad szyją. Moje koniuszki palców były trochę odrętwiałe. Przytaknęłam.

- Czy ty robisz sobie cholerne *zarty*, Sophie? Czy to jest jakiś okrutny halloweenowy dowcip, w którym przebierasz się za kogoś, kogo *nie znam*?

Wzdrygnęłam się na tę sugestię. Gdyby tylko wiedziała, jakie było prawdziwe przebranie – osoba, która spędzała z nią czas przez ostatnich parę miesięcy,

wymuszająca uśmiechy i udająca zainteresowanie przyszłością, która była już poza jej zasięgiem.

- Jesteś pośrodku *wojny krwi*! – powtórzyła. – Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć, do diabła? Czy może miałam sobie połączyć kropeczki na twoim *pogrzebie*?

Podniosłam ręce w górę, usiłując ją uspokoić.

- Wy tłumaczę, Mil.

- Na pewno możesz spróbować, ale wątpię, że się od tego wymigasz.

- Nie chciałam cię niepokoić – powiedziałam. – Tak to mniej więcej działa w świecie przestępczym. Im mniej wiesz, tym jesteś bezpieczniejsza. Nawet w najgorszych snach nie sądziłam, że wydarzy się coś podobnego do dzisiejszego wieczora. Nigdy świadomie nie naraziłabym cię na takie niebezpieczeństwo. Przepraszam.

Ścisnęła sobie grzbiet nosa.

- Udusiłabym cię, gdybyś nie była już ranna, Soph. Przysięgam na Boga, jak na inteligentną dziewczynę to zachowujesz się teraz jak najgłupsza osoba na tej planecie. Myślisz, że moim głównym punktem spornym jest fakt, iż nie powiedziałaś mi o wojnie krwi? Nie, moim głównym problemem jest to, że *jesteś pośrodku wojny krwi*. Jak to się stało, do cholery?

Zamrugałam, czując przemożną ochotę, żeby się położyć i przespać sto lat.

- Wiesz, że jestem Marino. Wiesz, co zrobili mamie.

- Co dokładnie próbujesz osiągnąć, żyjąc pośród tej całej przemocy? Czy zdajesz sobie sprawę, że dzisiaj byłaś o włos od śmierci?

- Mam tego świadomość.

- Przebywanie z tą rodziną to najprawdopodobniej najgorsze, co teraz robisz – naciskała. – Wymalowali ci na czole wielki czerwony krzyżyk.

- On już był tam wcześniej, Mil. Marino ścigają też mnie. Jesteśmy bezpieczniejsi, jak trzymamy się razem. Bez nich jestem łatwym celem.

- I? – zachęcała Millie. – To wszystko?

- Co?

- Czy to jedyny powód, dla którego tutaj mieszkasz?

- O czym mówisz? – Jej znaczenie nie łączyło się w mojej nieogarniętej głowie, ale wiedziałam, że do czegoś nawiązywała.

- Rozmawiałam na dole z Gino – ciągnęła. – Chyba myślał, że opowiedziałas mi wszystko w drodze tutaj...

- Opowiedziałam – skłamałam.

- Czyżby? – zapytała wyzywająco.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie powiedziałaś, że posiadasz teraz pistolet.

- Ja...

- Och, wybacz. *Dwa* pistolety – poprawiła się.

Znowu się wzdrygnęłam.

- Gino nie powinien ci tego mówić.

Opadła jej szczęka.

- A więc teraz jestem osobą z zewnątrz?

- Nie w taki sposób. – Natychmiast pożałowałam swojego braku taktu. – Chodzi mi o to, że powinien być bardziej dyskretny. Przecież on nie...

Podniosła rękę, żeby mi przerwać.

- Nie powiedziałaś również, jakim stałaś się dobrym strzelcem.

Spojrzałam na swoje ręce, a wstyd wymalował kręgi ciepła na moich policzkach.

- Nie widziałam sensu, żeby ci mówić. To nic takiego.

- Nic takiego – powtórzyła. – Zatem to hobby?

Nie śmiałam się spojrzeć w jej oczy.

- Coś w tym stylu.

- Oczekujesz, że ci uwierzę? Myślisz, że nie widzę, jaka stałaś się wściekła? Jaka stałaś się inna? Myślisz, że kiedy patrzę na moją najlepszą przyjaciółkę, to nie widzę tego poszarpanego, złamanego serca... mroku w twoich oczach, jak mówisz o Jacku, tego jak się najeżasz, kiedy wspominam twojego tatę? Myślisz, że nie wiem, jaka jesteś pokaleczona przez śmierć twojej mamy? Myślisz – wciągnęła głośno oddech, ciągnąc drżącym głosem – że nie wiem, iż powodem, dla którego spędzasz tyle czasu na strzelaniu jest to, że chcesz wycelować pistoletem w głowę swojego wujka, gdy znowu go zobaczysz i pociągnąć za spust?

Zrzedła mi mina. Byłam zbyt wyczerpana, żeby nad nią zapanować. Oczywiście, że mnie przejrzała – nie wiem, dlaczego kiedykolwiek sądziłam, że jej się to nie uda. Znała mnie lepiej od wszystkich.

- Widzę to – powiedziała. – Nawet teraz nie możesz tego przede mną ukryć, więc nie próbuj. Jesteś tutaj dla bezpieczeństwa, jasne, ale także dla zemsty. Przyznaj się. Jeśli cenisz zaufanie, którym się darzymy, to przestaniesz mnie okłamywać.

Zmusiłam się, by na nią spojrzeć... na moją najlepszą przyjaciółkę; piękną, zabawną, mądrą, odważną i nadal lśniąca w tej sukni. A ja leżałam pod nią ranna po postrzale, w pogniecionej błękitnej sukience jej matki i wciąż bałam się pokazać jej, kim naprawdę byłam w środku, chociaż ona już wiedziała.

Została tylko Millie. *Zdejmij maskę.* Jeśli dzisiejszy wieczór cokolwiek udowodnił, to że nie można uciec od swojej prawdziwej tożsamości.

- Dobrze – poddałam się.

- Dobrze? – Stała przede mną z założonymi rękami.

- Sprzymierzyłam się z Falconami, ponieważ chcę, żeby Jack cierpiał tak jak przez niego cierpiała moja matka, tak jak ja przez niego cierpię – wyznałam. – Chcę go zabić. To nie jest kaprys ani żal. To słuszne działanie i chcę być tą, która tego dokona. Falconowie mi pomogą, a kiedy skończę, pragnę zabić również Donatę Marino. Nie spocznę, dopóki nie otrzymam swojej zemsty. Nie spocznę, dopóki Jacka nie dosięgnie sprawiedliwość. Zawsze należałam do tego świata, Millie. Mam go w sercu i we krwi. Już od niego nie uciekam. Nie uciekam od tego, kim jestem. – Oparłam się na łokciach, żeby ujrzała prawdę na mojej twarzy.

Zduszony śmiech uwiązał jej w gardle.

- Taka jest prawda – powiedziałam. – Stara Sophie nie żyje. Tak naprawdę nigdy nie istniała i teraz jestem tym, kim powinnam być.

Patrzyła na mnie oniemiała. Widziałam jej wszystkie zęby, ponieważ szczęka jej opadła pod wpływem szoku.

- Och, Soph. Nie możesz mówić poważnie.

- Jestem tak poważna, jak rana postrzałowa w moim ramieniu. – Byłam teraz na fali. Równie dobrze mogła dowiedzieć się wszystkiego. – Właściwie to nigdy w życiu nie byłam poważniejsza. Nie chciałam ci się pokazywać z tej strony. Nie chciałam cię przerazić ani wystawić na niebezpieczeństwo, nie chciałam, żebyś patrzyła na mnie tak jak teraz, ale prawda jest taka, że mam dość bycia słabą i bezradną, mam dość tkwienia na marginesie własnego życia i mam dość pozwalania, żeby inni ludzie podejmowali za mnie decyzje. Odzyskuję moją moc. To nieprzyjemne, mroczne i straszne, ale nie boję się, Millie. Taka właśnie jestem.

Pozwoliła, żeby rozciągnęła się między nami cisza. Na jej twarzy rozlało się przerażenie. Skrzyżowała ramiona na klatce piersiowej, podnosząc do góry srebrny, brylantowy wisiołek, aż zamigotał w świetle lampy.

- Przepraszam – powiedziałam. – Przepraszam, że nie jestem przyjaciółką, na którą zasługujesz i przepraszam, że cię dzisiaj naraziłam. Przepraszam, że zniszczyłam piękną suknię twojej mamy, przepraszam, że zrujnowałam twój bal i przepraszam, że musisz teraz stać tutaj przy mnie z tym wyrazem twarzy.

Jej twarz się rozpadła.

- Soph...

- Kocham cię – ciągnęłam pomimo dyskomfortu widocznego na jej twarzy. – Jesteś moją skałą, moją najlepszą przyjaciółką, moją siostrą i najlepszą rzeczą w moim życiu, ale wiem, że nie możesz przy mnie w tym trwać. Nigdy bym cię o to nie poprosiła. Nie oczekuję, że mnie zrozumiesz i nie oczekuję, że wybaczysz mi to, co zamierzam zrobić, więc chcę, żebyś wiedziała, że możesz odejść. I nie ma w tym nic złego. Nie jesteś mi nic winna. Możesz iść.

- Iść? – powtórzyła, jakby to słowo było bezsensu. – Gdzie mam iść?

Wskazałam mało przekonująco na pokój, a potem na siebie, opuszczając rękę na kolana.

- Z dała stąd – powiedziałam, próbując brzmieć na silną i przekonaną, kiedy czułam jedynie strach i smutek. – Z dała ode mnie.

Zmarszczyła brwi z cieniem zdumienia na twarzy, następnie przewróciła oczami.

- Na litość boską. Nie dramatyzuj.

- Nie dramatyzuję – zaoponowałam. – Mówię poważnie.

- Cóż, nie mam zamiaru cię zostawiać w tej gigantycznej burzy. Jesteś teraz jedną wielką kupą złych decyzji i błędnych pomysłów, ale to nie twoja wina. Dużo straciłaś. Pojmuję, dlaczego się zagubiłaś, ale to nie znaczy, że odejdziesz. Nie teraz. Nie, kiedy wyraźnie potrzebujesz mnie najmocniej. Za kogo ty mnie masz? Serio?

- Nie miałabym ci tego za złe.

Zbyła moją odpowiedź machnięciem ręki.

- Nie tylko będę przy tobie trwać, ale wyciągnę cię z tego bałaganu. Mamy plany. Skończymy szkołę i będziemy podróżować po świecie. Nie zginiesz ani nie wylądujesz w pace, goniąc za kulawym gnojkiem, który nie zasługuje na choćby sekundę twojej uwagi. Zostaw Jacka policji, Nicowi albo temu dziwnaczemu Felicemu, jeśli chcesz, ale nie marnuj swojej przyszłości na tego idiotę. On już odebrał ci wystarczająco przeszłości.

- Nie wyjadę stąd, dopóki to się nie skończy, Mil.

Zajęła miejsce na łóżku obok mnie.

- Wyjedziesz.

- Nie – powtórzyłam surowszym tonem. – Nie wyjadę.

Atmosfera zrobiła się napięta. Patrzyłyśmy na siebie, czekając aż ta druga się załamie i przyzna do porażki. Ona nie widziała tej sytuacji tak samo jak ja. Postrzegala ją logistycznie, a ja osobiście i w tym tkwiła cała różnica. To było moje zadanie. Moja zemsta. Moja podróż do uzdrowienia.

- Zabiję go – oświadczyłam. – I nic, co powiesz mnie nie powstrzyma. Nic.

Podniosła rękę do ust, zagłuszając słowa. Nareszcie zaczynała rozumieć. Wiedziała, że nie żartowałam.

- Jezu Chryste, Sophie.

Patrzyłam na nią niewzruszona.

- Nie możesz mówić serio.

- Ale mówię.

- Nie słyszę tego. – Zamknęła oczy. – To nie dzieje się naprawdę. Nie słyszę tego.

- To prawda – powiedziałam. – Zabiję mojego wujka.

Milczała przez dłuższą chwilę, szok i niedowierzenie walczyły ze sobą na jej twarzy. Potem ożywiła się, otworzyła szeroko oczy i spiorunowała mnie wzrokiem. Machnęła ręką wkoło, jakby malowała jakiś obraz w powietrzu.

- Zatem wykop dwa groby, Sophie. Jeden dla Jacka i jeden dla ciebie. Albo jeszcze lepiej, czemu nie wykopiesz setki grobów? – Obróciła się, celując palcem w korytarz. – Wykop grób dla każdego Falcone'a, każdego Marino i każdego przeklętego idioty, który kocha was wszystkich. Wykop tyle grobów ile zdołasz zanim pójdziesz kogokolwiek zastrzelić, ponieważ kiedy uderzy ta głupia wojna krwi, wszyscy mamy *przerąbane!* Ludzie, którzy cię kochają nie odejdą i zabije ich twój upór, tak jak zabije też *ciebie*. – Machnęła palcem w kierunku mojego ramienia. – Tak jak prawie do tego doszło dziś wieczorem. A może nie zdajesz sobie sprawy, jak blisko znajduje się twoje serce ramienia?

- Nie musisz się angażować – powiedziałam. – Mówiłam ci.

- Nie upraszczaj tak sprawy! – warknęła. – Pewnie, że jestem zaangażowana. Ty jesteś zaangażowana, więc ja również. I módl się, żebym zginęła przed tobą, bo jeśli zostaniesz zabita przede mną to będę musiała umrzeć dwa razy! – W jej oczach wezbrały

się łyzy, ale nie przestawała krzyczeć, jej głos nabierał wysokości. – Jak możesz mieć tak mało szacunku do swojego życia?

- Jakiego życia? – zapytałam. – Tego, które zabrał mi Jack? *Tego* życia?

- Ty kontrolujesz własne życie, Sophie!

Moja głowa zaczynała odpływać. Musiałam się położyć. Potrzebowałam snu.

- Jestem zmęczona, Mil. Nie mogę znowu się o to sprzeczać. – Ani z nią, ani z Lucą. – Wiem, co robię. Wiem, dokąd zmierzam.

Pokręciła przecząco głową i objęła mnie za nadgarstki, jakby chciała wyciągnąć mnie z moich myśli.

- Uciekaj stąd, Sophie. Zanim będzie za późno.

- Nie ma wyjścia. Nie rozumiesz? Jestem naznaczona przez Marino. Chcą dopaść mnie tak samo, jak ja ich.

Millie zmarszczyła nos.

- Nie – powiedziała, szukając odpowiednich słów. – To niemożliwe.

- Możliwe – powiedziałam stanowczo. – To jest najbezpieczniejsze miejsce. Jedyne miejsce.

- Wykorzystaj adres, który podał ci ojciec – rzekła Millie. – Przynajmniej na jakiś czas. Dopóki nie wymyślisz...

- Oszalałaś? Skąd pewność, że ufam mojemu kłamliwemu, morderczemu ojcu?

- On cię kocha, Sophie. Nie posłałby cię do pułapki.

- Nie?

Millie potrząsnęła głową.

- Chce ci pomóc i teraz już rozumiem. Wtedy nie rozumiałam, ale on wie jak głęboko wpadłaś w to wszystko.

- Wyrzuciłam ten adres – przypomniałam jej.

- Musiałaś go zapamiętać. Przynajmniej część. Czy nie warto tego zbadać? – naciskała. – To mógłby być azyl... Marino by cię tam nie szukali.

- Chyba, że ojciec powiedziałby im gdzie jestem.

- On nie jest potworem. Wiesz, że nie zrobiłby czegoś takiego.

- W tym właśnie rzecz – odparłam, czując jak nadchodzi kolejna fala wyczerpania. Opadłam na poduszkę. – Nie wiem tego. Już nie.

- Odlatujesz.

- To przez tabletki przeciwbólowe – powiedziałam, walcząc o utrzymanie otwartych powiek.

Millie westchnęła ciężko.

- Dajmy sobie przerwę, dopóki tego nie odeśpisz. Ubierzmy cię w piżamę.

- Przykro mi – mruknęłam, rozpinając suknię. Moje ręce poruszały się w zwolnionym tempie. Przed oczami widziałam czarne plamki. Nie czułam już bólu w ramieniu. – Sukienka jest poplamiona.

Millie pomogła mi ją zdjąć, wykonując większość roboty, kiedy ja miotałam się bez sensu.

- Nie obchodzi mnie sukienka, Sophie.

Wcisnęłam się w bluzkę i spodnie dresowe.

- Chciałabym, żeby obchodziła.

- Wcale nie – odparła.

- Chciałabym, żebyś była mniej spostrzegawcza.

- Chciałabym, żebyś była mniej uparta.

- Jesteś tak samo uparta, jak ja.

- Dokładnie – powiedziała, pomagając mi wejść pod koc. – Stąd wiem, że wygram.

- Co wygrasz?

Moje powieki same opadały. Czułam spokój, jakbym unosiła się nad własnym ciałem. Sprzeczką znajdowała się daleko pode mną, w całkiem innym miejscu.

Otuliła mnie kołdrą. Odsunęła mi włosy z twarzy i jej ściszony głos podążył za mną w ciemność, kiedy zasypiałam.

- Wygram tę sprzeczkę. Wyciągnę cię stąd, nawet jeśli to będzie ostatnie, co zrobię w moim życiu.

Potem zniknęłam, i ona również.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

ŚNIADANIE

- Moje płatki dziwnie smakują.

- Dlatego, że nadal jesteś na haju – zauważył Nico. – Ile wzięłaś dzisiaj tabletek przeciwbólowych?

Pokazałam mu dwa palce, przeżuując płatki.

- Wszystko smakuje jak pianki.

- Dlatego, że jesz Lucky Charms – odparł ze śmiechem.

Uśmiechnęłam się do niego z pełną buzią. Wyobrażałam sobie, że przypominałam wiewiórkę.

- Jak tam twoje ramię? – zapytała Elena, która przygotowywała wymyślne dania na czterech patelniach.

- W porządku – powiedziałam, obracając ramieniem, żeby sprawdzić jak mocno bolało.

Ta. Nadal bolało.

Felice siedział u szczytu stołu, spoglądając na mnie nad swoim spienionym cappuccino.

- Witaj w Klubie Postrzelonych, Persefono. Czujesz się teraz niepokonana?

- Nie – odparłam. – A powinnam?

- Nie – powiedział, wykrzywiając usta w uśmiešku. – Nie powinnaś.

Zachowałam w pamięci tę ukrytą groźbę razem z innymi i pożarłam kolejną łyżkę Lucky Charms, gdy kuchnię wypełnił zapach bekonu.

- Ile jajek, Gino? – zapytała przez ramię Elena. Wciąż była ubrana w jedwabny szlafrok, jej długie ciemne włosy spływały falami po plecach.

- Sześć – zawołał, przeżuując grzanekę.

- Dom? – zapytała.

Odkryłam, że Dom nie mówił za wiele przed jedenastą rano. Był to cudowny Falconowy fakt. Podniósł cztery palce.

- Cztery – odpowiedział za niego Gino.

- Nico?

- Trzy z podwójnym bekonem, proszę.

- CJ?

- Trzy – powiedział CJ, zerkając na Nico. – I też poproszę podwójny bekon. – Którejś nocy Dom przyłapał CJ'a na próbie ruszenia jego samochodem i prawie pozbawił go przytomności, zatem CJ chwilowo zaczął czcić Nico.

Wysiorbałam następną łyżkę płatków, ledwie czując ich smak. Obudziłam się zaledwie parę godzin temu, ale już byłam wyczerpana. Moje ramię pulsowało tępym bólem, powieki miałam ciężkie od środków przeciwbólowych i czułam wzrok Felicego z drugiej strony stołu.

- Sophie? – zapytała Elena po krótkiej chwili.

- Dziękuję.

- Gdzie jest Valentino? – zapytał Gino. – Zwykle wstaje wcześniej w soboty.

- Jest ze swoim bratem – odrzekł Felice.

Dom przewrócił oczami.

- Valentino pewnie pomaga Luce przemienić się w prawdziwy worek treningowy, żeby mógł efektywniej zadać sobie łomot.

Felice parsknął śmiechem, po czym ukrył rozbawienie w swojej filiżance.

- Zostaw go w spokoju – skarciłam Doma. – Nie było cię tam.

- No tak, bo nie jestem głupim nastolatkiem, który podnieca się piciem zaprawionego ponczu i bawieniem w przebieranki w miejscowym liceum.

- I nie zostałeś zaproszony – wytknął Nico. – Bo twój żel do włosów odrzuca dziewczyny.

Tym razem to ja się zaśmiałam. Nico posłał mi wdzięczne spojrzenie. CJ powstrzymał uśmiech. Nie był jeszcze gotów, żeby całkowicie zdradzić Doma.

- Zabawne – powiedział Dom bez uśmiechu. – Prawie tak zabawne, jak fakt, że Sophie zaprosiła *Lucę*, a nie ciebie, osobę, która wciąż desperacko próbuje ją przelecieć.

Wyplułam następną porcję płatków.

- Dominico! – wrzasnęła Elena, obracając się na pięcie. – Nie będziesz odzywał się w taki sposób w tym domu. A na pewno nie przed młodszymi dziećmi.

- Nie jestem dzieckiem – burknął CJ.

Nico rzucił widelcem w Doma, trafiając go w bok twarzy. Ich krzesła odskoczyły w tym samym czasie, rzucili się na siebie przez stół. Gino złapał Nico w pasie i odciągnął od Doma. Ja również wstałam, odpychając rękę Doma.

- Siadaj, kretynie.

- Mógł mi wydłubać oko!

- A ty byś na to zasłużył – warknęła Elena. – Czy ja wychowałam stado wilków? – Podniosła rękę do sufitu. - *Ti prego, Dio, dammi la forza!*

Felice nie ruszał się z miejsca, popijając kawę z uśmiechem. Trochę żałowałam, że widelec Nico nie ominął Doma i nie trafił w twarz jego wujka. Jakim cudem nikt nie zauważył, jakim gadem jest ten facet?

- *Uspokój się* – powiedział Dom, siadając. – Tak tylko mówiłem.

- Sophie nie zaprosiła Luki – zaprzeczył Nico. – Poszedł tam, żeby mieć na nią oko.

- I dobrze się stało – wtrącił Gino. – Inaczej byłoby po niej.

- Byłoby po *Luce* – poprawił go Nico. – To Sophie rozbroiła Zolę.

- Ale nie zdecydowała się jej zabić. – Felice nareszcie zabrał głos.

Nie złamałam się pod jego spojrzeniem.

- Okoliczności były zbyt skomplikowane, Felice.

- Naprawdę?

Elena znowu się odwróciła, jej głos mieszał się ze skwierczeniem tłuszczu na patelni.

- Chciałeś coś powiedzieć, Felice? Może powinieneś mówić wprost.

Felice posłał jej swój uśmiech rekina.

- Zwracałem tylko uwagę, że niezależnie od tego, kto pokonał Zolę Marino, Luca albo Persefona powinni byli ją zabić, póki mieli szansę. Ta kobieta zostanie zwolniona za kaucją i wszyscy wiemy, że ma nierówno pod sufitem. Potwierdza to pokazanie się na szkolnej potańcówce pełnej niewinnych nastolatków i wystrzelenie z broni. – Rozsiadł się na krzesło, bębniąc palcami o stół. Kiedy nikt nic nie powiedział, powtórzył: - Luca powinien był się tym zająć.

Elena wycelowała nożem w Felicego, obracając nim w powietrzu nad jego głową.

- Uważasz, że powinien był zastrzelić Zolę i zostać zabranym stamtąd w kajdankach, a potem pójść na resztę życia do więzienia?

Felice wzruszył ramionami.

- Kto mówi, że stałoby się coś takiego?

- Zdrowy rozsądek – odpowiedział Nico. – Wszędzie była policja. Nawet Jack i Donata tam nie zostali, a ona jest przecież rodziną. Luca wylądowałby w więzieniu.

- Co sprawiłoby, że mielibyśmy o jednego mniej aktywnego członka rodziny – powiedział z napięciem Dom.

- I miałbyś o jedną mniej osobę w drodze na szczyt – dodałam.

Felice rozszerzył nieco oczy.

Reszta zamilkła.

- Uważaj – powiedział, obnażając przede mną zęby.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

ROZEJM

Siedziałam w bibliotece, podpierając stopy na ławie do kawy, kiedy Luca otworzył drzwi i wszedł do środka. Wszyscy inni wyszli z domu na całe popołudnie, więc nie spodziewałam się, że ujrzę go w najbliższym czasie.

- Hej. – Odłożyłam komórkę, przerywając intensywną rozmowę w postaci samych gifów, którą prowadziłam z Millie. Próbowałam usiąść, ale moje ruchy były cięższe niż zwykle i zajęło mi to dwa razy więcej czasu.

- Cześć – powiedział, lustrując mnie wzrokiem i zatrzymał się na moim zabandażowanym ramieniu, chociaż było zakryte dużą bluzą.

- Przestań mi się przyglądać, Luca. Nie wyglądam najlepiej.

Oparł się o podłokietnik fotela obok mnie i dotarł do mnie zapach jego wody kolońskiej. Staralam się nie dać wciągnąć we wspomnienia potajemnych chwil i skradzionych pocałunków.

- Jak się masz? – zapytał.

- Och, no wiesz, nie umarłam – odparłam, podnosząc na niego wzrok. – Więc to już coś.

Nie zaśmiał się. Jego zwykle jasne oczy były przekrwione i miał ciemne wory pod spodem. Jego włosy były potargane i odsunięte z twarzy, a szary sweter pomarszczony przy szyi. A jednak, mimo wszystko, dalej wyglądał jakby właśnie wypadł z reklamy GUESS.

- To nie jest śmieszne – powiedział zdecydowanie. – Ani trochę.

Wyprostowałam się, wzdychając.

- Gdzie byłeś? Nie widziałam cię od wczoraj. – *Wiesz, odkąd prawie zginęliśmy w tamtym korytarzu.*

Przezcesał sobie włosy.

- Rozmawiałem z Valentino. Wymyślałem, jak to wszystko zakończyć na dobre.

- Co masz na myśli? – zapytałam.

- Cały poranek spędziłem w mieście, próbując przekazać wiadomość Marino. Ustalamy rozmowę pokojową na przyszły tydzień.

- *Rozmowę pokojową?* Co wy jesteście, dwoma skłóconymi krajami?

- Równie dobrze możemy nimi być – odparł z powagą Luca. – Zamierzamy ogłosić rozejm.

- Rozejm? – powtórzyłam. – Tak po prostu jest *postanowione*? Myślałam, że ty i Valentino jedynie rozmawialiście o takiej możliwości.

- Bo rozmawialiśmy – powiedział niewzruszony. – A teraz skończyliśmy. Decyzja została podjęta.

Zamrugałam, czując zalewające mnie niedowierzenie.

- Bez nas?

Przechylił głowę.

- Ta decyzja należała do nas.

Zerwałam się na nogi. – Żartujesz, prawda? Nie mogę uwierzyć, że zrobiłeś to za moimi plecami.

- Za twoimi plecami? – Frustracja podwinęła mu wargę, wydobyła cień dzikiego Luki, którego widziałam wiele razy wcześniej. – Myślałem, że ci ulży.

- Myślałeś, że mi ulży, kiedy dzień po tym jak Donata Marino *otworzyła* na mnie *ogień* na moim licealnym balu, ty wyciągasz do niej gałązkę oliwną? Czyś ty postradał rozum?

Luca również wstał.

- A ty?

- Nie mogę uwierzyć, że tak po prostu się poddajesz. - Potrząsnęłam głową.

- Zeszłej nocy prawie *umarłaś*, Sophie – powiedział śmiertelnie spokojnym głosem. – Prawie musiałem patrzeć na twoją śmierć.

Zrobiłam krok w jego stronę, wpychając w dzielącą nas przestrzeń cały mój gniew i frustrację.

- Ale nie umarłam, Luca. O to właśnie chodzi. Wciąż tu jestem, a oni mają jednego człowieka mniej. Teraz mamy przewagę.

- Nie zależy mi na przewadze! – Tracił opanowanie niemal tak samo szybko, jak ja. – Zależy mi na życiach! Zależy mi na *twoim* życiu! Przynajmniej jednemu z nas powinno!

- Co to ma znaczyć, do cholery? – syknęłam, ziejąc ogniem.

Spiorunował mnie wzrokiem.

- Znaczy, że masz życie poza tą wojną, Sophie. Masz *możliwości*. Chcę, żebyś przestała patrzeć na wszystkie rzeczy, które chcesz zniszczyć i zaczęła dostrzegać wszystkie rzeczy, które cię uszczęśliwią. To życie, które sobie wyobrażasz? O którym rozmawialiśmy? Możesz je mieć. Nadal możesz mieć to wszystko. Zaczynaj o tym myśleć. Zaczynaj myśleć o możliwości.

I znowu był na tym przeklętym piedestale i tak strasznie złościł mnie fakt, że nie potrafił zrozumieć jak bardzo tego potrzebowałam. Jak bardzo chciałam zemścić się na Donacie.

Zapanowałam nad moim temperamentem, nakazałam sobie spokój.

- A co jeśli pragnę czegoś innego? Czy to się w ogóle liczy?

- Ogłaszamy rozejm – powiedział stanowczo. – To nie podlega negocjacji. Chciałem cię tylko poinformować. Głupi myślałem, że będziesz zadowolona. – Nim zdążyłabym odpowiedzieć, odwrócił się ode mnie i wyszedł z pokoju.

Pomaszerowałam za nim. – Ej! Wracaj tu!

Obrócił się, jego oczy rozbłysły w ciemnym korytarzu.

- Co? – wypluł.

- To wszystko? Wojna krwi dobiegła końca, więc tak po prostu wrócisz do ignorowania mnie. Do udawania, że nie istnieję.

Zrobił jeden krok w moją stronę.

- Kiedy niby udawałem, że nie istniejesz?

- Kiedy nie patrzysz na mnie przez kilka dni z rzędu! – krzyknęłam. – Kiedy się do mnie nie odzywasz. Kiedy podejmujesz decyzje bez konsultacji ze mną! Kiedy chodzisz sobie po tym domu, zachowując się, jakbym była niewidzialna! Kiedy spędzasz całe dnie, nawet o mnie nie *myśląc*.

Wsunął ręce we włosy, po czym odrzucił je na boki.

- Sophie, ja *zawsze* o tobie myślę! Czy ty tego nie rozumiesz? – Wykonał kolejny krok, ciągnąc z frustracją. – Potrafię *tylko* myśleć o tobie. Cały czas martwię się o twoje bezpieczeństwo, o to czy jesteś szczęśliwa, o to czy dochodzisz do siebie, a ty stoisz tutaj i prosisz mnie, żebym wrzucił cię z powrotem w ogień!

Jego słowa pozbawiły mnie riposty. Znieruchomiałam zdumiona, kiedy on stał przede mną i czekał aż jego oddech wróci do normy.

Podszedł jeszcze bliżej, a ja stałam bez ruchu, czekając na wyjaśnienia. Wyciągnął swój scyzoryk i zamachnął pomiędzy nami jego rączką, na której było wyryte jego imię. Z jego kieszeni wysunął się również kawałek papieru.

- Dałem ci mój *nóż* – powiedział, kiedy schwyciłam karteczkę sfruwającą do podłogi.
- Dałem ci najważniejszą rzecz, którą posiadam.

Podniosłam jego kartkę niczym białą flagę.

- Co to jest?

- Och – mruknął, patrząc spod zmarszczonych brwi na swoją kieszeń. Schował do niej scyzoryk. – To – powiedział ciszej.

Rozwinęłam ją powoli, czekając aż mnie powstrzyma, ale tego nie zrobił.

To był liścik.

Mój liścik.

Sprzed stulecia.

Czyż nie cieszysz się, że nie respektuję Twojego autorytetu? ☺

Trzymałam kartkę drżącymi palcami, nie odrywając od niej wzroku.

- Zawsze o tobie myślę – powiedział zrezygnowanym tonem. – Po prostu próbuję wszystko naprostować, Soph.

Spojrzałam na niego.

- Zatrzymałeś mój liścik?

- Tak.

Wyczuwałam jego zawstydylenie, więc złożyłam liścik i oddałam mu. Wsunął go do swojego portfela i wsadził do tylnej kieszeni džinsów. Nie chciałam dłużej się z nim kłócić, ani o to, ani o nic innego. Był dla mnie zbyt ważny. Chciałam tylko zobaczyć, jak się uśmiecha i usłyszeć, jak się śmieje. Po prostu chciałam być blisko niego. Kiedy byłam w pobliżu Luki, moje serce się rozwierało i czułam mniejszy lęk przed moimi prawdziwymi uczuciami. Czasem ludzie udają, że słuchają, ale tak naprawdę czekają na pauzę w rozmowie, żeby powiedzieć coś o sobie albo dopóki nie skończysz opowiadać o swoim smutku, żeby móc przejść do radośniejszych tematów. Luca *naprawdę* mnie wysłuchiwał. Naprawdę mu zależało.

- Nie chcę się z tobą kłócić – powiedziałam.

- Ja też nie chcę się z tobą kłócić.

Popełniłam błąd, próbując podtrzymać jego spojrzenie. Przeszyło mnie na wskroś, sięgnęło prosto do mojego serca.

- Rozejm? – zapytałam szorstkim głosem od nagłego przyływu pożądania.

- Rozejm.

- Wiesz, Luca, jesteś bardzo dezorientujący – powiedziałam miękko. – Czasami mam wrażenie, że potrzebuję ścigi. Nigdy nie wiem, co myślisz ani czego chcesz.

Przez jego usta przemknął cień uśmiechu. Chwila ciszy, a potem przysunął się bliżej.

- Chcesz wiedzieć, czego chcę, Sophie?

- Tak – przytaknęłam.

- Chcę cię pocałować.

Przełknęłam ciężko ślinę.

- Więc czemu tego nie zrobisz?

Nie ruszył się.

- Bo nie powinienem.

Wahałam się o chwilę za długo rozkojarzona głośnym łomotem mojego serca. Wyprostował się, jak gdyby się opamiętał i cofnął się ode mnie o krok, a potem jeszcze drugi. Odzyskał opanowanie, pozbył się z twarzy wyrazu niezdecydowania i odchrząknął.

Zbliżyłam się do niego. – Za dużo myślisz, Luco.

- Tak – odparł.

- Jesteś przyzwyczajony do podejmowania wszystkich decyzji.

- Tak.

- Wiesz, że w tej sytuacji jest nas dwójka.

- Tak.

- A więc ja zadecyduję. – Ogarnęła mnie fala pożądania i nim zdążyłabym się powstrzymać, złapałam za kołnierzyk jego koszuli i przyciągnęłam go do siebie. Zareagował od razu, otaczając mnie ramionami w talii i przywarł do mnie ciałem, prowadząc mnie tyłem.

- Tak. – Wprowadził mnie we wnękę w połowie korytarza, przykładając dłoń do moich pleców, a drugą łapiąc za tył głowy. Przycisnął do mnie usta i rozchyliłam wargi, żeby go wpuścić, a kiedy musnął mnie językiem odczułam jego równie wielką potrzebę.

Przeczesał palcami moje włosy, przyciągając mnie mocniej do siebie. Zarzuciłam mu rękę na szyję, ignorując przebłysk bólu w ramieniu i stając na palcach, żeby móc posmakować go całego, żeby móc poczuć jak bardzo mnie pragnął.

Odsunął się, dysząc i przesunął palcami wzdłuż moich ust. Przyciskaliśmy do siebie czoła. Uśmiechnęłam się pod jego dotykiem i pocałował mnie w kącik ust.

- Więcej – szepnęłam.

Z jego gardła wydobył się cichy pomruk.

- Więcej – powiedział, miażdżąc moje wargi. Koncepcja czasu została zatarta, kiedy przytulaliśmy się wewnątrz alkowy, całując się i szukając powietrza. Zapomniałam, gdzie byłam i za każdym muśnięciem jego języka ciemność we mnie zdawała się troszkę ustępować.

Po czasie, który wydawał się wiecznością, ale nie wystarczająco długą, oderwałam od niego usta. Dotknęłam go nosem.

- Widzisz, co się dzieje, kiedy przestajesz myśleć? – zapytałam cicho, wciąż trzymając palce w jego włosach.

Przesunął dłoń na moją szyję, gładząc kciukiem wrażliwe miejsce za moim uchem.

- Mógłbym to robić całą wieczność – mruknął. Przycisnął do mnie ciepłe wargi, po czym znowu się odsunął, żeby na mnie spojrzeć. – Ledwo pamiętam własne imię.

Uśmiechnęłam się przy nim.

- Powinniśmy chyba już iść zanim ktoś nas zobaczy.

- Masz rację. – Znowu mnie pocałował. – Ale tak dobrze smakujesz.

- A ty cudownie pachniesz. – Szczerze mówiąc, wcale nie chciałam wychodzić z tej wnęki. Nasza bańka była doskonała – pełna ognia, adrenaliny i radości.

- Jeszcze sześć całusów – powiedział z uśmiechem i pocałował mnie kilka razy w krótkim odstępie czasu.

Nie potrafiłam oderwać od niego rąk. Jakbyśmy zaczęli coś, czego żadne z nas nie umiało przerwać. Niech szlag weźmie samokontrolę – nie przypomiinałam sobie, żebym kiedykolwiek jakąś miała.

- Jeszcze trzy – powiedziałam, przyciągając go znów do siebie. Uległ dobrowolnie i otworzył przede mną usta ze śmiechem.

Gdy krzyk roztrzaskał ciszę, myślałam, że ktoś został postrzelony albo przynajmniej, że osoba krzycząca nie stała tak niemożliwie blisko. Zatoczyłam się do tyłu, sapiąc

głośno, a Luca się obrócił. Dostał cios w prawy policzek i siła uderzenia sprawiła, że walnął głową w ścianę.

Nico złapał Lucę za kołnierz i wyciągnął z wnęki, jego wrzaski zamieniły się w brutalny sznurek przekleństw, kiedy rzucił się na brata. Wystrzeliłam za nimi, niemal zderzając się z Domem i Gino, którzy szli za Nico. Nadal mieli zapięte płaszcze i wytrzeszczali oczy na braci, ich twarze były wykrzywione oszołomieniem. Wszyscy razem wrócili do domu, a Luca i ja byliśmy tak pochłonięci sobą, że nic nie usłyszeliśmy.

Luca uchylił się przed następnym ciosem Nico i wycofał się do foyer, unosząc rękę do brata.

- Uspokój się, Nicoli.

Nico zaatakował go niczym byk, wpadając na tors Luki i rzucając ich w stronę dalekiej balustrady. Gino, Dom i ja poszliśmy za nimi, ich wrzaski mieszały się z moimi. W foyer znajdował się również Valentino. Dalej był w płaszczu, ale jego twarz okazywała przerażenie, kiedy objął wzrokiem scenę.

Nico znów rzucił się na Lucę, ale chybił i walnął pięścią w ścianę. Jego krzyk był zwierzęcy.

- Powstrzymaj ich! – krzyknęłam do Valentino. – Każ im przestać!

- Nie mogę – powiedział zirytowany. – Spójrz na nich.

Zwróciłam się do Doma i Gino.

- Rozdzielcie ich zanim któryś zostanie ciężko ranny.

- Co się stało, do cholery? – zapytał Dom. – Co się dzieje?

Felice wszedł przez drzwi wejściowe, zatrzasnął je za sobą. Miał na sobie fioletowy szalik, kołnierz jego czarnego płaszcza był postawiony do góry. Zatrzymał się w półkroku i otworzył szeroko usta, kiedy Luca kopnął Nico w kolano, na chwilę go unieruchamiając.

Nico przewrócił się, chwytając za kostkę Luki. Luca stracił równowagę i upadł na Nico, i znów zaczęli się szarpać.

- Dom. – Pociągnęłam go za ramię. – Proszę. Rozdziel ich.

- O co poszło? – zapytał, okrążając ich. – Najpierw muszę wiedzieć, po czyjej jestem stronie.

Cholera. Nie chciałam, żeby on też skoczył przeciwko Luce. A tak by się stało, gdyby dowiedział się, dlaczego Nico był taki wściekły.

Valentino wypalił ze swojej broni.

Donośny huk sprawił, że wszyscy zastygli.

Luca i Nico oderwali się od siebie.

- Mój sufit! – wrzasnął Felice. – Zwariowałeś, Valentino?

- *Calmati* – ostrzegł Valentino. – Sprawa wymykała się spod kontroli.

Felice przyglądał się nowej dziurze w swoim suficie. Wyglądał, jakby miał się rozpłakać.

Valentino obserwował Lucę i Nico. Chłopaki nie wyrządzili sobie żadnej krzywdy... jeszcze. Luce krwawiła warga. Podbródek Nico nabierał wściekle fioletowej barwy.

- To koniec – oznajmił im Valentino. – Cokolwiek to było już się skończyło.

Luca uniósł ręce w górę.

- Przepraszam – powiedział, wyglądając na szczerze zawstydzonego.

- Nie! – syknął Nico, wyrrywając się z nagłego osłupienia. Obrócił się, wbijając palec w tors Luki. - *Ti dovrei fare a pezzi, traditore!*

- O rany – mruknął Felice, skupiając znów uwagę na chłopakach. Wyglądał, jakby posmakował czegoś szczególnie pysznego.

- Pohamuj się, Nicoli! – powiedział ostrzegawczo Valentino. – Straciłeś głowę.

- Do diabła, Luca, czemu Nico chce ci poderżnąć gardło? – zapytał Dom.

Luca przeczesał sobie włosy, próbując wziąć się w garść.

- To sprawa pomiędzy mną i Nicolim.

- I Sophie – dopowiedział Nico, posyłając mi spojrzenie pełne tak jadowitej nienawiści, że przez chwilę miałam wrażenie, że kurczę się w sobie.

- Ach. – Valentino odciągnął ramiona. – Widzę.

- Co widzisz? – zapytał Gino. – Ja nic nie widzę.

Moje policzki płonęły. Powinnam coś powiedzieć. Ale co? Jakie słowa polepszyłyby sytuację?

- Jesteś chory – powiedział pogardliwie Nico do Luki. – Mówisz o miłości i honorze, mówisz, żebyśmy wkładali cały swój czas i wysiłek w *la famiglia*, żebyśmy zapomnieli o wszelkich innych zajęciach, które mogłyby podzielić naszą uwagę... Każesz nam pozostać lojalnym sobie, bez względu na wszystko, a potem robisz coś *takiego* tuż pod moim nosem! Od jak dawna, Luca? Od jak dawna mnie oszukujesz?

- Nico – próbowałam się wtrącić. – To nie tak. – Czułam na plecach lodowate spojrzenie Valentino.

- Nie oszukiwałam cię – odpowiedział ostrożnie Luca.

- Robisz sobie ze mnie *pieprzone jaja*? – wrzasnął Nico. – Do cholery, jak nazwiesz wpychanie jej języka do gardła? – Wskazał w kierunku wnęki. – Na czym was przyłapałam?

- Oooo. – Dom nareszcie pojął sytuację. Uśmiechnął się do mnie lubieżnie. – Niegrzeczna Sophie. Bardzo niegrzeczna.

Pokazałam mu środkowy palec.

- *Che sorpresa!* – zachichotał Felice. Nikt inny nie podzielał jego rozbawienia.

- Uspokój się – powiedział Luca. – Porozmawiamy o tym na osobności, tylko my.

- Nie! – ryknął Nico. – Nie zasługujesz na prywatność. Najwyraźniej miałeś ją wystarczająco długo. Chcę wiedzieć, w jaką pogrywasz chorą grę. Chcę wiedzieć, dlaczego próbujesz mnie ukarać!

- W nic nie pogrywam – zaprotestował Luca, w jego głosie również zaczął wzbierać się żar. – Nie próbuję cię ukarać!

- Gówno prawda! – warknął Nico. – Wiem, że się na mnie wściekasz! Jesteś zły, bo uczę ją jak się bronić. Jesteś zły, bo nie wykonuję twoich rozkazów, bo nie zamierzam zmuszać jej, żeby trzymała się z daleka od swojego przeznaczenia!

- Przestań – ostrzegł Luca.

- Wiadomość z ostatniej chwili. – Nico znów podszedł do brata, mówiąc coraz głośniej. – Ona nie chce cholernej tarczy, chce miecz, dlatego jej go dałem, a to cię rozrywa od środka. Czujesz się przez to mały i lekceważony, bo nie słuchamy cię, bo choć raz nie spełniamy twoich instrukcji i nie możesz nas kontrolować...

- Mówię poważnie, Nicoli. – Luca kipiał ze złości, jego rysy nabierały dzikiego wyrazu. Był niebezpieczny w tym stanie; nieprzewidywalny i wszyscy o tym wiedzieli. – Sophie nie należy do ciebie. Nie należy do nikogo.

Nico nie ustępował.

- Jesteś zły, ponieważ nie masz władzy nad tym, co się wydarzy. Czujesz się mały i żaloszny, i powinieneś! Nie potrafiłeś znieść, że nie masz całkowitej kontroli. Chciałeś odebrać mi władzę. Chciałeś mi odebrać *jq*! Chciałeś wygrać!

Stałam pomiędzy nimi.

- Przestań! – krzyknęłam. – To żadna głupia gra o władzę, Nico. On mnie nie wykorzystuje!

Nico odwrócił się do mnie ze lśnącymi oczami.

- Wykorzystuje cię, żeby odegrać się na mnie.

- Ty i ja nie jesteśmy parą – powiedziałam ogromnie rozdrażniona. – Zerwaliśmy. I to dawno temu.

- Zamierzałem cię odzyskać – odparował Nico, nasyłając na mnie swój temperament niczym chmurę burzową. – Ale on odebrał mi tę szansę!

Dosyć. Miałam dosyć Nico traktującego mnie jak jakieś trofeum. Miałam dosyć, że traktował moje pragnienia i opinie jak przemijające myśli, które można było zmienić i zmanipulować w jego wolnym czasie.

- *Ja pocałowałam jego!* – krzyknęłam. – *Ja tego chciałam!*

Wbił we mnie mroczne spojrzenie.

- Znam go lepiej niż ty, Sophie. Nie bądź idiotką. Zejdź mi z drogi – wysyczał. – Chcę, żeby to przyznał.

Odepchnął mnie na bok i ruszył ku Luce. Dom i Gino stanęli po bokach Nico, trzymając go za ramiona.

Luca stał całkowicie nieruchomo i nawet nie mrugnął, kiedy wycelował palcem w swojego brata.

- Jeszcze raz dotkniesz ją w taki sposób i jesteś trupem.

- Przyznaj się – warknął Nico, ignorując groźbę. – Przyznaj się, że pocałowałeś ją, żeby się na mnie odegrać. Przyznaj, że chciałeś dać mi nauczkę! Ty samolubny sukinsynie!

Luca pokazał zęby Nicowi.

- Zamknij gębę, Nicoli.

- Nie! – wrzasnął Nico.

- Dobra! – krzyknął Luca, stając tuż przed Nico i zaciskał pięści po bokach. – Chcesz usłyszeć prawdę?

- Tak! – krzyknął Nico, nie zamierzając się poddać. – Daj mi pieprzoną prawdę!

- No to proszę! – zawołał Luca. – Nie pocałowałem Sophie, żeby się na tobie odegrać, pocałowałem ją, ponieważ jestem w niej zakochany!

Nico zatoczył się do tyłu, jak gdyby ten cios był fizyczny.

Gino i Doma zatkało jednocześnie.

Mnie opadła szczęka.

Valentino schował twarz w rękach i jęknął.

A Felice odrzucił głowę do tyłu i wybuchł śmiechem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

WYTŁUMACZENIE

Pocałowałem ją, ponieważ jestem w niej zakochany.

Pocałowałem ją, ponieważ jestem w niej zakochany.

Pocałowałem ją, ponieważ jestem w niej zakochany.

Bardzo starałam się ukryć uśmiech i patrzeć w dół. Miałam wrażenie, że moje serce powiększyło się dwa razy i mogłam jedynie tam stać, próbując nie zgubić się w całym tym zamieszaniu.

Luca mnie kochał. Luca był we mnie zakochany.

Nico gapił się na niego jak gdyby usiłował ułożyć układankę na czole brata. Dom i Gino zastygli... nawet Dom zamknął gębę. Czekali aż Luca się załamie, aż powie, że to wszystko jest żartem.

Po kilku głębszych wdechach Nico znów się ożywił.

- Nie – powiedział. – Nie wierzę ci.

- To prawda – odrzekł Luca.

- Od kiedy?

- Nie wiem.

- *Jak?* – zapytał Nico.

Uśmiech Luki był smutny, a w słowach zabrzmiało poczucie winy.

- Ze wszystkich ludzi to ty powinieneś być w stanie odpowiedzieć na to pytanie, bracie.

Nico skrzywił się.

- Ale uważałeś ją za strasznie irytującą.

- Nadal uważam ją za irytującą.

Nico zmrużył oczy.

- Nie zasługujesz na nią.

- Wiem. – Luca przekrzywił nieznacznie głowę i tak jakby wyczytałam resztę jego odpowiedzi w ostrożnie uniesionej brwi. *Ty też nie.*

- *Bravissimo*, chłopcy. – Felice klasnął w dłonie. – W naszej *Evelinie* krew zdrady płynie głęboko. Nie mogę powiedzieć, że jestem zdziwiony, biorąc pod uwagę wasze DNA. A może powie coś teraz nasza bohaterka Persefona? – Obrócił się do mnie, a jego twarz wyrażała czystą radość. – Czy ty, Persefona, kochasz Gianluce czy też pozostaniesz lojalna naszemu ukochanemu Nicoliemu, który bezinteresownie szkolił cię do twojej zemsty, najprawdopodobniej sądząc, że tym samym cię odzyskuje? Jak głęboko sięga twoje oszustwo w tej szaradzie?

Felice wsącał w moją duszę wyrzuty sumienia. Wiedziałam, że moje uczucia do Luki zranią Nico, jeśli kiedykolwiek wyjdą na jaw, ale nie myślałam o tym tak bardzo – a przynajmniej nie w ten sposób. W ogóle nie myślałam, jedynie szukałam pocieszenia, które mogłam uzyskać w pocałunkach Luki, w dotyku jego skóry, w jego oddechu owiewającym moje ucho... Spojrzałam szukającym wzrokiem na Luce, ale miał odwróconą głowę i zaciskał szczękę. Nie będzie odgrywał roli w spektaklu Felicego.

- Możesz okazać trochę szacunku? – syknęłam do Felicego. – To wyraźnie nie jest śmieszne i nie ma z tobą nic wspólnego.

Traciłam równowagę – utkwiłam pomiędzy chęcią bezpośredniej odpowiedzi Luce, a chęcią ucieczki milion kilometrów z dala od pomieszczenia pełnego Falconów.

- O co chodzi, Persefona? – zapytał Felice, pokazując swoje klasyczne, sztuczne zaskoczenie. – A może mam zacząć do ciebie mówić Marilyn?

- Co?

- Marilyn Monroe. – Oblizał usta. – Sądzę, że sypiała z dwoma braćmi Kennedy, prawda? A co ją potem spotkało...? – Urwał, stukając się po podbródku.

- Popęłniła samobójstwo – powiedział Gino.

- Nie. Oni właśnie chcą, żebyśmy tak myśleli. Zdecydowanie została zamordowana – podsunął Dom.

- Naprawdę? – Felice spojrzał na mnie chytrze.

- Dosyć! – rzucił gniewnie Valentino.

- Valentino! – sapnął zszokowany Felice. – Nie możesz przerywać opery mydlanej w połowie. Chcę obejrzeć finał.

- Zamknij się – nakazał Valentino, jego zmęczenie przerodziło się w zgryźliwą okrutność. – Przestań mieszać im w głowach, to bezsensowne.

- Ja tylko wyrażam ciekawość – zauważył Felice.

- *Stronzate!* – Valentino przeszył wuja mrocznym spojrzeniem, unosząc oskarżycielsko palec. – Jesteś tak pełen gówna, że gdybyś kiedykolwiek miał lewatywę, wyparowałbyś w powietrzu.

Parsknęłam śmiechem nim zdołałabym się powstrzymać. Mój śmiech dołączył do szeregu innych odgłosów skrępowanego rozbawienia. Nagle wszyscy zaczęli kasłać.

Felice wyglądał, jakby został dźgnięty. Podwinął wargę, a jego słowa były teraz pełne wściekłości.

- Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób, ty bezczelny, niekompetentny, nieprzygotowany...

- *Basta!* – krzyknął Luca, jego postawa była równie zaciekła, co wcześniej wobec Nico. – Jeszcze jedno słowo i stracisz język.

Valentino wyglądał na nieprzejętego tyradą swego wuja. Z drugiej strony, on zawsze nosił najlepszą maskę.

- Masz robotę do wykonania, Felice, a ja muszę zająć się rodziną. Nico i Luca, proponuję, żebyście spędzili trochę czasu z dala od siebie zanim to jeszcze bardziej wymknie się spod kontroli. Dom i Gino, jesteście w ochronie. CJ zajmuje się tym wystarczająco długo sam. Sophie, chcę się z tobą zobaczyć w moim gabinecie, teraz.

Nie byłam pewna czy powinnam czuć wdzięczność, czy przerażenie, ale Valentino wyciągał mnie z tej nadchodzącej burzy i nie miałam innego wyjścia, jak pójść za nim. W końcu był bossem i ostatnią osobą, którą chciałam wkurzyć. Ominęłam resztę szerokim łukiem, próbując złapać wzrok Luki, żeby powiedzieć coś, cokolwiek, żeby poczuł, iż nie był w tym sam.

Spojrzał na mnie z twarzą zalaną konsternacją... i żalem. Zrobiłam jedyną rzecz, która przysłała mi na myśl bez wzbudzania większego chaosu. Uśmiechnęłam się do niego; nieśmiało, prawie niepewnie, ale odetchnął głęboko i zauważyłam cień ulgi na jego twarzy.

Zamknęłam za nami drzwi gabinetu Valentino. Zamiast objechać biurko i nachylić się nad nim, Valentino zatrzymał się naprzeciwko skózanego fotela i pokazał mi, żebym usiadła. Niemal tak, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi siadającymi na pogawędkę. No wiecie, jeśli zignorować ogromny wybuch i moją główną w nim rolę.

Usiadłam naprzeciwko niego, wyglądając na tak skruszoną, jak tylko mogłam. Czułam wyrzuty sumienia za skrzywdzenie Nico, ale nic na świecie nie przekonałoby mnie, żeby wymazać ten pocałunek z pamięci, ten dotyk ust Luki na moich... zablokowałam myśli. Na pewno nie chciałam się rozpalać przed Valentino. Sytuacja była wystarczająco niezręczna, biorąc pod uwagę ich podobny wygląd.

- No tego się nie spodziewałem – odezwał się spokojnie.

- Tak... - Próbowałam ocenić jego nastrój. Wydawał się całkowicie obojętny, zaciskał usta w cienką linię i jego powieki opadały nisko. Ten chłopak o życzliwej twarzy był zabójczy, mógł wybuchnąć w mgnieniu oka – ostry i okrutny, kiedy zechciał i łagodny, kiedy czuł się bezpieczny. – To trochę wymknęło się spod kontroli.

- Która część? – zapytał ironicznie.

Czy on żartował? Miałam się na baczności, siedząc w fotelu, który stał się moim zwykłym miejscem w tym gabinecie i krzyżowałam ramiona oraz nogi, starając się o najbardziej neutralny głos.

- Ja... ja nie wiem – wykręciłam się. – Wszystkie?

Valentino uśmiechnął się... ten gest był szybki i nagły, jak niespodziewanie zapalone światło.

- Nie chcę cię jeszcze bardziej męczyć, Sophie.

- Nie chcesz?

- Nie – odparł speszony. – Dlaczego miałbym chcieć?

- Myślałam, że się wściekniesz.

Valentino wzruszył ramionami.

- Nie mam w zwyczaju wchodzić w drogę cudzym skłonnościom romantycznym.

- Och.

- Sama sterujesz własnym szczęściem... - Urwał, przełknął ślinę i dodał: - Tak jak Luca swoim.

- Więc nie mamy kłopotów? – zapytałam, mając leciutkie wrażenie, że jestem wrabiana.

Valentino znów się do mnie uśmiechnął i ujrzałam cień żółciejących zębów.

- Za zakochanie się w sobie? – Krew napłynęła do moich policzków. – Nie – powiedział cicho, odpowiadając na własne pytanie. – Nie macie kłopotów.

Uniosłam brwi. – A więc...

- Zastanawiasz się, dlaczego tu jesteś? – Wskazał na korytarz za mną. – Pomyślałem, że będziesz potrzebować kilku chwil na opanowanie z dala od walk i kłótni, nie wspominając już o wiecznej skłonności mojego wuja do wtrącania się w dramaty innych ludzi.

- Dziękuję – powiedziałam, opuszczając trochę gardę. – Doceniam to wytchnienie.

- Czy myślałaś, że nie będę wam przychylny? Że nie zrozumieć? – zapytał.

Jego głos zabrzmiał trochę śmiesznie. Byliśmy na niezbadanych wodach i wiedziałam tylko, że Valentino czymś się smucił. Nie potrafiłam zgadnąć czym; między nami tkwił mur, który celowo tam podtrzymywał.

- Nie wiem – odparłam cicho. – Zawsze wydajesz się taki...

- Chłodny – dokończył za mnie.

- Tak – przyznałam.

Skinął głową z namysłem.

- Nie jestem okrutny, Sophie. Jestem inteligentny. Wykorzystuję tę inteligencję w sposób nieobciążony emocjami czy afektem, co dla innych wydaje się chłodne. *Ja* wydaję się chłodny. Ale to nie znaczy, że nie znam wartości miłości, jaka jest cenna czy że nie rozumiem, jakie to nieprawdopodobne, że Luca ją odnalazł. Nie jestem chłodny – powtórzył. – Pomimo maski, którą noszę.

- Sądzę, że nosisz ją trochę zbyt dobrze. – Wciąż szukałam pod nią człowieka. Nigdy nie widziałam, żeby zachowywał się tak ludzko, tak życiowo. Nigdy nie sądziłam, że będzie taki ze mną.

- Tak – przytaknął. – Noszę ją znacznie dłużej od innych.

Wrysowałam wzór na swoich dżinsach, zbyt nieśmiała, żeby na niego spojrzeć, kiedy powiedziałam:

- Nie chciałam robić takiego bałaganu... z Nico i Lucą. Po prostu... nic nie mogłam na to poradzić.

Czy naprawdę mówiłam o całowaniu się z Lucą bezpośrednio jego bliźniakowi, który był również bossem naszej całej mafijnej rodziny?

Ta.

Valentino złożył palce przed swoimi ustami.

- Jak na dziewczynę, która przebrnęła przez tyle przemocy i nienawiści, i jej świat został odwrócony do góry nogami oraz straciła wszystkich, których kochała... myślę, że twoja decyzja, aby otworzyć serce na miłość jest godna pochwały. Wiesz, odważniej jest kochać, kiedy nienawiść jest łatwiejszą opcją. Łatwo nosić maskę obojętności, ale wyciąga z ciebie najwięcej.

- Nie uważasz, że czyni cię bezbronnym? – zapytałam. Czy to nie dlatego przez cały ten czas ukrywałam moje pragnienie do Luki, usiłując je stłumić i zignorować?

- Tak – odparł Valentino. – Ale pozwolenie sobie na bycie bezbronnym nie czyni cię słabym, tylko silnym. Czyni cię odważnym. A co najważniejsze, daje ci najwięcej życia. – Ułożył kciuk i palec wskazujący w kształt pistoletu i wycelował w wyimaginowaną ofiarę za mną. – Najtrudniej zabić człowieka, który ma najwięcej do życia. – Udał, że strzela. – Puści, bezduszni, pełni nienawiści wrogowie padają jak muchy. Najmocniej trzymają się ci, którzy kochają mocno.

- Cholera – powiedziałam z uśmiechem. – Zapomniałam, jaki jesteś mądry.

Śmiech Valentino był melodyjny.

- Za dużo myślę, Sophie. To nie zawsze jest dobre.

Zdecydowanie trudniej było nie lubić albo nie ufać Valentino, kiedy byłam po tej samej stronie, co on. Okazywał teraz całkiem innego siebie – był zabawny, czarujący, empatyczny i interesujący. Jak gdyby zdobycie uczuć Luki rozluźniło także Valentino. Pokazywał mi odłamek swojej prawdziwej osoby. Ostatecznie nie różnili się od siebie tak bardzo.

- Zaskakujesz mnie – powiedziałam szczerze. – Nigdy bym nie pomyślała, że będziemy rozmawiać w taki sposób.

Valentino ponownie pochylił się do przodu, skracając dzielący nas dystans. Nieświadomie poszłam w jego ślady.

- Oto kolejna niespodzianka, Sophie – oznajmił nisko. – Wiem, że nie zabiłaś Libero Marino w Sycylijskim Pocałunku.

Przerwać akcję. Przerwać akcję. Przerwać akcję. Zrobiłam się trupio blada, siedząc pod tym lodowatym spojrzeniem, szukając jakiegokolwiek reakcji.

Valentino uśmiechnął się wilczo.

- Nie próbuj kłamać – powiedział, unosząc palec, jakby zamierzał nim pogrozić. – Uważam to za osobistą obelgę, kiedy ludzie mnie okłamują. To obraża moją inteligencję.

O Boże. O Boże. O Boże.

Zmusiłam się, żeby coś powiedzieć. Im dłużej trwała cisza, tym głębiej myślałam.

- Jak? – zapytałam. – Jak się dowiedziałeś?

- Znam cię, Sophie. Wiem również, co widzi w tobie mój brat Luca. Czy to cię dziwi?

Mówił faktami, bez emocji.

- Nie wiem – powiedziałam.

- Gdybyś tamtej nocy wpakowała kulkę w głowę Libero Marino to by cię zmieniło. A pomimo nieco zwiększonej żądy rozlewu krwi i, najwidoczniej, romansu, uważam, że jesteś zdecydowanie taka sama.

- Och.

Uśmiechnął się, a to sprawiło, że jego oczy wyglądały na... życzliwe. Sprawilo, że wyglądał jak Luca. Nie tylko na zewnątrz, ale również wewnątrz.

- Tak – mruknął. – *Och*.

- Przepraszam – powiedziałam pośpiesznie. – Zamierzałam to zrobić. Naprawdę chciałam, ale znieruchomiałam w ostatniej chwili i nie potrafiłam się do tego zmusić. Zamarłam.

- Zdarza się. – Zbył moją odpowiedź machnięciem ręki. – Mogę tylko założyć, że Luca raczył pozbyć się Libero w twoim imieniu.

- Nie wiem. Nie pamiętam.

Śmiech Valentino zbił mnie z tropu.

- Bardzo dobrze – zachichotał. – Miałem nadzieję, że dla niego skłamiesz. Luca zasługuje na kogoś, kto by dla niego skłamał. Nawet przed swoim bossem.

Zacisnęłam powieki. Gdybym tylko mogła stać się niewidzialna.

- Tak jak on mnie wtedy okłamał – ciągnął Valentino. Boże, wszystko rozgryzł, a ja wałęsałam się tutaj jak zwykły Houdini, uważając się za wielką szczęściarę, że wszystko uszło mi na sucho.

- Nie złość się, proszę. – Spojrzałam na niego błagająco. – To była taka zwariowana sytuacja i wszystkim pomieszało się w głowach...

Valentino znowu się roześmiał.

- Dalej kłamiesz! – zarzucił mi z udawanym oskarżeniem. – Możesz już przestać, dobra?

Postanowiłam zamknąć buzię. W tym momencie tylko dolewałam oliwy do ognia.

Odchylił się w wózku z westchnieniem, nie przestając się uśmiechać.

- Wiesz, co dzisiaj poczułem, kiedy Luca wyznał Nicowi, że cię kocha?

- Skrajne przerażenie?

- Poczułem ulgę – powiedział. – Ulżyło mi, że mój brat jest w tobie zakochany, ponieważ dzięki temu łatwiej jest mi znieść jego kłamstwo. Rozumiem to. Chronił cię.

Nie dystansował się ode mnie, ale stawiał się przed tobą. To potrafię zrozumieć. To potrafię przebaczyć.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? Jeśli wiedziałaś od samego początku?

- Nie chciałem, żeby Felice się dowiedział. – Valentino przesunął ręką po krótko ściętych włosach. – Gdyby wiedział, że Luca mnie okłamał, uznałby to za słaby punkt w rodzinie i znalazłby sposób, żeby to wykorzystać.

- Aha. – Przytaknęłam ze zrozumieniem.

- Ukrywanie przed nim rzeczy to praca na pełen etat.

- Potrafię sobie wyobrazić. – Przez moje myśli przemknął rubinowy pierścionek Eveliny. Odmrużałam ten obraz i zastąpiła go zbliżona twarz Felicego, jego ręce na mojej szyi, jak wepchnął mnie do tamtej wnęki, oddech zaprawiony whisky, nienawiść w oczach. Wszystko, co podsłuchałam, wszystkie kryjące się w nim kłamstwa. W tej chwili wiedziałam, że muszę powiedzieć coś Valentino. Jeżeli mogłam rzucić się przed Lucę na linii ognia, z lojalności, to mogłam zrobić również to. Mogłabym być dobrą Falcone, nawet jeśli oznaczało to postawienie się przeciwko innemu członkowi rodziny.

- Chcę powiedzieć ci o czymś, co mnie niepokoi – oznajmiłam.

Valentino znieruchomiał i zwęził oczy.

- Tak?

- Nie lubię Felicego, Valentino. I zdecydowanie mu nie ufam. Myślałam, że to dlatego, iż byłam outsiderem, ale odkąd zamieszkałam w *Evelinie* zdałam sobie sprawę, że to nie chodzi o mnie, ale o niego...

Valentino uniósł brwi, jakby mówiąc: *kontynuuj*.

Splotłam ręce na kolanach, wzięłam wdech i podjęłam dalej:

- Jakiś czas temu któregoś poranka słyszałam jego rozmowę z Pauliem. Nie wiedział, że tam stałam. Nie zamierzałam podsłuchiwać, ale nie potrafiłam odejść. Nie, kiedy to, co mówił było takie niepokojące. – Zamilkłam, szukając reakcji na twarzy Valentino. Była całkowicie obojętna, co, jak sobie uświadomiłam, oznaczało, iż w jego umyśle wirowały myśli. – Jak Felice zauważył, że podsłuchuję wyszedł za mną na korytarz i groził mi bronią...

- Pamiętam – powiedział Valentino. – Luca mi o tym opowiedział.

- Myślę, że Felice był pijany...

- Tak – potwierdził. – Zawsze się zatracą w rocznicę zniknięcia Eveliny.

- Cóż, to co wygadywał Pauliemu... - Drgnięcie mięśnia w szczęce Valentino zdradziło jego rosnące zainteresowanie. – Skarżył się. Wtedy nie pomyślałam, żeby o tym wspomnieć, ponieważ Luca już był na niego strasznie wściekły. Chyba sądziłam, że to przysporzy jeszcze więcej kłopotów, ale widząc jak reaguje na kłótnie innych w tym domu albo jak nigdy nie próbuje ich uspokoić... to każe mi myśleć, że może jest w tym coś więcej... - urwałam.

- Na co się skarżył?

- Na ciebie.

- Na mnie – powtórzył spokojnie Valentino. Przytaknęłam.

Kolejny przebłysk zainteresowania, opuścił rzęsy.

- Dlaczego?

Czemu miałabym się teraz hamować? Nie chciałam mieć żadnych sekretów przed rodziną, a zwłaszcza takich, które mogły mieć kluczowe znaczenie. Gdy zbliżała się wojna krwi musieliśmy być pewni lojalności każdego, a jeśli o mnie chodziło, Felice chodził z gigantycznym znakiem zapytania na tej lśniącej srebrnej głowie.

Teraz albo nigdy.

- Felice uważa, że nie jesteś przygotowany do prowadzenia rodziny. Chyba sądzi, że wykonałby lepszą robotę... że to on powinien być na twoim miejscu.

- Jak wiemy od zawsze – odparł bez zdziwienia Valentino. – Felice od dawna cierpi na manię wielkości.

- Myślę, że chodzi o więcej.

- Co masz na myśli?

- Skarżył się na twojego tatę.

Valentino zacisnął palce na kołach wózka.

- Rozwiń.

- Zdaje mi się, że Felice gardzi twoim tatą, że go pominął, ale też... - Zaczynałam myśleć, że to było bardziej „mieszanie” niż „składanie informacji”, ale nie mogłam się teraz wycofać, kiedy Valentino chwycił się każdego mojego słowa. – Zdaje mi się, że Felice ma wrażenie, iż twój ojciec przyłożył rękę do „ucieczki” Eveliny... Zawsze uważał, że twój ojciec był wobec niej zbyt życzliwy.

Valentino przetrwał tę informację w milczeniu.

- Rozumiem – powiedział w końcu.

- Dlaczego miałyby tak myśleć? – zapytałam delikatnie. – Dlaczego w ogóle twój ojciec miałyby wybierać jakąś stronę?

- Felice dużo pił – powiedział Valentino. – Od tamtego czasu tak jakby przekierował swą naturę nałogowca na pszczelarstwo, ale kiedy był żonaty z Eveliną, wiele razy... źle ją traktował.

- Źle traktował – powtórzyłam, słysząc nagły chłód w swoim głosie. – W jaki sposób?

- Popychał ją. Krytykował. Starła się to przed nami ukrywać. Nie chciała, żebyśmy ujrzeli takie oblicze Felicego i ich związku. Ale nie dało się tego przegapić. – Ściszył głos, w jego słowa wplotła się inna emocja, kiedy kontynuował. Przypominała trochę żal. – Chodziła po domu jak duch. Wokół jej oczu widać było odcienie czerni i fioletu, nawet pod makijażem.

Nagle zrozumiałam smutek sączący się z oczu Eveliny. Całe to piękno zabarwione melancholią. Pałac rządzony przez brutalnego króla. Diamentowy naszyjnik, jako pętla na szyi.

- Powiedzieliście coś jej? – zapytałam. – Albo jemu?

Valentino pokręcił głową, marszcząc brwi.

- Żałuję, że nikt z nas nic nie zrobił, Sophie. Często rozmawiam o tym z Luçą. Ale byliśmy mali i choć nie chcę tego przyznawać... baliśmy się. Nie mieliśmy głosu. Ona zawsze wstawiała się za mnie i moich braci, ale my nigdy nie wstawiliśmy się za nią. Była dla nas dobra, a my zawodziliśmy ją każdego dnia.

Wyczuwałam jego szacunek do niej i przemieszany z nim smutek.

- Byłeś dzieckiem – powiedziałam łagodnie. – To nie była twoja walka.

- Jej też nie.

- Dlaczego to zrobił? – Wspomnienie rąk Felicego na moim gardle i jego oddechu na moim uchu wzbudziło we mnie dreszcze. – Co jest z nim nie tak?

- Miał obsesję na jej punkcie – powiedział Valentino, wzdychając ciężko. – A raczej na punkcie jej *wyobrażenia*. Wyobrażenie osoby i jej rzeczywistość – kiedy się połączą – mogą spowodować niebezpieczną różnicę. Felice wybrał ją z chóru kościelnego, kiedy miała zaledwie dwadzieścia lat. Była aniołem. Zakochał się w niej i wybudował jej pałac, a jak zaczęła się odzywać i wyrażać swoje opinie, to mu się nie spodobało. Pragnął lalki, nie żony, a Evelina nie była lalką.

- Och.

Valentino mówił dalej. – Evelina nienawidziła tego, jak aktywny był Felice w rodzinie i jak bardzo podobało mu się przelewanie krwi. Ciągłe się kłócili. Felice nie

potrafi kochać w zdrowy sposób. Pewnego dnia Bożego Narodzenia uderzył ją przed wszystkimi. Mój ojciec pozbawił go przytomności. Nie zamierzał tolerować czegoś takiego w tej rodzinie, pod jego rządami. Mój ojciec był porządnym człowiekiem. Felice zawsze był poniekąd... wyzwaniem. Wierz lub nie, ale ta wersja jest o wiele łatwiejsza do przełknięcia niż tamta.

- I kiedy już myślałam, że Felice sięgnął najniższego stopnia mojego szacunku – powiedziałam kwaśno. – Co za świr.

Valentino nie zaprzeczył.

- Nie dziwi mnie, że podejrzewa ojca o jej zniknięcie. Zawsze był dla niej życzliwy, a Felicemu to się nie podobało.

- To była tylko i wyłącznie jego wina. – Czułam rosnące zdenerwowanie. – Nie zasługiwał na nią. Nie zasługuje na nikogo, jeśli postępuje w taki sposób.

- Cóż, nie ma nikogo – powiedział znacząco Valentino. – Już nie.

I oto pojawił się ten szkopuł. Felice mógł być paskudny dla Eveliny, ale mój własny ojciec był jeszcze gorszy. Odebrał jej życie. Czy Valentino podejrzewał, że była martwa? Czy naprawdę sądził, że przez te wszystkie lata była zaginiona?

- Ona i Luca byli ze sobą blisko, prawda? – Przypomniałam sobie, co mi o niej opowiadał, jak sprawiła, iż uwierzył, że mógłby być kimkolwiek by zechciał. Jak sprawiła, że uwierzył w możliwość. Spojrzałam na moje kolana, nagle nie potrafiąc patrzeć w oczy Valentino.

Wyczułam, że skinął głową.

- Idealizował ją. Była dla niego mniej jak matka, a bardziej jak... bratnia dusza, tak mi się wydaje. Gdy odeszła, zabrała ze sobą kawałek jego serca.

Nie potrafiłam rozpoznać uczucia w jego głosie... żal, smutek czy coś jeszcze? Współczucie do brata, najbliższej mu osoby w całym tym świecie? Zalały mnie wyrzuty sumienia, zabarwiły moje słowa, kiedy starałam się, żeby zabrzmiały pewnie.

- To takie smutne – wydobyłam jedynie, ponieważ „*Może jest jej teraz lepiej*” byłoby kłamstwem, a nie zamierzałam kłamać w tej sprawie.

- Była marzycielką – powiedział spokojnie. – Nie było jej przeznaczone przetrwać w naszym świecie.

Było coś takiego w sposobie, w jaki to powiedział – ostateczność w słowach. On wiedział – lub mocno podejrzewał – że ona nie żyła, ale nie mógł wiedzieć, że stał za tym mój ojciec. Poczulałabym to, ale między nami był tylko ciężki i ponury smutek. Zero podejrzeń i niechęci. Starałam się na niego nie patrzeć, starałam się nie nalegać na odpowiedzi, które już posiadałam.

Była marzycielką.

Oto prosta prawda.

Czyż Luca nie był również marzycielem? Czy może stłumił tę część siebie na tyle, by móc się przez nią przebić, by zrobić to, co trzeba było, by każdego dnia poświęcać mały kawałek siebie? Czy przeznaczony był mu los Eveliny, z rąk kogoś równie zdeprawowanego jak mój ojciec?

- Spróbuj nie przejmować się Felice – poradził Valentino. – Jest zdolny do wielu złych rzeczy, ale nigdy nie zwróciłby się przeciwko nam. Jest zbyt zainteresowany własnym przetrwaniem. Poza tym – dodał – jeśli naprawdę był taki wściekły na mojego ojca, to dlaczego nigdy mu się nie postawił? – Nie czekał aż zgadnę. – Ponieważ jest tchórzem. Tchórze mogą marzyć o wyższych stanowiskach, ale znają swoje miejsce i go nie opuszczają. Felice dużo gada, ale to tylko słowa.

Nie byłabym taka pewna. Jeżeli Felice rzeczywiście był lojalny wobec Angelo, to gdzie był w noc, kiedy postrzelił go mój ojciec, do diabła? Widział wszystko, ale zdążył uciec do czasu nadjechania karetki. Coś się w tym nie zgadzało – dręczące uczucie u podstawy mojego kręgosłupa, które zaczęło rosnąć od tamtego poranka, kiedy podsłuchiłam jego tyrady do Pauliego. Ale cóż dobrego przyniosłoby ruszanie tego tematu? Angelo nie żył i, jak w przypadku Eveliny, to mój własny ojciec był mordercą.

- Zatem, Sophie – powiedział Valentino – oto nastąpiła pomiędzy nami prawda. – Objechał swoje biurko i zaczął grzebać w szufladzie. Przyglądałam mu się w milczeniu... zmarszczone kąciki ust, jedna brew uniesiona wyżej od drugiej. Po chwili odsunął się z pudełkiem. – A teraz coś ci dam.

- Prezent...? – Próbowałam rozgryźć, co mogło znajdować się w środku pudełka.

- Nie musisz wyglądać na taką przerażoną – powiedział. – Czy nie ustaliliśmy już, że jesteśmy po tej samej stronie?

- Już raz tak myślałam – odparłam.

Wciągnął powietrze przez zęby.

- Słuszna uwaga. – Okrążył biurko i podał mi nóż. Przyjęłam i przyjrzałam się scyzorykowi – który był już dla mnie bardzo znajomy – kiedy leżał niewinnie na mojej dłoni.

- Twój scyzoryk?

Valentino przewrócił oczami.

- Oczywiście, że nie mój.

Obróciłam go w ręce.

Persefona, 30 lipiec

- Ojej. – Przesunęłam palcami po perfekcyjnej kaligrafii, ozdobnikach i wrytym sokole z uniesionymi skrzydłami. – Scyzoryk Falcone – szepnęłam. – Mój własny scyzoryk. – Zerknęłam na niego z uśmiechem, jak wezbrała się we mnie fala podniecenia. – Val, musisz przestać dawać mi taką broń, bo kompletnie mnie rozpieszczasz.

Gapił się na mnie przez pół sekundy i natychmiast pożałowałam lekkości mojej odpowiedzi.

Potem wybuchł otwartym i szczerym śmiechem.

- Próbowałem wymyślić odpowiedni moment żeby ci go dać. To mi wyglądało na dobrą dywersję.

Dotknęłam grawerunku.

- Zrobiłeś to dla mnie, mimo że wiedziałeś, że nie zdołałam zabić Libero Marino. Dlaczego?

- Potrzebuję sprzymierzeńców – odparł zwyczajnie. – Wiem, że jesteś lojalna. Wierzę we wszystko, co mi właśnie powiedziałaś. Luca ciężko walczył, żeby cię tutaj zaakceptowano i ufam również jego osądowi. Nie odmówiłbym mu tego. Właściwie to niczego bym mu nie odmówił. Ale chcę cię mieć po mojej stronie, Sophie.

Skinęłam trochę zbyt entuzjastycznie głową.

- Jasne, że jestem po twojej stronie.

- Dobrze. – Tym razem uśmiech Valentino był przelotny. – Bo potrzebuję, żebyś tutaj została, z nami. – W jego słowach zabrzmiała niespodziewana intensywność. Podniosłam na niego wzrok. – Obawiam się, że mogę go stracić – powiedział.

- Kogo?

- Wiesz kogo.

- Nie stracisz Luki. On cię kocha. Jesteście sobie lojalni.

- Tracę go – upierał się Valentino – na rzecz ciebie.

- To nie są zawody, Valentino.

Zmarszczył kąciaki oczu i ujrzałam w nich smutek.

- Nie każ mu wybierać.

- Nie zrobię tego. – Przycisnęłam rękę do serca, nie do końca wiedząc dlaczego.

Potem zapadła cisza, myśli Valentino powędrowały poza ten pokój, a ja ściszałam w dłoni ciężki scyzoryk.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

LIŚCIKI

Paulie i Luca byli w drodze do miasta, kiedy nareszcie wyszłam z gabinetu Valentino. Nico znowu próbował zaatakować Lucę, a wtedy nadeszła informacja o spotkaniu logistycznym z posłańcem Marino poprzedzającym rozmowę pokojową w przyszłym tygodniu. Poszłam na górę, czując się niekompletna i lekko zaniepokojona. Luca powiedział, że mnie kocha, a ja nie miałam okazji wyznać mu tego samego.

Krążyłam po moim pokoju i zjadłam całą paczkę Cheetosów. Nie chciałam schodzić na dół – tam był Nico i nie byłam jeszcze gotowa na rozmowę z nim, i było bardziej niż oczywiste, że on nie był gotowy na rozmowę ze mną. Luca miał wrócić dużo później.

Postanowiłam wrócić do podstaw.

Zamierzałam zostawić mu liścik.

Wiersz.

Ale zamierzałam go pokonać i napisać własny.

Otworzyłam notatnik i zaczęłam pisać, i nim zdążyłabym się od tego odwieść, wsunęłam liścik pod jego drzwi i wróciłam pędem do łóżka.

Luco, myślę, że nadszedł czas, bym powiedziała ci coś prawdziwego,

Jak Twoje oczy mają najcudowniejszą barwę szafirowego błękitu,

Jak Twój uśmiech sprawia, że czuję się roztrzepana, głupiutka i nieśmiała,

Jak uwielbiam Twój głos i to jak wzdychasz.

Przysięgam, że moje serce podskakuje ilekroć jestem z Tobą,

Ponieważ jesteś moim ulubieńcem i ja też Cię kocham.

P.S. O mały włos zapomniałabym o tamtej ostatniej wiadomości ode mnie,

Nadal nie będę respektować Twojego autorytetu 😊

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

GŁUPOL

Gdy rano wstałam z łóżka, pod moje drzwi wsunięto kawałek papieru. Rozłożyłam go, a radość szybko zastąpiła zmęczenie.

Sophie,

Głupol z Ciebie.

Już zawsze będę trzymał to w portfelu.

Przyjdź do mnie, jak się obudzisz.

Luca x

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

ZADUSZKI

Niestety dla mnie i mojej zamierzonej niedzielnej sesji przytulania z Lucą, Valentino miał inne plany. Dzisiaj były Zaduszki, a ponieważ wchodziliśmy w negocjacje pokojowe z rodziną Marino, to znaczyło, że mogliśmy wybrać się razem na rodzinny wypad.

Do kościoła.

Niech ktoś mnie zabije.

Dowiedziałam się, że mamy spotkać się w foyer o dziesiątej, co dało mi dokładnie dwadzieścia minut na wyrobienie się. Tragedia. Jak wychodziłam z łazienki zauważyłam Gino w korytarzu i stwierdziłam z przerażeniem, że miał na sobie garnitur. Szybko wyprostowałam włosy, spięłam w wysokiego kucyka, po czym nałożyłam trochę tuszu do rzęs, błyszczyku i różu na policzki.

Dzisiaj było nas więcej niż zwykle – kilkoro stryjecznych dziadków i babć Luki, dalekich kuzynów, Paulie i jego trzy córki: Cecilia, Pia i Greta. Byli Sal, Aldo, CJ, a wśród nich oczywiście Nico. Nie patrzył na mnie i trzymał się jak najdalej od Luki. Byłam wdzięczna za ten tłum, który nas odseparowywał.

Reszta powiedziała mi, że tradycją było chodzenie do kościoła w mieście w Zaduszki, żeby powspominać zmarłych. Dzisiaj nie było inaczej, tylko tym razem Valentino ostrzegł Nico i Lucę, żeby skorzystali z okazji i poszli potem do spowiedzi, aby pogrzebać swoje problemy. Podzielona rodzina była osłabiona i musieliśmy być silni.

Już wcześniej wiedziałam, że Falconowie są katolikami. Super wierzącymi katolikami. Ja nie byłam, ale to wyjście podpadało pod „rodzinne sprawy”, a to znaczyło, że musiałam w nim uczestniczyć.

Nie spędziłam dużo czasu w kościele, ale byłam przekonana, że Katedra Najświętszego Imienia Jezus w Chicago była jedną z najbardziej dekadentkich w historii. Była ogromna – ta majestatyczna budowla z wysokimi, jasnymi sufitami, sklepieniami arkadami oraz marmurowymi filarami, które prawdopodobnie kosztowały więcej niż zarobiłabym przez całe życie. Przypomniałam sobie zewnętrzną fasadę z artykułu o ceremonii pogrzebowej Angelo Falcone, ale wewnątrz było jeszcze bardziej imponujące.

Przybyliśmy wcześniej i przeszliśmy nawą, ukołysani cichymi dźwiękami spływających na nas hymnów. Panował tu spokój i napięcie wiszące nad rodziną zdawało się nieco złagodnieć, zastąpione delikatną melodią i blaskiem świateł.

- Przypominasz dziecko w sklepie ze słodyczami – mruknął Luca, jak szliśmy główną nawą.

Wpatrywałam się w ołtarz z otwartymi ustami.

- To jest cudowne – szepnęłam.

- Naprawdę? – zapytał rozbawiony.

Przytaknęłam. – Bardzo w stylu *Dzwonnika z Notre Dame*.

Zaśmiał się nisko przy moim uchu.

- Dlaczego nie dziwi mnie to porównanie?

Mrugnęłam do niego przez ramię.

- Jestem tylko księżniczką z Disney'a, która utknęła w świecie mafii.

Przesunął palcami po mojej talii, wyciskając szybki pocałunek za moim uchem nim ktokolwiek by zauważył.

- Owszem.

Rodzina Falcone zajęła całe dwie ławki. Luca i ja usiedliśmy w drugim rzędzie i jakimś niezręcznym przypadkiem Nico usiadł przed nami ze spiętymi ramionami. Elena zajęła miejsce po jego jednej stronie, Gino po drugiej. Dziewczynki Pauliego chichotały po drugiej stronie ławy, wciśnięte między Salem i Aldo, którzy wyglądali na bardzo nieszczęśliwych.

Podobało mi się to, jak noga Luki ocierała się o moją. Ten szybki całus w nawie sprawił, że moje myśli zaczęły krążyć zupełnie poza kościołem. Jednak ta wspaniała bliskość oznaczała, że siedziałam również obok Felicego, a co za tym idzie, co jakieś dwadzieścia sekund wyczuwałam delikatny zapach miodu. Wciąż przypominał mi śmierć. Valentino był po drugiej stronie Felicego ustawiony na samym końcu rzędu, gdzie kończyła się ława.

Gdy kościół się wypełniał, zaczął śpiewać chór – ich wysokie głosy płynęły wzdłuż naw i odbijały się echem w pochyłych łukach. Niektórzy otaczający mnie Falconowie dołączyli do śpiewów. Felice na szczęście zachował milczenie. Luca zamknął oczy. Musiał myśleć o czymś poważnym, ponieważ nad jego nosem tworzyły się małe zmarszczki.

Elena pierwsza zauważyła przybycie swojej siostry. Podniosła rękę do ust, ledwo tłumiąc sapnięcie na widok Donaty Marino i dwóch jej sługusów po drugiej stronie przejścia. Walnęłam pięścią w nogę Luki i otworzył gwałtownie oczy. Wzdłuż ławek poniosły się szepty, kiedy połowa z nas zwróciła się do Valentino, czekając na instrukcje.

Podniósł powoli rękę, jakby chciał powiedzieć: *Spokojnie. Jesteśmy w zgodzie.*

Elena była śmiertelnie blada, jej jasnorożowe usta wykrzywione w grymasie. Odwróciła głowę od siostry i zaciskała palce tak mocno na ławce, że wydawało się, że zaraz się połamie. Ona nosiła długie i rozpuszczone włosy w przeciwieństwie do koka Donaty, który był tak ciasny, że naciągał jej brwi. Jednak siostry Genovese dalej były do siebie podobne – te same jaskrawo pomalowane usta, te same przenikliwe oczy. Miały zadarte nosy i naturalnie uniesione spiczaste podbródki, jak gdyby patrzyły z góry na resztę świata. Dom i Gino tak mocno przyglądali się Donacie, że wyglądali jak posągi. Paulie subtelnie rozglądał się po reszcie kościoła, kiedy Luca starał się przybrać obojętny wyraz twarzy Valentino. Tylko ja słyszałam jego nierówny oddech.

Z sercem w gardle ściszyłam głos, ledwo poruszając ustami, kiedy spytałam:

- Wiedziałaś, że przyjdzie tu Donata?

Luca zacisnął zęby. Pokręcił leciutko głową.

- Czy jesteśmy w niebezpieczeństwie?

- Nie – szepnął w tym samym czasie, co Felice pochylił się po mojej drugiej stronie i powiedział: - Oczywiście.

Byłam świadoma wzroku Felicego na boku mojej twarzy, więc przyciskałam ramię do Luki, jak czekaliśmy aż ksiądz i ministranci podejną do ołtarza. Czułam w kieszeni ciężar mojego scyzoryka i byłam za niego wdzięczna. Użyję go, jeśli będę musiała.

- Co powinniśmy zrobić? – zapytałam.

- Nic – odparł Luca.

- Jeszcze – dodał Felice.

Zerknęłam na Donatę. Siedziała do nas plecami. Patrzyła ze spokojnym uśmiechem na twarzy jak ksiądz zajmuje swoje miejsce przy ołtarzu. Może to była moja wyobraźnia, ale kiedy jej się przyglądałam ten uśmiech zdawał się zamieniać w szyderczy grymas, który podniósł mi włoski na karku.

Każdy był na baczności. „*Rozmowy pokojowe, rozmowy pokojowe, rozmowy pokojowe*” powtarzałam w głowie, ale te słowa jedynie przyspieszały moje tętno i myślałam tylko: jeśli Donata była tutaj, naprzeciwko nas, to gdzie reszta? Jeżeli to naprawdę był gest dobrej woli, to dlaczego nie pojawili się tu wszyscy?

Dlaczego nie siedział tam również mój wujek? Dlaczego nie było tu mojego ojca?

Msza rozpoczęła się w łacinie. Po kilku minutach Paulie zmienił pozycję, tak że siedział bokiem zwrócony twarzą w stronę drugiej strony kościoła i tyłów, jego policzek był odwrócony do księdza i kazania. To oczywiście było ważniejsze i wiele mówił fakt, że ani Valentino, ani Luca nie kazali mu spocząć.

Czas włókł się powoli i zamiast poddać się atmosferze spokoju, stałam się jeszcze czujniejsza. W końcu wszyscy zaczęli wstawać i kierować się naprzód po komunię. Felice zabrał Valentino, a Paulie szedł przed nimi na wszelki wypadek. Luca czekał na swoją kolej, dopóki nie wrócili. Choć raz cieszyłam się z tej ochrony. Chór wyśpiewywał kolejny hymn. Siedząca za mną staruszka strasznie fałszowała, jej głos brzmiał jak potłuczone szkło. Zostałam na miejscu ze złożonymi rękami na kolanach.

Falconowie wracali jeden po drugim. Musiałam wstać, żeby przepuścić Lucę i paru innych. Uklęknął, przyciskając twarz do ławy przed sobą, ale miał otwarte oczy. Wszyscy klęczeli, nawet Felice, który poruszał bezdźwięcznie ustami. Nico również się modlił. Miałam nadzieję, że modlili się o pokój. Siedziałam tak jak wcześniej, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Obserwowałam mijające nas twarze – pobladłe przez nadchodzącą zimę, szyje owinięte szalami. To było trochę upiorne – ta bezszelestna procesja oraz głęboka, porywająca melodia spływająca na nas z góry. Nikt nawet na siebie nie patrzył. Patrzyli na swoje ręce, stopy.

Patrzyłam, jak Donata i jej sługusy przyjmują komunię, głowy pochylone z szacunkiem i złożone ręce, kiedy nas minęli. Kiedy nas minęli i szli dalej. W kierunku wyjścia, opuszczając końcowe błogosławieństwo.

Zerknęłam na Valentino. On oczywiście nie klęczał – jego wózek stał obok ławek – ale pochylał głowę, jak gdyby spał.

Spojrzałam na Lucę. Marszczył brwi, ale jego usta były nieruchome. Czy on też zastanawiał się nad Donatą? Dlaczego nie została? Elena siedziała wyprostowana, obserwując tył głowy Donaty, która szła główną nawą. Wszyscy za nią patrzyli. Felice odchrząknął. Usłyszałam szelest po prawej stronie, ale kiedy tam spojrzałam wszystko wróciło do normy. Valentino dalej się modlił z lekko pochyloną głową.

Spojrzałam jeszcze raz, nachylając się bliżej do Felicego i ignorując ten słodki zapach, żeby dobrze się przyjrzeć. Pochylona głowa, zgarbione ramiona. Nie widziałam twarzy Valentino, ale jego ciało się zniżało, czoło coraz bardziej nachylało do kolan, powoli, powolutku.

Złapałam Lucę za rękę i potrząsnęłam nim.

Podniósł gwałtownie głowę, zapominając, żeby szeptać.

- Co?

Szturchnęłam Felicego w ramię. On już na mnie patrzył.

- Valentino – syknęłam. – Valentino!

Przechyliłam się przez Felicego, nie pytając go o pozwolenie. Odwrócił powoli głowę, podążając za mną. Inni również się odwracali, śledząc zakłócenie mszy i ignorując Donatę Marino opuszczającą kościół.

Valentino wciąż opadał do przodu. Nie modlił się. Nie spał. Felice, widząc, że sama nie sięgnę, złapał Valentino za ramię. Ten nie podniósł głowy.

- Nie – wymamrotałam – nie, nie, nie.

- Valentino! – zawołał Luca, jego głos poniósł się nad cichnącą muzyką. Felice podciągnął Valentino sztywnym szarpnięciem. Jego głowa opadła do tyłu, jego szeroko otwarte oczy wbiły się w sufit. Po jego brodzie spłynęła strużka krwi.

Felice nabrał gwałtownie powietrza, odsuwając rękę od bratanka.

- Nie – szepnął.

Nie. Nie. Nie.

Spojrzałam w dół, gdzie dłonie Valentino były złożone na jego brzuchu, palce wciąż lekko zaciśnięte. W tym samym czasie, co inni ujrzałam uchwyt noża, długiego i gładkiego oraz ciemną plamę rozlewającą się na jego kurtce tuż nad sercem.

Elena wrzasnęła.

Chór przestał śpiewać.

Nico i Dom przeskoczyli ławkę, i popędzili środkową nawą, wyciągając z krzykiem pistolety. Przez drzwi wypadła samotna postać, jedynie cień na tyłach kościoła, a jej śmiech wzrósł niczym śpiew chóru. Śmiech, który ostatnio usłyszałam po raz pierwszy w ciemnym korytarzu w szkole.

Wrzask Eleny odbijał się echem w kościele, kiedy zgięła się w pół i przycisnęła twarz do ławki przed sobą, łapiąc z trudem powietrze. Luca przeszedł chwiejnie obok mnie, obok Felicego i wyszedł z rzędu. Osunął się na kolana przed Valentino, objął ramionami jego talię i pochylił głowę, dotykając czołem jego kolan – jego pozycja była lustrzanym odbiciem brata bliźniaka. Gdy w jego gardle zabulgotał odgłos, to było coś zwierzęcego, wyskrobanego z niszczycielskiej rozpacz i poczułam tę ostrą, skręcającą ranę w samym sercu.

Valentino zginął.

Boss był martwy.

CZEŚĆ IV

„Zemsta w mym sercu, śmierć w mojej jest dłoni,

A krew w mej głowie kuje zemsty oręż.”⁴

William Szekspir, *Tytus Andronikus*



⁴Tłum. Leon Ulrich

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

ZIMA

Tygodnie mijały powoli. Każdy dzień był strużką czasu, odnowionym cierpieniem i pustą ciszą. Gruba warstwa śniegu pokryła *Evelinę*, a wraz z nim lód. Pogoda uczyniła z nas wszystkich upiory włóczące się korytarzami, pragnące coś powiedzieć, ale wiedząc, że nie pozostały nam żadne słowa.

Nie było śmiechu, nie było radości.

Jedynie wściekłość.

Zamiar.

Mój ojciec pozostawał nieuchwytny – nikt go nie widział, nikt nic nie słyszał. Zaczęłam się zastanawiać czy on także był tam tego dnia, chowając się gdzieś z Jackiem, śmiejąc się za kościołem, kiedy wrzaski Eleny wypełniły go niczym aria.

Ponad dwudziestu świadków w Katedrze Najświętszego Imienia Jezus wskazało Zolę Marino, jako napastnika Valentino. Widzieli ją jak szła po komunię, zakapturzona i w normalnym ubraniu, i kiedy podeszła do Valentino i nachyliła się nad nim od tyłu. Początkowo wzięli to za przyjazne powitanie, uścisk trwający odrobinę zbyt długo. Kiedy zrozumieli, co się stało, Elena zaczęła krzyczeć wniebogłose, a Nico i Dom już wybiegali z kościoła.

Chłopaki nie dogonili Zoli.

Nawet nie wystrzelili z broni.

Ten incydent trafił do wszystkich lokalnych gazet, a także do większości krajowych. Wszystkim były teraz znane wieści o rosnącej wojnie krwi między Falconami i Marino. Odtworzyli stare morderstwa – po stronach spłynęły szczegóły tożsamości moich dziadków ze strony ojca, Vince'a Marino i Lindy Harris, fotografie Angelo Falcone, Felicego, a nawet Luki – „oszałamiającego błękitnookiego bliźniaka” ostatniej ofiary Falconów.

Zola została złapana, kiedy ukrywała się na tyłach dobrze znanej, przyjaznej Marino restauracji osiemnaście przecznic od kościoła i została zabrana w kajdankach przez policję. Drugiego dnia w więzieniu znaleziono ją zwisającą na pętli. Gazety określiły to samobójstwem. Falconowie określili to odwetem. Wszędzie mieli swoich ludzi. Więzienie nie było wystarczająco dobre dla Zoli, więc była konieczna śmierć.

Wojna rozpoczęła się na dobre.

W mgnieniu oka zmieniło się wszystko i my także – przemienił nas ciężar wyrzutów sumienia, ciężar tego jak blisko byliśmy Valentino i jak drastycznie go zawiedliśmy. To był najmocniejszy cios, jaki mogli zadać i wykonali go, ponieważ ich nie doceniliśmy. Ponieważ ośmieliliśmy się poprosić o pokój, kiedy oni pragnęli wojny. Ponieważ ośmieliliśmy się uwierzyć w możliwość rozejmu. Już nic nie było zakazane.

Reguły uległy zmianie.

Teraz pragnienia Luki były pojedyncze, ostrze jego rozpaczki skierowane na zewnątrz niczym broń wobec wszystkich Marino, którzy nadal chodzili wolno. Przemawiał trochę ostrzej, chodził trochę szybciej, ale znacznie szybciej dobywał swojego pistoletu. Nie wylegiwał się już na dachu, nie szukał gwiazd. Nie czytał poezji ani nie docinał sobie z braćmi. Nie rozmawiał o „co by było gdyby”. Ani nie rozmawiał ze mną. Nie tak jak kiedyś. Stary Luca zniknął, zastąpiony jego twardszą, mroczniejszą wersją. Falcone, którym zawsze miał być. Falcone, który pomści wszystko, co zostało nam odebrane.

Inni też nie mówili o tym „co by było gdyby”. Zniknęła idea możliwości. Luca nareszcie ją sobie odpuścił. Nareszcie poddał się rodzinie i ja również to zrobiłam, kiedy dłużej mi tego nie blokował. Ostatecznie zjednoczyliśmy się w naszym celu, ale to oddaliło nas od siebie zamiast zbliżyć. Staliśmy po przeciwnych stronach ciemnej chmury, a nieustanny żal zlizywał szczęście z naszej skóry.

Dziesiątego listopada Valentino został pochowany obok swojego ojca w rodzinnym mauzoleum.

Tego wieczoru Luca został zaprzysiężony przez starszych rodziny, jako nowy boss Falconów.

Zrobił z Pauliego swojego zastępcę.

Środki bezpieczeństwa w *Evelinie* zostały zaostrzone.

Zarządzono rozkazy strzelania bez ostrzeżenia.

Luca poprzysiągł zemstę każdemu żyjącemu Marino w stanie Illinois, podczas gdy Felice stał z boku i patrzył z cichym uśmiechem wymalowanym na twarzy.

Jak tygodnie się przeciągały, zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem *consigliere* Falconów nie zauważył zabójcy Valentino, kiedy siedział z nim ramię w ramię, gdy do tego doszło.

Odgrywałam sobie w kółko jego reakcję – szeroko otwarte oczy, sapnięcie, powolny obrót głowy, jak gdyby ta scena była w scenariuszu i nadeszła pora, żeby Felice wszedł w swoją rolę. Im więcej mijało czasu, tym mniej wierzyłam w jego szok. W jego rozpacz. Tym mniej wierzyłam w jego lojalność.

Felice spędzał czas na obserwowaniu Luki, a ja spędzałam czas na obserwowaniu jego.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

23 GRUDZIEŃ

Luca stał u szczytu stołu w sali narad *Eveliny*, odwrócony do nas plecami. Jego czarne włosy muskały mu kark, przechylał głowę na bok, patrząc na zdjęcia na ścianie. Reszta również na nie patrzyła, ale ja patrzyłam na Lucę, obserwując jego spiętą postawę, słuchając intonacji głosu. Słyszałam w nim wyczerpanie. Przeczesał włosy, po czym wskazał na zdjęcie po prawej stronie.

Wujek Jack. Ostatnie zdjęcie, na którym wychodzi z Edenu i wsiada do samochodu. Jego siwe włosy były krótko przycięte, a prawe oko nadal naznaczone i zaróżowione na krawędziach. To było moje dzieło.

Za dwa dni było Boże Narodzenie i nigdy w życiu nie czułam się taka pozbawiona radości. Planowaliśmy nasz ostateczny atak i każdy aktywny Falcone w stanie został wezwany, żeby się do niego przygotować. Zbliżał się dzień inwazji i nareszcie miałam dostać moją zemstę.

Nie chciałam być gdziekolwiek indziej.

- Jack Gracewell vel Antony Marino będzie w domu Donaty Marino razem z resztą – powiedział Luca, nie odwracając się. – Będzie też obecny Marco, jej najmłodszy syn. Podejrzewamy, że został mianowany zastępcą bossa po śmierci Zoli. Jej kuzyn, Romano Marino, niedawno uwolniony z więzienia, także wzrósł w szeregach. Nasze źródła mówią, że stał się kluczowym graczem podczas nieobecności Zoli i Libero. – Skierował swoją uwagę za zdjęcie po lewej stronie, na którym krępy skinhead wpatrywał się wściekle w obiektyw. Obok niego tkwiła fotografia nachmurzonego Marco Marino: przycięte brązowe włosy, zakrzywiony nos i srebrny kolczyk w wardze. Oczy Sary, ostro wykrzywione usta Donaty. – I oczywiście Donata będzie gospodarzem. – Zdjęcie Donaty zostało zrobione na pogrzebie Zoli Marino. W większości kryła się za czarnym welonem, a przeszywające oczy błyszczały. Nie płakała. Była kobietą, która wyczerpała wszystkie łzy już dawno temu.

- A co z Michaelem Gracewellem? – zapytał Dom. – Czy on też jest oczekiwany u Donaty?

Luca wyprostował się trochę.

- Nie odnotowaliśmy żadnych widzeń Vince'a Marino Juniora.

Od czasu ceremonii pożegnalnej mojej matki.

Gdzie on był, do licha? Skryty tak głęboko w strukturach Marino, że nie było po nim śladu. Czy tak bardzo obawiał się powrotu do więzienia? Czy może ukrywał się przed nami?

- Cóż, jeśli tam będzie, jego też zabijemy – powiedział Felice, patrząc przy tym na mnie. – Wszystkich Marino dotyczy ta sama zasada. Czy to nie prawda, Don Luco?

Nie było żadnego szacunku w sposobie, w jaki zwrócił się do Luki i wiedział o tym każdy przy tym stole. Wciąż wpatrywał się we mnie podczas swojej gry, kiedy próbował zmusić Lucę do podpisania przede mną wyroku śmierci mojego ojca.

- Wątpię, że pojawi się tam Vince Marino. – Głos Luki był opanowany. – Może być teraz w połowie drogi na Fiji.

- Ale jeśli się pojawi – naciskał Felice, szczerząc się do mnie – mamy go zabić, tak?

- Tak – powiedziałam, biorąc wodze zanim Felice zdołałby wyrządzić jakąś szkodę. – Oczywiście, że go zabijemy. Dlaczego mielibyśmy tego nie zrobić? On jest Marino.

Starałam się nie pozwolić, żeby ból tej odpowiedzi ukazał się na mojej twarzy. Jeżeli Luca nie potrafił potwierdzić nieuchronnej śmierci mojego ojca, to ja musiałam. Nieważne, jak to mnie głęboko raniło, jak szorstko brzmiały słowa w moich ustach. Teraz nie było już odwrotu i ojciec, którego znałam dawno zniknął.

Felice uniósł brwi.

- Persefono – powiedział, wykrzywiając usta w uśmiešku. – Zaskakujesz mnie. Zamordowałabyś własnego ojca...

Luca obrócił się tak szybko, że Gino podskoczył na krześle. Zatrzymał palec pół centymetra przed twarzą Felicego, na jego lewej dłoni lśnił gruby sygnet jego bliźniaka. W jego oczach błysnęła czysta, nieprzefiltrowana furia.

- Powiem to tylko raz, Felice. Pod moim przywództwem nie będziesz wykorzystywał żalu czy bólu kogokolwiek z tej rodziny dla własnej rozrywki. Nie będziesz już dokuczał, żartował sobie albo mieszał w sprawach innych. Inaczej cię zdegraduję. Jeśli mnie do tego popchniesz, to cię ukarzę.

Felice obrócił odpowiedzią w ustach. Wszyscy milczeliśmy porozumiewawczo. To była gra, ale nie mogliśmy brać w niej udziału, tylko czekać aż dobiegnie końca. Oczywiście Felice nie zamierzał się kulić, nie przed publicznością, chociaż tak byłoby najrozsądniej. Uniósł brwi i zapytał tak niewinnie jak tylko mógł:

- Przemawiasz do mnie, jako mój boss czy kochanek Persefony Marino?

Luca spoliczkował go wierzchem dłoni.

Ten odgłos zabrzmiał potężnie w pomieszczeniu pozbawionym powietrza. Sygnet uderzył w usta Felicego, rozcinając mu dolną wargę. Felice zamrugał na Lucę, krew spłynęła mu po brodzie. Wessał ją do buzi i zanucił.

- Felice – powiedział ostrzegawczo Paulie. – Skończ.

Felice wpatrywał się w Lucę.

- Jesteś okrutniejszy od swojego brata, Gianluco.

Luca schylił się, dopóki jego twarz nie znalazła się parę centymetrów od twarzy wuja.

- To jest teraz inna rodzina, Felice. Twoje słowa będą miały konsekwencje, tak jak twoje czyny... albo ich brak.

Podtrzymał jego wzrok. Pokój wydawał się zimniejszy. Luca nigdy nie wybaczy Felicemu tego, co wydarzyło się tamtego dnia w katedrze, tak samo jak nigdy nie wybaczy sobie.

Felice przełknął własną krew. Zerwał kontakt wzrokowy, przesuając wzrok na fotografii znajdujące się za Lucą. Scena dobiegła końca.

Luca wyprostował się.

- *Capisci?*

- *Capisco.* – Felice przytaknął.

Niepokój nakazał nam milczenie, kiedy obserwowaliśmy tę nową wersję Luki, bossa, którego zobaczył w nim jego dziadek. Był zimny, wykalkulowany, inteligentny. Rozpacz zrobiła z niego człowieka, przed którym się drżało – trzymał swój temperament na krótkiej smyczy, ale wciąż się w nim kotłował i wszyscy to czuliśmy.

Luca odwrócił się z powrotem do zdjęć, splatając ręce za plecami i zamrugał do mnie sygnet Dona.

- Ci ludzie panują teraz nad rodziną Marino. Kiedy przygotujemy zasadzkę na dom Donaty, chcę, żeby to oni zostali usunięci pierwsi. Ustalcie swoje priorytety. Zachowajcie trzeźwy umysł. Oni będą oczekiwać naszego odwetu. Będą uzbrojeni.

Cosimo, starszy członek rodziny Falcone, zastukał o stół laską.

- Kto pójdzie? – zapytał.

Luca znów się obrócił ze spokojnym wyrazem twarzy. Jakże to było dziwne, jak bardzo przypominał teraz Valentino, jaki wydawał się opanowany w roli, której nigdy nie chciał.

- Każdy, kto jest chętny i zdolny. Starsi są wykluczeni, chyba że postanowią inaczej.

- Wszyscy jesteśmy chętni – powiedział Paulie. – Naturalnie.

- Naturalnie – powtórzyła pusto Elena. Nie mówiła za wiele. Tak jakby wysiłek bycia obecną był dla niej zbyt wielki, smutek zbyt potężny. Wykorzystywała całą energię, żeby przebrnąć przez dzień, jeden po drugim.

- Jezu, sam nie wiem – odezwał się Dom. – Trochę się boję.

Wszyscy odwróciliśmy, żeby na niego spojrzeć. Wybuchnął śmiechem.

- Żartuję – powiedział, ciesząc się z własnej zabawności. – Nie mogę się doczekać, żeby odstrzelić jednooką głowę Antony'ego!

- O której, Luco? – zapytał Paulie. – Chciałbym zobaczyć rano moje córki, jak będą otwierać prezenty.

Felice spojrzął z ukosa na Pauliego.

- Ta cała operacja nie opiera się na odbiorze twoich zestawów prezentowych My Little Pony, bracie.

Paulie zignorował go.

- I młodszy chłopcy Calvino – burknął Tommaso, inny starszy, z dalekiego końca stołu. – Oni także zasługują na świąteczny poranek.

- Będą u Vity – powiedział Paulie. – Daleko stąd.

Dobrze, pomyślałam. Niech przynajmniej dzieci mają radość. Niech mają radość dopóki nie dorosną do swego przeznaczenia i nie zmienią się w resztę z nas.

- Donata wcześniej rozpocznie obiad – powiedziała cicho Elena. – Trzyma się tradycji, na której wychowała nas matka. To będzie całodzienna uroczystość.

Opadła na krzesło, patrząc w dół, a smutek okrył ją niczym całun. Jak gdyby ktoś wylał kubel wody na płonący w nią ogień. Zastanawiałam się czy jeszcze kiedykolwiek będzie taka sama. Tak samo zastanawiałam się na temat Luki.

- Szkoda, że nie możemy wyskoczyć z panettone⁵ – mruknął Tommaso ku rozczarowaniu jego żony.

- Nigdzie nie idziesz – wysyczała. – Dopiero miałeś operację kolana.

- Tak tylko mówiłem – zaprotestował pośpiesznie.

⁵Taka włoska świąteczna babka.

- Tęsknię za dawnymi czasami – westchnął Cosimo. – Wtedy cieszyłbym się tym bardziej.

- Wszystko ci opowiemy, nie martw się – zapewnił go Nico.

Cosimo pochylił głowę z wdzięcznością.

- Bardzo chciałbym zobaczyć, jak dziewczyna Marino zabija bossa Marino – powiedział, pokazując na mnie.

- Cóż za zamach stanu – przytaknęła kobieta siedząca obok niego.

- W rzeczy samej – mruknęła Elena.

Ułożyłam usta w pewnym sobie uśmiechu. Pędziłam ku tej chwili odkąd przybyłam do *Eveliny*, ale kiedy był już prawie przeddzień tej okazji mój żołądek cały się skręcał – wypełniały mnie świeże smugi niepokoju, grożąc pozbawieniem mnie odwagi. Po śmierci Valentino nieuchronnie oczywiste stało się, jak każdy z nas był bliski śmierci. Mimo wszystko, gdybym kuliła się za zamkniętymi drzwiami Donaty, i tak by po mnie przyszła, po nas wszystkich, jak zrobiła to tamtego dnia w Katedrze Najświętszego Imienia Jezus. Musieliśmy ich dopaść zanim oni dopadną nas. Drugi raz ich nie zlekceważymy.

Nie zdawałam sobie sprawy, że Luca na mnie patrzył, dopóki znowu nie skupiłam na nim uwagi. Wziął się w garść i ponownie skoncentrował.

- Godzina? – zapytał Cosimo. – Proszę o trochę więcej jasności.

Szacunek, który Luca natychmiast otrzymał od rodziny był początkowo nieco wstrząsający. Jak gdyby w dniu, w którym wkroczył w rolę i poprzysiągł pomścić śmierć swojego bliźniaka, wszyscy ujrzeli go w nowym świetle. Przyjęli go z wdzięcznością, poddając się bez zawahania jego autorytetowi – nawet starsi członkowie, którzy przeżyli już wielu bossów. Luca był tym, na kogo czekali i nie bali się pochylać przed nim głów.

Luca cofnął się o krok i jego głowa została obramowana trzema fotografiami Marino. Był pewny siebie, kiedy odpowiedział i fala jego przekonania spłynęła wzdłuż stołu, wzmacniając rodzinę.

- Godzina trzynasta w Boże Narodzenie, rezydencja Marino.

- Idealnie – powiedział Nico.

Reszta mruknęła przytakująco.

Luca uśmiechnął się; był to gest mały, wyuczony i zimny jak lód.

- *Buon Natale*, Donato Marino.

Rodzina Falcone wybuchła śmiechem, powtarzając z rozbawieniem „*Buon Natale*”.

Ja również się zaśmiałam, ale nie wiem czy ten dźwięk wydobył się z mojego mózgu, czy serca.

W rzeczy samej, wesołych świąt.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

WIGILIA

- Dzięki, że przyjechałaś, Mil. – Przytuliłam moją przyjaciółkę i przeciągnęłam przez próg. Jej włosy pachniały jabłkami, a na twarzy widniał idealny makijaż. Była opatulona po samą szyję kremowym płaszczem z gęsiego pierza. Wyglądała jak królowa śniegu. – Pięknie wyglądasz.

- Ty też! – powiedziała pogodnie, uśmiechając się z łatwością. – Boże, ale mróz. Prawie wpadłam w poślizg w drodze tutaj. – Odruchowo zadrżała. – Chyba pora, żebym sprawiła sobie fajniejszy wóz.

- No, pasowałby do twojego płaszcza – powiedziałam.

- Podoba ci się? – Zrobiła piruet. – Cris mi go kupił. Okazuje się, że jest obrzydliwie bogaty.

Uniosłam brew.

- Z dnia na dzień staje się coraz lepszy.

Wzruszyła ramionami.

- To rekompensuje jego obsesję na punkcie książek do kolorowania.

Zamknęłam za nią drzwi i ściszyła głos, pozbywając się radości.

- Jak wygląda sytuacja?

- Tak samo – odparłam cicho. Zaprowadziłam ją na górę do mojego pokoju, gdzie będziemy miały prywatność.

- W święta musi być szczególnie ciężko – powiedziała, idąc za mną. – Na pewno chcesz tu zostać? Wciąż opłakujesz swoją mamę. Może to miejsce nie jest teraz dla ciebie odpowiednim domem. Wiesz, że zawsze możesz pojechać z nami do chaty, prawda? Wyjeżdżamy dopiero później...

- Mil, naprawdę to doceniam...

- Ale... - wtrąciła, wyczuwając moje wahanie.

- Muszę być tutaj ze wszystkimi. Oni są teraz moją rodziną. – Wygodnie pominęłam drugą część mojego rozumowania: masakrę rodziny Marino. Jutro o tej samej porze wzrośnie liczba ofiar. Ilekroć myślałam o potencjalnych stratach po naszej stronie robiło mi się niedobrze, więc odpychałam te myśli.

- Jak sobie radzi Luca? – zapytała delikatnie. Zamknęłam drzwi mojego pokoju i usiadłyśmy na łóżku.

Jako boss? Niezwykle dobrze. Jako normalny facet opłakujący swojego brata? Tragicznie.

- Dojdzie do siebie. Właściwie to o tym nie rozmawiamy. – Reszta była zbyt bolesna do wyznawania. *Tak naprawdę to już o niczym nie rozmawiamy.*

- Trzymasz się z dala od kłopotów? – zapytała Millie. – To wszystko, co wypisują w gazetach o wojnie krwi...

- Mówiłam ci, że to bzdury. – Zbyłam jej troskę. – Zola chowała urazę i próbowała coś z tym zrobić. Nie żyje. Więc już po wszystkim.

- Jesteś bezpieczna? – Przysunęła się bliżej, przyglądając mi się bacznie. – Powiedz, że jesteś bezpieczna.

- Jestem bezpieczna – skłamałam. – Prawdopodobnie bezpieczniejsza od ciebie. Ciebie może zjeść niedźwiedź w tej twojej chacie.

Uśmiechnęła się ponuro.

- Nawet sobie nie żartuj na ten temat. Wiesz, że nie mam umiejętności przetrwania.

W przeciwieństwie do mnie, pomyślałam.

- Smutno mi – powiedziała po chwili. – Czy to nie dziwne? Wyjeżdżam tylko na parę dni, ale smutno mi, że ty będziesz tutaj, a ja tam. Dlaczego czuję się taka smutna?

Złapałam ją za rękę i ścisnęłam.

- To po prostu smutny dom. Chodzi o tę atmosferę. Postaraj się nie dopuszczać jej do siebie. Są święta. Nie ma powodu, żebyś się smuciła. – Odmrugałam napływające łzy. Prawda była taka, że nie wiedziałam czy jeszcze zobaczę Millie. Nie wiedziałam czy wyląduję w więzieniu, czy w piachu. Nic już nie wiedziałam. Wiedziałam jedynie, że wejść do domu Marino i pomogę położyć kres wszelkim wyrządzonym nam krzywdom.

- W nowym roku będziemy szczęśliwe – powiedziała Millie, a ta obietnica zaślśniła w jej oczach. – Wytrzymaj jeszcze trochę i wydostaniemy się z Chicago.

- Tak. – To słowo zabrzmiało grubo w moim gardle. – Oczywiście.

- Mam coś dla ciebie. – Sięgnęła do swojego płaszcza i wyciągnęła prezent. – Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Wsadziłam rękę pod łóżko i również wyłowiłam dla niej prezent.

- To nic wielkiego – przyznałam z zakłopotaniem. Szal i rękawiczki, plus zabawne skarpety. Zasługiwała na coś lepszego. – Jestem splukana i od śmierci Valentino byłam ograniczona do zakupów w necie.

Millie rozerwała pakunek i wtuliła twarz w szalik.

- Cudowne! – zawołała, owijając się nim dwukrotnie, po czym przymierzyła rękawiczki. – Piękne. Mam nadzieję, że nie przepłaciłaś.

Prychnęłam. - Doceniam twoją nadgorliwość.

Pacnęła mnie rękawiczką.

- Otwórz swój prezent.

Otworzyłam prezent w fioletowym papierze, z którego wytoczył się mały słoik. Jego pokrywka była w fioletowej tasiemce, a z otaczającego go sznurka zwisało serduszko.

- To nie jest miód – powiedziała szybko. – Nie panikuj.

Podniosłam go i przeczytałam tekst z serduszka.

- *Słoik szczęścia.* – Posłałam jej spojrzenie. – *Do użycia, kiedy czujesz się smutna albo występują u Ciebie objawy odstawienia Millie.*

Potrząsnęłam nim. Wewnątrz znajdował się stos maleńkich, złożonych karteczek.

- To głównie wspomnienia – wyjaśniła Millie. – Ale niektóre są naszymi marzeniami o przyszłości. A inne to zwykłe komplementy, które dodadzą ci otuchy. Na przykład: „Masz włosy bajkowej księżniczki syreny”. Coś w tym stylu.

Odkręciłam wieko i wytrząsnęłam jedną karteczkę na rękę.

- Tylko jedno! – powiedziała i zabrała mi słoik, zamykając. – Nie możesz przeczytać wszystkich naraz. Mają przetrwać przynajmniej trochę czasu.

Zbesztana rozwinęłam kartkę i przeczytałam zapisane na niej wspomnienie.

- *Pamiętasz, jak zakradłyśmy się na film dla dorosłych, a kiedy nas złapali powiedziałaś bileterowi, że mamy dwadzieścia siedem lat, bo myślałaś, że takie przesadzenie wytrąci go z równowagi? Wyrzucił nas i zagroziłaś, że pozwiesz go za dyskryminację ze względu na wiek.*

Zaczęłam chichotać.

- Zapomniałam o tym.

- Byłaś taka oburzona, że prawie sama ci uwierzyłam! - Millie również się śmiała.

- Mogę przeczytać jeszcze jedno? – zapytałam z nadzieją.

- Czujesz smutek?

- Troszeczkę – przyznałam.

Podawała mi słoik i rozwinęłam następną karteczkę.

- Kiedy mój tata powiedział nam, że przeprowadzamy się do Chicago, płakałam przez sześć nocy. Gdybym wiedziała, że czekasz na mnie gdzieś na drugim końcu świata, wskoczyłabym do samolotu i nawet nie obejrzała się za siebie. Każdego dnia dziękuję wszechświatowi za podarowanie mi przyjaciółki tak dobrej, życzliwej i lojalnej, jak ty.

- Ojej – mruknęłam, ocierając łzę. – To bardzo urocze. A teraz ja płaczę. – Rzuciłam się na nią, obejmując ją w ogromnym uścisku, który popchnął nas na łóżko. – Dziękuję – powiedziałam, ściskając ją mocno. – Strasznie ci dziękuję, Mil. Uwielbiam twój prezent! Jest cudowny, przemyślany i doskonały.

- Nie ma sprawy. – Zdmuchnęła z twarzy kosmyki włosów. – Wow, ktoś by mógł pomyśleć, że nigdy wcześniej nie dostałaś prezentu.

- Takiego nie. – Usiadłam i postawiłam słoik na szafce nocnej, uśmiechając się do chowającej się w nim cudowności. Wszystkie te maleńkie isierki dla mnie. Na wszelki wypadek przeczytam wszystkie dzisiaj wieczorem.

- Chodzi o nadzieję – powiedziała Millie. – Chodzi o szczęście. Nie zawsze tak będzie – powiedziała cicho. – Chciałam tylko, żebyś o tym pamiętała.

Nie mogłam dłużej patrzeć jej w twarz. Siedziałam obok najlepszej przyjaciółki i okłamywałam ją. Nawet nic nie mówiąc wprowadzałam ją w błąd.

- Dziękuję. – Zaplotłam ręce, wpatrując się w paznokcie. Jutro, w ten czy inny sposób, będzie na nich krew.

Złapała mnie za rękę. – Zawsze będziemy miały siebie, Soph. I to jest najważniejsze. – Jej uśmiech trzymał obietnice jutra.

- Jesteś bardzo cikliwa, Mil. – Przyciągnęłam ją do kolejnego uścisku, uświadamiając sobie, że to może być nasz ostatni. Byłam zdeterminowana, żeby go nie schrzanić.

- Och, uwielbiasz to. – Przytuliła mnie równie mocno, tak że trudno było mi oddychać.

- Wiem – wydusiłam, powstrzymując łzy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

BEZGWIEZDNA NOC

Wigilia przeminęła głównie w ciszy. Gino zrobił bałwana w ogrodzie, a Dom zepsuł mu głowę zanim jego brat zdołałby włożyć mu marchewkę za nos. Zaczęli się szarpać po ziemi, tworząc imponującą, choć przypadkową, parę aniołów w śniegu. Elena przyglądała im się z okna, uśmiechając się smutno.

Potem przyszedł CJ i zdemolował resztę bałwana, a Dom gonił za nim aż do stodoły, gdzie złapał go za głowę i wtarł mu śnieg we włosy. Gino poderwał się na nogi i zaczął odbudowywać bałwana. Nico wyszedł na dwór z marchewką i pomógł mu. Patrzyłam przez okno, popijając gorącą czekoladę i czując odrobinę współczucia wobec Gino. Nie pasował tutaj podobnie jak Luca, ale był zbyt błogo nieświadomy, żeby to dostrzec. Miałam przynajmniej taką nadzieję.

- To dobrzy chłopcy – powiedziała cicho Elena. To pierwsze, co powiedziała przez cały wieczór. – Podobni do swojego ojca.

Zorientowałam się, że nie mówiła do mnie.

Kolacja nie była zbyt radosnym wydarzeniem, ale Elenie i Pauliemu i tak udało się przygotować wspaniałą ucztę.

- Uczta Siedmiu Ryb – oznajmił mi Gino – to będzie kolacja, której nigdy w życiu nie doświadczyłaś.

Miał rację.

To była moja pierwsza włoska Wigilia i pomimo budzącego grozę lęku przed wszystkim, co jeszcze było przed nami dowiedziałam się, że mój apetyt jest w zaskakująco dobrej formie, prawdopodobnie dzięki wybornemu wyborowi dań ułożonych starannie na stole w jadalni. Solony dorsz, małże, kalmary smażone na głębokim tłuszczu, sałatka z homara, marynowany węgorz, rillettes z łososia z chlebem i moje ulubione danie – grillowane krewetki z chili, kolendrą i limonką. Były tam sałatki i wypieczony chleb, gulasz z owoców morza i miski świeżo przygotowanego tagliatelle w kremowym sosie grzybowym. Na deser Gino zrobił tęczowe ciastka z galaretką, a Elena cannoli – ciasteczka nadziewane słodkim serem ricotta, który rozpląwał się w ustach.

W każdym daniu było tyle dekadencji i staranności, iż choć raz żałowałam, że mój ojciec nie zaakceptował swoich korzeni, abyśmy doświadczyli takiej uczyty, kiedy dorastałam.

Zasiedliśmy do stołu o dwudziestej pierwszej. Luca podniósł swoją szklankę – z wodą – i poszliśmy w jego ślady; mieszanki whisky, czerwonego wina i wódki poszybowały w kierunku sufitu.

- *Salute* – rzekł tylko. Milczał przez cały dzień, ukrywając się w swoim gabinecie, przeglądając plany i rozporządzenia.

- *Salute* – odpowiedzieliśmy razem.

- Ostatnia wieczerza – powiedział Gino. Uśmiechnął się do matki – to był najsmutniejszy uśmiech, jaki widziałam. Elena zacisnęła powieki, a kiedy znów je otworzyła jej oczy były czyste.

Nikt mu nie odpowiedział.

Wzięliśmy widelce i zabraliśmy się do jedzenia.

Po kolacji zostałam z Domem i Gino, żeby posprzątać. Luca umówił się z księdzem, żeby przyszedł do domu na pasterkę – to była bożonarodzeniowa tradycja, której rodzina Falcone nie chciała przegapić nawet jeśli nie mogliśmy ryzykować udaniem się do kościoła. Po pasterce miała odbyć się spowiedź dla chętnych. Korzystał z niej każdy Falcone. Nie umknęło mi znaczenie tej tradycji.

Myłam garnek w zlewie, kiedy pojawił się za mną Luca, dotykając lekko moich pleców. Podskoczyłam i upuściłam garnek, który złapał za brzeg nim uderzyłby w dno zlewu.

- Przepraszam – mruknął tuż nad moim uchem.

Musiałam wykorzystać całą siłę, żeby nie oprzeć się o niego i zamknąć oczy. Nie byliśmy tak blisko siebie od śmierci Valentino.

Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć.

- Wszystko w porządku?

Przeniósł rękę na krawędź zlewu, jego ciało znajdowało się tak blisko, że prawie się dotykaliśmy. Oddech uwiązał mi w gardle. Dom i Gino stali gdzieś za mną, podejrzanie cicho. Luca ściszył głos.

- Spotkasz się ze mną na dachu po pasterce? – zapytał. – Mam coś dla ciebie.

Uśmiechnęłam się do niego lekko.

- Przyjdę tylko, jeśli to prezent.

- Tak, to jednorozec.

Po czym odwrócił się i opuścił kuchnię, nie patrząc na Gino ani Doma.

- A więc to dalej trwa – odezwał się Dom.

Zamierzałam przesyć go wzrokiem, ale jego ton był neutralny, a kiedy zobaczyłam jego twarz uświadomiłam sobie, że wcale się nie droczył.

Włożył ostatni talerz do zmywarki i wyprostował się.

- Wiesz, że on jutro da się zabić, prawda?

Zostawiłam garnek, który myłam.

- Słucham?

Gino przestał wycierać stół. Odwrócił się, żeby spojrzeć na Doma.

- Luca nie zamierza wyjść żywym z rezydencji Marino.

- Co ty gadasz? – Czułam jak gniew rumieni mi policzki. – Oczywiście, że wyjdzie żywy. Wszyscy przeżyjemy.

Dom wzruszył ramionami.

- To jego ostatnia walka.

- Skąd ci to przyszło do głowy? – Staralam się nie dopuszczać do siebie paniki, ale to nie wyglądało na jeden z durnych żartów Doma.

- Spójrz na niego – powiedział, wskazując ręką na miejsce, w którym stał przed chwilą Luca. – Jest zrezygnowany. Jego pragnienie zemsty przeważa instynkt samozachowawczy. Valentino i Luca nie zostali stworzeni do życia osobno. Nie potrafią bez siebie żyć.

- Dlaczego tak mówisz? – Gino brzmiał jak małe dziecko. – Jakby miał popełnić samobójstwo.

- Po prostu się zmienił – powiedział Dom. – Już mu nie zależy.

- Zależy mu na pozbyciu się Marino – zaprzeczył Gino.

- I na czym jeszcze?

- Nie wiem – powiedział Gino.

- Właśnie – westchnął Dom. – No właśnie.

Podniosłam garnek, szorując go dopóki nie zdarłam sobie palców i zniknęło ukłucie słów Doma.

Kiedy wszyscy poszli do łóżek z czystymi duszami po spowiedzi, wyszłam przez okno pokoju Luki. Przeczłołam się przez dach, zostawiając ślady rąk i stóp w cienkiej warstwie śniegu niczym odciski ogromnego niemowlaka.

Luca siedział na krawędzi, w tym samym miejscu, co w noc deszczu meteorytów. Odwrócił się, żeby patrzeć jak do niego raczkuję.

- Jak zawsze ostrożna – powiedział łagodnie.

Wyciągnął rękę, żeby pomóc mi złapać równowagę. Po wielu manewrach udało mi się zasiać koło niego.

- Cześć. – Usiłowałam zignorować nacisk na klatce piersiowej. Głupi Dom i jego apokaliptyczne słowa.

- Zimno ci? – zapytał.

O dziwo nie. Potrząsnęłam głową.

- Nie ma gwiazd na niebie – zauważyłam. Noc była pochmurna – księżyc tylko mglistą plamką.

- Wszystko jest teraz inne. – Odniosłam wrażenie, że nie mówił tylko o pogodzie.

Skinęłam głową i wezbrało się we mnie uczucie ponurości.

Podniósł mój podbródek, żebym na niego spojrzała.

- Ale nie zmieniły się moje uczucia do ciebie, Sophie. – Przesunął dłonią po moim policzku, dotykając kciukiem dolnej wargi.

Zamrugałam zaskoczona. Spodziewałam się, że jego uczucia odpłyną jak strumyk rzeki, chociaż moje z każdym dniem jaśniały coraz mocniej. Jednak nie było śladu radości w jego słowach, żadnego szeptu czegokolwiek innego – rozwijającej się przed nami przyszłości. Trudno było czuć teraz jakąkolwiek możliwość, nieważne jak bardzo tego chciałam.

Jednak nadal mieliśmy dzisiejszy wieczór.

- Kupiłam ci prezent. – Sięgnęłam do kieszeni płaszcza i wyciągnęłam małą paczuszkę. – To nic wielkiego i pewnie pomyślisz, że to naprawdę głupie, ale chciałam dać ci coś, czego nigdy nie miałeś i pomyślałam, że to może być coś wyjątkowego, tylko dla nas... - urwałam.

Uniósł brwi, przyjmując paczuszkę i obrócił nią w dłoni.

- Muszę być szczery, Soph, mam wielką nadzieję, że to kolejny wiersz.

- Tamto było jednorazową robotą – powiedziałam.

Zmarszczył brwi.

- Ale uwielbiam twoją poezję.

- Wcale nie.

- Tak – upierał się. – Jest naprawdę straszna, ale to nie znaczy, że jej nie uwielbiam.

Nim zdążyłam się powstrzymać, wystrzeliłam do przodu i pocałowałam go w policzek.

- Otwórz zanim zwariuję z napięcia.

Zaśmiał się krótko, rozbawienie zamieniło się w koncentrację jak rozpakowywał kawałek po kawałku. Nieznośnie powoli, żeby zrobić mi na złość. Pozwoliłam mu się tym nacieszyć. Przynajmniej zachowywał się figlarnie.

Gdy skończył i opakunek został zdjęty, trzymał prezent na dłoni i przyglądał mu się. Temu błaho-wyglądającemu czarnemu kamyczkowi z małymi odciskami w kształcie kciuków.

Zabulgotało we mnie zakłopotanie.

Najwyraźniej nie miał pojęcia, co to było. Patrzył na to, jakby próbował to rozgryźć.

O Boże. Myślał, że podarowałam mu na święta kamień.

Cóż, teoretycznie rzecz biorąc tak było.

Ale to był wyjątkowy kamień.

Pomyślałam o zasłonięciu twarzy i zsunięciu się z dachu, ale zacznijmy od tego, że to był mój głupi pomysł, więc równie dobrze mogłam się usprawiedliwić i znieść upokorzenie.

- To nie jest zwykły kamień – powiedziałam do jego profilu. – To coś więcej, przyrzekam. Widzisz, to...

- Meteoryt Sikhote-Alin – dokończył, podnosząc na mnie wzrok. – Z Rosji.

- Tak, dokładnie... - powiedziałam zaskoczona.

Spojrzał na kamyk.

- Pochodzi z miejsca uderzenia meteoru w Syberii w 1947. Czy to właśnie chciałaś powiedzieć? – Znów na mnie patrzył i miał najdziwniejszy wyraz twarzy. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

To było... zdumienie.

Uśmiechnęłam się do niego z zakłopotaniem.

- Miałam zamiar powiedzieć, że to upadła gwiazda.

Uniósł go między nami, przesuając kciukiem po małych grzbietach.

- To oktaedryty gruboziarniste – mruknął. – Część powierzchni tych meteorytów wybuchła, kiedy przeszły przez atmosferę w drodze na Ziemię. Dlatego nie są gładkie. Zobacz. – Podsunął kamyk pod mój kciuk, żebym poczuła.

- Masz już taki?

- Nie – powiedział cicho. Nadal miał ten wyraz twarzy. Jego oczy zdawały się większe, usta pełniejsze, oddech szybszy. – Nie mam.

- To dobrze – powiedziałam z ulgą. – Ponieważ musiałam przelicytować starszą panią z Kansas i zrobiło się gorąco, ale niech mnie diabli, jeśli pozwoliłabym jej zagrać kartą wieku. No bo co? Mam pozwolić jej zabrać mi to sprzed nosa, kiedy...

- Bardzo mi się podoba – przerwał mi. – Podoba mi się, że pożarłaś się z jakąś słodką staruszką i wygrałaś. I podoba mi się, że nie masz absolutnie żadnych wyrzutów sumienia. Nie mogę uwierzyć, że to dla mnie zrobiłaś.

Przysunęłam się trochę bliżej.

- Dlaczego tak trudno w to uwierzyć?

Pokręcił głową, jego uśmiech był niewielki i smutny.

- Bo na to nie zasługuję.

- Zasługujesz – powiedziałam, chcąc, żeby na mnie spojrział, ale on już sięgał do kieszeni swojej kurtki.

- Ja też coś dla ciebie mam, Sophie. – Wyciągnął małe pudełko.

Wzięłam je od niego i uniosłam przed twarzą.

- Okej, to wygląda na trochę za małe, żeby być jednorożcem, Luco.

- Może próbowałem zbić cię z tropu – powiedział, nachylając się do mnie, kiedy je otworzyłam.

Była tam bransoletka, delikatna i srebrna z wisiorkiem w kształcie serca. Odczytałam wygrawerowane na nim słowa. *„Nadzieja uśmiecha się od progu nadchodzącego roku, szepcząc ‘Będzie lepiej’”*.

- Cytat Alfreda Lorda Tennysona – wyjaśnił.

- Piękna. – Wsunęłam ją na nadgarstek, przejeżdżając palcem po serduszkach. -
Dziękuję, Luca.

Chciałam powiedzieć resztę: „*Kocham cię*”, ale ta chwila była taka krucha i cenna, iż obawiałam się, że to ją roztrzaska.

- Chodzi o możliwość – powiedział cicho. – O wszystkie możliwości w twoim życiu.

- *W naszych życiach* – poprawiłam go.

Nic nie powiedział. Czułam ciężar wszystkiego, co nas przygniatało, smutek na obrzeżach gotowy wejść na scenę i zabrać mi Lucę.

Ujął moją rękę i splótł ze mną palce.

- Sophie. – Jego głos wołał do pustki w moim sercu. Zabiło szybciej, kiedy na niego spojrzałam. – Proszę, nie idź jutro. Proszę, zostań tutaj, gdzie jest bezpiecznie.

- Przestań – szepnęłam. – Nie rozmawiajmy o jutrze, proszę.

Oparł czoło na moim. – Błagam cię.

- Nie – powiedziałam stanowczo. – Idę tam, dokąd idzie moja rodzina. Dokąd idziesz ty. To jest nasza zemsta. Nasze przeznaczenie.

Zamknął oczy. Było za późno. Oboje tam szliśmy i żadne z nas nie mogło powstrzymać drugiego. To było zbyt wielkie, wiedzieliśmy, że oboje do tego dążyliśmy. Byliśmy to winni Valentino i mojej matce. Luca nie zamierzał ustąpić i ja też nie. Przypomniały mi się wcześniejsze słowa Doma.

- Nie mówmy więcej o jutrze – powiedziałam. – Proszę. Cieszymy się chwilą obecną. Co będzie to będzie.

- Szczękają ci zęby.

- Naprawdę? – Nie wiedziałam czy to z powodu nagłego ataku nerwów, czy zimnego powietrza. To nie wystarczało – ta chwila, choć idealna. Chciałam być bliżej niego. Chciałam go mocno przytulić, spleść z nim nogi, zasnąć z głową na jego piersi. Chciałam wydłużyć tę chwilę i zamieszkać w niej na zawsze.

- Wracajmy do środka.

- Mogę z tobą zostać? – zapytałam, czując nagle to miazdzące poczucie ostateczności między nami. Słowa wymknęły mi się nim zdążyłabym nad nimi zapanować, ale miałam to w nosie. Pragnęłam tego tak bardzo, że czułam ucisk na sercu. To mógł być ostatni raz, kiedy razem siedzieliśmy, całowaliśmy się albo śmialiśmy. To mogła być nasza ostatnia noc. Słowa Doma wplotły się w moją świadomość. Tak jak powiedział Valentino: najtrudniej zabić człowieka, który ma najwięcej do życia. – Chcę zasnąć przy tobie. Chcę

obudzić się w twoich ramionach... - Spojrzałam mu w oczy, przekazując ukryte znaczenie. – Chcę być dzisiaj z tobą.

Luca przełknął ciężko ślinę.

- Jesteś tego pewna?

- Tak – powiedziałam. – Jestem pewna. – Tak pewna, że aż bolało. – Mogę tu dzisiaj zostać?

- Tak – odparł trochę bez tchu. – Zostań ze mną.

W jego słowach było coś przypominającego poniekąd pożegnanie. Wyczuwałam w nich jego żal. Łamało mi się serce, że nie mogłam mu go zabrać, ale mogłam trwać w nim razem z nim, przynajmniej na dzisiejszą noc. Mogliśmy w nim trwać wspólnie. Mogliśmy wykorzystać odrobinę szczęścia i ogrzać ją między nami. Dzień jutrzejszy był inną historią. Jutro zmieni wszystko.

Była Wigilia Bożego Narodzenia i spędzałam ją z osobą, którą kochałam, i w tym przynajmniej była odrobina radości.

Pociągnął mnie za sobą, przytrzymując w talii, jak przeszliśmy przez dach. Weszliśmy do pokoju przez okno i zamknął je za sobą. Przesunął dłońmi wzdłuż moich ramion, rozgrzewając je. Podeszłam bliżej do żaru jego ciała i objął mnie ramionami, gdy schowałam twarz w jego szyi, wdychając jego zapach i doskonałość tej jednej chwili.

Uniosłam podbródek i otworzyłam przed nim usta, rozkoszując się niespodziewaną miękkością jego warg, ciepłem jego języka. Złapał mnie za tył głowy, przyciągając bliżej i oddałam się pocałunkowi, jemu. Jego język poruszał się z moim coraz bardziej natarczywy, kiedy całował mnie jakby to był ostatni pocałunek w jego życiu. Oblało nas gorąco i połączyliśmy się w szale chwili, jego dłonie owinęły się mocno wokół mnie, wsunęłam palce w jego włosy, przywieraliśmy do siebie każdym centymetrem ciała. Nasze oddechy były krótkie i nierówne, pobudzały mnie niskie pomruki w jego gardle, sprawiały, że zapominałam o jakimkolwiek smutku. On był lekarstwem i nie chciałam go już nigdy wypuszczać. A potem zdjął koszulkę i śledziłam bliznę na jego torsie, sunąc paznokciami po napiętych mięśniach, tej gładkiej oliwkowej skórze i słuchałam, jak łapie z trudem oddech. Ściągnęłam sweter i szarpnął go delikatnie, uważając na moją ranę w ramieniu, na nasze blizny, jak przycisnęliśmy się do siebie – skóra przy skórze. A potem byliśmy w swoich ramionach, kompletnie, całkowicie, zapomnieliśmy o otaczającym nas świecie, a cały kryjący się w nas ból zapłonął w intensywności, której nigdy nie zaznałam, w miłości, której nigdy nie czułam.

Było idealnie.

Było ulotnie.

Tej nocy zasnęłam w ramionach Luki, opierając głowę na jego klatce piersiowej ukołysana równym rytmem jego oddechu. Po raz pierwszy od nie pamiętam kiedy, nie miałam koszmarów. Śniłam o szczęśliwych rzeczach – o życiu daleko stąd, daleko od słów „Marino” i „Falcone”, od nagłówek gazet i pogrzebów, od strzałów i rozlewu krwi, gdzie ja i on byliśmy takimi ludźmi, jakimi powinniśmy być... szczęśliwymi, normalnymi, zakochanymi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

SMAK

Poranek bożonarodzeniowy był zaskakująco spokojny. Wokół panowało poczucie pokoju oraz gotowości. Korytarze domu wypełniały pomruki „*Buon Natale*”, wywoływały łagodne uśmiechy na naszych twarzach, kiedy jedliśmy wspólnie śniadanie w kuchni. W piekarniku nie było jedzenia, nie czekały nas żadne prezenty do rozpakowania.

Prawie tak, jakbyśmy wiedzieli, że nie wrócimy wszyscy.

Nie wymawialiśmy nazwiska Marino, dopóki nie musieliśmy. Nie uznawaliśmy faktu, że opuszczaliśmy dom dopóki nie rozstaliśmy się po śniadaniu, większość wróciła na przeciwległe strony domu, żeby wziąć prysznic, żeby odpowiednio się ubrać i uzbroić.

Długo byłam pod prysznicem, gdzie cichy szum wody zagłuszał wszystkie moje myśli. Tłumił ból w klatce piersiowej – narastającą falę lęku. Usiadłam i przycisnęłam kolana do piersi, odchylając głowę pod natryskiem wody i pozwalając, żeby spłynęła po mojej twarzy. Przez moje myśli przemknęły wspomnienia zeszłej nocy, rozjaśniając moje wnętrze, a uczucie naszej bliskości trzymało mnie w kupie, dodawało mi siły. Wrócę dla niego do domu. On wróci do domu dla mnie.

Powoli, powolutku wkradła się z powrotem ciemność. Potrzeba zemsty, pragnienie dopełnienia zadania. Nadeszła pora. Wykorzystam cały strach, gniew i żal. Zaostrzę te emocje, wykorzystam, jako broń i wymierzę prosto w Donatę Marino. Powtarzałam sobie te słowa w kółko i niczym chłodny balsam złagodziły strach pełną mi po kręgosłupie.

Gdy wróciłam do mojego pokoju, czekały na mnie na łóżku dwie rzeczy: nowy zestaw amunicji do broni i kamizelka kuloodporna. Nie dałam sobie ani chwili czasu na zastanowienie, jak bardzo tego potrzebowałam ani jaką czułam ulgę, że to miałam, nie myślałam też o tym, że na ciele znajduje się mnóstwo innych miejsc, których postrzelenie może spowodować krwawienie.

Ubrałam się w tenisówki, ciemne dżinsy, nową kamizelkę, sweter i ciemną kurtkę. Spięłam włosy w niskiego kucyka, wsunęłam szczyrtek do tylnej kieszeni spodni. Spojrzałam na siebie w lustrze. Wyglądałam jak żołnierz. Czułam się jak żołnierz. Założyłam naszyjnik matki i bransoletkę Luki. Dla odwagi.

Schowałam amunicję do kieszeni i załadowałam pistolet. Dom zapakował do samochodu karabiny maszynowe. Miałam trudność z opanowaniem mojego karabinu,

więc wybrałam rewolwer. Wydawał się teraz marny – lekki i nieistotny w porównaniu z innymi – ale potrafiłam z niego strzelać i byłam w tym dobra.

Wpadłam w foyer na Nico. Nie rozmawialiśmy zbyt często odkąd przyłapał mnie na całowaniu się z Luçą. Valentino zmarł tak nagle, że ta sprawa została odsunięta na bok i pozostała pomiędzy nami dziwna atmosfera.

Był ubrany cały na czarno, a włosy zakrywała podwinięta kominiarka.

- Cześć – przywitałam się.

- Cześć. – Podał mi kominiarkę. – Jesteś przygotowana?

Założyłam ją na głowę, ale tak jak on zostawiłam zwiniętą na włosach.

- Tak – powiedziałam. – Jestem gotowa.

- Teraz wyglądasz na gotową. Pasuje ci ten wygląd.

Posłałam mu ponury uśmiech. Chyba to było jego wyobrażenie komplementu.

- Dziękuję.

Jego uśmiech był swobodny. Trochę napięcia opuściło moje ciało. Byliśmy wobec siebie serdeczni; wracaliśmy do poprzedniej relacji.

- Posłuchaj, Nico, nie chcę, żeby pozostał między nami żal... - urwałam. – No wiesz, po tym wszystkim...

Zaśmiał się niespokojnie, szurając butami.

- Nie ma sprawy – powiedział trochę zbyt pogodnie. – Nie chciałaś mnie, rozumiem.

- Nie o to chodziło – zaproponowałam cicho. – Nikogo nie chciałam.

- Chciałaś jego.

- Ostatecznie tak – przyznałam.

Coś przemknęło po jego twarzy – zbyt szybko, żebym wyłapała, ale wykrzywił usta.

- To lekko popieprzone – powiedział. – Ponieważ po dzisiejszym dniu on już nie będzie cię chciał. – Pokazał na mnie, jego palec pozostawił niewidzialną lodowatą linię na mojej szyi. – Kocha cię tylko dlatego, że jesteś niewinna. Jest tym zafascynowany.

- Nico, nie róbmy tego.

Podtrzymał mój wzrok. – Ja kochałbym cię tak czy inaczej.

Przesunęłam dłonią po brzegu kominiarki, próbując nie czuć skrępowania.

- Zawsze chciałeś, żebym taka była – wytknęłam.

- Taka, jaka być powinnaś.

- Czy możemy być cywilizowani? – Odsunęłam się od tematu Luki. Nie chciałam złościć się dzisiaj na Nico. – Czy możemy zostawić wszystko za nami?

Zaśmiał się ostro.

- Czemu? W razie, gdybym umarł?

- W razie czegokolwiek.

Wyciągnął rękę.

- Okej. Przyjaźń – powiedział nisko. Wsunęłam rękę w jego dłoń i ucisnęłam. Zacisnął rękę na moim nadgarstku i przyciągnął do siebie – w przestrzeń swojego gorącego oddechu, zapachu jego wody kolońskiej. – Pozwól, że coś ci obiecuję, Sophie. – Patrzył na mnie z góry, jego oczy płonęły intensywnością. – Ty i ja wyjdziemy stamtąd żywi.

Odepchnęłam go i puścił moją rękę, cofając się o krok, jak gdyby się opamiętał.

- Nie martwię się o to, jak stamtąd wyjdziemy – powiedziałam, tłumiąc poirytowanie. – Martwię się, jak wejdziemy.

- Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

Wzięłam to ziarno przebaczenia i stłumiłam nim mój gniew. Oczywiście, że dalej był zgorzkniały wobec Luki. Oczywiście, że wygadywał o nim takie rzeczy. Nie chciał, żebyśmy byli razem. Wolałby, żebym była sama niż z jego bratem.

Felice zszedł na dół. Był ubrany w lśniący srebrny garnitur i ścisnął w ręce kominiarkę.

- Sprzeczka kochanków? – zawołał przez poręcz. – Czy już zdała sobie sprawę, że zablądziła, Nicoli?

Nico przewrócił oczami.

Buty Felicego stuknęły głośno o schody w drodze na dół.

- To był żart – powiedział, zauważając moje wściekłe spojrzenie.

- Następnym razem, kiedy rzucisz żartem powinieneś spróbować sprawić, żeby był zabawny.

Dotarł na ostatni stopień i powąchał powietrze.

- Dobry dzień na zabicie Marino, prawda? – zapytał, spoglądając na mnie chytrze.

Ja również powąchałam powietrze, zaciskając palce na pistolecie w kieszeni kurtki.

- Dobry dzień, żeby umrzeć, prawda, Felice?

Uniósł jedną idealną srebrną brew.

- Jestem przekonany, że zgodziłby się z tobą nasz boss.

Zmrużyłam oczy. – Twoja lojalność wobec rodziny wymaga dużej poprawy.

Jego wąskie usta rozciągnęły się szeroko, układając w uśmiechu rekina.

- Nie tak wielkiej, jak twoja, Marino.

- Falcone – poprawiłam go.

Jego uśmiech był okrutny i pokręcony.

- Na razie.

Zaczęli gromadzić się inni aż zamieniliśmy się w jedną wielką czarną masę, uzbrojeni po zęby w korytarzu, szepcząc ostatnie słowa, uśmiechając się do siebie ostrożnie. A potem wychodziliśmy jeden po drugim, rozwijając kominiarki, kiedy wsiadaliśmy do floty samochodów gotowych do szturm na rezydencję Donaty Marino.

Luca i ja byliśmy ostatnimi, którzy zostali. Zrobił jeden pełny obrót, ogarniając wzrokiem puste foyer. Zatrzymał się i przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. To było długie spojrzenie.

- Co? – powiedziałam, czując jak wysycha mi gardło.

- Zostałabyś? – zapytał, robiąc krok w moją stronę. – Zostałabyś tutaj?

Pokręciłam głową.

- Nie ma mowy.

Przesunął dłońmi wzdłuż moich ramion, wędrując palcami po rękawach. Odwrócił wzrok ze smutkiem.

- Nie martw się – powiedziałam, podchodząc bliżej. – Wejdziemy razem i razem wyjdziemy.

Otworzył usta, ale nie wydobył z siebie żadnego dźwięku. Przełknął słowa z westchnieniem i zanim zdążyłam wypowiedzieć kilka pustych słów pocieszenia, przyciągnął mnie do siebie i pocałował.

Ten pocałunek smakował desperacją, stratą.

Smakował jak pożegnanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

OSIEDLE MILIONERÓW

Donata mieszkała w zamkniętym osiedlu złożonym z jedenastu rezydencji. Usadowione na szczycie wijącego się wzgórza tworzyło rozłożyste półkole. Każdy budynek wyglądał na park pełen egzotycznych drzew i tętniących życiem kwiatów. Pośrodku znajdował się wodospad spływający do świeżej laguny. To było jak coś rodem z bajki, raj z dala od zakurzonych uliczek miasta, z dala od jaskrawych świateł Edenu.

To miejsce nazywano Osiedlem Milionerów.

I każdy dom w tym osiedlu należał do członka rodziny przestępczej Marino.

Szósty budynek – ten znajdujący się pośrodku reszty – był największy. Bardziej przypominał muzeum albo parlament niż dom. Śnieżnobiały z wylewającymi się pod każdym kątem balkonami i ogromnymi oknami pochłaniającymi każdy promień słońca.

W tym domu dorastali mój ojciec z wujkiem.

W tym domu mieszkała teraz Donata.

W konwoju trzech wozów – czarnych, identycznych i nierejestrowanych – podjechaliśmy do budki strażniczej. Musiałam wyciągnąć szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje na samym przodzie. Wysiadł Felice i strzelił ochroniarzowi w głowę. Dom zaciągnął jego ciało do budki. Paulie zniszczył kamery nad wejściem i w przeciągu zaledwie dwudziestu sekund otworzyły się czarne bramy Osiedla Milionerów, i rodzina Falcone wjechała do środka.

Nie spojrzałam za siebie.

Nie spojrzałam na ciało – kątem oka dostrzegłam krawędź buta i błysk klamry pasa.

Przełknęłam kulę w gardle i chwyciłam za pistolet w kieszeni kurtki.

Teraz nie było już odwrotu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

BUON NATALE

Luca i Paulie wykopali drzwi wejściowe za trzecią próbą. Wbiegliśmy za nimi do środka parami, przemykając przez szerokie foyer prowadzące do wygrawerowanych drewnianych drzwi z szybami.

Nico był już na przodzie, przyciskając karabin do klatki piersiowej. Strzelił w okienko i uderzył stopą w drzwi. Otworzyły się i usłyszeliśmy krzyki Donaty.

Siedzieli wokół długiego wąskiego stołu. Mój wujek wciąż trzymał w ręce nóż do krojenia. Pośrodku blatu znajdował się ogromny i idealnie podpieczony indyk z dziurą po kuli. Obok niego leżał mężczyzna, którego krew spływała po białym obrusie, a na karku widniała rana po postrzale Nico przez szybę w drzwiach.

Nastąpił bolesny ułamek sekundy nicości, podczas której wznosił się między nami zapach krwi i ta przerażająca chwila zmroziła nas wszystkich w miejscu. Potem Marco Marino poderwał się na czele stołu i stanął przed swoją matką.

Felice wykrzyknął „*Buon Natale!*” i strzelił mu w sam środek klatki piersiowej. Gdy upadł do tyłu, ściskając się za pierś, Donata wypadła do spiżarni, przedzierając się na ganek, a pozostali Marino zamknęli szereg, odparowując nasz atak.

Byli uzbrojeni nawet podczas obiadu.

Nie mieli z nami szans.

Troje padło w ciągu pierwszych trzydziestu sekund, kiedy wielu innych uciekło na tyły domu, wychodząc na świeżą warstwę śniegu. Chłopcy podążyli za nimi, armia zabójców w kominiarkach. Elena szła na ich czele, wykrzykując imię swojej siostry. Mój pistolet wciąż był zimny w dotyku, trzymałam palec w gotowości na spuście.

Przebiegłam obok spiżarni, idąc za CJ'em. Felice i Luca zostali w tyle, przeczesując kuchnię. W progu drzwi zatrzymał mnie głośny pomruk. Wycofałam się, wsuwając do spiżarni i zajrzałam do kuchni, nie opuszczając pistoletu. Jack wyskoczył spod stołu i rzucił swoim nożem w głowę Felicego. Felice rzucił się w bok i ostrze trafiło w rękę Luki. Upadł na kolana, a Jack przebiegł przez kuchnię na ganek. Skoczyłam za nim, ale mój pocisk utknął w futrynie drzwi kilkanaście centymetrów nad jego głową.

Rusz się. Biegnij za nim. Ale moje stopy odmawiały posłuszeństwa. Luca był ranny. A jeśli wyjdę, zostanie sam z Felice. Obróciłam się i spojrzałam na Felicego, który obszedł swojego bratanka po drugiej stronie kuchni.

Odgłosy strzelaniny dochodziły teraz z oddali, pozostali ganiaли za resztą Marino w ogrodzie, a ślady krwi już zdążyły wsiąknąć w śnieg.

Luca opierał się zgięty w pół o bok stołu. Uniósł głowę i spojrzał zaszklonymi oczami na Felicego. Nóż tkwił zagłębiony na dwa cale w jego przedramieniu. Podtrzymywał je drugą ręką. Jego broń leżała obok na ziemi.

- Wyciągnij nóż, Felice – wydyszał Luca. – Ja nie dam rady.

Felice przekrzywił głowę, trzymając pistolet po boku.

- No już – ponaglił go Luca głosem drżącym z bólu. – Nim reszta ucieknie.

Felice stał nieruchomo.

- Felice!

Felice zrobił krok do tyłu.

- Nie.

Ja zrobiłam ostrożny krok do przodu, czując jak przerażenie skręca mi wnętrzności.

- *Nie?* – powtórzył Luca.

- Dlaczego miałbym ci pomóc, kiedy nie zadałem sobie trudu, żeby pomóc twojemu ojcu? – zapytał Felice tak spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie. – Co cię czyni *takim* wyjątkowym?

Nastąpiła ciężka chwila milczenia, kiedy na twarzy Luki rozlało się zrozumienie, pozbawiło jego policzki koloru.

- Pozwoliłeś mu umrzeć – powiedział. – Stałeś tam i nie zrobiłeś *nic*.

To było stwierdzenie, nie pytanie.

Przysunęłam się bliżej, moje palce drżały na uchwycie pistoletu.

Felice wzruszył ramionami. Ten gest był sztywny i wymuszony; ten człowiek nie był stworzony do wzruszania ramionami.

- Angelo sam pozwolił sobie umrzeć. Po prostu nie stanąłem mu na drodze. Podobnie jak on nie stanął na drodze temu, jak opuściła mnie moja żona. Podobnie jak nie stanął na drodze temu, jak jego niekompetentne potomstwo wspięło się na szczyt tej rodziny.

Zamarłam, wstrzymując oddech. Widziałam, jak to wszystko rozwija się w mojej głowie, słyszałam tykanie zegara. Felice odkrywał swoją prawdziwą twarz, a Luca miał przez to ucierpieć.

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz – wydusił Luca przez ściśnięte zęby.

Felice machnął na niego ręką.

- Wiesz, śmierć Valentino nie różniła się od śmierci twojego ojca. – Słyszałam uśmiech w jego głosie, paskudną satysfakcję, gdy mówił dalej: - Ostatecznie to Marino wykonali za mnie ciężką robotę. Można wiele zyskać, kiedy w dogodnej chwili spojrzysz się po prostu w drugą stronę.

Przełknęłam budujący się we mnie krzyk. A więc to była prawda. Felice przez cały ten czas był zdrajcą, walcząc o pozycję na szczycie i skłonny przejść po trupach własnej rodziny, żeby osiągnąć swój cel.

Twarz Luki nabrała dzikości, wykrzywił nienawistnie usta i powiedział zjadliwie:

- Ty bezduszny sukinsynu.

Felice podniósł pistolet i wycelował w głowę Luki. Zaśmiał się nisko i twardo.

- Strzeż się furii cierpliwego człowieka, bratanku.

Strzał zdawał się wyssać całe powietrze z kuchni.

Felice zsunął się po stole i przewrócił do tyłu, zapadając się w siebie. Opadł przed Luca, wpatrując się niewidzącymi oczami w spód stołu, a w boku jego głowy ukrywała się kula. Spod jego ciała wylała się szkarłatna kałuża.

Pistolet parzył moją dłoń. Wciąż celowałam w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał Felice. Adrenalina wspięła się w górę mojego ramienia – zawibrowała w sercu, wysuszyła mi usta. Oddychałam szybko i płytko, moje policzki były nieprzyjemnie ciepłe.

Luca wpatrywał się we mnie.

Odwzajemniłam jego wzrok, czując jak serce podchodzi mi do gardła.

- Zginąłbyś, gdybym go nie zabiła.

- Sophie. – Jedno słowo. Zaskoczenie. Ulga. I coś innego. Coś, czego nie potrafiłam rozszyfrować.

Trzymałam wysoko podbródek, zwalczając odruchy wymiotne. Szczękały mi zęby.

- Dla niego nie było odkupienia, Luca.

Wykrzywił usta i potrząsnął głową.

- Naprawdę jesteś wyjątkowa.

Opuściłam pistolet i podeszłam do niego. Uklęknęłam i złapałam za nóż w jego ramieniu.

- Nie ruszaj się. – Jęknął, jak go wyciągnęłam. Wzięłam ze stołu serwetkę i owinęłam nią jego ramię, związując mocno nad raną. Klęczałam we krwi Felicego Falcone, kilka centymetrów od jego martwego ciała i otoczona stosem zwłok Marino – z większością byłam spokrewniona – ale byłam całkowicie skupiona na Luce i jego ranie. Na tym, co trzeba było zrobić. Na tym, co jeszcze zostało do zrobienia.

Byłam w trybie żołnierza i weszłam w niego tak szybko, że nawet nie zauważyłam. Byłam *soldato*.

- Dziękuję – powiedział, obracając nadgarstkiem i zaciskając palce. Widziałam, że cierpiał... miał skrzywioną twarz i nierówny oddech.

- Nie możesz strzelać w takim stanie – powiedziałam. – Musi cię obejrzeć lekarz. Musisz jechać do Vity.

Potrząsnął głową.

- Tutaj jest moja rodzina.

Złapałam go za ramiona.

- Nie bądź głupi.

- Nie odejdę.

- Zabiją cię. – W moim głosie urosła desperacja. – Proszę cię, Luca. Nie bądź uparty. Nie teraz, nie w takiej sytuacji.

Podniósł się, połowa jego ciała była już zakrwawiona. Podsunął mi zdrową rękę i pomógł wstać.

- To już prawie koniec – powiedział, przechodząc obok mnie i kierując się do otwartych drzwi na ganek. – Muszę to zakończyć.

- Luca. – Pobiełam za nim. Przyciągnął mnie do siebie, prowadząc za róg domu, jak szliśmy tropem strzałów – krzyków i odległych przekleństw, nasze stopy zapadały się w śniegu. Zobaczyłam Nico po drugiej stronie ogrodu, jak stał nad martwym ciałem. Biała koszula, niebieskie džinsy – Marino. Nad jego głową utworzyła się w śniegu czerwona aureola. Dom i Gino znajdowali się kilka metrów dalej, zbliżali się do kępy drzew. Na trawniku leżały jeszcze dwa ciała. Nie widziałam, kim byli. Kierowaliśmy się ku reszcie, przyciskając plecy do ściany domu, a ciszę wypełniał chrzęst naszych kroków.

W powietrzu wystrzelił kolejny strzał i zobaczyłam jak w oddali upada CJ. Ktoś krzyknął.

- Jack! – syknął Luca. Nie widziałam za dobrze – byli zbyt daleko. – Zostań tutaj – zawołał przez ramię, rzucając się do biegu.

Łoskot dobiegający z kuchni odwrócił moje myśli od pognania za nim. Odwróciłam się, podnosząc broń. Za drzwiami przebiegł cień, wchodząc głębiej w kuchnię. Przysunęłam się do przodu, nagle świadoma swojej samotności.

Usłyszałam szuranie krzesła. Osoba znajdująca się wewnątrz widziała mnie przez okna. Nie miałam kryjówki, tylko śnieg i nicość. Byłam łatwym celem na ganku. Przycisnęłam plecy do ściany pomiędzy oknem, a drzwiami.

- Kto tam jest? – zawołałam przez ramię. – Jestem uzbrojona. Pokaż się!

- Sophie? – Podniosłam gwałtownie głowę, moja uwaga została podzielona na pół. Zza rogu domu wychodził Jack. Lewa strona jego koszuli była pokryta krwią.

Wycelowałam w niego pistoletem.

- Nie. Ruszaj. Się.

Wyprostował się nieznacznie, trzymając po boku własny pistolet.

- Nie zrobiłabyś tego – powiedział ostrożnie, ze strachem. Bardzo dobrze.

Ja już nie czułam strachu.

Przepełnęła przeze mnie świeża doza adrenalina. Do moich policzków napłynęła krew. Próbowałam się skoncentrować. Próbowałam nacisnąć palcem na spust. *No dalej. Zrób to. Zrób to, inaczej on zabije ciebie.*

- Czyżby? – odpowiedziałam tak zimno, jak tylko potrafiłam.

- Jestem twoją krwią.

- Zabiłeś moją matkę – syknęłam.

Jego uśmiech był protekcyjony, a jego złote zęby mrugały do mnie pod mroźnym słońcem.

- Była na mojej drodze. Właściwie to zawsze stała mi na drodze.

- Masz jakieś ostatnie słowa zanim cię zabiję?

- Tak – powiedział, robiąc krok w moją stronę. – Mam nadzieję, że spotkamy się w piekle.

Uśmiechnęłam się do niego.

- Zajmij mi miejsce.

Pociągnęłam za spust.

Coś kliknęło, ale pocisk się zaciął. Znów pociągnęłam. I nic.

Jack wybuchł śmiechem. Spojrzał na swój pistolet, potem na mnie.

- Wygląda, że dotrzesz tam przede mną, Persefono.

Nie miałam dokąd uciec. On mnie zabije. Nie dam mu satysfakcji z oglądania mojego strachu. Nie będę się przed nim kuliła. Byłam od tego silniejsza. Byłam silniejsza od nich.

Wzięłam głęboki wdech.

Śnieg zachrząścił, kiedy do mnie podszedł.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

BRAT

- Jack. – Ten głos. Ostrożny. Blisko. – Stój.

Otworzyłam szeroko oczy. Mój ojciec wyszedł z kuchni Donaty Marino i niemal ugięły się pode mną kolana.

Jack stanął jak wryty.

- Mickey? – powiedział, wciągając gwałtownie powietrze. – Gdzieś ty był, do cholery? Szukaliśmy cię!

Mój ojciec zatrzymał się przede mną. Odsunęłam się chwiejnie do tyłu, wykorzystując tę tarczę, żeby spróbować nad sobą zapanować.

- Ukrywałem się – odpowiedział Jackowi.

- Ale nie ze swoją rodziną? – zapytał Jack, a do jego głosu zaczęła wkradać się nieufność. Jego pistolet wciąż był uniesiony do połowy. Zlustrowałam mojego ojca. Jego włosy były potargane, ubrania o rozmiar za duże. On również miał broń. – Wiesz, że mamy środki, żeby cię ukryć, Mickey. Powinieneś być przyjść najpierw tutaj.

- Przychodzę do ciebie teraz – odparł spokojnie ojciec.

Coś pomiędzy nimi wisało – coś zimnego i mrocznego. To nie było koleżeństwo.

- Dobrze – burknął Jack. – W samą porę. – Opuścił pistolet, ale mój ojciec podniósł swój o parę centymetrów.

- Czy zamierzałeś zastrzelić moją córkę?

- Nie! – zaprotestował Jack. – Ona zamierzała zastrzelić mnie! Chciałem ją tylko unieruchomić.

- A co z moją żoną, Jack? – Słowa ojca przypominały skwierczący kwas. Wyczuwałam ogrom jego wściekłości. – Co z Celine?

Na twarzy Jacka pojawiło się zrozumienie.

- Wypadek – powiedział szybko. Ale mój ojciec już celował w niego pistoletem.

- Kłamiesz.

- Co ty wyprawiasz? – zapytał gorączkowo Jack. – Mickey, co ty, do cholery, wyprawiasz?

Mój ojciec wykonał ostatni krok w stronę brata.

- Zabijam cię.

Postrzelił go w tym właśnie ogrodzie Marino, na terenie domu, w którym dorastali razem całą wieczność temu. Jack wygiął się do tyłu, opadając ciężko niczym rozgwiazda wyrzucona na brzeg z twarzą zwróconą ku popołudniowemu niebu. A mój ojciec, którego kiedyś brałam za łagodnego i dobrego, nawet się nie wzdrygnął. Patrzył na swojego martwego brata przez niecałe trzy sekundy, po czym odwrócił się do mnie.

Opuścił ramiona i pistolet zawisnął bezużytecznie u jego boku.

Stałam bez ruchu, czując mieszanekę przerażenia oraz ulgi, a na mojej twarzy widniał grymas bólu.

- Tato.

Trzymał się na dystans. Być może myślał, że się bałam. Być może tak było.

- To musiałem być ja, Sophie. Rozumiesz? – zapytał. – Musiałem to zrobić.

- Dlatego wyszedłeś z więzienia – uświadomiłam sobie. – Żeby go dorwać.

Skinął głową. – A teraz już po wszystkim.

- Ja zamierzałam to zrobić.

- Lepiej ja niż ty – powiedział.

- Nie żyje. – Spojrzałam na martwe ciało Jacka zanurzone w śniegu i próbowałam przetrwać prawdziwe znaczenie tej sytuacji. – W końcu nie żyje.

Ojciec dalej na mnie patrzył, jego oczy się zaszklily.

- I przykro mi, Sophie. Że nie było mnie, kiedy mnie potrzebowałaś. Że cię nie chroniłem.

Podniosłam na niego wzrok. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Starłam się to wszystko zrozumieć, oprzeć się smutkowi, który mnie wypełniał.

- Tak bardzo przepraszam – powtórzył. – Za wszystko.

Nagle powietrze eksplodowało i upadł na kolana. Chwycił puste powietrze przed sobą, kiedy dostał kolejną kulę w bok.

Obróciłam szybko głowę. Nico biegł do nas i strzelał.

- Nico! – wrzasnęłam. – Nico, przestań!

Kolejny strzał. Ojciec padł twarzą na ziemię. Podbiegłam do niego i podniosłam jego głowę, żeby móc spojrzeć mu w oczy, kiedy opuszczało go życie.

- Ja też przepraszam – powiedziałam szybko. – Tato, ja też przepraszam.

Zamrugał powiekami. Otworzył usta, ale wydobyła się z nich tylko krew.

- Kocham cię – powiedziałam, mój głos robił się wyższy, drżał w nim strach. – Kocham cię, tato.

Cień uśmiechu, jego usta dygotały, kiedy krew malowała je na czerwono, a potem zamknął oczy i opadł do przodu, a ja go złapałam i przycisnęłam do niego głowę, zalewając łzami jego włosy.

Wysunęłam się spod niego, układając jego ciało na ziemi, zaledwie parę metrów od jego brata. W połowie czerwony, w połowie biały. Podziurawiony od kul i blady, jak otaczający go śnieg. Wstałam. Niedaleko stał Nico ze schowanym pistoletem i nieczytelnym wyrazem twarzy.

Zwróciłam ku niemu twarz i wszystkie słowa, które chciałam mu powiedzieć nagle wyparowały. Nogi mi się trzęsły. Luca biegł do nas z drugiej strony ogrodu.

Nico podtrzymał mój wzrok.

- On musiał zginąć, Sophie. Przykro mi, ale tak musiało być.

Luca znalazł się obok nas. Uderzył pięścią w twarz brata, wrzeszcząc na niego, kiedy padł na ziemię.

- Ty pieprzony idioto! *Pieprzony idioto!*

Zatoczyłam się do tyłu, idąc przez zakrwawiony śnieg do kuchni. Nic już nie widziałam. Miałam rozmazany wzrok i kręciło mi się w głowie. Wszyscy zdawali się brzmieć z oddali. Zdecydowanie musiało minąć mniej niż dziesięć minut odkąd tutaj przyjechaliśmy, ale miałam wrażenie, że minęły godziny. Bolesne, powolne godziny. Musiałam gdzieś upuścić pistolet. Byłam teraz cała mokra i miałam ciemnoczerwone ręce. Zamarzałam. Szczękały mi zęby i nogi dygotały tak mocno, że ledwo mogłam ustać.

Dotarłam do zlewu i przywarłam do niego, zaczepiając poplamionymi paznokciami o metalową krawędź. Pochyliłam się nad nim i wymiotowałam, dopóki nie potrafiłam dłużej utrzymać się na nogach. Wtedy zsunęłam się na kolana i czekałam aż drgawki ustaną.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

UCIECZKA

Paulie podniósł mnie na nogi. Złapałam go za ramię i podciągnęłam się do góry. Moja twarz mrowiła nieprzyjemnie i miałam tak sucho w ustach, iż zdawało mi się, że zaraz popękają mi wargi. Mój umysł przypominał tornado myśli – były zbyt szybkie do schwytania, zbyt głośne do wyciszenia.

- Idziemy stąd – powiedział cicho. – Donata i Romano uciekli. Reszta nie żyje.

Skinęłam głową do podłogi, wciąż ściskając jego rękaw. Reszta nie żyła. Teraz została tylko Donata. Tylko Donata. Staralam się skupić na tej jednej myśli, ale inne również ryczały w mojej głowie. Oczy mojego ojca, jego ostatnia próba uśmiechu. Stojący obok Nico z pistoletem w ręce. Felice opadający na podłogę, ten nóż w ramieniu Luki. Jack wpatrujący się niewidzącymi oczami w niebo.

Reszta nie żyła.

Reszta nie żyła.

Ale ja przeżyłam.

Czy chciałam przeżyć?

- No chodź. – Paulie objął ramieniem moje plecy. Jego głos był delikatny, ale stanowczy. Ominęliśmy ofiary Marino i znajdującego się pomiędzy nimi Felicego. Moja ofiara. Paulie nie obejrzał się za siebie. Czy wiedział, że on był martwy? Czy wiedział dlaczego?

Czy to było ważne?

Falconowie zbierali się za nami.

Za mną Elena i Nico kłócili się po włosku. Luca i Dom podtrzymywali między sobą CJ'a, który wykrwawiał się z lewej nogi.

Patrzyłam pod swoje nogi.

Jedna stopa przed drugą.

Jedna stopa przed drugą.

Nie zatrzymuj się. Nie zatrzymuj się.

Rozejdź to.

Rozejdź to.

Wsiadłam do SUVa i oparłam głowę o siedzenie, wbijając wzrok w sufit samochodu. Nie chciałam patrzeć na nic ani nikogo. Ktoś zajął miejsce obok mnie. Wyłączyłam mózg. Zignorowałam całe otoczenie. Wyobraziłam sobie pustą, białą kartkę.

Odjechaliśmy, jeden samochód za drugim, oddalając się od idealnego osiedla domków, od wszystkich tych martwych Marino, od Felicego, od mojego ojca i wujka leżących obok siebie na zaśnieżonym trawniku i ostatniego szkarłatnego strzępu mojej starej rodziny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

PUSTKA

Gdy tylko postawiłam stopę wewnątrz *Eveliny*, wspięłam się po trzech kondygnacjach schodów do mojej sypialni, wzięłam ręcznik i zamknęłam się w łazience. Stałam pod natryskiem i patrzyłam, jak z mojej skóry unosi się para, a czerwone smugi znikają za pomocą mydła. Wymyłam włosy tyle razy, że straciłam rachubę. Otworzyłam usta i połykałam wodę. Usiadłam i otoczyłam się rękami, pozwalając, żeby kropelki wody spłynęły mi po karku. Chciałam być czysta.

Nie potrafiłam się oczyścić.

Po długiej wieczności zakręciłam wodę, owinęłam się ręcznikiem i wróciłam do pokoju. Dom był upiornie cichy. Paulie powiedział, że po powrocie nastąpi natychmiastowe omówienie akcji. Ominęłam je.

Założyłam spodnie dresowe i bluzę, po czym położyłam się do łóżka. Nie wiedziałam, która była godzina. Na zewnątrz zaczęło zachodzić słońce. Starłam się nie myśleć, o czym rozmawiali na dole. Starłam się nie myśleć o ojcu, Jacku, o niczym.

Byłam wymęczona. Nie czułam triumfu ani zadowolenia. Nie czułam radości, patrząc na śmierć Jacka. Nie poczułam ulgi, na którą liczyłam. Czułam jedynie pustkę. Czułam się rozbita.

Zepsuta.

Luca miał rację. To nie było rozwiązanie. Ale teraz byłam tym tak bardzo pochłonięta, że nie miało to już znaczenia. Uniknęłam śmierci. Odebrałam życie. Straciłam resztki więzi z moją dawną tożsamością.

Mój umysł spowolnił obroty i zaczęła podpełzać do mnie ciemność.

Ktoś zapukał cicho do drzwi. Luca. Zerknęłam na niego spod kołdry. Przebrał się w zwykłą koszulkę. Jego ramię było zabandażowane aż do łokcia. Był blady, jego czarne włosy odróżniały się mocno w jego osobie.

Po prostu tam stał.

Przyglądaliśmy się sobie, wszystko co moglibyśmy sobie powiedzieć zostało przekazane w tym jednym długim spojrzeniu.

Przykro mi.

Usiadł na brzegu mojego łóżka i odgarnął mi włosy z twarzy.

- Byłaś dzisiaj odważna.

Spojrzałam na niego tępo. Myślałam, że to nas zjednoczy, ale wyczuwałam w nim taką samą pustkę, co miałam w sobie. To nie było zwycięstwo. Nawet gdybyśmy dopadli również Donatę, to ta pustka i tak by się rozciągnęła, pożerając resztkę mnie, dopóki nic by nie pozostało.

Byłam nikim.

A nawet gorzej... nie *miałam* nikogo.

Luca przesunął palcami wzdłuż mojej linii włosów, czekając. I czekając.

Byłam taka zmęczona.

- Czuję się pusta – wyznałam.

- Wiem – powiedział.

Miałeś rację. Chciałam mu powiedzieć, że miał rację, ale on oczywiście już o tym wiedział. On również nosił dzisiaj udrękę na twarzy. Tkwiła głęboko w jego oczach, kryła się w każdym ostrożnym wydechu. Nie było wytchnienia od śmierci Valentino, żadnego poczucia, że zło zostało naprawione. Nie czułam ulgi w świadomości, iż zdrajca mojej matki tkwił w piachu, w patrzeniu jak mój ojciec umiera, choć kiedyś sądziłam, że na to zasłużył.

Odsunęłam kołdrę i przesunęłam się. Luca położył się koło mnie i objął mnie ramieniem, kiedy położyłam głowę na jego torsie i słuchałam jego bicia serca. Nakrył ręką moją dłoń.

- Śpij – powiedział. Przykrył nas kołdrą i przycisnął usta do moich włosów. – Będę tutaj.

Zanurzyłam się w ciemność i zapomnienie, kiedy wyczerpanie wzięło mnie w swe objęcia.

Mijały godziny, kiedy wieczór zamienił się w noc i powoli nastał świt, wymalowując na niebie smugi pomarańczy i różu.

Gdy się obudziłam, Luki nie było i znowu byłam sama.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

OD MIECZA

- Spakowałaś się już? – Dom spoglądał na mnie pytająco w korytarzu. – I czemu twoje włosy wyglądają jak ptasie gniazdo?

Przezeszałam je palcami i poczułam kołtun.

- Dopiero się obudziłam – powiedziałam obronnie. – A co cię to w ogóle obchodzi?

Dom zagwizdał pod nosem.

- Wow, zabijanie naprawdę ci nie służy, Sophie.

Właśnie wtedy zauważyłam w jego ręce torbę podręczną.

- Co się dzieje?

- Najwyraźniej nie sprawdzałaś swojej komórki – stwierdził. – Przenosimy się do kryjówki. Policja bada sprawę morderstw Marino i Luca chce, żebyśmy się przyczaili. Donata wciąż jest na wolności, więc możemy być w niebezpieczeństwie... - urwał, unosząc brwi i rozciągając przy tym srebrną bliznę.

- Co?

Wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że przebywanie w tym domu jest trochę niestosowne... wiesz, po tym jak zabiłaś jego właściciela.

Skrzyżowałam ramiona i podtrzymałam jego wzrok.

- Zamierzał zabić Lucę.

- Wiem – powiedział Dom. – Rozmawialiśmy o tym.

- Nie było żadnej innej opcji – dodałam, czując, że muszę się bronić, czując, że nieważne, co powiem, to i tak nie zmyje winy z moich rąk.

Dom położył rękę na moim ramieniu i spojrzałam na niego zdziwiona.

- Zrobiłaś, co trzeba, Sophie. Wszyscy to wiemy.

Zacisnęłam usta. Bałam się, co mogłabym powiedzieć dalej – ze wszystkich rzeczy, które wciąż były pomiędzy nami niewypowiedziane – o Jacku, moim ojcu...

- Więc będziemy się ukrywać?

- Do Sylwestra. – Do oczu Doma powrócił błysk. – Donata ma się pojawić na odliczanie na przyjęciu burmistrza na jachcie. Jeśli się pokaże, odstrzelimy jej łeb.

Przełknęłam wstrętny posmak.

- Kolejny zamach.

- Będziemy przeć do przodu – powiedział z przekonaniem. – Trzeba wykorzystać przewagę. Prawie wygraliśmy.

- Cóż za wspaniałe uczucie. – Mój głos był całkowicie pusty.

- Przywykniesz do tego, Sophie. Chociaż – pokazał na moją twarz – chcesz poradę? Wyglądasz, jakbyś została przeciągnięta przez krzaki, więc sugerowałbym, żebyś trochę się wystroiła zanim się wyniesiemy. – Zakręcił palcem w powietrzu, gestykując na moją pochmurną minę. – Zapewnij nam jakiś śliczny obrazek.

Odrząciłam jego rękę.

- Nigdy się nie zmienisz, co, Dom? – Wyminęłam go, kierując się do łazienki, a mój umysł zaczął pracować na szybszych obrotach. Dokąd się wybieraliśmy? I dlaczego nikt mi nie powiedział? Nie dostałam żadnych smsów.

Ubrałam się i spakowałam wszystkie rzeczy, jak nakazał mi Dom. I tak nie miałam dużo, tylko jedną walizkę i plecak. Był nazajutrz Bożego Narodzenia i nigdy nie czułam się mniej radosna. Nadal nie stanęłam twarzą w twarz z *nim*. A będę musiała, ponieważ on również znajdował się w tym domu i gdziekolwiek się wybieraliśmy, wybieraliśmy się tam razem.

Wytargałam walizkę na korytarz, zatrzymując się, żeby złapać oddech. Nie jadłam od dwudziestu czterech godzin i choć czułam większe mdłości niż głód, moje ciało odczuwało brak składników odżywczych.

Kiedy się wyprostowałam, zobaczyłam na szczycie schodów Nico. Trzymał ręce w kieszeniach i podpierał się leciutko na prawej nodze. Jego włosy były wygładzone żelamiem w ciemnych falach, a oczy jaśniały. Wyglądał niesamowicie. Na totalnie nieporuszonego.

Chciałam wydrapać mu oczy.

Zapanowałam nad temperamentem, przełknęłam łzy i stałam naprzeciw niego z wysoko uniesionym podbródkiem.

Skinął głową na moją walizkę.

- Potrzebujesz pomocy?

- Nie, poradzę sobie.

- Na pewno? Nie wyglądasz za dobrze.

„Powiedz to”. Wyzywałam go wzrokiem. „No dalej”.

Zawahał się, zacisnął usta i przełknął to, co chciał powiedzieć.

- Za pół godziny wyjeżdżamy. Droga jest dość długa, więc może lepiej coś zjedz.

- Nic mi nie jest.

Zmrużył nieznacznie oczy, ale nie sprzeczał się. *Tchórz*, pomyślałam. Jego pokój nie znajdował się na tym piętrze. Nie było powodu, żeby tutaj przychodzić poza tym, żeby ze mną porozmawiać, a kiedy już się tutaj pojawił nie potrafił nic powiedzieć.

- Chciałeś coś jeszcze? – zapytałam sztywno.

Zrobił krok do przodu.

- Nie rób tego – ostrzegłam.

Zatrzymał się. Nadal chował ręce w kieszeniach. Pod jego oczami nie było worów, na twarzy nie było śladu po zmęczeniu.

- Musiałem to zrobić, Sophie.

- Musiałeś? – zapytałam.

- On był zagrożeniem. Marino.

- Ja też jestem Marino.

- Nie – powiedział bardziej stanowczo. – Jesteś Falcone.

- On był moim *tatą*, Nico. – Mój głos się załamał. – Tylko *rozmawialiśmy*. On zastrzelił Jacka.

Nico zmarszczył brwi.

- Musiał zginąć. Spodziewał się tego.

Zabulgotała we mnie wściekłość. Stłumiłam ją, uspokoiłam się.

- Skąd możesz to wiedzieć?

Miał czelność dalej patrzeć mi w oczy.

- Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

- Nie jest ci przykro.

- Nie chciałem cię zranić.

- Jasne. – Zazgrzytałam zębami. – No to tyle. Nie mam nic innego do powiedzenia.

- Czy ty mnie odprawiasz? – zapytał, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.
- Tak – warknęłam. – Nie chcę teraz na ciebie patrzeć.
- Ty zabiłaś Felicego – wytknął.
- Wiesz, że to co innego.

Nie miał na to odpowiedzi.

Odwrócił się, po czym zatrzymał się z jedną stopą na stopniu. Spojrzał na mnie przez ramię i zapytał twardo:

- Czy nie zapominasz czasem, Sophie, że to twój ojciec zamordował mojego?

Podeszłam do niego, dopóki nie dzielił nas metr przestrzeni. Z kwasem w ustach i furią szalejącą w sercu starałam się o najspokojniejszy ton głosu, na jaki było mnie stać.

- Chyba zapomniałam, że twoje serce zawsze będzie bić najpierw dla zemsty, potem dla miłości.

- Nieodwzajemnionej miłości – poprawił mnie.

Spojrzałam na niego osłupiała.

- Więc zrobiłeś to, żeby mnie ukarać? Zrobiłeś to, ponieważ nie potrafiłam odwzajemnić twojej miłości... twojej idei miłości?

- Zrobiłem to, ponieważ Luca nie potrafił – odparł prosto.

Odsunęłam się od jego zapachu, twarzy i oczu. Będę potrzebować dużo czasu, żeby pokonać to poczucie zdrady – nieważne, co podyktuje mi logika, bez względu na wszystko.

- Sophie, ty i ja nie jesteśmy w stanie wojny – dodał Nico. – Jestem po twojej stronie, ale jesteś teraz Falcone, pamiętasz?

Odwrócił się i zbiegł po schodach, zabierając ze sobą tę zimną, twardą prawdę.

W mojej kieszeni zawibrował telefon. To była wiadomość od Millie.

Jestem pod Eveliną. Wyjdź na zewnątrz.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

WYDOSTAĆ SIĘ Z CIEMNOŚCI

Millie opierała się o drzwi swojego samochodu, splatając ramiona na piersiach.

- Co się stało? - Podbiegłam do niej.

Wpadła we mnie i otoczyła mnie tak ciasno ramionami, że ledwo mogłam oddychać.

- O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże, Soph, o mój Boże.

Przytuliłam ją mocno, wdychając jej kwiatowe perfumy.

- Przepraszam, Mil.

Odsunęła się ode mnie, trzymając mnie za ramiona.

- Wszystko jest w gazetach.

- Mój tata... - załamał mi się głos.

Znowu mnie przytuliła. – Wiem. Tak strasznie mi przykro.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo potrzebowałam Millie dopóki się tutaj nie pojawiła. Uwolnił się ze mnie cały ból, zdezorientowanie i pustka, i polały się łzy.

- Widziałaś to? – zapytała, odrywając się ode mnie. – Czy widziałaś, kto zabił twojego ojca?

- Nico.

- Boże – westchnęła Millie. – O Boże, Soph. Tak mi przykro.

- Nigdy mu nie wybaczę. Nawet nie potrafię na niego patrzeć.

Ściągnęła mocniej brwi, marszcząc przy tym nos. Jej piegi były ciemniejsze w ostrym zimowym świetle. Nadal było bardzo wcześnie, a ona musiała jechać tutaj wiele godzin...

- Jakim cudem przyjechałaś tu tak szybko? – zapytałam. – Jak gazeta dotarła tak wcześnie do twojej chaty? Myślałam, że byłaś na pustkowiu.

Spojrzała na mnie dziwnie.

- Nie wiesz?

- Co mam wiedzieć?

- Soph, Luca do mnie zadzwonił.

- L-Luca? – Nie potrafiłam tego pojąć. – Co? Dlaczego? Kiedy?
- Wczoraj późnym wieczorem – powiedziała. – Wszystko mi opowiedział.
- Dlaczego? – powtórzyłam. Starłam się trzymać Millie w niewiedzy, a teraz wiedziała wszystko... i to Luca jej powiedział. Złamał *omertę*.

Millie wpatrywała się we mnie tak samo dezorientowana.

- Dlaczego? – powtórzyła za mną. – Bo chce, żebym cię stąd zabrała, Soph. Chce cię wyrwać z tej rodziny.

Chce cię stąd wyrwać.

Przepaść w mojej piersi znów stanęła otworem.

- Nie rozumiem.
- Rozumiesz – powiedziała Millie. – Doskonale to rozumiesz.

W jej głosie kryła się nuta zbesztania. Wiedziałam, że pod współczuciem i troską była na mnie wściekła. Zachowywałam się lekkomyślnie. Goniłam za czymś, co nigdy nie miało mnie wyleczyć ani sprawić, że poczuję się lepiej. Okłamywałam ją. Naraziłam się na niebezpieczeństwo.

- To cud, że jeszcze żyjesz – powiedziała. – Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Przytaknęłam, słabo świadoma łez spływających po moich policzkach.

- Nie ma opcji, że tutaj zostaniesz.

Wpatrywałam się w moje zdarte conversy.

- To szaleństwo – mówiła. – Nie wyjadę stąd bez ciebie.

Znów na nią spojrzałam... nigdy nie widziałam jej takiej poważnej, takiej zdeterminowanej.

- Wyciągnę cię stąd, Soph – oznajmiła. – Możesz pójść dobrowolnie albo wytargam cię za włosy, ale świat, w którym żyjesz niedługo wybuchnie i to życie nie jest dla ciebie. Wiem, że o tym wiesz. Uświadom to sobie. Proszę. – W jej ostatnim słowie słychać było desperację. W jej oczach wzbierały się łzy. – *Proszę* – powtórzyła. – Wybierz życie. Wybierz szczęście.

- Nie wiem jak, Mil – szepnęłam. Łzy spływały mi na szyję, wpadały za kołnierzyk i zamieniały się w soplek lodu.

- Spróbuj – prosiła. – Przebacz sobie.

- Nie potrafię.

- Potrafisz – upierała się. – Przebacz sobie.

Potrząsnęłam głową.

Wzięła moją twarz w ręce.

- Spójrz na mnie – powiedziała stanowczo. – Tutaj nie ma życia, Sophie. Tylko śmierć. Tylko rozpacz. Jest w tobie więcej niż sam ból. Jest w tobie więcej niż twoja strata. Jest w tobie więcej niż twoje nastawienie.

Złapałam ją za rękę i ścisnęłam je.

- Wiesz, że musisz odejść – ciągnęła. – Wiesz o tym, prawda?

Wiedziałam. Wiedziałam odkąd opuściliśmy dom Donaty Marino.

Skinęłam głową powoli i niechętnie.

- Ale dokąd? – zapytałam. – Nie mogę zamieszkać z tobą, kiedy rodzina Marino nadal jest aktywna. Falconowie przeprowadzają się do następnej kryjówki, a ja nie mam nikogo innego. Nikt nie będzie chciał mnie ukryć... - urwałam, czując przerażającą rozpacz. – Jestem zagubiona.

- Musisz zaufać swojemu ojcu – powiedziała.

- Co?

Sięgnęła do swojej kieszeni i wyciągnęła kopertę.

- W drodze tutaj zatrzymałam się jeszcze w moim domu. Czekala na mnie ta koperta. To list od twojego ojca. – Podsunęła mi ją.

Wzięłam ją drżącą dłonią. Ostatnie spisane słowa mojego ojca. I były przeznaczone mojej najlepszej przyjaciółce. Otworzyłam kopertę i rozłożyłam list.

Millie,

Przepraszam, że muszę postawić Cię w tej sytuacji, ale jesteś jedyną osobą, której mogę powierzyć dostarczenie tej wiadomości. Po śmierci Celine Sophie związała się z niewłaściwymi ludźmi. Jest teraz oficjalnym celem rodziny Marino.

Spodziewam się, że wkrótce zostanę złapany albo zabity. Wiem, co muszę zrobić. Usunę zagrożenie czające się na Sophie. Dziś, w Boże Narodzenie, pójdę do domu Donaty Marino i pozbawię ją władzy. Usunę również mojego brata i stawię czoła wszelkiej karze.

Jeśli mi się nie uda, rodzina Marino odbuduje się na nowo. W takim wypadku potrzebuję, żebyś odesłała stąd Sophie. Pod poniższym adresem znajduje się osoba, która będzie ją ukrywać, dopóki znowu nie stanie się sobą.

Sophie ufa Tobie bardziej niż komukolwiek. Wysłucha Cię. Proszę, miej ją w opiece. Zrób to, czego ja nie zdołałem. Wyrwij ją z tego życia, nim będzie za późno. Daj jej ten adres, a potem spal ten list i wymaż ze swojej pamięci wszystkie jego ślady.

Powiedz jej, że jest mi przykro. Powiedz, że ją kocham.

Millie, jesteś najlepszą rzeczą, która przydarzyła jej się w życiu. Proszę, zaopiekuj się moją córeczką.

Trzymaj się,

Michael

- Zrobił to? – zapytała po tym, jak przeczytałam list dwa razy, a kartka trzęsła mi się w rękach. – Zabił Jacka?

- Tak – odparłam, próbując nie skupiać się na tym obrazku w głowie, wciąż wpatrując się w jego słowa. – Widziałam.

- Więc możesz mu zaufać. – Stuknęła w kartkę... na dole był nabazgrany adres M. Floresa. – Możesz zaufać *temu*.

Odsunęłam od niej list, wykrzywając usta.

- I co? Tak po prostu mam pojechać?

Millie przytaknęła.

- Tak, to właśnie masz zrobić.

- Bez pieniędzy?

- Luca się tym zajmie.

Wezbrała się we mnie gorycz.

- Wow, naprawdę chce się mnie pozbyć.

- Wiesz, dlaczego to robi – powiedziała. – Daj spokój, Soph.

Otarłam łzę nim mogłaby pozostawić kolejny ślad na moim policzku.

- Muszę jechać – szepnęłam do siebie. – Muszę jechać.

- Tak – powiedziała łagodnie Millie. – Ale pojedę z tobą. Zabiorę cię tak daleko, jak zechcesz.

- Nie – zaprotestowałam stanowczo. – Nie możesz ze mną jechać. Nie, kiedy wciąż jestem na celowniku.

Złapała mnie za rękę.

- Zawiozę cię na lotnisko. Zaczekam, aż wsiądziesz do samolotu. Zadzwońisz do mnie, kiedy wylądujesz. Będę z tobą na każdym kroku. A potem, za jakiś miesiąc, gdy to wszystko ucichnie, wymyślimy coś innego. Po prostu musisz na jakiś czas się ukryć.

- Sama – powiedziałam. – Z kompletnym nieznajomym.

- Lepiej tam niż tutaj – odparła. – Z tego nikt nie wyjdzie cało, Sophie. Wiesz o tym. Luca o tym wie.

Odetchnęłam drżąc, ściskając w pięści list. Czy naprawdę zamierzałam położyć wszystkie nadzieje w słowo mojego ojca? W kogoś, kogo nigdy nie poznałam? Czy zamierzałam odejść od wszystkich, których znałam i kochałam?

Tak.

Usłyszałam w głowie głos matki.

Tak.

Głos ojca.

- Dobrze – powiedziałam do Millie. – Dobrze.

Zatoczyła się do tyłu.

- Dzięki Bogu – westchnęła, przesuwając ręką po czole. – Strasznie mi ulżyło, Soph.

Teraz i ona miała łzy w oczach. Uśmiechnęła się – ten gest był mały i smutny. Wyciągała mnie stąd i wiedziałam, że to było jedyne wyjście. Jeśli chciałam żyć – jeśli chciałam wyrwać się z ciemności – musiałam z nią pójść. Musiałam czołgać się ku mojemu światłu.

A Millie była moim światłem.

- Chcę się z nim pożegnać – powiedziałam. – Muszę.

- Oczywiście – powiedziała łagodnie. – Oczywiście, że możesz się pożegnać.

Odwróciłam się z powrotem do domu. Zdawał się większy, zimniejszy, bardziej odległy. Wewnątrz roiło się od zabójców, którzy byli gotowi do kolejnej przeprowadzki. Ruszyłam w jego stronę, w kierunku chłopaka, którego kochałam. Chłopaka, który był zamknięty w samym sercu tego miejsca. Chłopaka, który pójdzie umrzeć ze swoją rodziną.

- Wezmę twoje rzeczy – powiedziała Millie, idąc za mną podjazdem. Weszłyśmy razem do rezydencji. Ona poszła w jedną stronę, a ja w drugą, stawiając stopy w kierunku biura Dona, w kierunku Luki.

W kierunku pożegnania.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

BEZ ODWROTU

Zamknęłam za sobą drzwi biura i przywarłam do nich plecami. Luca zdążył już wstać i oparł się o biurko, krzyżując ramiona na torsie. Miał ciemne wory pod oczami i garbił ramiona. Tylko jedno z nas przespało tę noc.

Zapłonął we mnie gniew, tłumiąc niepokojącą potrzebę płaczu, wyciągnięcia do niego rąk i błagania, żeby wymyślił jakieś inne wyjście, w którym oboje bylibyśmy szczęśliwi. Moje mury obronne wystrzeliły w górę i wyłączyłam wszystkie racjonalne myśli.

- Twój plan się powiódł – oświadczyłam. – Millie czeka na mnie na zewnątrz.

Przez długą chwilę patrzył na mnie z pustym wyrazem twarzy. Potem zamrugał, powoli i ciężko, wzdychając.

- To dobrze.

- Więc jesteś szczęśliwy? – naciskałam. – Cieszysz się, że odchodzę? Że nie musisz znowu się ze mną mierzyć?

Wiedziałam, że zachowywałam się irracjonalnie, ale tak strasznie mnie bolała jego decyzja, żeby mnie odesłać, czułam to jak szpilkę w samym środku serca.

- Sophie... - Nawet głos miał zmęczony. – Nie przekręcaj tego.

- Niczego nie przekręcam.

Wyprostował się i opuścił ręce po bokach.

- Przekręcasz – powiedział. – Wiesz, że tak musi być.

- Mieliśmy dokonać tego razem, Luca. Dla mojej mamy, dla Valentino.

- I popatrz dokąd nas to doprowadziło – odparł, i powróciła do niego iskierka życia. Zrobił krok w moją stronę. – Popatrz, co się wczoraj wydarzyło. Ile straciłaś. Jak bardzo bolało. Czy to ci pomogło? Czy czujesz się teraz szczęśliwsza?

- Potrzeba na to czasu – zaprotestowałam, a to kłamstwo zakłuło mnie w język. – Chcę być w tym razem z tobą. Naprawdę tego chcę.

- Nie! – powiedział. – Nie chcesz mieć z tym nic wspólnego. Okłamujesz samą siebie, Sophie. Okłamujesz siebie i mnie.

Zadrżała mi warga. Przygryzłam ją mocno.

- Nie mów mi, co czuję, Luca.

Rozłożył ręce.

- Sophie, jesteś tak głęboko pogrążona w smutku, że nie możesz wiedzieć, czego pragniesz ani co jest dla ciebie dobre. Wiedziałaś, że krzyczysz we śnie? Masz wszystkie objawy zespołu stresu pourazowego. Twoje zachowanie jest błędne. Łatwo tracisz koncentrację. Już nawet nie potrafisz się uśmiechać. Ilekroć przyłapiesz się na śmiechu, zaraz się opanowujesz albo zakrywasz buzię. Patrzę na ciebie i widzę w twoich oczach smutek. Czuję to... to poczucie niewłaściwości, a to dlatego, że przyprowadziłem cię tutaj i sprawiłem, że pomyślałaś, że to jest odpowiednia droga do przodu.

- Uratowałeś mnie, Luca. Nie miałam dokąd pójść.

- Byłem samolubny, Sophie. Chciałem mieć cię blisko siebie, ale to cię niszczy, a ja nie mogę dłużej tego usprawiedliwiać. Chcę, żeby do twoich oczu powróciło światło. Chcę, żebyś się śmiała i nie przejmowała się, kto cię usłyszy, żebyś uśmiechała się, ponieważ czujesz prawdziwą radość. – Przygryzł wewnątrz policzka i nie patrzył na mnie, kiedy dodał: - Chcę, żebyś pokochała kogoś, kto jest godny twojej miłości.

- Jesteś jej godny – zaprzeczyłam.

- Nie jestem. – Potrząsnął głową. – To nie jest życie dla ciebie. Przykro mi tylko, że potrzebowałem tyle czasu, żeby coś z tym zrobić. Moja rozpacz mnie osłabiła. Moja miłość do ciebie zrobiła ze mnie egoistę. I za to przepraszam.

Zrobiłam krok w jego stronę, ale nie zdołam już przeskoczyć dzielącej nas przepaści, która coraz bardziej się rozciągała.

- Chciałeś, żebyśmy byli razem. Ja też tego pragnę.

Zacisnął szczękę.

- Nie.

- Tak – powiedziałam, przysuwając się do niego bliżej. – Oboje tego pragniemy.

- Ja już tego nie chcę. Nie chcę cię tutaj.

- Dam sobie radę – powiedziałam, słysząc w swoim głosie desperację. – Dam radę.

- Ale *ja* nie dam rady! – krzyknął Luca. – Nie rozumiesz, Sophie? *Ja* nie potrafię. Nie z tobą.

Zawahałam się, a wszystkie słowa wycofały się do mojego gardła.

Przezcesał sobie włosy, odgarniając z twarzy czarne kosmyki. Jego oczy miały barwę szokującego błękitu i wykrzywił usta w grymasie.

- Nie jestem wystarczająco silny, żeby cię stracić. Nie przez to życie. Nie po śmierci Valentino. – Załamał mu się głos. Mówił dalej, ignorując łzy spływające po twarzy. – Nie będę ryzykował tak wielkiej straty, wiedząc, iż posiadam władzę, żeby jej zapobiec. – Ruszył do mnie, a ja do niego, aż znaleźliśmy się naprzeciw siebie, a pomiędzy nami była jedynie prawda. – Jeśli cię stracę, Sophie, to stracę serce. Nic mi już nie zostanie. Nie przeżyję tego.

Przycisnęłam się do niego, otaczając go ramionami. Przytulił mnie, dotykając ustami moich włosów, kiedy przytknęłam policzek do jego piersi i słuchałam nierównego rytmu jego serca, wiedząc, że to ostatni raz, jak go słucham.

- Kocham cię – szepnął w moje włosy. – Zawsze będę cię kochać.

Odsunęłam się na tyle, żeby na niego spojrzeć. Łzy na jego twarzy zdążyły już wyschnąć.

- Wyjedź ze mną – poprosiłam.

Wziął głęboki wdech.

- Wiesz, że nie mogę. Nie mogę zostawić rodziny.

- Możesz – naciskałam, przyciskając do niego dłonie. – Oczywiście, że możesz.

- Nie.

- Pojedź do Kolorado. Pojedź do...

Podniósł rękę. – Nie mów mi dokąd jedziesz. Nie mów nikomu.

- Ale...

- Nie muszę wiedzieć. Jeśli tylko jesteś bezpieczna, nie muszę tego wiedzieć. W ten sposób będzie łatwiej.

Nie odnajdzie mnie. Nawet jeśli przeżyje Sylwester, nawet jeśli każda cząsteczka jego ciała pchałaby go do odszukania mnie... nie wiedziałby gdzie mnie szukać. Poczułam przypływ paniki.

- Proszę cię – błagałam. – Stworzymy inne życie.

- Dla mnie nie ma innego życia, Sophie. Nie ma innej przyszłości.

- Umrzesz, Luca. Umrzesz w tym miejscu, widzę to w twoich oczach.

Nie odwrócił wzroku; nie zaprzeczył.

- Jeśli wybierzesz się na ten jacht w Sylwestra, nie wrócisz do domu. Błagam – drżał mi głos – błagam, pojedź ze mną. Wybierzemy się gdzieś indziej.

- Sophie. – Widziałam, jak podnoszą się jego mury, ostrożną zmianę w jego twarzy. Wchodził w tryb dowódcy i czułam, że już się ode mnie odsuwa. – Nie chcę się z tobą kłócić.

- Kłócimy się, bo jesteśmy nieszczęśliwi – powiedziałam. – Ale nie ze sobą. Utknęliśmy w świecie, do którego nie pasujemy, próbując udawać kogoś, kim nie potrafimy być.

- Dokładnie – przytaknął. – Nie pasujesz tutaj.

- *My* tutaj nie pasujemy! – Na wpół krzyknęłam. Moje serce szalało. Wzięłam drżący wdech i odsunęłam się od niego. Miałam ostatnią szansę, żeby go uratować, a on znajdował się już milion kilometrów stąd. – Luca, powiedziałeś mi kiedyś, że rządzą mną emocje – że nie potrafiłabym odejść od niebezpieczeństwa, gdyby byli w nie wmieszani moi bliscy. Powiedziałeś, że jestem głupia... lekkomyślna. A teraz spójrz. – Pokazałam na niego, na ten paskudny sygnet Falconów na jego palcu, na biuro, w którym planowano wszystkie rozlewy krwi. – Jesteś przywiązany do tej rodziny, ponieważ ich kochasz, ponieważ nie potrafisz sobie wyobrazić odejścia od nich, chociaż wiesz, że jak zostaniesz to czeka cię śmierć. Najpierw stracisz duszę, a potem zostaniesz pozbawiony wszystkich odłamków swojej pięknego człowieczeństwa, a potem stracisz ciało... i ostatecznie nic z ciebie nie zostanie, Luca. Zostanie po tobie jedynie wspomnienie... jedynie odebrane przez ciebie życia i hipokryzja, którą żyłeś. – Odmrugałam łzy, żeby móc widzieć wyraźnie, jak ugina się pod moimi słowami. Musiał to usłyszeć... a co więcej, ja musiałam to powiedzieć. – Nie chcesz tego życia. Nigdy go nie chciałeś. Wiesz, że to złe, wiesz, że stać cię na coś lepszego, a jednak zamierzasz zatonać razem z resztą. I chcesz, żebym to *ja* odeszła. Bez ciebie.

Opuścił ramiona i zmizerniała mu mina. Czułam, jak narasta pomiędzy nami ostateczność. On już skończył. Skończył z tą rozmową i dylematem. Ja odchodziłam. On zostawał.

Zrobiłam krok do tyłu.

- Nie mogę powiedzieć nic więcej, prawda?

Pokręcił głową.

- Jest jak jest.

Spojrzałam na niego z nikiem uśmiechem na ustach.

- Poszłabym z tobą w ciemność, ale ty nie chcesz pójść ze mną do światła.

Jego uśmiech był smutny.

- Bardzo poetycko.

Wzięłam go za rękę i przyciągnęłam do siebie.

- Ostatnio spędzałam trochę czasu z takim mega kujonem.

Objął mnie w pasie i przytulił.

- Kocham cię – powiedział.

- Ale niewystarczająco.

- Właściwie to aż za bardzo. – Pocałował mnie. Ten pocałunek był gorączkowy, namiętny i pełen całej miłości, która się w nas kryła. I kiedy oderwaliśmy się od siebie, nasze oczy były wilgotne, a serca złamane.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

KOLORADO

Millie i ja jechałyśmy w ciszy, trzymałam ją za rękę, a po mojej twarzy spływały łzy.

- Wszystko się ułoży, Soph. Wiem, że teraz tego nie czujesz, ale tak będzie. Przeżyjesz ten okres.

Na ile sposób może zostać złamane serce? Odłamek dla mojej matki, odłamek dla mojego ojca, odłamek dla Luki. A pomiędzy cała pusta przestrzeń dla mnie.

Wszystko zakończy się w Nowym Roku. Marino albo Falconowie zostaną zmieceni z powierzchni ziemi, i być może zniknie również resztką mojej tożsamości.

Chatka rodziców Millie znajdowała się kilka godzin drogi od Chicago, położona w centrum sosnowego lasu na brzegu małego jeziora. Luca przestrzegł Millie, żebyśmy ukryły się tutaj na kilka dni i żebyśmy nie jechały na lotnisko O'Hare ani nie zbliżyły do Cedar Hill przynajmniej do Sylwestra. Więc czekałam, kiedy dni mijały powoli. Udawałam zainteresowanie rzeczami, o których nigdy nie myślałam. Oglądałam film za filmem siedząc między Alexem i Millie. Nawiązywałam uprzejme rozmowy z Crisem, kiedy przyjechał w odwiedziny. Przegrywałam w Scrabblach niezliczoną ilość razy. Wygrywałam w Monopoly i miałam to gdzieś. Myślałam tylko o Luce, o moim ojcu. O wujku.

Płakałam do poduszki, ściskając w dłoni swój scyzoryk – ostatnie przypomnienie, że dokądś przynależałam. Nie byłam jeszcze gotowa, żeby o tym zapomnieć.

To czekanie było potworne. Niewiedza jeszcze gorsza, ale nie dostawaliśmy tutaj gazet, więc przez co najmniej kilka dni mogłam żyć w słodkiej nieświadomości. Nie mieliśmy internetu i rzadko kiedy miałam dwie kreski zasięgu w komórce. Zadzwoiła do mnie policja – chcieli porozmawiać ze mną o śmierci ojca. Byłam jej świadkiem; nie potrzebowałam słuchać szczegółów. Nie potrzebowałam fałszywej empatii. Nie byłam gotowa, żeby otwierać tę puszkę Pandory, więc nie odbierałam telefonów. Nie przyjechali po mnie. Nie wiedzieli gdzie byłam, a cokolwiek Millie powiedziała swoim rodzicom, to wystarczyło, bo oni również na mnie nie naciskali.

Zarezerwowałam bilet w jedną stronę do Kolorado pieniędzmi, które Millie dostała od Luki.

Opuściliśmy chatkę w poranek trzydziestego pierwszego grudnia. Rodzice Millie wybierali się do miasta na sylwestrową imprezę.

Millie zawiozła mnie na lotnisko i odprowadziła pod samą odprawę, trzymając mnie mocno za rękę. Adres mojej wyprawy wypalał mi dziurę w kieszeni.

- Wiesz, że mogę pojechać. Mogłabym trochę z tobą pobyc. Wiem, że nie wyjeżdżasz na długo, ale nie musisz jechać sama.

Gdyby uściski mogły zabijać, to padłaby już trupem.

- Nic mi nie będzie – powiedziałam, próbując się uśmiechnąć. Prawda była taka, że nie wiedziałam, dokąd leciałam i czy to nie jest jakaś pułapka zastawiona przez Marino. To mogła być moja jedyna realna opcja, ale nie zamierzałam narażać życia Millie. – Zadzwoń, jak tylko tam dotrę.

Przytuliła mnie i uścisnęła ją tak mocno, że zabrakło nam tchu.

- Kocham cię, Soph. – Odsunęła się ode mnie, przyglądając mi się badawczo. – Wkrótce się zobaczymy.

- Wiem – powiedziałam, wymuszając uśmiech. – Ja też cię kocham.

Stuknęła mnie w nos i ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu.

- To my jesteśmy tutaj prawdziwą historią miłosną, wiesz?

Starłam łzę z jej policzka.

- Wiem, Mil. Zawsze to wiedziałam.

- Dobrze – powiedziała. – Zadzwoń, jak wylądujesz.

Zostawiłam ją za sobą, kiedy wsiadałam do samolotu i nakierowałam swoje życie w kierunku kogoś, kogo nigdy wcześniej nie spotkałam w mieście, w którym nigdy nie byłam, wszystko było teraz powiązane z ostatnimi słowami mojego ojca i nadzieją, iż nadal mnie kochał pomimo wszystkiego, co zaszło. Okrążyłam palcami bransoletkę na nadgarstku, mój umysł powtarzał w kółko wygrawerowane na nim słowa: „*Nadzieja uśmiecha się od progu nadchodzącego roku, szepcząc 'Będzie lepiej'*”.

Pomyślałam o Luce i ścisnęło mnie w sercu. Jak mogłabym poczuć się lepiej wiedząc, że on był uwięziony?

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

DZIEWCZYNKĄ

Siedziałam w taksówce i patrzyłam na Góry Skaliste w oddali, kiedy wjeżdżaliśmy na wzgórze. Napisałam do Millie, że bezpiecznie wylądowałam. Nie miałam komu innemu o tym powiedzieć. Nadmuchałam na okno i narysowałam serduszko, czując przez szybę chłód z zewnątrz.

Boulder było piękne, jak coś z innego świata – z dala od szaleństwa, rozlewu krwi i uczucia bycia obserwowaną. Policja może dalej będzie mnie szukać, ale odnalezienie mnie zajmie im o wiele dłużej. Może nigdy im się to nie uda. Co do rodziny Marino – czy może tego, co z niej zostało – nie wiedziałam, co będzie. Być może już na mnie czekali. Staralam się o tym nie myśleć. Już postanowiłam.

Dzisiaj był Sylwester. Dziś wieczorem Falconowie wykonają swój ostatni atak w Chicago. Przyjęcie na jachcie będzie pełne policjantów. W głębi duszy wiedziałam, że ktokolwiek wejdzie na pokład nie wyjdzie z niego żywy. W głębi duszy wiedziałam, że już nigdy więcej nie zobaczę Luki Falcone. Poza żalem i smutkiem, poczuciem winy i paniką poczułam przypływ spokoju. Odrętwienia.

Rezygnacji.

Uderzyłam o samo dno i ledwo stawiałam jedną stopę przed drugą. Robiłam to tylko dla Millie. Tylko dla wspomnienia mojej matki. Tylko dla życia, którego pragnęłam dla mnie Luca... tego, które będę musiała teraz prowadzić za nas dwoje.

Oderwałam wzrok od krętych uliczek gęstych od budynków z czerwonej cegły... modne kawiarenki, sznurek restauracji i Urban Outfitters powitały mnie w mieście Boulder.

Odchyliłam głowę i zamknęłam oczy. Zdawało się, że minął ułamek sekundy, kiedy drzwi taksówki stanęły otworem i kierowca wybudzał mnie z drzemki. Zapłaciłam mu, wyciągnęłam torby z bagażnika i stanęłam przed małą dwupiętrową kamienicą. Drzwi były pomalowane na jasny fiolet. Wysokie i wąskie, jak coś z bajek. W ogródku spod warstwy śniegu wystawały kwiatki. Na skrzynce pocztowej widniał złoty napis: *Panna Marla Flores*. Przynajmniej adres pasował do nazwiska. To się chyba liczyło.

Pokonałam trzy drewniane schodki na ganek i zatrzymałam się, żeby powitać znajomy przypływ lęku, ale wcale go nie poczułam. Czułam tylko otępienie – lekkie pobołowanie, przebłysk nerwów, a potem nic. Zadzwoiłam do drzwi i usłyszałam wewnątrz melodyjny dzwonek.

Słońce już prawie zachodziło. Ptaszki wciąż ćwierkały. Było zimno, ale świeciło słońce i wszystko wyglądało jaśniej niż być powinno. Zamierzałam znów wcisnąć dzwonek, kiedy dotarło do mnie gorączkowe stukanie stóp, a zaraz po nim odblokowywany zamek. Wyprostowałam się, powtarzając sobie w głowie jak się przedstawię. *Dzień dobry, nazywam się Sophie Gracewell. Chyba znała pani mojego ojca...*

Otworzyły się drzwi i wyjrzała zza nich głowa małej dziewczynki. Miała szerokie szare oczy i gęste czarne włosy, które okalały jej twarz. Uśmiechnęła się do mnie. Brakowało jej przednich zębów. Próbowałam zachować opanowanie na widok obiektywnie uroczego dziecka, ale w podświadomości zadawałam sobie pytanie: *Czy to jest córka mojego ojca? A jeśli tak, to kogo albo co będę musiała walnąć?*

- Cześć – przywitała się. Nie otworzyła szerzej drzwi, więc nie widziałam mieszkania za nią.

- Witaj. – Uśmiechnęłam się, ale drżąc. Nie była do mnie podobna, ale już nie raz zostałam oszukana przez własną rodzinę. – Jak się nazywasz?

Zamrugnęła wielkimi oczami. Było w nich coś bardzo znajomego. Boże. Niemal czułam, jak prawda nadciąga na mnie jak pociąg towarowy.

- Emilia.

Emilia. Te oczy... ten uśmiech.

- Gdzie twoja mama, Emilio? Czy jest tutaj z tobą?

Emilia przygryzła dolną wargę i przybrała bardzo skruszoną minę.

- Jest w łazience. Nie powinnam sama otwierać drzwi, ale zobaczyłam cię przez okno. – Pokazała na boczne okno, gdzie koronkowa firanka została zaciągnięta za sadzonkę. – I spodobały mi się twoje włosy, więc pomyślałam, że nic się nie stanie. Przypominają mi słońce.

Wyciągnęła rękę do góry, żeby ich dotknąć, ale głos dobiegający z domu sprawił, że się cofnęła.

- Emilia! Co ci mówiłam o otwieraniu drzwi? Natychmiast wracaj do środka.

Emilia wycofała się do środka i parę sekund później drzwi otworzyły się na oścież, i stanęłam twarzą w twarz z Eveliną Falcone.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

MARLA FLORES

Złapałam się drewnianej futryny drzwi i próbowałam nie zemdleć.

Tak mocno wybałuszałam oczy, że zaczęły mi drżeć. Widziałam jej zdjęcie milion razy w *Evelinie* – to z jej dnia ślubu, na którym promieniała i przytulała się z Felice. Zapamiętałam jej obraz olejny, czułam jej wzrok na karku ilekroć wchodziłam do biblioteki. Tysiąc razy śledziłam smutek w jej oczach i czułam, jak odzwierciedla się we mnie.

Wyglądała dokładnie tak samo – jedynie wokół oczu widniało więcej zmarszczek i miała napięte usta.

Była piękna.

Była żywa.

Chciałam wyciągnąć rękę i dotknąć jej, żeby mieć pewność.

Evelina stała nieruchomo, pozwalając mi to wszystko przyswoić.

Stąd wiedziałam, że spodziewała się mojej wizyty.

Potarłam się po klatce piersiowej, żeby otrząsnąć się z szoku.

- Ty żyjesz – powiedziałam, podchodząc trochę bliżej, jak gdyby była zjawą. – Powinnaś być martwa. Mój... - Zamarłam i poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Mój ojciec miał ją zabić. Ale nie zrobił tego. Nie dotknął włosów na jej głowie. A jeśli była nam winna przysługę to znaczy, że jej pomógł.

- Naprawdę żyjesz. – Poczułam tę ulgę jak lód przepływający w moich żyłach. Moje serce troszeczkę urosło. Mój ojciec nie był potworem. Nie był beznadziejnym przypadkiem. Okazało się, że wcale nie był nieznajomym.

A ktoś wyjątkowy, ktoś kto zasługiwał na życie, wciąż żył.

- Jesteś Eveliną Falcone.

Ożywiła się i podniosła rękę, żeby mnie uciszyć.

- Nie jestem Eveliną od narodzin mojej córki – szepnęła. Zaprosiła mnie do środka i poszłam chętnie, jakby przywiązana do sznurka. Miałam milion pytań, a nawet więcej.

Przedpokój był oświetlony i Emilia skakała pośrodku na niebieskiej skakance.

Te wielkie szare oczy.

Oczy Felicego.

Córka Felicego.

Cała i zdrowa.

W przeciwieństwie do niego.

Evelina poprowadziła mnie do przestronnej kuchni z jasnozielonymi szafkami.

- Lemoniady? Musisz być spragniona po podróży. – Nie czekała na odpowiedź. Zaczęła szperać w lodówce, stojąc do mnie plecami. Jej ręce lekko drżały. Z jej długiego ciemnego warkocza wysunęły się kosmyki włosów. – Twój ojciec powiedział, że niedługo przyjedziesz – powiedziała przez ramię. – Był tu z nami zanim... do samej Wigilii... - Urwała, ścisząc głos.

Ach.

Mieszkał tutaj z nią. Spędzał swój czas z dala od Chicago, czekając na idealny moment, żeby wykonać ruch przeciwko Jackowi, jak my. Wszyscy wybraliśmy Boże Narodzenie.

Czy wiedziała, co się z nim stało? Czy wiedziała, że jej sprzymierzeniec Marino był martwy?

- Obiecałam mu, że cię przyjmę – ciągnęła. – Obiecałam mu, że ci pomogę. Miałam nadzieję, że przyjedziesz. – Odwróciła się i spojrzała na mnie wielkimi, szczerymi oczami. – Miałam nadzieję, że nie zostaniesz w to wszystko wciągnięta.

- Sądziłam, że nie żyjesz. – Wciąż próbowałam przetrwać jej żywotność. – Sądziłam, że mój tata... - zamilkłam świadoma obecności Emilii, która wciąż podskakiwała w pobliżu. – Znalazłam twój rubinowy pierścionek.

Zaśmiała się trochę ponuro.

- Kazałam mu go sprzedać. Chciałam mu podziękować.

- Kiedy? Jak? – Nie mówiłam już o pierścionku. Mówiłam o wszystkim. O wszystkim, ale na świecie nie było dość czasu, żeby przez to przebrnąć, ale chciałam spróbować. Chciałam zrozumieć. To była tratwa ratunkowa, a ja nie chciałam utonąć.

Evelina zajrzała do przedpokoju, upewniając się, że Emilia nie usłyszy. Ściszyła głos, nalewając lemoniady do dwóch szklanek.

- Pewnej nocy, wiele lat temu, twój ojciec przyszedł po mnie, jak byłam w mieście na kolacji z moimi przyjaciółkami. Marino nas śledzili... on mnie śledził. Przypuszczam, iż wiesz, co Felice zrobił jego rodzicom. Przypuszczam, iż wiesz, że twój ojciec pragnął

zemsty. Nie powinnam była chodzić wtedy sama, ale miałam już dosyć Felicego. Miałam dosyć ciągłego strachu, poczucia życia w pułapce....

Skinęłam głową, czując zrozumienie.

Odstawiła dzbanek lemoniady i odchrząknęła.

- Nie potrafił tego zrobić, kiedy przyszło, co do czego. Nawet jak staliśmy tylko we dwoje na parkingu. Nawet jak wiedział, że ujdzie mu to na sucho. Zobaczył siniaki na mojej szczęce. Zobaczył strach w moich oczach. Byłam wtedy w ósmym miesiącu ciąży.

Próbowałam ułożyć sobie tę scenę w głowie. Opuszczony parking zlany mrokiem. Mój ojciec celujący bronią w Evelinę Falcone. Jej dłonie zakrywające brzuch i twarz poznaczona temperamentem Felicego.

- Był tym wszystkim załamany – powiedziała. – Gniewem, przemocą. Ja również. Dostrzeżliśmy to w sobie nawzajem. Byliśmy po dwóch stronach barykady, ale byliśmy tacy sami. Martwiłam się o moje dziecko. O siebie.

- Oczywiście – mruknęłam, starając się wyobrazić sobie taki strach, ale nie zdołałam.

- To było takie dziwne. – Evelina uśmiechnęła się smutno. – Opuścił pistolet. Nie uciekłam, on też nie. Porozmawialiśmy. Nie bałam się. Nigdy się go nie bałam. Nie w sposób, w jaki bałam się mojego męża. On chciał ukarać Felicego, a ja chciałam uciec. Nasze pragnienia nie różniły się tak bardzo. Było w nim coś wyjątkowego. Czułam się tak, jakbyśmy znali się od dawna.

- Więc wtedy ci pomógł? – zapytałam, chcąc to zrozumieć, uwierzyć. – Pomógł ci wyjechać?

Przytaknęła. Była piękna, oświetlona zachodzącym słońcem, długie włosy zebrane w luźnym warkoczu, pasemka karmelu wśród kasztanowego brązu. Przed moimi oczami wrócił do życia duch i nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czułam tak wielką wdzięczność.

- Pomógł mi odzyskać swoje życie – powiedziała zwyczajnie.

- Czy ktoś jeszcze o tym wiedział?

- Nikt – odparła. – Oprócz ciebie.

Przycisnęłam głowę do ściany i wzięłam głęboki wdech. Nade mną wirował wiatrak kuchenny. Były do niego przywiązane papierowe motylki, których skrzydła były pomazane różnymi kolorami. Oto było coś; ziarenko światła. Musiałam się go czepić, musiałam się nim zaopiekować. Ale musiałam przebrnąć jeszcze przez tak wiele.

- Evelino – powiedziałam. Emilia poszła do innego pokoju. – Mój ojciec nie żyje.

- Wiem – powiedziała łagodnie. – Widziałam w wiadomościach. Przykro mi, Sophie. To był dobry człowiek.

Przełknęłam gulę w gardle.

- Felice również nie żyje. – Ochrypl mi głos.

Jej twarz uległa zmianie.

- Tak.

- Byłam przy tym – szepnęłam. Rozlewały się we mnie wyrzuty sumienia i wyrzucałam z siebie słowa wbrew własnej woli. Nie mogłam stać w jej kuchni i udawać niewinną. Nie mogłam kłamać jej prosto w oczy, kiedy jego dziecko znajdowało się parę kroków stąd, nucąc i podskakując, a nade mną wirowały jej papierowe motylki. – Zamierzał zabić Lucę – dodałam. – Zamierzał go zabić. Mierzył w jego głowę i... i musiałam coś zrobić. Nie planowałam tego. Nie chciałam go skrzywdzić, nie tak naprawdę, ale zamierzał zabić Lucę i musiałam go powstrzymać.

- Uratowałam życie – rzekła.

- Odebrałam życie.

Evelina zrobiła krok bliżej, wyciągając do mnie szklankę lemoniady. Wzięłam ją od niej, przycisnęłam mocno do piersi. Wydawała się większa niż była. Kolejna tratwa.

Upiła łyk własnej lemoniady, przełknęła ciężko, po czym spojrzała prosto na mnie.

- Znałam obydwu Falconów, Sophie. Dokonałam właściwego wyboru.

- Przykro mi – powiedziałam, ponieważ nie wiedziałam, co innego powiedzieć i dalej słyszałam jego śpiewającą córkę.

Evelina skinęła głową.

- To dla nas dobrze – rzekła cicho. – Że nie musimy dłużej żyć w strachu przed nim. I dobrze dla Luki, bo go uratowałaś.

- Kocham go. – Drżał mi głos. – Nie mogłam go stracić.

Evelina zmarszczyła brwi z cieniem współczucia na twarzy.

- Rozumiem dlaczego. Bardzo łatwo pokochać Lucę.

- A on kochał ciebie – powiedziałam, wspominając rozmowę z Lucą o gwiazdach, o możliwości, o wszystkich tych rzeczach, w które uwierzył dzięki niej.

I nigdy się nie dowie, uświadomiłam sobie. Nigdy się nie dowie, że przeżyłaś.

Po mojej twarzy spłynęła samotna łza.

Evelina pogładziła mnie po ramieniu, muskając palcami ranę postrzałową.

- Już dobrze – uspokoiła. – Żyłam kiedyś w tamtym świecie. To okrutne, bezlitosne miejsce, gdzie dobrzy ludzie cierpią, a źli triumfują. Jest wypełnione stratą, żalem i wyrzutami sumienia. Rozumiem, przez co przeszłaś. – Zaczekała, dopóki nie podniosłam na nią wzroku. – Było ci trudno. Nam obu było trudno. Ale lepiej, że jesteś tutaj teraz z nami. Czy zostaniesz? Na jakiś czas?

Emilia śmiała się z czegoś w innym pomieszczeniu. To był taki piękny, obcy dźwięk. Zorientowałam się, że potakuję.

- Tak.

- Jutro rozpoczyna się nowy rok – powiedziała delikatnie. – Nowy początek.

Ale najpierw odbędzie się dzisiejszy wieczór, o którym nie potrafiłam zapomnieć.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

PÓLNOC

Siedziałam obok Evelyny Falcone z połową lampki czerwonego wina w ręce, oglądając odliczanie do Nowego Roku na lokalnej stacji informacyjnej, kiedy w Chicago rozpoczęła się masakra.

Obraz na ekranie się zmienił i pokaz fajerwerków w Kolorado został zastąpiony paskiem Z OSTATNIEJ CHWILI. Żółć podeszła mi do gardła, kiedy ujrzałam słowa: „ZAMIESZKI NA PRZYJĘCIU NA JACHCIE BURMISTRZA”. Kamery zrobiły przybliżenie na ogromnym biały jacht na jeziorze Michigan, do którego pędziło kilkanaście policyjnych motorówek. Scena się przesunęła i pokazano przerażoną dziennikarkę, za którą widać było jacht.

Evelina i ja zamilkłyśmy, i starałam się z całych sił nie rozdrapać sobie skóry palców, kiedy wpatrywałam się nieruchomo w ostatnią scenę mojego najgorszego koszmaru.

„STRZELANINA NA POKŁADZIE JACHTU BURMISTRZA” Taki pasek leciał na dole ekranu.

Evelina zakryła sobie usta, tłumiąc krzyk. Ściskałam siedzenie tak mocno, że wydrapałam skórzane obicie. Znieruchomiałam w takiej pozycji, kiedy napisy się zmieniały i powoli, powolutku wzrastała liczba ofiar. Wszystkie bezimienne.

Nadal gapiłam się w ekran, kiedy Evelina wstała wiele godzin później.

- Sophie – powiedziała, kładąc rękę na moim ramieniu. Ledwo ją poczułam. – Chyba powinnyśmy się już położyć.

- Siedmioro – powiedziałam ochryple, miałam sucho w gardle. – I myślą, że wiele ciał jest też w wodzie.

- Sophie.

- I rannych. Dużo rannych.

- Sophie – powtórzyła. – Popatrz na mnie.

Oderwałam wzrok od ekranu, podniosłam na nią wzrok. Miała na sobie długi różowy szlafrok – powyciągała wszystkie nitki z rękawów i teraz miała je owinięte wokół palców.

- To część twojego nowego życia, Sophie. Uczenie się jak odejść. Nie możesz oglądać się za siebie. *My* nie możemy oglądać się za siebie. Nieważne jak bardzo tego pragniemy.

Jej usta się poruszały, ale ja słyszałam jedynie słowo „siedem”. *Siedem*. Siedem zgonów. Siedem to wielka liczba. Zbyt wielka. Jedna ofiara to już było za dużo.

- Muszę wiedzieć. – Pochyliłam się do przodu, pragnąc, żeby zmieniły się napisy na ekranie. Nie podano żadnych nazwisk, widać było tylko worki z ciałami i rozbieganych policjantów. Karetki w trybie gotowości. Wyjące syreny. – Muszę wiedzieć ilu z nich jest... Muszę wiedzieć kto...

Evelina stanęła przed telewizorem, patrząc na mnie z przekrzywioną głową.

- Nie musisz. Nie teraz. Nie w ten wieczór.

Coś się we mnie rzucało, szarpało moimi wnętrznościami.

- On może być martwy – powiedziałam, podnosząc głos. – Albo wpadł do jeziora, a jeśli to on jest jednym z tych w wodzie, to nie przeżyje, ponieważ tam jest teraz temperatura poniżej zera i...

- Sophie. – Evelina przykucnęła, żebyśmy znalazły się na tej samej wysokości. Nad jej ramieniem helikopter przeleciał nad sceną strzelaniny – usłyszałam w tle krzyki. Siedem. Tyle ich było. Tych, o których się troszczyłam. Luca, Nico, Dom, Gino, Paulie, Elena, CJ.

- Dzisiaj nie podadzą już więcej informacji, Sophie. Sen dobrze ci robi. Jutro nastanie nowy dzień. – Wiedziałam, że nie próbowała brzmieć jak piosenka z musicalu Disney'a.

Evelina dotknęła mnie ciepłą ręką.

- Czy rozumiesz, że to część twojej przygody? Część twojego leczenia? Musimy wyłączyć telewizję i musisz wyłączyć swój umysł, spróbować się przespać. Musisz zacząć patrzeć do przodu, w przyszłość. Musisz znowu zacząć koncentrować się na sobie.

- Ja... ja muszę wiedzieć.

- To niczego nie zmieni.

I to była straszna prawda. To było bez znaczenia. Ponieważ ja byłam tutaj, a on tam. Dokonał swoich wyborów. Pożegnaliśmy się.

- Jutro – powiedziała cicho. – Dziś niczego się nie dowiesz. Nie możesz być z nimi. Nie możesz nic zrobić. Wydostałaś się.

Byłam posągiem, ledwo oddychałam.

- Wydostałam się.

- Wydostałaś się.

Wyłączyła telewizor... wszystkie wstrząsające obrazki i przenikliwe syreny zniknęły za jednym mrugnięciem.

- Wydostałaś – powtórzyła, podnosząc się. – Już cię tam nie ma.

- Wydostałam się – powtórzyłam, licząc na jakiś przyływ ulgi, ale czułam jedynie horror, żal i strach.

- Idź do łóżka, Sophie. Jutro jest nowy dzień. – Przełknęła drzenie w głosie. – Musisz zacząć zapominać.

Zostawiła mnie w ciemności, wpatrującą się w pusty ekran, w mojej głowie przelewały się wszystkie obrazy. Siedem... i może będzie ich więcej. Martwych, umierających, zamarzających w jeziorze Michigan. Oni wszyscy. Moja rodzina.

Co z Marino? Czy ostatecznie wygrali, mając wsparcie burmistrza? Czy teraz przyjdą po mnie... po ostatnią Falcone? Nagle miałam wrażenie, że Kolorado nie znajdowało się wystarczająco daleko od Chicago.

Wojna krwi dobiegała końca. Moja rodzina, moja tożsamość już nie istniały. Tak jak mój ukochany.

A ja?

Wydostałam się.

Nie było w tym pocieszenia.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

POŚCIG

Zatopiłam się w przepastnej ciszy, czekając aż powróci czucie do moich nóg. Bawiłam się bransoletką na nadgarstku. Nadzieja. Nie czułam żadnej nadziei. Nawet nie odliczaliśmy do nowego roku.

Czy w Kolorado wybiła w ogóle północ? Myślałam jedynie o liczbie ofiar, która powoli zaczynała mnie dusić.

Evelina dreptała gdzieś nade mną, przygotowując się do łóżka. Emilia spała już od kilku godzin.

Na zewnątrz ulica została skąpana w nagłym błysku jaskrawego światła. Zaciśnęłam palce na kolanach, wstrzymując oddech. Światło zniknęło, kiedy samochód wyjechał z zakrętu i reflektory zgasły tak szybko, jak się pojawiły. Usłyszałam warkot silnika zbliżającego się w stronę domu.

Podeszłam do okna, wyrztałam zza firanek na mercedes stojący przed domem Evelyni Falcone i poczułam jak uginają się pode mną kolana.

Czy to był ostatni przewrót mojego ojca? Czy to przez cały czas była sztuczka? Czy może to los postanowił ukarać mnie za morderstwo Felicego?

Silnik zgasł i ponownie zapadła cisza. W uszach szumiała mi krew. Setki kilometrów stąd umierała moja rodzina, a mniej niż dwadzieścia metrów ode mnie siedział Marino przygotowany do swojego ostatniego zadania.

Od razu wiedziałam, co muszę zrobić. Weszłam po cichu do przedpokoju i przycisnęłam czoło do drzwi wejściowych. Zrobiłam wiele rzeczy, które nie napawały mnie dumą, dokonałam czynów, które będą mnie prześladować do końca życia, ale teraz będę odważna. Zrobię, co trzeba.

Wyszłam na dwór i zamknęłam za sobą drzwi, słysząc zatraskujący się zamek. Przemaszerowałam na koniec podjazdu dopóki nie zbliżyłam się do samochodu i czających się w nim cieni. Byłam na tyle blisko, że znajdująca się w środku osoba mogła dostrzec przed sobą swój ostatni cel.

Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy i zrobiłam jedyne, co mogłam. Obróciłam się na pięcie i pobiegłam tak szybko, i tak daleko jak tylko mogłam od sekretu Evelyni, biorąc szybkie wdechy i czekając na uderzenie kuli.

Tylko nie tutaj. Nie przed domem Evelyni. Nie w ich świetle.

Gdzieś na jachcie w Chicago umierali Falconowie i gdzieś pośrodku zaśnieżonego górskiego miasteczka w Kolorado umierałam ja.

Może tak to właśnie miało się potoczyć.

Biegłam sprintem, pobudzona dźwiękiem kroków za sobą.

Nie było miejsca na strach, tylko zamiar.

Nie uciekałam, żeby się uratować. Uciekałam, żeby uratować życie Emilii i Evelyny.

I już się nie bałam.

ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIATY DRUGI

DO ŚWIATŁA

- Sophie? – Noc przeciął ten głos, taki znajomy i szorstki ze zmęczenia. – Sophie, stój!

Niemożliwe! Mój umysł płatał mi figle.

Biegłam dalej, serce podeszło mi do gardła.

- Sophie! – wydyszał, teraz już prawie dorównywał mi kroku. Był tak blisko, że słyszałam jego oddech. – Proszę! Sophie!

Obróciłam się w samą porę, żeby zobaczyć jak nagle się zatrzymuje, prawie na mnie wpadając. Udało mu się zachować równowagę.

Wrzeszczałam jego imię w głowie, ale kiedy uformowało się na moim języku to był żalostny dźwięk wyrzucony na ostatnim wydechu.

- Luca?

Naprzeciwko mnie stał Luca, a za nim na zaśnieżonym chodniku widniały ślady naszych stóp. Potargane czarne włosy opadały na czoło, jasne oczy błyszczały w mroku. Wyciągnęliśmy do siebie ręce w tym samym czasie. Przyciągnęłam go za kołnierz kurtki, a on objął mnie w talii i schował twarz w mojej szyi.

Stanełam na palcach, by być bliżej niego, przycisnęłam policzek do jego policzka, kiedy ulga rozerwała mnie na pół i zaszlochałam tak mocno, że zadrżało mi całe ciało. On żył. Był tutaj. Był *tutaj*.

- Chcę tego życia. – Poczułam na skórze jego słowa, tak jak i jego łyzy na policzkach. Czułam, jak się trząsał. – Chcę możliwości.

Ścisnęłam go mocniej, czując tępy ryk jego serca.

- Myślałam, że umarłeś – powiedziałam. – Miałeś być martwy.

Odsunął się ode mnie i podniósł ręce do mojej twarzy, ścierając łyzy spod moich oczu. Zaśmiał się drżąco.

- Jezu, dzięki. – Zignorował własne łyzy, które lśniły na jego skórze.

- Przyjęcie na jachcie – próbowałam wyjaśnić. – Myślałam...

Potrząsnął głową, oddychając płytko.

- Odszedłem – powiedział. – Odszedłem, Sophie.

Płakałam tak mocno, że mogłam jedynie potakiwać dopóki nie rozboleła mnie szyja.

- Jechałem cały dzień, żeby do ciebie dotrzeć. Jechałem piętnaście godzin – powiedział. – Nie mogłem ryzykować. Nie mogłem ich do ciebie poprowadzić. Wypożyczyłem samochód i złamałem wszelkie ograniczenia prędkości w tym kraju. A potem przyjechałem tutaj i nie wiedziałem, co robić, nie wiedziałem czy śpisz, czy w ogóle jeszcze tutaj jesteś, więc pomyślałem, że zaczekam do rana. A wtedy wyszłaś z domu i przestraszyłaś się, i już myślałem, że będę musiał cię gonić do samego Denver, bo niech to szlag, ale jesteś wyjątkowo szybka, Sophie!

Mój śmiech był tak samo drżący jak jego i nadal płakałam. Wydusiłam z siebie zniekształcone słowa.

- Nie spałam. Nie potrafiłam zmusić się do pójścia spać. To przyjęcie, Luca, są ofiary. Dużo ofiar...

- Wiem – powiedział i zmizerniała mu mina. – Słuchałem w radiu.

- Czy wiesz kto...?

Pokręcił głową, wzdychając ciężko.

- Jeszcze nie. – Zacisnął mocno powieki, a kiedy je otworzył znów miał czyste oczy. – Dokonałem wyboru, Sophie. Dokonałem wyboru.

Przycisnęłam rękę do jego serca.

- Wyboru, żeby żyć.

- I będę żył z konsekwencjami. Ze wszystkim, co straciłem.

- Ze wszystkim, co zyskasz – szepnęłam, podnosząc brodę, żeby móc spojrzeć mu w oczy. – Jestem przy tobie. Cokolwiek się wydarzy, jestem tutaj.

Przesunął dłońmi wzdłuż moich ramion, rozgrzewając moją skórę. Był pogrążony w smutku; widać to było w rysach jego twarzy. Wyczuwałam to w powietrzu między nami. Ale było tam też coś innego – klarownego, jasnego i zdecydowanego, wszystko to błyszczało w jego oczach. Cel, słuszność.

- To koniec – powiedział. – Koniec, Sophie. Nie możemy zrobić nic więcej.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? – zapytałam, bo uderzyła we mnie nagle niemożliwość tej sytuacji.

- Od Millie – powiedział i jego intensywny wyraz twarzy został przełamany lekkim uśmiechem. – Kazała mi obiecać, że jeśli tutaj przyjadę to już nie wrócę. Ani ja, ani ty. Kazała mi przyrzec, że to coś prawdziwego.

- Podała ci adres. – I nic nie powiedziała. Może bała się, że nie przyjedzie.

- Nie bez długiego przesłuchania.

- Musiała być ciębie pewna.

Luca przytknął do mnie czoło.

- Nigdy nie byłem pewniejszy niczego innego.

Wplotłam palce w jego sweter, przyciskałam je do jego torsu i przyciągałam go bliżej, bliżej.

- Mam zawroty głowy – powiedziałam.

Luca odsunął się, żeby spojrzeć mi w oczy.

- Nie potrafiłem tego zrobić, Sophie. Nie potrafiłem wiedząc, że czeka tu na mnie inne życie z tobą. Zobaczyłem, co zrobiła dla ciebie Millie, jak weszła w ciemność, żeby cię wyciągnąć, a ty jej na to pozwoliłaś, ponieważ ją kochasz, ponieważ jesteś sobie winna godne życie i prawda jest taka, że kocham cię mocniej niż kogokolwiek innego w całym moim życiu. Jesteś ostatnią dobrą rzeczą w moim życiu – całą nadzieją i radością na przyszłość, której naprawdę pragnę, i kiedy patrzyłem jak odjeżdżasz tamtego dnia moje serce złamało się na pół. Tkwiłem w pułapce, balansowałem na krawędzi piekła, a wtedy ty wparowałaś do mojego życia i po raz pierwszy ujrzałem możliwość życia poza tamtymi murami. Życia z tobą. Godnego życia. – Wciągnął ostro wdech i przysunął się bliżej, zetknęliśmy się nosami. – A kiedy już sobie to uświadomiłem, nie potrafiłem o tym zapomnieć. Dla ciebie, Sophie, pójdę wszędzie. Chcę być człowiekiem, którego we mnie widzisz.

- Jesteś tym człowiekiem – powiedziałam i w sercu wiedziałam, że to prawda.

Przycisnął wargi do moich ust. Znów zalało mnie to uczucie, silne i znajome.

- Gdy jestem z tobą, mam wrażenie, że wracam do domu – powiedział. – Czuję, że w końcu gdzieś przynależę. Ty jesteś tym miejscem, Sophie.

Przytknęłam jego dłoń do mojego serca, by poczuł jak szaleje pod jego dotykiem.

- Jeśli nie będziesz ostrożny, padnę na zawał.

Zaśmiał się nisko i ochryple. Wsunął rękę w moje włosy, gładząc kciukiem mój policzek.

- Wyobraź sobie, co czuję, ilekroć się do mnie uśmiechasz.

Stałam pod żarem jego spojrzenia i pozwoliłam sobie płonąć.

- Więc co teraz, Luca?

- Przez jakiś czas będziemy musieli żyć w ukryciu, dopóki wszystko nie ucichnie. – Uniósł mój podbródek palcem wskazującym, uśmiechając się powoli. – Ale wymyślimy coś. Cokolwiek się stanie, to będzie przygoda.

- Czy możemy ukryć się w Disneylandzie?

Luca próbował spiorunować mnie wzrokiem, ale dalej się uśmiechał.

- Zawsze można na tobie polegać, że obniżysz powagę sytuacji.

- Staram się być pomocna – zaproponowałam.

- Może planowanie zostawisz mnie? Pamiętaj, że jestem absurdalnie inteligentny.

Uniosłam wysoko podbródek.

- Ale nie respektuję twojego autorytetu, pamiętasz?

Uśmiechnął się szeroko.

- Dlatego tak bardzo cię kocham.

- Bo cię nie respektuję?

- Bo mnie denerwujesz – odparł, stukając mnie w nos.

- I ja cię kocham – powiedziałam, muskając jego usta. – Bo tak łatwo cię zdenerwować.

- Mmm – mruknął przy moich wargach.

- Chodź ze mną. – Pociągnęłam go z powrotem do domu. Wyciągnęłam komórkę i napisałam krótką wiadomość do Millie, gdy kroczyliśmy w ciemności.

Otrzymałam twój prezent. Jest troszkę zmęczony i zaniedbany, ale chyba go zatrzymam.

Jej odpowiedź była błyskawiczna.

Wspaniałe wieści. Ciesz się swoim kochankiem, ale nie zapominaj, kto jest twoją bratnią duszą ☺

Nigdy ☺

Doszliśmy do domu Eveliny i wciągnęłam go za sobą na ganek, stukając knykциями w drzwi.

- Chciałam tylko powiedzieć Millie, że wszystko w porządku. Szczególnie, jeśli nie zobaczę się z nią przez dłuższy czas.

- Dopilnuję, żebyście się znów spotkały – powiedział, po czym dodał z mniejszym przekonaniem: - Kiedy wymyślimy jak pogrzebać raz na zawsze nasze przestępcze kontakty.

- Skoro już o tym mowa... - Spojrzałam na poruszenie firanek w oknie i pomachałam do niej, żeby wiedziała, że wszystko dobrze.

Evelina otworzyła drzwi i cofnęła się o krok w przedpokój.

- Sophie? Wszystko w porządku?

Wystąpiliśmy z mroku i wepchnęłam przed siebie Lucę, żeby zobaczył. Żeby doświadczył możliwości, która powróciła przed nim do życia. Ścisnął mocniej moja rękę.

- *Mio Dio.*

Evelina zakryła usta i sapnęła głośno, a jej ciemne oczy były pełne niedowierzenia.

- Evelina – szepnął Luca głosem drżącym ze zdumienia. – Ty żyjesz.

Opuściła rękę i uśmiechnęła się szeroko.

- *La mia star, ty również.*

A potem przytulali się do siebie, śmiejąc się i płacząc, i kiedy nareszcie się od siebie oderwali, a żadne z nich nie mogło uwierzyć własnym oczom, ja także płakałam. Tłoczyliśmy się razem w tym przedpokoju – troje uciekinierów z mafijnego świata powracających do życia dzięki możliwości lepszej przyszłości.

Ścieżka była ciemna, ale gdzieś w oddali widniała iskierka światła.

Teraz ją widzieliśmy.

Ja ją widziałam.

MAFIJNA WOJNA KRWI WYBUCHA NA PRZYJĘCIU NA JACHCIE BURMISTRZA, ZABIJAJĄC SIEDEM OSÓB I RANIĄC DWANAŚCIE

Gwiazdorskie przyjęcie sylwestrowe zakończyło się tragedią w piątkowy wieczór, kiedy rywalizujące gangi mafii zmierzyły się ze sobą przed setkami przerażonych gapiów.

W zamachu, który jest łączony z masakrą rodziny Marino w Boże Narodzenie, w której zginęło ośmioro mężczyzn i dwie kobiety, Elena Genovese-Falcone, siostra Donaty Marino i wdowa po zmarłym bossie Angelo Falcone, skonfrontowała się z siostrą na pokładzie prywatnego jachtu burmistrza Chicago. Uzbrojona w szczyryk zaatakowała obecnego bossa rodziny Marino tuż przed wstrząśniętymi gośćmi na przyjęciu. Donata Marino zginęła od jednego ciosu nożem w klatkę piersiową. Świadkowie donoszą, że kuzyn Donaty, Romano Marino, natychmiast otworzył ogień w tłum, zabijając Elenę Genovese-Falcone, jej syna Dominico Falcone i bratanka, Calvino Falcone Juniora, nieletniego. W strzelaninie stracili życia strażnik Ronald Smythe i dentystka Dawn Ferri, podczas gdy zostało rannych dwunastu innych imprezowiczów. Kilkunastu świadków donosi, iż widziało, jak trzech mężczyzn wyskakuje do niemal zamarzniętego jeziora Michigan, lecz misja poszukiwawczo-ratownicza nie odkryła żadnych ciał i została odwołana.

Napastnik Romano Marino został zastrzelony i zabity przez uzbrojonego ochroniarza, gdy burmistrz został odprowadzony w bezpieczne miejsce. Ta ostatnia strzelanina jest kulminacją wyjątkowo krwawego okresu w świecie przestępczym Chicago, a śmierć Donaty Marino oznacza koniec dynastii Marino. Kilkoro członków rodziny Falcone pozostaje na wolności i obecnie są poszukiwani przez policję w celu przesłuchania. Źródła bliskie rodzinie twierdzą, że Nicoli Falcone przejął niedawno przywództwo nad niesławną dynastią. Falcone jest młodszym bratem niedawno zabitego „niebieskookiego zabójcy” Valentino Falcone i synem zmarłego Angelo „Stwórcy Aniołów” Falcone. Uważa się, że jest najmłodszym bossem w historii Falconów. Tożsamość jego zastępcy pozostaje nieznana.

Dochodzenie jest w toku.

EPILOG

Muzyka z radia potrząsała szybami samochodowymi, nasze głosy zagłuszały tekst, kiedy śpiewaliśmy bezwstydnie ile sil w płucach. Luca wystukiwał rytm na kierownicy, spoglądając na mnie z udawanym oburzeniem, kiedy wybuchłam kolejną salwą śmiechu. Splataliśmy palce na podłokietniku pomiędzy nami, zwracając twarze ku miastu, które wzrastało przed nami.

W Chicago było lato i moje serce było pełne możliwości.

- Oto i jest! – krzyknęłam ponad muzyką. – Moja jedyna prawdziwa miłość. Chicago.

Luca przycisnął rękę do serca.

- To zabolalo.

- Czy budynki zawsze były takie lśniące? – zapytałam.

- Czy niebo zawsze było takie niebieskie? – odpowiedział.

Zatrzepotałam do niego rzesami.

- Czy dowiem się już, co to za niespodzianka?

- Nie – odparł słodko. – Absolutnie nie.

Wjechaliśmy do centrum miasta, Luca ciągle odrzucał moją ciekawość, a ja nie zamierzałam z niej zrezygnować. Nareszcie zaparkowaliśmy naszym wypożyczonym camaro w garażu na West Washington Street i do czasu jak wysiadłam byłam gotowa go udusić.

- Czy *teraz* się dowiem?

Wyszedł na ulicę, skinąwszy na mnie, żebym poszła za nim.

- Dlaczego cały czas musisz być taka ciekawska?

- Dlaczego cały czas musisz być taki irytujący?

Wyszczrzył się do mnie przez ramię.

- Już taki jestem.

Spiorunowałam tył jego głowy.

- Wiedz, że nie lubię niespodzianek.

- Ucieszyłaś się, kiedy w zeszłym tygodniu odwiedziła cię Millie, prawda? *To* była niespodzianka.

- To co innego – powiedziałam znacząco. – Moja miłość do Millie przewyższa nieufność wobec niespodzianek.

Luca wzruszył ramionami.

- Na szczęście dla mnie, ja je bardzo lubię.

- Wcale nie – powiedziałam, przyśpieszając, żeby nadążyć za jego pewnymi krokami. Był ubrany w dzinsy i wojskowe buty, jego niebieska koszulka falowała na lekkim wietrze i naprawdę starałam się zachować koncentrację, ale nawet od tyłu był niesprawiedliwie zachwycający. – Nie cierpisz niespodzianek.

- Dobra, poprawię się. Bardzo lubię niespodzianki związane z Sophie. – Po chwili dodał: - Szczególnie, kiedy ta niespodzianka należy do mnie.

Zwolnił tempo, jakby przypomniał sobie, że niektórzy z nas nie mieli ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

- Tylko mi się teraz nie przekreść – ostrzegł. – Wszystko zrujnujesz.

Im bardziej oddalaliśmy się od samochodu, tym stawał się bardziej pogodny. Praktycznie podskakiwał i nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy poczułam zdumienie na widok tej wersji Luki: otwartej, szczęśliwej, *wolnej*.

Spieszyłam obok niego, a za mną trzepotała moja żółta sukienka. Słońce ogrzewało mi ramiona i uniosłam ku niemu twarz, pozwalając by obsypało moje policzki piegami.

- Zapomniałam, jak uwielbiam lato w mieście – powiedziałam.

Luca przytaknął, jego błękitne oczy błyszcząły.

- Pewnego dnia wrócimy tutaj na dobre, Soph. – Jego głos się zmienił, wkradł się do niego cień ponurości. – Ale jeszcze nie.

Jeszcze nie, upomniałam się. Było za wcześnie, żeby odbudować trwałe życie, życie bez zagrożenia. Na razie wszystko stało pod znakiem „jeszcze nie”.

- Ale mamy dzisiejszy dzień – powiedział, unosząc kącki ust, kiedy spojrzał na mnie z góry. – Wykorzystamy go jak najlepiej.

Wtedy to zobaczyłam. Właściwie zobaczyłabym szybciej, gdybym nie śledziła każdego centymetra perfekcyjnej twarzy Luki. Gdy zorientowałam się, gdzie jesteśmy, staliśmy już prawie w Cadillac Palace Theatre. I znajdowałam się dokładnie naprzeciwko gigantycznego billboardu.

Zapomniałam o wszystkich wyrazach w moim języku. Czytałam słowa „*Upiór w operze*” i bardzo starałam się powstrzymać wybuch płaczu. Wydawało mi się, że rozwiązałam ten denerwujący problem w minionych miesiącach, ale serce waliło mi w piersi, oddychałam coraz szybciej i czułam na sobie wzrok Luki czekającego na moją reakcję. Zamknęłam usta i spróbowałam opanować emocje.

Uspokój się. Skup się. To tylko musical. Nic wielkiego.

Tak, dziękuję ci, racjonalna Sophie.

Nie. To nie tylko musical. To ten musical. Przywiózł cię tutaj, bo twoja matka nie miała do tego okazji.

- Sophie? – Luca opierał się o ścianę i przyglądał mi się, przekrzywiając głowę. Marszczył brwi zaniepokojony. – Nic nie mówisz.

O Boże. Zaczęła mi drzeć warga.

Położył rękę na moich plecach – delikatny dotyk, ciepły prąd przepływający przez moją skórę, jak przysunął mnie do siebie. Świat zniknął, byliśmy tylko my dwoje.

- Cieszysz się? – zapytał cicho. – Jeśli nie, możemy stąd pójść.

- Cieszę się – odparłam. – Cieszę się tak bardzo, że chyba się rozpłaczę.

Otarł z mojego policzka samotną łzę. Odwróciłam wzrok, wbijając paznokcie we wnętrze dłoni, żeby nie wymknęła mi się kolejna łza.

- Płaczesz dlatego, że musisz to przeżyć ze mną? – zapytał łagodnie. – O to chodzi, tak?

- Tak – powiedziałam. – Jesteś najgorszy.

Wyciągnął z kieszeni dwa bilety i wcisnął mi do ręki. Otoczyłam ręką jego plecy i pocałował mnie w czubek głowy, poruszając oddechem moje włosy.

- Wszystkiego najlepszego, *Cuore mio*.

Gdyby rok temu ktoś mi powiedział, że będę teraz w teatrze, patrząc jak ogromny żyrandol kiwa się pod sufitem, kiedy epicka muzyka wstrząsała otaczającymi mnie ścianami i ścisnęła mnie za serce, siedząc tymczasem ramię w ramię z byłym bossem całej dynastii Falconów i *dobrze się bawiłam*, wyzwalałabym tę osobę od brudnych kłamców.

Jak szybko świat może ulec zmianie.

Kilka miesięcy po byciu postrzeloną w ramię – po spojrzeniu śmierci prosto w twarz i wytoczeniu się spod niej, po pochowaniu moich rodziców, zerwaniu wszelkich więzi z tożsamością, której nigdy nie chciałam i wyłamaniu się ze światka przestępczego, który

niegdyś groził pochłonięciem mnie w całości – Luca rozpałił we mnie coś, co uważałam za utracone na zawsze. Monumentalna muzyka, dramatyzm, pasja, poczucie bycia gdzie indziej i inne uczucia; bezpieczeństwa, szczęścia i zadowolenia. Czułam radość, siedząc w tej ciemnej auli, trzymając go za rękę i pochylając ku niemu głowę. Gdy ostatnia piosenka uderzyła w crescendo, łzy napłynęły mi do oczu i pozwoliłam, żeby muzyka porwała mnie z dala od wszystkiego złego, co wydarzyło się w zeszłym roku i mroku, który po sobie zostawiło. Wtedy poczułam, jak otacza mnie najsilniejsze wrażenie możliwości. To drugie życie... pełne kreatywności, sztuki, muzyki i miłości.

Wyszliśmy z teatru radośni i oszołomieni. Na moim języku czekało tysiąc podziękowań, ale wszystkie wymieszały się ze sobą, więc zamiast tego chwyciłam Lucę za rękę, zaciągnęłam w boczną uliczkę teatru i pocałowałam tak mocno, że straciłam oddech.

- Cóż – mruknął, przesuwając palcem wzdłuż mojej dolnej wargi. – Powiniennem częściej zabierać cię do teatru.

- Wracajmy do domu. – Z powrotem do małego, nieistotnego miasteczka na obrzeżach Wisconsin, które na razie wystarczyło. Z powrotem do „jeszcze nie”.

Objął mnie ramieniem, ściskając w talii, kiedy ruszyliśmy przed siebie.

- Właśnie o tym myślałem.

Wyskoczyliśmy na chodnik, nasze kroki zrobiły się szybsze pod wpływem pożądania, słowa zatracone w myślach kotłujących nam się w głowie. Na następnym skrzyżowaniu czekaliśmy w grupce wieczornych wielbicieli sztuki i nie całkiem wiem jak, ale wyczułam to zanim zobaczyłam. Poczułam we włoskach na karku, w gęsiej skórcie na nagich ramionach. To uczucie, że świat leciutko przyciemniał.

Patrzyliśmy, jak znajomy czarny SUV zatrzymał się na ulicy obok, a sygnalizacja świetlna odbijała szkarłatną poświatę na masce samochodu.

- Luca. – Jego imię stanęło mi w gardle, a serce zaczęło do niego podchodzić.

Zjeżył się przy mnie, sięgając za swoje plecy. Zamarliśmy w tej pozycji, dopóki światło nie zmieniło się na zielone.

SUV powoli ruszył do przodu i zastanawiałam się czy to wszystko sobie wyobraziłam... uczucie bycia obserwowanym.

Gdy samochód zniknął w następnej uliczce, Luca puścił pistolet, który chował za paskiem spodni.

- Zwykły zbieg okoliczności – szepnął.

- Zbieg okoliczności – powtórzyłam.

Wziął mnie za rękę, ciągnąc za sobą. Przebiegliśmy resztę drogi do auta, czując na plecach żar zachodzącego słońca, w moim umyśle była wypalona twarz Nico.

Byliśmy bezpieczni.

Byliśmy razem.

Uciekaliśmy.

Ciągle uciekaliśmy.